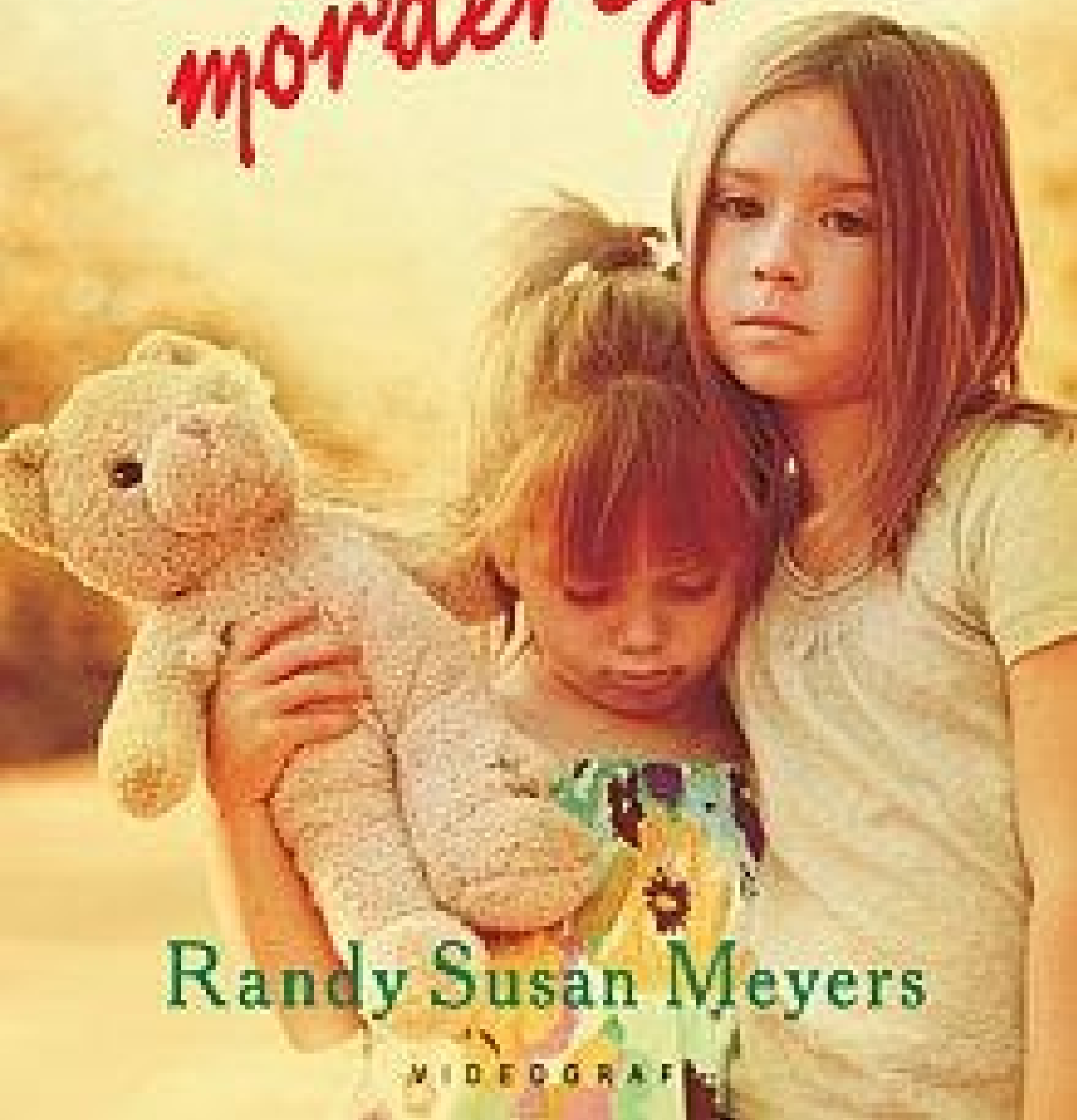


„Książka, która zabiera czytelnika  
na przejażdżkę emocjonalnym rollercoasterem”.

*Library Journal Review*

# Córki mordancy



Randy Susan Meyers

WIDEOKRAF

Randy Susan Meyers

Córki mordercy

Mężowi, Jeffowi, który spełnił moje marzenie.

Siostrze, Jill, która jest moją drugą połową.

I córkom, Becce i Sarze, którym oddałam serce.

Część pierwsza

# 1. Lulu

Nie byłam zaskoczona, kiedy mama poprosiła mnie, abym ratowała jej życie. Od kiedy zaczęłam chodzić do przedszkola, wiedziałam, że moja mama to nie żadna kura domowa. W

zasadzie traktowała mnie jak małą służącą: „Skocz mi po pepsi, Lulu. Przynieś mleko do płatków swojej siostrze. Idź do sklepu i kup mi paczkę winstonów”.

A potem któregoś dnia podniosła poprzeczkę: „Nie wpuszczaj taty do mieszkania”.

Wtedy, w lipcu, gdy rozpadła się nasza rodzina, moja siostra kończyła pięć lat, a ja zaczęłam dziesiąty rok życia, co w oczach mamy czyniło ze mnie mniej więcej pięćdziesięciolatkę. Tata, jeszcze zanim odszedł, nie bardzo nam pomagał. Miał własne problemy. Pragnął rzeczy, których nie mógł mieć, a najbardziej ze wszystkiego pragnął mojej mamy. Być może fakt, że wyrastał w cieniu Coney Island, w fantastycznym świecie Brooklynu, tłumaczył jego słabość do maminej szalowej fasady, ale nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu nie dostrzega całej reszty. Jej słodki wygląd musiał

sprawiać, iż nie zauważał, jak bardzo mama żałuje każdej chwili, która w pełni do niej nie należała.

Batalie moich rodziców wyznaczały rytm życia naszej rodziny. Jednak zanim mama wyrzuciła ojca z domu, był on doskonałym przykładem osoby, która żyje nadzieją wbrew oczywistym faktom. Ojciec wracał wieczorem z pracy, oczekując obiadu i serdecznego przywitania, podczas gdy dla mamy jego powrót do domu oznaczał początek zmagania na śmierć i życie.

- Jak myślisz, ile godzin dziennie mogę być z nimi sama, Joey? - spytała mama na kilka dni przed jego wyprowadzką.

Wskazywała przy tym na moją siostrę Merry i na mnie, podczas gdy my grałyśmy w policjantów i złodziei na małym stole w naszej ciasnej kuchni. Byłyśmy najlepiej wychowanymi dziewczynkami na całym Brooklynie, dziewczynkami, które wiedziały, że denerwowanie mamy kończy się szybkim kłapsem i godzinami stania w kącie i gapienia się na palce u nóg.

- Sama? - Piwo kapalo tacie z ust. - Na miłość boską!

Spędzasz pół dnia, plotkując z Teenie, a drugie pół - malując sobie paznokcie. Czy ty wiesz, że mamy w kuchni piecyk do gotowania? Taki z

palnikami i pokrętłami?

Mamy przyjaciółka Teenie mieszkała pod nami, na pierwszym piętrze, z pięcioma synami i mężem potworem, którego ogromna głowa przypominała dynię. W mieszkaniu Teenie unosił się zapach świeżo wyprasowanej bawełny.

Prasowanie było dla Teenie środkiem uspokajającym, jak valium. Wybuchy jej męża tak ją denerwowały, że błagała mamę, żeby przyniosła nasze pranie do wyprasowania. Dzięki Teenie spałyśmy na miękkich prześcieradłach i gładkich satynowych poduszkach.

Marzyłam o tym, by zabrano mnie z mojej tak zwanej rodziny, bo byłam przekonana, że jestem ukrywanym dzieckiem szalenie przystojnego burmistrza Johna V.

Lindsaya i jego słodkiej, uroczej żony, która wydawała mi się typem matki kupującej swemu dziecku książki zamiast tandetnych lalek Barbie z działu zabawek w Woolworcie.

Rodzina Lindsayów umieściła mnie w tym brzydkim mieszkaniu, w gryzących rajtuzach i z rodzicami klasy C, żeby przekonać się o mojej wartości, a ja nie byłam tym rozczarowana. Nawet kiedy mama krzyczała mi prosto w twarz, modulowałam głos, zwracając się do niej takim tonem, jaki podobałby się pani Lindsay.

Tamtego popołudnia mama posłała nas do pokoju, żebyśmy się zdrzemnęły. W małej trumience sypialni, którą dzieliłam z Merry, było gorąco i parno. Jedyłą ulgą były dla nas chwile, kiedy mama wycierała nasze spocone ramiona i piersi szmatką zamoczoną w alkoholu i zimnej wodzie.

Leżąc w popołudniowym upale, niecierpliwiłam się, bo nazajutrz przypadały moje urodziny i modliłam się, żeby mama kupiła mi zestaw małego aptekarza, o którym od dawna marzyłam. W zeszłym roku poprosiłam o Encyklopedię Britannica, a dostałam płaczącą lalkę. Nigdy nie chciałam lalki, a nawet gdybym chciała, to nie taką, która zalewa mnie łzami.

Miałam nadzieję, że lepszy nastrój mamy, w jakim była ostatnio, może działać na moją korzyść. Od kiedy wyrzuciła tatę z domu, bardzo rzadko na nas krzyczała. Ledwie zauważała naszą obecność. Kiedy przypominałam jej o obiedzie, odwracała na chwilę wzrok od telewizora i mówiła: - Weźcie sobie pieniądze z mojej portmonetki i idźcie do Harry'ego.

Chodziłyśmy trzy przecznice dalej do kawiarni Harry'ego i zamawiałyśmy kanapki z tuńczykiem i koktajl - waniliowy dla Merry i czekoladowy dla mnie. Zwykle zjadałam szybciej, oplatałam nogami zimny metalowy drążek pod skórzanym siedzeniem stołka i wierciłam się niecierpliwie, czekając aż Merry dopije swój koktajl i zje małymi kęskami

kanapkę.

Krzyczałam na nią, żeby się pośpieszyła, naśladowując babcię Zeldę, matkę taty:

- Wcinaj to, księżniczko! Myślisz, że kim ty jesteś, angielską królową?

Może nią była. Może prawdziwą matką Merry była królowa Elżbieta.

Po wyprowadzce taty mama wprowadziła nowe, niewytłumaczalne zasady. „Nie otwierajcie drzwi waszemu ojcu, a kiedy odwiedzacie go w domu babci Zeldy, nie mówcie ani słowa na mój temat. Ten stary knur wyciąga tylko od was informacje. I nigdy nie opowiadajcie nikomu o moich znajomych”.

Znajomi mężczyźni odwiedzali mamę cały czas. Nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby o nich w ogóle nie wspominać.

Nie mówić niczego o mamie oznaczało bycie niegrzecznym i nieposłusznym, skoro ucałowawszy nas na przywitanie, tata pytał od razu:

„Jak tam mama?

Kto przychodzi do domu?

Czy mama ma nowe ubrania? Nowe płyty? Nowy kolor włosów?”.

Nawet małe dziecko zorientowałoby się, że tata jest spragniony wiadomości o mamie.

Czułam się winna, że po jego odejściu poczułam ulgę.

Zanim odszedł, wtedy gdy niczego nie żądał albo potem, kiedy błagał mamę, by poświęciła mu trochę uwagi, wpatrywał się w nią rozmarzonym wzrokiem.

Zastanawiałam się czasem, czemu mama za niego wyszła.

Byłam za mała, żeby znać matematykę i policzyć sobie, ile czasu minęło od ich ślubu do moich narodzin, nigdy więc nie przyszło mi do głowy, że to ja byłam tego przyczyną. A mama nigdy nie zachęcała do rozmów, jakie czasem matki prowadzą ze swymi córkami. Nie lubiła też niczego, co miało posmak introspekcji. Pewnie dlatego tak bardzo zaprzyjaźniła się z Teenie. Teenie nie próbowała zgłębiać sensu życia. Całymi godzinami oceniała mamy lakier do paznokci, odrywając wzrok od prasowania na chwilę wystarczająco długą, by wybrać odcień najlepiej pasujący do jej ciemnej skóry, podczas gdy mama malowała jeden paznokieć za drugim.

Ociekając potem, przewróciłam kartkę Tajemnicy szkarłatnego pantofelka. Ponieważ w czasie wizyty w bibliotece mogłam wypożyczyć

tylko sześć książek naraz, musiałam dobrze obliczyć czas potrzebny na ich przeczytanie, gdyż inaczej byłam skazana na powtórne czytanie w niedzielę pięciu niewielkiej objętości książek, przysłanych kiedyś z Reader's Digest, które spoczywały na czerwonym regale w naszym salonie. Na obu końcach szeregu owych książek stały zielono - brązowe figurki żałośnie wyglądających chińskich smoków z długimi ostrymi ogonami. Mama mówiła, że to symbole szczęścia.

Inne półki w salonie zdobiły pudełka z czarnego onyksu, różnych kształtów i rozmiarów, wykładane masą perłową.

Były gładkie i chłodne w dotyku. Ojciec mamy przywiózł je, wróciwszy z wojny w Japonii. Matka mamy, którą nazywaliśmy Mimi Rubee, dała jej te pudełka po śmierci naszego dziadka, ponieważ wciąż o nie prosiła, doprowadzając Mimi Rubee do szaleństwa.

Mama zazwyczaj dostawała to, co chciała.

Słońce wynurzyło się zza ścian, zalewając światłem nasze ponure podwórko i wpadając do naszej sypialni. Strzepnęłam i odwróciłam poduszkę, zgniatając ją i nadając jej niezbyt eleganckie kształty, byleby tylko wsunąć pod głowę kawałek chłodnej bawełny. Merry, siedząc w kucki na swym łóżku, w przeróżny sposób układała papierowe lalki. Poruszała przy tym bezgłośnie wargami, wypowiadając sobie tylko wiadome słowa.

Merry miała się przespać, a ja miałam dopilnować, żeby tak się stało. Moja siostra wyglądała na dumną i szczęśliwą w swoich jabłkowitzelonych opalaczach, związanych na górze żółtą wstążeczką. Nienawidziłam ich, bo za każdym razem, gdy chciała iść do łazienki, musiałam pomagać jej je ściągać, a potem zakładać z powrotem i wiązać. Merry natomiast uwielbiała te opalacze, bo dostała je od tatusia. Tak naprawdę to kupiła je babcia Zelda, a nie tata, ale ja nigdy tego Merry nie powiedziałam, żeby nie psuć jej dobrego samopoczucia.

Merry była bardzo ładna, a ja - bardzo przeciętna. Ludzie zatrzymywali nas codziennie, pochylając się i zachwycając czarnymi lokami Merry albo jej wielkimi czekoladowymi oczami, bądź też głaszcząc rumiane policzki, jakby jej skóra była materiałem, którego musieli dotknąć. Czułam się, jakbym miała obok siebie księżniczkę Brooklynu.

Tata nie widział świata poza Merry. Tak mówiła ciocia Cilla, patrząc, jak tata wkładał Merry do buzi jednego m&m'sa za drugim.

- Czy ty nigdy nie byłaś o nią zazdrosna? - pytała mamę.

Ciotka Cilla, siostra mamy, wyglądała jak jej bardziej otyła wersja.

- Tak, masz rację. Ma fioła na punkcie sześciolatek -  
odpowiadała mama ciotce Cilli, tak naprawdę jednak kierując te słowa do taty.

Merry uszczęśliwiała tatę, w przeciwieństwie do mnie.

Gdy tata opowiedział dowcip, mrużyłam oczy, zastanawiając się, czy ten zagadkowy lub zaskakujący kawał jest wystarczająco dowcipny, by zasłużyć na śmiech. Wtedy on się wkurzał i mówił:

- Na miłość boską, Lulu, czy musisz analizować każde słowo, które się mówi?

Zmieniłam pozycję w łóżku, opierając się łokciami na parapecie i próbując wciągnąć w nozdrza lekki wietrzyk.

Podwórzem niosła się muzyka z aparatury stereo pani Schwarz. Ktoś chyba powiedział jej, żeby wyłączyła to pudło, co zazwyczaj sprawiało, że pani Schwarz puszczała muzykę jeszcze głośniejszą. Piosenka Raindrops Keep Falling on My Head leciała tak głośno, że początkowo nie usłyszałam cichego pukania do drzwi.

- Ktoś puka - powiedziała Merry. - Pójdę otworzyć.

- Zaczekaj! - Spuściłam nogi na podłogę. - Zwariowałaś?

Chcesz, żeby mama nas zabiła? Zostaw to mnie. A ty udawaj, że śpisz.

Merry wskoczyła z powrotem do łóżka, lądując na nim z podkurczonymi nogami. Była chuda i mała jak na swój wiek.

W swych zielonych opalaczach wyglądała jak skaczący konik polny.

Podeszłam na palcach do drzwi. Mama zwykle wykorzystywała naszą drzemkę, żeby sama pięknie się przespać, jak to nazywała, i bardzo nie lubiła budzić się wcześniej. Przytknęłam palec do ust, dając Merry do zrozumienia, że ma być cicho. Otworzyła szeroko oczy, pytając spojrzeniem: „Myślisz, że jestem głupia?”.

Nasza sypialnia znajdowała się tuż przy drzwiach wejściowych. Powolutku otworzyłam drzwi, starając się zachować absolutną ciszę. Pukanie stawało się coraz głośniejsze.

- Kto tam? - mruknęłam, dotykając niemal ustami krawędzi drzwi.

- Otwórz, Lulu.

Słyszałam oddech mojego ojca.

- No, dalej, Lu. Otwieraj!

- Nie powinnam cię wpuszczać - wyszeptalam, modląc się, żeby mama nie słyszała.

- Nie martw się, Ptysiu. Mama nie będzie się gniewać.

Obiecuję ci. Oczy mi lekko zwilgotniały, gdy usłyszałam moje pieszczotliwe imię.

Kiedy sprawy miały się lepiej, ja byłam Kokosowym Ptysiem, a Merry - Słodką Dzieciną. Mamę nazywał

Cukrowaną Babeczką, bo to - jak mówił - jest najśłodsza rzecz na świecie. Potem cmokał ustami, a mama rzucała w niego tym, co akurat trzymała w ręce. Uśmiechała się przy tym jednak.

- Wiem, że boisz się mamy, ale musisz mnie wpuścić.

Jestem twoim ojcem. - Tata ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. - Moje nazwisko jest na umowie najmu.

Nie wiedziałam, co to jest najem, ale może on miał rację.

Uchyliłam leciutko drzwi, nie zdejmując jednak zmatowiałego łańcucha, i zobaczyłam kawałek postaci mego ojca.

Tata przysunął się bardzo blisko i uśmiechnął. Miał

brudne zęby, jakby jadł krakersy albo coś takiego i nie umył

ich potem. Śmierdział papierosami, piwem i czymś jeszcze.

Czymś strasznym. Czymś, czego nie znałam.

Położył rękę na drzwiach i wsunął ją do środka. Łańcuch naprężył się.

- Zdejmij go, Lulu.

Zrobiłam krok do tyłu, zastanawiając się, czy powinnam zawołać mamę. Czułam, że Merry stoi za mną. Nie wiedziałam, czy tata ją widzi. Wydawało mi się, że raczej nie.

Przywitałby się z nią.

- Zawołam mamę - powiedziałam. - Powiem jej, że przyszedłeś.

- Nie bądź uparta. Wpuść mnie w tej chwili!

Szarpnął gałką u drzwi, a mnie serce podskoczyło do gardła.

- Wracaj do łóżka - szepnęłam Merry.

Gdy zniknęła, sięgnęłam do klamki i łańcucha. Tata nie napierał na drzwi, więc łańcuch wisiał luźno i mogłam go zdjąć.



- Dzięki, Lu. - Ojciec dotknął mezuzy przybitej do framugi drzwi, a potem ucałował swoje palce. Nazywał ją żydowskim szczęściem: „jedynym, jakie my, Żydzi, mamy”.

Następnie pocałował mnie w policzek. Odsunęłam się, by nie czuć jego kwaśnego tytoniowego oddechu. Pragnęłam natychmiast umyć buzię.

- Jesteś moją ślicznotką. - Tata szedł przez krótki hol i skręcił w lewo, wpadając na moje biurko stojące w ciasnej wnęce.

Wlokłam się z tyłu, kręcąc się pośrodku holu, a potem wślizgnęłam się do łazienki, nie zatrzymując jednak całkiem drzwi, by - niewiele widząc - móc chociaż słyszeć.

- Jezu, Joey, ależ mnie przestraszyłeś! - Głos matki brzmiał nerwowo. Wyobraziłam ją sobie, jak naciąga wyżej cienki koc, którym przykrywała się podczas letniej drzemki.

- Tęsknisz za mną, kochanie? - zapytał ojciec.

- Louise, przyjdź tu zaraz! - zawołała mama. Nie poruszyłam się. Nie powiedziałam ani słowa.

- Musimy porozmawiać. - Tata mówił niewyraźnie.

- Wynoś się stąd! Jesteś pijany. Nie mam ci nic do powiedzenia. - Słyszałam, jak mama wstaje, a ojciec idzie za nią. Drzwi lodówki otworzyły się z cmoknięciem. Rozległ się trzask otwieranej puszki. Rodzice byli w kuchni.

- Miałaś dużo do powiedzenia mojemu szefowi, kiedy wyciągnęłaś od niego moją książeczkę czekową, prawda, Miss Ameryki?! - Tata krzyczał. - Ostro kręciłaś przy tym tyłkiem?!

Coś poruszyło się w moim pokoju. Merry skradała się przez hol, jej gołe stopy delikatnie stapały po linoleum.

Chciałam złapać ją i wciągnąć do łazienki.

Usłyszałam, jak zatrzymała się przy tapczanie; sprężyny zatrzeszczały, kiedy na niego wskoczyła. Wyobraziłam ją sobie, skuloną, obejmującą kolana i trzęsącą się. Z tapczanu dobrze było widać, co się dzieje w kuchni.

- Ktoś musi tym dzieciom dać jeść. Co miałam zrobić?

Produkować pieniądze? - pytała mama.

- Chcę je dostać z powrotem, Celeste. Natychmiast.

Mama wymamrotała coś zbyt cicho, żeby można było to usłyszeć. Uchyliłam szerzej drzwi do łazienki.

- Mówię poważnie, oddaj mi je, Celeste. Oddaj je.

Tata powtarzał te słowa w kółko przyciszonym głosem.

„Oddaj je. Oddaj je. Oddaj je”.

- Wynoś się, zanim wezwę policję. Słysząc było jakieś uderzenie.

- Wynoś się!

- Potrzebuję ich. Potrzebuję tych pieniędzy, do cholery!

Coś trzasnęło.

Moja siostra zakwiliła. Czy poszła do kuchni? Powinnam być przy niej.

- Ciiii, Słodka Dziecinko. Wszystko w porządku. - Ojciec z trudem składał razem słowa. Wyobraziłam sobie, jak się pochyła, całuje Merry w czubek głowy, jak to zawsze robił, i oplata sobie jeden z jej loków wokół palca.

- Idź do mojego pokoju, Merry - rozkazała mama.

- Tak, idź do pokoju mamy - powtórzył tata. Rozległ się hałas, jakby cały sprzęt kuchenny runął naraz na podłogę. - Co ja widzę, Celeste? Bourbon? Kupujesz im alkohol za moje pieniądze?

Głos taty przybierał na sile, zbliżając się do krzyku.

Przyłgnęłam do ściany.

- Wracaj do swojej matki i wytrzeźwiej. - Mama wydawała się bardziej wściekła niż przerażona.

- Myślisz, że dam ci pieniądze, żebyś kupowała wódkę swoim gachom?

Głos taty znowu się zmienił. Z płaczliwego stał się donośny. Grzmiał teraz jak niedźwiedź. Zaczęły się straszne łomoty. Wyobraziłam sobie tatę, jak wali raz po raz drzwiczkami kuchennych szafek. Słysząc było trzask metalu, jakby wyrywanych z futryny zawiasów.

DAJ MU TE PIENIĄDZE, MAMO!

- Lulu! - krzyknęła mama. - On ma nóż! Chce mnie zabić!

Leć po Teenie!

A jeśli Teenie nie ma w domu? Nie, ona nigdzie nie wychodzi. Co mam jej powiedzieć?

Stałam w holu jak skamieniała przez chwilę, która wydawała mi się wiecznością, i słuchałam krzyków mamy i taty. Potem zbiegłam po koślawych schodach do mieszkania Teenie. Waliłam pięściami w drzwi, żeby

przebić się przez odgłosy z telewizora. Tłukłam w nie tak głośno, że byłam przekonana, iż postawię na nogi cały dom. W końcu jej najmłodszy syn otworzył drzwi. Wpadłam do środka i znalazłam Teenie w salonie oglądającą Let's Make a Deal i prasującą bokserki swego męża.

- Mój ojciec ma nóż - powiedziałam.

- Pilnuj chłopców - poleciła najstarszemu synowi, wyjmując wtyczkę żelazka z gniazdka, nawet go przedtem nie wyłączywszy.

Gdy wybiegałyśmy z mieszkania, Teenie zawołała: - Zostańcie w domu, chłopcy! Nie ruszajcie się stąd ani na krok! Popędziłyśmy po schodach na górę. Zastanawiałam się, czy powinnam jeszcze kogoś zawiadomić. Może pana Forda.

Mieszkał sam. Był nauczycielem. Był stary, ale mimo wszystko to męczyzna, chociaż mój ojciec nazywał go pedziem.

Nie, nie potrzebowałyśmy nikogo. Ojciec lubił Teenie.

Posłucha jej. Ona go uspokoi.

Wpadłyśmy do mieszkania. Biegłam tuż za Teenie przez hol do kuchni. Szeroko otwarte szafki, których drzwiczkami ojciec przedtem tak głośno trząsał, ukazywały nasze turkusowe i białe naczynia. Częściowo wyrwane z zawiasów drzwiczki jednej z szafek kołysały się pod wpływem silnego, wilgotnego wiatru, który wydymał zasłony.

Mama leżała na podłodze. Krew kapała na zielono -

brązowe linoleum. Teenie upadła do kolan mamy, chwyciła krawędź jej szerokiego bawełnianego fartucha i przycisnęła go do mamy piersi w miejscu, skąd krew wypływała najmocniej.

Teenie spojrzała na mnie.

- Zadzwon na centralę - powiedziała łamiącym się głosem. - Powiedz, żeby przysłali karetkę. I wezwali policję.

Gapiałam się na mamę. Nie umieraj.

- Idź, Lulu.

Pobiegłam do jej pokoju. Telefon stał przy łóżku.

Różowy. Telefon księżniczki. Merry leżała na różowo - szarej narzucie mamy. Mama krzyknęła, odrzucając głowę do tyłu, gdy zobaczyła, jak wszędzie tryska krew. Ładne zielone opalaczyki, w których Merry wyglądała jak pasikonik, były rozcięte w połowie, ale żółte wstążki, które wiązałam jej na kokardki, były na swoim miejscu.

Ojciec stał obok Merry. Krew ściekała mu po rękach.

- Zadzwoń! - zawołała Teenie z kuchni.

Podniosłam telefon z nocnego stolika, ostrożnie, żeby nie wygnieść mamy pościeli, bo wiedziałam, że tego nie lubi.

## 2. Lulu

Moja babcia, Mimi Rubee, siedziała przy stole, popijając czarną kawę i jedząc tost z białym serem. To było jej śniadanie i lunch jednocześnie. To ona teraz się nami opiekowała. Pogrzeb mamy odbył się tydzień temu, w dzień moich urodzin, choć nikt nie wspomniał o nich ani słowem.

Zrobiłam sobie kanapkę z masłem i dżemem pomarańczowym, jedyną rzecz do jedzenia, jaką potrafiłam sama przygotować.

Codziennie od pogrzebu prosiłam Mimi Rubee, żeby zabrała mnie do szpitala, bym mogła odwiedzić Merry, a ona za każdym razem mówiła nie. Dławiło mnie w piersiach na myśl o tym, że moja mała siostrzyczka leży sama w jakimś ogromnym białym budynku.

- Czy dzisiaj możemy pojechać do szpitala? - zapytałam pomiędzy jednym i drugim kęsem kanapki.

- Proszę cię, serce tak mnie dzisiaj boli, że dłużej tego nie wytrzymam. - Pociągnęła głośno łyk kawy. - Zapewniam cię, że pielęgniarki dobrze się nią opiekują. Sama widziałam.

- Więc kiedy?

- Niedługo. Może ciocia Cilla jutro cię zabierze.

- Ciocia Cilla nie pójdzie - odparłam. Poza tym nie chciałam iść z ciocią Cillą. Rzeczy trudne stawały się nie do zniesienia z siostrą mojej mamy.

- Pójdzie, pójdzie. - Mimi Rubee rzuciła mi przeciągłe, wilgotne od łez spojrzenie.

- Ale Merry jest tam sama - nie ustępowałam. - Ona jest przerażona.

- Śpi przez większą część dnia.

- Proszę, Mimi Rubee, zabierz mnie do niej.

- Dość tego! - Babcia zamoczyła papierową serwetkę w szklance wody i wytarła okruszki wokół mojego talerza. -

Mówiłam ci setki razy, że twoja siostra czuje się dobrze. A teraz już przestań. Nie widzisz, że mam przez ciebie migrenę?

- Kolistymi ruchami pocierała sobie skronie.

Zignorowałam sygnały ostrzegawcze tego, co miało się stać - podniesiony głos babci, nerwowe zbieranie okruszków ze stołu, pocieranie skroni.

- Merry nie powinna być sama - powiedziałam.

- Dostyc! To on jej to zrobił! - Mimi Rubee chwyciła się za swe farbowane na rudo włosy, jakby chciała je sobie wyrwać z głowy. - Ten potwór, jakim jest twój ojciec. Potwór!

- Uderzyła w stół tak mocno, że moja kanapka podskoczyła, a jej kawa rozlała się naokoło.

Mimi Rubee nie pozwoliła mi pójść na mamy pogrzeb.

Zostałam z babcią Zeldą, matką taty. Całymi godzinami oglądałyśmy telewizję, jeden program mieszał się z drugim, ale ani babci Zeldzie, ani mnie nie chciało się zmieniać kanałów. Gapiłyśmy się na wszystko, co pokazywali, podczas gdy Merry leżała samiotka w szpitalu na Coney Island, ojciec siedział w więzieniu, a Mimi Rubee grzebała moją mamę w ziemi. Wyobraziłam ją sobie płaczącą na pogrzebie tak głośno, że niewiele brakowała, a obudziłaby mamę.

Mama nazywała Mimi Rubee prawdziwą Sarą Bernhardt, która najwidoczniej była kiedyś słynną aktorką. Czasem po południu popijała sake z brandy i wspominała, jak to Mimi Rubee wymachiwała ze złości pięściami, kiedy ona i tata zaczęli się spotykać. Mama wspaniale naśladowała sztucznie napsuszony akcent, z jakim babcia wymawiała każdy wyraz: - Na miłość boską, jesteś zbyt młoda, zbyt ładna i zbyt zgrabna. Nie zmarnuj tego. Nigdy już taka nie będziesz.

Zawsze kończyła opowiadanie, chwytając nieistniejące fałdy tłuszczu na udach, uśmiechając się smutno i mówiąc: - Pamiętaj, Lulu, ostatecznie matki mają zawsze rację.

Nikt inny nie powie ci prawdy.

Po paroksyzmie płaczu Mimi Rubee poszła uciąć sobie popołudniową drzemkę, mającą ukoić dokuczliwy ból głowy.

Zamknęła się w swoim pokoju, zaciągnęła story i weszła do łóżka. Zawołała mnie, żebym przyniosła jej taką specjalną wyszczerbioną emaliowaną miskę. Na wypadek, gdyby wymiotowała. Potem podałam jej mokry ręcznik na czoło, upewniwszy się przedtem, czy jest dobrze wykręcony.

Gdy to zrobiłam, a następnie przyciągnęłam do jej łóżka metalowy wentylator, z którego wydobywało się chłodne powietrze, Mimi Rubee spojrzała na mnie i lekko się uśmiechnęła. Ze łzami w oczach nazwała mnie swym żołnierzykiem.

- Jesteś zawsze taka dobra. Dlatego mama cię kochała.

Pigułki na migrenę połknięte przez Mimi Rubee zaczęły działać, jej oddech stał się cięższy i w końcu zapadła w głęboki sen. Wyszłam na palcach z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Wyjęłam moje buty spod kanapy z tekowego drewna, z którego wykonane były wszystkie meble w mieszkaniu. Po śmierci dziadka Mimi Rubee pozbyła się ciemnych wiktoriańskich mebli i grubych orientalnych dywanów, które on lubił, i - deklarując chęć bycia nowoczesną - kupiła duńskie puszyste dywany z wytkanym na nim zachodem słońca. Ja spałam na niewygodnej sofie i rano budziłam się często zwinięta w kłębek i zdrętwiała. Mimi Rubee obiecała, że kupi amerykańkę, gdy Merry wróci ze szpitala.

Podczas gdy Mimi Rubee spała, wyciągnęłam książkę telefoniczną i odpisałam sobie adres Coney Island Hospital.

Szpital znajdował się na Ocean Parkway - tej samej ulicy, co nasze mieszkanie, lecz biegła ona przez cały Brooklyn, z jednego końca na drugi. Szpital mieścił się w jej dolnej części, niedaleko miejsca, gdzie tata mieszkał wcześniej z babcią Zeldą, w małym bungalowie blisko rzeki. Ktoś zburzył ten bungalow dawno temu, ale ja widziałam go na zdjęciach.

Napisałam na kartce: „Poszłam na spacer” i zostawiłam ją na stole w kuchni. Wyciągnąwszy dolara z portmonetki Mimi Rubee, włożyłam trampki i wyszłam z domu.

Nie wiedząc, jakim autobusem jechać, poszłam piechotą wzdłuż McDonald Avenue do Ocean Parkway. Rozglądałam się za przystankiem autobusowym. Chciałam szybko wrócić, zanim babcia obudzi się i wstanie.

Zamglone białe słońce ogrzewało moje nagie ramiona.

Pomięta bluzka była przepocona i podwijała się, wyłaząc z tyłu z opadających dzinsów. Ktokolwiek szedł do naszego mieszkania, żeby skompletować moje ubranie lub coś innego, wybierał przypadkowe rzeczy, które razem wzięte nie miały żadnego sensu. Zamiast medalionika, który mama dała mi, kiedy skończyłam osiem lat, w szkatułce na biżuterię wepchnięte były zagubione elementy gry Monopol. Kalosze stały na moim kostiumie kąpielowym. Codziennie szperałam w bezładnie spakowanych papierowych torbach, stłoczonych w szafie Mimi Rubee.

Dzisiaj szukałam czegoś, co chciałam zanieść Merry -

małego wypchanego łośia, którego nazwałyśmy Bullwinkle, albo żaby, z którą spała - ale torby wypchane były pomiętymi ubraniami i układankami, nigdy nieużywanymi.

Kiedy tak szłam wzdłuż niekończącego się rzędu bloków, mimo że miałam włosy spięte w koński ogon, pociałam się mocno. Obie z Merry w

czasie upałów dostawałyśmy czerwonej wysypki. Mama nazywała to potówkami i posypywała nam szyje Kaszmirowym Bukietem. Wytrząsała ten proszek z różowej puszkii i wcierała go w nas, aż słodko pachnący pył wypełniał nasze nozdrza.

W końcu zobaczyłam wielki biały szpital wznoszący się w oddali i odetchnęłam z ulgą. Czułam się, jakbym szła cały dzień. Zanim weszłam, przystanąłam przy znajomo wyglądającym narożnym sklepie ze słodyczami. Jak u Greensburga, gdzie kupowałam mamie papierosy, na półkach pełno było gazet, przyborów szkolnych i czasopism, ale to miejsce wyglądało na znacznie bardziej podupadłe niż sklep Greensburga.

Z tyłu znalazłam regał z zakurzonymi zabawkami.

Grzebałam w nich, szukając czegoś, co mogłoby pocieszyć Merry. Wypchany tygrys był tani, ale miał brzydką mordę, a w środku chyba pomięty papier; poza tym wyglądał na głodnego do tego stopnia, że mógłby zjeść małą dziewczynkę.

Staromodna lalka z brązowymi lokami mrugała głośno powiekami. Ubrana była w różową sukienkę w kropki. Na pewno spodobałaby się Merry. Nazwałaby ją Mitzi albo Suzi.

Merry uwielbiała imiona zakończone na - zi. Ale Mitzi - Suzi kosztowała dolara.

Przebierałam wśród pistoletów na wodę, piłek do zabawy w wodzie i przeróżnych pluszowych zwierzątek. W końcu za jakimiś starymi maskami na Halloween znalazłam malutką drewnianą kołyskę, nie większą niż gruby męski kciuk. W

środku leżała filigranowa różowa laleczka przykryta miniaturową żółtą kołderką. Nie znalazłszy naklejki z ceną, wzięłam kołyskę i zaniósłam do starszej kobiety przy kasie.

- Ile? - zapytałam.

Spojrzała z ukosa na lalkę leżącą w kołysce, a potem na mnie. Zacisnęłam dłoń na zniszczonym banknocie w kieszeni.

Mimo upału kobieta miała na sobie starą, szarą, wełnianą kamizelkę, podobną do swetra, który nosiła babcia, sfilcowaną i rozciągniętą.

- Pięćdziesiąt centów.

Przytaknęłam i położyłam obok lalki batonik Zagnut, paczkę owocowych gum do żucia i rolkę wiśniowych dropsów Life Saversów - ulubionych cukierków Merry. Położyłam na ladzie mojego dolara. Kobieta wzięła go, wydała mi dziesięć centów i wróciła do lektury „Daily News”.



- Czy mogę prosić o torebkę?

- Torebkę? - zapytała, jakbym prosiła o darmową tonę cukierków. Wydobyłam z gardła dźwięk. Chciałam rzucić w nią lalką i cukierkiem.

- Torebkę - powiedziałam. - Potrzebna mi jest torebka.

Kobieta wyjęła spod lady cienką brązową torebkę.

Wepchnęła do niej wszystko i torebka rozdarła się wzdłuż jednego z boków. Popchnęła ją w moim kierunku.

Miałam ochotę krzyknąć, aż od tego pragnienia rozboleło mnie gardło.

- Potrzebuję inną, większą torebkę. Sklepiarka szturchnęła ją spuchniętym palcem.

- Ta jest odpowiednia. - Nie.

- Słuchaj, dziewczynko, to nie jest Harrods ani Roebuck.

- Chcę inną torebkę. - Uderzyłam pięścią w drewnianą ladę. - To dla mojej siostry.

Posunęła większą torebkę w moją stronę.

- Masz i wynoś się.

Cofnęła się, potrząsając głową i szepcząc pod nosem: - Meszuge (Wariatka (jid.)).

Jeśli myślała, że jestem szalona, to powinna poznać resztę rodziny.

Wślizgnęłam się do budynku szpitalnego, mając nadzieję, że nikt mnie nie zauważy. Mimi Rubee zapisała na karteczce w kuchni numer pokoju Merry: 602. Musiałam znaleźć sposób, jak dostać się na górę.

Ułożywszy w głowie plan, usiadłam na korytarzu. Jeśli ktoś mnie zapyta, co tam robię, powiem, że rodzice parkują samochód, albo coś takiego. Pod rękami czułam chłód i gładkość zniszczonych ławek. Ile milionów zdenerwowanych ludzi tak wypolerowało to drewno? Mniej więcej od piętnastu minut panował spokój. Liczyłam zielone cętkowane kafelki na podłodze, obserwowałam recepcjonistkę flirtującą z pracownikiem ochrony i starałam się być niewidzialna, dopóki o godzinie trzeciej nie zaczną się pora odwiedzin, jak było napisane na dużej tablicy.

Za kwadrans trzecia na korytarzu zaczęły gromadzić się grupki ludzi, czekających przy windach i patrzących na zegar.

Jakaś rodzina trzymała się tak blisko siebie, że wyglądali jak sześciorogie zwierzę.

- Trzecia godzina. Rozpoczyna się pora odwiedzin -  
ogłosił ochroniarz.

Wszyscy pospieszyli do windy, przycisnęli guziki, odchrząknęli i starli z siebie niewidzialny kurz. Kobiety wsunęły ręce w oczekujące dłonie swych mężów lub ojców.

Jedna osoba w każdej grupce niosła torbę, kwiaty albo plik czasopism. Przepuściłam pierwszą falę rodzin, obserwując światelka nad drzwiami windy.

Odwiedzający wlewali się przez drzwi wejściowe do szpitala. Niektórzy zatrzymywali się przy stanowisku informacji, gdzie siedziała flirtująca kobieta. Inni maszerowali prosto do wind. W końcu, zebrawszy się na odwagę i robiąc się taka malutka jak tylko się dało, wsunęłam się do kabiny za liczną rodziną, która bez przerwy rozmawiała ze sobą po włosku. Wszyscy stłoczyliśmy się w windzie i wydawało się, że nikt mnie nie zauważył. Obserwowałam kontrolki, modliłam się, kreśląc 6, 6, 6 na dłoni, dopóki nie zobaczyłam, że ktoś nacisnął guzik odpowiadający szóstemu piętru.

Troje ludzi wysiadło razem ze mną. Na dużych wywieszkach ze strzałkami wskazującymi w przeciwnych kierunkach napisane było: POKOJE 600 - 605 i POKOJE 606

- 610. Skręciłam w lewo, wstrzymując oddech. Dzieci jeździły po korytarzu w fotelach na kółkach. Inne o kulach pędziły obok. Pielęgniarki przemierzały w pośpiechu korytarz w butach na skórzanych podszewkach.

W cichym i pustym pokoju 602 nie było nikogo z wyjątkiem Merry, która leżała w szczelnie osłoniętym łóżku przy oknie. Wśliznęłam się do środka, przeszłam obok trzech łóżek z białymi prześcieradłami na materacach. Merry obróciła się na odgłos moich kroków. Jej zazwyczaj kremoworóżowe policzki miały teraz kolor gotowanej owsianki.

- Lulu! - odezwała się zachrypniętym głosem. - Skąd się tutaj wzięłaś? - Usiadła, poruszając się jak babcia Zelda.

- Jestem tu, Merry. - Ujęłam ją za rękę.

- Gniewasz się na mnie?

- Gniewać się na ciebie? - zapytałam. - Czemu miałabym to robić?

- Nie przychodziłaś do mnie. A Mimi Rubee wyglądała na rozgniewaną.

- Przysięgam, że nikt nie jest zły na ciebie. - Usiadłam na jej łóżku.

Merry przysunęła się do mnie troszeczkę, krzywiąc się z bólu, gdy poruszył się bandaż na jej piersiach. Miała na sobie cienką, różową,

bawełnianą, szpitalną koszulkę nocną bez pleców. Jej majteczki były szarobiałe, jakby miała je na sobie od wielu dni.

- Ja chcę do domu.

- Niedługo - obiecałam jej.

- Teraz. Chcę teraz wrócić do domu. Proszę. - Merry chwyciła moją rękę i pocałowała ją.

- Teraz nie możesz. Jeszcze nie pora. Zaczęła płakać.

- Tata był na mnie wściekły. Zranił mnie. Mimi Rubee tak powiedziała.

- To nie dlatego.

- Dlatego, że byłam zła?

- Nie byłaś zła.

- Byłam. - Merry wyduła dolną wargę. - Teraz nikt nie chce być ze mną.

- Nie przychodziłam wcześniej, bo nie jestem dorosła.

Dzisiaj się wymknęłam.

- Gdzie jest tata? Gdzie mama? - Merry potrząsała bezwiednie nogą. - Czy oni się na mnie gniewają?

- Stało się coś okropnego, Merry - powiedziałam i przesunęłam palcem po górnej krawędzi brązowej torebki. -

Tata wściekł się na mamę.

- Czy ona była niedobra?

Dżem pomarańczowy obrócił mi się w brzuchu.

- Nie. Tata był pijany. - Starłam się odsunąć wspomnienie mamy leżącej w kałuży krwi, w mocnym świetle kuchennej lampy, mamy zupełnie samej, na podłodze.

Martwej.

- Mocno pijany? - Widziałyśmy go już wcześniej pijanego.

- Bardzo mocno. - Zakrwawione ręce taty, poplamione krwią mamy, Merry i własną krwią z tego miejsca, w które się ugodził.

- I zranił mnie?

Przytaknęłam, starając się powstrzymać płacz.

- Zranił też mamę.

Czy i mnie by zranił, gdybym została w mieszkaniu?

Prawdopodobnie. A może mogłabym powstrzymać go przed zranieniem Merry i zabiciem mamy. Gdybym się nie schowała.

Tak czy owak, to była moja wina. Wpuściłam go do domu.

- Czy tata ma kłopoty?

Nakreśliłam na moim ramieniu dużymi literami słowo PRZESTAŃ i pociągnęłam nosem, ocierając równocześnie łzy z oczu.

- Duże kłopoty. Jest w więzieniu.

Widziałyśmy kiedyś więzienie w telewizji. W Gunsmoke i w Mighty Mouse.

- Czy mama jest tam razem z nim? - wyszeptwała.

Powiedzenie mojej małej siostrze prawdy byłoby dla niej okropnym ciosem, ale nie wyobrażałam sobie, jakie kłamstwo mogłabym wymyślić. Potrząsnęłam głową.

- Nie. Mama została ciężko ranna. Mama nie żyje.

Merry знаła śmierć z lektury Czarnoksiężnika z krainy Oz.

Niedobra czarownica umarła.

Czemu myślę takie złe rzeczy o mamie?

Merry dotknęła czubkami palców bandażu na piersiach, gdzie tata ugodził ją nożem, dokładnie tam, gdzie - jak sądziłam - powinno być jej serce.

- Chcę do mamy - jęknęła. Zaczęła trząść się tak okropnie, że już myślałam, że umiera. Chciałam wezwać pielęgniarkę, ale bałam się, że mnie wyrzuci. - Chcę do mamy - powtórzyła Merry, zalewając się łzami. - Kto się będzie nami opiekował?

- Ja się tobą zaopiekuję. - Wzięłam brązową torbę i położyłam ją na łóżku. - Coś ci kupiłam. - Rozchyliłam torebkę, której górna krawędź była wymięta i wilgotna od moich spoconych dłoni. Sięgnęłam do niej i wyjęłam lalczkę oraz jej malutkie łóżeczko i włożyłam je Merry do rąk. - Ty będziesz opiekować się tym dzieckiem, a ja zaopiekuję się tobą.

Wspięłam się na łóżko i położyłam obok siostry. Nie mogła zwinąć się i ułożyć w moim podółku, jak robiłyśmy zawsze, gdyśmy się czegoś bały, więc położyła głowę na moim ramieniu, tak jak to zwykle robiła z tatą.

### 3. Lulu

1972

Na grobie mamy rosła rzadka trawka. Ekshumacja zwłok miała się zacząć lada chwila. Choć Mimi Rubee tłumaczyła, że Żydzi kładą płyty nagrobne na rok, a potem wracają i zdejmują je, ja wciąż nie rozumiałam, co to oznacza.

Merry i ja stałyśmy na wprost grobu. Wszyscy inni zgromadzili się przy samym nagrobku. Nikt jakby nie zwracał

na nas uwagi. Staralam się nie wyobrażać sobie mamy stóp pod nami.

Malowała

paznokcie

najbardziej

jaskrawoczerwonym lakierem spośród wszystkich matek na Brooklynie. Czy jego ślady zostały na jej kościach?

- Czy mama jest pod trawą? - szepnęła Merry. - Jej ciało tam jest - odparłam.

- Pewnie się boi - powiedziała Merry. - Tam musi być okropnie ciemno.

- Ona tak jakby śpi.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

Mimi Rubee krzyknęła, gdy surowo wyglądający rabin odsunął kamień nagrobny. Obie z Merry odskoczyłyśmy do tyłu. Ciocia Cilla ścisnęła łokieć Mimi Rubee.

- Już dobrze, mamó. Ona jest w lepszym miejscu.

Mimi Rubee stała z zaciśniętymi wargami; jej widok sprawiał, że ścisnęło mnie w żołądku.

- W jakim? Ona nie jest w żadnym lepszym miejscu. -

Kościstym palcem wskazała na grób. - Ona jest w czarnej dziurze, do której wtrącił ją ten drań.

Merry oplotła swym lepkiem ramieniem moje ramię; pozwoliłam jej na to, choć było tak gorąco, że gdy potarłam rękę, pot spłynął ze mnie razem z małymi kuleczkami brudu.

Marzyłam o czymś zimnym. Wszystko mnie swędziało, a ja nienawidziłam się drapać.

Pragnęłam położyć głowę na zimnym granicie nagrobka i upodobnić się do kwiatów otaczających wyryty na nim napis: CELESTE ANASTASIA SILVER, UKOCHANA MATKA, ODDANA CÓRKA, KOCHAJĄCA SIOSTRA. Mojego ojca i jego nazwisko - Zachariah, nasze nazwisko, wymazano z jej życia.

Wszystko na świecie rani.

Wróciwszy do domu, oparta o drzwi obserwowałam, jak Merry tuli się do Mimi Rubee. Siedziały na nowej rozkładanej sofie. Tego dnia, gdy tragarze wnieśli ją do mieszkania, Mimi Rubee wyglądała na dotkniętą; ze zmarszczonym obliczem patrzyła na wielki i ciężki, obity tweedem mebel ustawiony pod ścianą, czekając, aż wyniosą jej ukochaną duńską kanapę w stylu Danish Modern - tę, która powodowała moje i siostry tortury. Cienki materac ledwie zakrywał metalowe pręty pod spodem. Zanim babcia wreszcie zdecydowała się jej pozbyć, obie z Merry nauczyłyśmy się, w jakiej pozycji da się uniknąć ugniatających nas stalowych elementów - podkładałyśmy ręce pod brzuch i przybierałyśmy nienaturalne kształty, żeby dopasować się do niewygodnego łóżka.

Tłum ludzi w domu Mimi Rubee podgrzewał już i tak gorące pomieszczenie. Mąż cioci Cilli, Hal, przycisnął się do niej. Ciotka trzymała na kolanach mojego kuzyna Arniego.

Chłopiec napawał mnie odrazą. Dziewięciolatek siedzący na kolanach mamusi jak małe dziecko.

Ludzie obśliniali całusami Merry, a właściwie błagali ją, żeby ich całowała. Potem chwyтали mnie za łokieć, patrzyli mi w oczy i pytali: „Jak się czujesz, kochanie?“, jakbyśmy byli nie wiem jak zaprzyjaźnieni, choć mogłabym się założyć, że nie poznaliby mnie przy ponownym spotkaniu na ulicy.

Nigdzie w pobliżu nie było nikogo w moim wieku, z wyjątkiem kuzyna Arniego, a ja wolałabym raczej mieć do czynienia z trędowatym. Dławiący zapach perfum używanych przez starsze panie mieszał się z zapachami jedzenia, dochodzącymi z kuchni Mimi Rubee. Każdy coś ze sobą przyniósł, z reguły w nadmiarze, tak jakby jedzenie było lekarstwem na smutek. Siostra Mimi Rubee, nasza ciotka Vivvy, przyniosła tacę z wędzonym łososiem,

serkiem śmietankowym, bajglami, plastrami mięsa na zimno i pasztetem z wątróbki.

Wślizgnęłam się do salonu i wzięłam grube czekoladowe ciastko ze sterty piętrzącej się na talerzu ze złotą obwódką.

Starając się być niewidoczna, usiadłam na klęczniku i gryzłam je, kawałek po kawałku, nadając mu przy tym różne kształty.

- Jak ci idzie w szkole, Lulu? - zapytał wujek Hal.

- Dobrze.

Mama mówiła zawsze, że ciocia Cilla tak stłamsiła wujka Hala, że mogłybyśmy równie dobrze nazywać go wujek -

ciocia Cilla. Zawsze był dla mnie miły. Z nich dwojga bardziej lubiłam jego.

- Nadal same piątki?

- Aha. - Jedyłą rzeczą na świecie, na jaką mogłam liczyć, to dobre stopnie i nauczyciele, którzy mnie lubili. Musiałam tylko być bystra, odrabiać zadania domowe i siedzieć cicho.

Teraz zaczynałam się martwić, czy w gimnazjum też będzie tak łatwo.

- Lulu nigdy nie musi się wysilać, żeby dostać dobre stopnie. - Tylko w ocenie cioci Cilli otrzymywanie dobrych ocen wydawało się czymś złym.

- Jest mądrą dziewczynką - powiedział wujek Hal. -

Chciałbym, żeby Arnie uczył się w połowie tak dobrze jak Lulu. - Dla wujka Hala, który nigdy się nie wychylał, było to jak rzucenie przekleństwa w twarz cioci Cilli.

- To żaden problem. - Ciotka Cilla mocniej objęła ramionami mojego kuzyna. Małe oczka Arniego stały się bardziej wyłupiaste. Gdyby jego matka ścisnęła go jeszcze mocniej, flaki wyszłyby mu chyba ustami.

- Cilla, czy mogłabyś dopilnować jedzenia? - spytała babcia.

- Już idę - odparła ciotka, odwracając Arniego w stronę wujka Hala. - Pilnuj go.

Nie wiem, co - według cioci Cilli - mogło stać się Arniemu, poza tym że mógłby umrzeć z nudów? Jedyne zabawki, jakie tu miałyśmy, to te, które Merry przyniosła ze szpitala w zeszłym roku. Brakowało mi mojego księgozbioru, który skompletowałam sobie w domu. W dniu wypłaty tata zwykle kupował mi nowe książki. Tata lubił czytać. Mama czytała tylko czasopisma.

Czasami, zaledwie przez minutę lub dwie, nie mogłam oprzeć się myślom o tacie siedzącym w więzieniu. Czy coś tam czyta? Czy musi jeść zupę z pływającymi w niej obierkami z ziemniaków? Potem spoglądałam na Mimi Rubee wpatrującą się w mamy zdjęcie i przypominałam sobie, jak tata trzaskał i trzaskał, i trzaskał drzwiczkami kuchennych szafek, i robiło mi się niedobrze.

Nie martwiłam się o tatę ani trochę, jego los nic a nic mnie nie obchodził.

Merry wciąż prosiła o to, by móc go zobaczyć, co doprowadzało Mimi Rubee do furii. Według słów babci, zobaczymy go dopiero po jej trupie i wtedy, kiedy piekło zamarznie. Za każdym razem, kiedy to mówiła, powtarzałam sobie w duchu: „Dzięki Bogu”. Nie chciałam go nigdy więcej widzieć. Dopóki mój krwiożerczy - morderczy - trzaskający -

drzwiami ojciec siedzi w więzieniu, dopóty jestem bezpieczna.

Nie chcę go widzieć ani czuć go, ani go dotykać, i nie chcę, żeby on kiedykolwiek dotykał mnie.

- Idziemy jutro do babci Zeldy? - spytała Merry.

- Pójdziecie, pójdziecie, tylko przestań pytać -

powiedziała Mimi Rubee.

Wróciła ciocia Cilla, wciąż trzymając w ręce filiżankę kawy, do której przedtem - jak dostrzegłam z ukrycia - dołała sobie whisky Crown Regal.

- To nie do wiary, że pozwalasz im chodzić co tydzień do domu tej kobiety - powiedziała.

Merry zwinęła się w kłębek na podłodze, obok mnie, opierając się o moje kolana.

- Jak tam w przedszkolu? - spytał moją siostrę wujek Hal.

- Dobrze. - Merry zmarszczyła brwi, być może dlatego, że przedszkole stało się dla niej torturą. Od kiedy dwa razy zdarzyło jej się zmoczyć, dzieci mówiły na nią Mokre Majtki.

Dokuczały jej ponadto, bo nie potrafiła rzucić piłką, co wiązało się z bliznami na jej piersiach. Mimo że zmieniliśmy szkołę, wszyscy o nas wiedzieli, że jesteśmy dziewczynkami, których ojciec zamordował matkę. Do tego jeszcze Merry musiała znosić miano tej, którą ojciec zranił nożem.

Od kiedy przeprowadziłyśmy się do Mimi Rubee, żadna z nas nie miała koleżanek.

- Założę się, że jesteś najładniejsza w klasie - powiedział



Merry wujek Hal.

- Uroda to nie wszystko - rzekła ciocia Cilla. - Pamiętasz, jaki cudowny był Joey, gdy go Celeste poznała? Przystojny jak amant filmowy. A gdzie jest teraz?

- To Celeste była prawdziwą pięknoscią. Joey przy niej wyglądał marnie. - Ciotka Vivvy potrząsnęła głową. - Nigdy nie powinna była wyjść za niego za mąż. Powinnaś była ją powstrzymać - zwróciła się do Mimi Rubee.

- Myślisz, że nie próbowaliśmy? - odparła. - Jestem przekonana, że on celowo sprawił, że zaszła w ciążę, żeby mieć pewność, że go poślubi. Mogła zostać gwiazdą filmową, gdyby tego nie zrobiła. On o tym wiedział.

- Joey to potwór. Zwierzę - oświadczyła ciocia Cilla. Czy myślała, że Merry i ja jesteśmy głuche? Albo głupie?

- Przestań, Cilla - powiedziała Mimi Rubee. - Nie zapominaj o dzieciach.

- Nie możemy przymykać oczu, mamó - odparła ciocia Cilla. - Chcesz, żeby były ślepe? Myślisz, że to mądre posyłać je do domu jego matki? Wybacz, ale muszę to powiedzieć.

Skierowane w naszą stronę spojrzenia wszystkich obecnych sprawiły, że chciałam wybiec z domu i zrobić coś zdumiewającego - rzucić piłką aż na Coney Island albo nauczyć się na pamięć encyklopedii.

Nic nie miało sensu. Babcia Zelda powiedziała nam kiedyś:

- Pamiętajcie, dziewczynki, czemu wasz ojciec odmówił złożenia zeznań. Chciał bronić dobrego imienia waszej matki, dlatego przyznał się do winy.

Słyszając takie słowa, krzyczałam w duchu: „Nic nie jest w stanie zmienić tego, co zrobił tata!”. A jednak, kiedy Mimi Rubee nazwała go potworem, moje serce kurczyło się w sobie, a ja nie wiedziałam dlaczego.

- Poza tym - ciągnęła ciocia Cilla spokojniejszym głosem - kto wie, może ta trucizna pochodziła od Zeldy. I nie wiadomo, kto będzie jej następną ofiarą.

Usta ciotki były wilgotne i złe. Jej pomarańczowa szminka przypominała mi kawałek sera velveet. - Powinni byli skazać go na śmierć. Za to, co zrobił, powinien zostać spalony.

Ramiona Merry wcisnęły się pomiędzy moje kolana, gdy odsuwała się od ciotki Cilli.

- Tu są dzieci - ostrzegł wujek Hal.

- Powinny wiedzieć. Czemu robić z tego tajemnicę? -

Ciotka Cilla obróciła się i wskazując na nas palcem, potrząsnęła nim. - Dziewczynki, musicie uważać na wszystko, co robicie, do końca waszego życia.

Na twarzy Mimi Rubee znowu pojawiły się łzy. Płakała tak bardzo, że cały jej makijaż spłynął i wyglądała teraz na starą, zniszczoną życiem kobietę, ale ciotka nie przestawała głądzić, dopóki wujek Hal nie powiedział: - Dosyć!

- Brak mi Celeste - zaszlochała ciotka Cilla.

- Wiem, ale mimo to nie powinnaś tak mówić -

powiedział, gładząc jej plecy. - Irytujesz wszystkich.

- Czemu go bronicie?

Wujek Hal spojrzał na nią i cofnął rękę - Przynajmniej oszczędził nam uczestniczenia w procesie.

- I za to mam mu być wdzięczna? Będę, kiedy umrze.

Chcę, żeby go zagazowano. Chcę, żeby posłano go na krzesło elektryczne.

- Nie! Nie zabijajcie mojego taty! - Merry podskoczyła i zwróciła się do Mimi Rubee. - Chcę do babci Zeldy. Chcę zobaczyć tatusia. - Pobiegła dookoła i kopnęła ciotkę Cillę. -

Babcia mnie zabierze i nic jej nie zrobicie.

Wszyscy popatrzyli na Merry, jakby krzesło przemówiło albo dywan uniósł się w górę i zatańczył, ale ja wiedziałam, że to nadeszło. Milutka powierzchowność mojej siostry utrzymywała wszystkich w fałszywym przekonaniu, że taka właśnie jest, ale czy to nie Merry skradała się coraz bliżej, gdy rodzice toczyli ich ostatnią walkę? Szturchnięta, Merry w końcu zawsze odda szturchańca.

- Przestań, Merry! - zawołała ciotka Cilla. - Przestań natychmiast! Merry zwinęła swe małe rączki w pięstki i zaczęła bić się nimi po udach.

- To wy przestańcie! Wy przestańcie! Wy przestańcie! -

Jej głos z każdym słowem stawał się coraz silniejszy. - Chcę zobaczyć tatusia. Chcę go zobaczyć. Nienawidzę was. I nienawidzę być tutaj!

- Uspokój ją, Lulu. - Mimi Rubee trzymała się za głowę. -

Uspokój swoją siostrę.

Potrząsnęłam głową i rozłożyłam ręce w geście bezradności. Oni nie wiedzieli, że Merry nieczęsto wpadała w szal taki jak teraz, ale kiedy wpadła,

tylko tata był w stanie do niej dotrzeć. „Powodzenia, ciociu Cillo”.

Merry osunęła się na kolana, składając ręce jak do modlitwy.

- Proszę, proszę. Zabierzcie mnie do tatusia.

Ścisnęło mnie w gardle. Potrzeba pocieszenia mojej siostry walczyła we mnie z pragnieniem zabicia jej za to, co robi, za sprowadzenie taty do tego pokoju. Co noc Merry szeptała mi jego imię, owijała nas nim jak prześcieradłem, zanim zasnęliśmy. Pozwoliłabym jej zrobić niemal wszystko, byleby tylko tak bardzo nie ciągnęło jej do ojca.

Wujek Hal wziął Merry na ręce, głaszcząc ją po plecach.

Wierzgała nogami i szlochała. Patrzyłam z zazdrością, jak jej nucił:

- Nie martw się, kochanie. Zabierzemy cię do taty.

Obiecuję ci.

Trzy miesiące później ręka Merry drżała w mojej dłoni, kiedy wchodziliśmy po schodach Domu dla Dziewcząt Duffy - Parkman. Staralam się być silna i obojętna, kiedy wspinałyśmy się klatką schodową, która zdawała się nie mieć końca, i słuchały głuchego odgłosu naszych stóp. Wujek Hal otworzył odrapane drewniane drzwi i weszliśmy na szeroki korytarz pełen przeszklonych matowymi szybami drzwi. Pod naszymi stopami widać było wytarty marmur. Budynek sprawiał wrażenie tak starego, że całkiem niewykłuczone, iż dawno, dawno temu jakaś królewna mogła przechadzać się tymi korytarzami.

- Będzie wam tu dobrze, dziewczynki - powiedział wujek Hal. „Na pewno, wujaszku”.

Nie tylko nie będzie dobrze, ale wyglądało na to, że będzie okropnie. Spodziewałam się, że w każdej chwili uczennice pod postacią zombie, w długich szarych sukienkach, wyjdą zza drzwi, powłócząc nogami. Jednak korytarz pozostawał

pusty i cichy. Był poniedziałek, przypuszczałam więc, że wszystkie dziewczęta są w szkole. Wujek Hal wziął dzień urlopu w pracy, odwołując wszystkich pacjentów, żeby nas tu przywieźć. Ciocia Cilla została w łóżku z mokrym ręcznikiem na głowie, udając, że jesteśmy tak samo martwe, jak mama i Mimi Rubee, która dostała ataku serca i umarła cztery tygodnie temu. Od tego czasu mieszkaliśmy z ciotką Cillą i wujkiem Halem.

- Czy nie mogłybyśmy pojechać do babci Zeldy? - Merry spytała wujka Hala, kiedy prowadził nas ku drzwiom, na których dużymi, groźnie wyglądającymi literami napisane było ADMINISTRACJA.

- Ona nie może się nami opiekować i ty wiesz o tym, więc przestań pytać - szepnęłam Merry, gdy wujek Hal nic nie odpowiedział.

- A kiedy ona zabierze mnie znowu do tatusia? - zapytała Merry. Babcia Zelda zabrała ją kiedyś do więzienia, żeby zobaczyła się z tatą, i teraz stało się to mantrą Merry. „Zabierz mnie do tatusia, zabierz mnie do tatusia”. Za każdym razem, kiedy to mówiła, coraz bardziej nienawidziłam tych słów i miałam ochotę szczytać ją tak długo, dopóki nie wyszczypię z jej serca tego pragnienia zobaczenia taty.

- Zabierze cię wtedy, kiedy cię zabierze - powiedziałam. -

A teraz się zamknij, bo nie pozwolą nam tutaj zostać. A wiesz, co się wtedy stanie?

Merry potrząsnęła głową.

- Będziemy mieszkać w rynsztoku, kraść jedzenie i ubranie - powiedziałam. - Oto, co nas czeka.

Czekałam, że wujek Hal mnie uciszy, lecz on wpatrywał

się tylko w zakurzone obrazy przedstawiające Indian, które wisały na ścianie pomiędzy zegarem i serią oprawionych cytatów wyszytych niebieską nitką na pożółkłym muślinie.

Może skończymy w rynsztoku. Może nie pozwolą nam tu zostać, jeśli nie będziemy na tyle dobre. Może ciotka Cilla otworzy kiedyś „Daily News” i przeczyta, że policja znalazła nasze zamrożone ciała leżące na ulicy.

„Nie chcę, żeby córki Joey’a tu mieszkały. Nie w moim domu - powiedziała ciocia Cilla po pogrzebie. - One są czarnymi plamami na pamięci mojej siostry, ponurym cieniem na nazwisku mojej matki. Trzymanie ich tu to obraza dla moich kishkes (Kiszki (jid.)) - syknęła pod adresem zbioru krewnych, których nigdy nie poznałyśmy. - Moja matka nie żyje, moja siostra nie żyje, a wszystko przez tego człowieka.

A teraz mam patrzeć na te dwie każdego dnia?”.

Merry i ja słuchałyśmy ciotki Cilli, stojąc w drzwiach jej sterylnej czystej kuchni, najlepiej wychowane dziewczynki na Brooklynie, gotowe zaoferować naszą pomoc w wyniesieniu półmisek z zimnymi mięsami, pokrajanym w plastry mostkiem cielęcym, koszyków z bajglami, wędzonym łososiem w oleistej pomarańczowej zaprawie. „Czy możemy wyjąć ciasteczka z przyniesionych z cukierni pudełek przewiązanych sznurkiem i poukładać je na srebrnych tacach cioci Cilli?” - miałyśmy zamiar zapytać grzecznie, pokazując, jakimi jesteśmy dobrymi dziewczynkami. Skoro Mimi Rubee umarła, a babcia Zelda była zbyt chora, żeby się nami opiekować, bo miała

dużo cukru w organizmie, nie byliśmy pewne, gdzie będziemy mieszkać.

Może gdybyśmy były bardzo, ale to bardzo dobre, ciocia Cilla zmieniłaby zdanie na nasz temat.

Przyglądałam się Merry, sprawdzając, czy po wyjściu od ciotki nie zdążyła się już ubrudzić. Potem, nie chcąc patrzeć na wujka Hala, odwróciłam się w kierunku napisów ostrzegających mnie ze ściany. Zdążyłam przeczytać tylko: „Wdzięczność jest rzeczą radosną i miłą”, Biblia, psalm 147, zanim zza matowych drzwi administracji wyszła jakaś kobieta.

Przy swoim karzełkowatym wzroście wyglądała dziecinnie, dopóki nie zobaczyło się jej groźnej miny. Oparła ręce na swej obfitej talii i rzuciła: - Tak?

Wujek Hal odchrząknął, zanim zapytał: - Pani Parker? - Kobieta przytaknęła, jakby była o trzy metry wyższa.

- Hal Soloman. To z panią rozmawiałem w zeszłym tygodniu?

Kobieta ponownie skinęła po królewsku głową i skrzyżowała ręce na swej kurzej klatce piersiowej.

- Przywiózł pan Louise i Meredith? - zapytała.

- To one. - Wujek popchnął nas do przodu.

- Louise jest starsza, prawda? - Pani Parker przechyliła głowę na bok.

- Masz jedenaście lat?

- Tak, proszę pani - odparłam. Nigdy przedtem nie mówiłam do nikogo „pani”, ale ta kobieta najwyraźniej była panią.

Merry pociągnęła nosem.

- Nazywamy je Merry i Lulu. - Wujek Hal położył rękę na ramieniu Merry.

- Aha. Pan nie jest prawnym opiekunem Meredith i Louise, prawda? - zapytała. - Czy nie jest nim ich babcia?

Zelda Zachariah?

- Mam jej dokumenty, te o które pani prosiła. - Wujek Hal wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Pani Parker ujęła okulary wiszące na łańcuszku na jej szyi i umieściła je na swym grubym nosie. Przeglądała duże arkusze papieru pokryte czarnym pismem, wydając przy tym od czasu do czasu głośne cmoknięcia. Przerywała czytanie tylko wtedy, gdy dławione przez Merry dźwięki były na tyle głośne,

że nie dało się ich ignorować. Potem zdjęła okulary, przechyliła na bok głowę i ujęła dłonią policzek Merry.

- Meredith, czy tak? W grudniu skończysz siedem lat?

Merry przytaknęła.

Pani Parker pochyliła się i poklepała Merry po ramieniu - Będziesz w sali sypialnej Niebieskich Ptazków, kochanie. Dostaniesz niebieską pościel i niebieską koszulkę nocną. - Obiecywała jej to tak, jakby Merry mogła znaleźć w tym jakąś pociechę. - Będziesz miała szafkę z szufladami i półkę na książki, jeśli jakieś przywiozłaś.

Moja siostra ponownie przytaknęła.

- Na ogół nie mamy tu nikogo, kto by przytulił dzieci, kiedy płaczą. Smutne, ale prawdziwe. Najlepsze, co możecie zrobić, to znaleźć sposób, by móc samemu się pocieszyć.

Radzę nowo przyjętym dziewczynkom, by jak najszybciej znalazły sobie jakieś hobby. Możecie, na przykład, robić wyszywanki. Koło Kobiet z East Side ofiarowuje nam stosowne zestawy. Opiekunka waszego piętra pokaże wam je.

## 4. Merry

1974

Brodziłam w suchych liściach, mając nadzieję, że wyglądam jak normalna prawie dziewięcioletnia dziewczynka robiąca zakupy ze swoją babcią, zamiast być tym, kim jestem - półsierotą, której ojciec siedzi w więzieniu i która mieszka w domu dla dziewcząt, co jest po prostu lepszą nazwą sierocińca.

- Twoja siostra znowu nie przyszła? - Babcia wzięła mnie za rękę, czekając, aż zwolnią samochody jadące po Fiatbush Avenue.

- Ona musi się uczyć. - Co sobotę babcia zadawała to samo pytanie, a ja dawałam tę samą odpowiedź, unikając powiedzenia prawdy - że Lulu nie chce widzieć taty.

- No więc jak wam tam jest, w tym miejscu? - Babcia zawsze nazywała Dom dla Dziewcząt Duffy - Parkman tym miejscem.

- Wszystko jest w porządku. - Lekko szarpnęłam jej rękę.

- Dobrze. Mniejsza o to. Mieszkacie w sierocińcu, więc, jak może być w porządku? Wszystko przez ciotkę Cillę. Pluję na nią i na jej męża - pantoflarza. - Babcia co sobotę powtarzała pewien sposób plucia albo rzucania przekleństwa na ciotkę Cillę. - Możemy teraz przejść? - zapytała.

Spojrzałam w lewo i w prawo.

- Droga wolna.

Kręciliśmy się wokół stoiska z owocami, obie ubrane w znoszone swetry.

- Świetnie się spisujesz, babciu. Wydaje mi się, że z twoimi oczami jest coraz lepiej.

Babcia potrząsnęła głową.

- Marzenia, mamelah (Mamusi (jid.)). Mój wzrok jest do niczego.

- Myśl pozytywnie, babciu. Wyślij dobrą karmę do swoich oczu, jak powiedziała Susannah. Może się poprawią.

Wtedy Lulu i ja będziemy mogli z tobą zamieszkać. -

Ścisnęłam jej rękę, żeby pokazać, jak bardzo ją kocham i jaką mogłabym być dla niej pomocą. „Zobacz, jaka jestem silna i niezawodna”.

- Dostyc już. Co tydzień ta sama historia - powiedziała babcia. - Nie pozwolę mi was zabrać. A tak przy okazji, wasza nowa przyjaciółka Susannah mogłaby wyglądać jak dziewczynka z obrazka, ale ona wciąż jest szaloną hippiską.

Jak długo pamiętam, każdego, kogo nie akceptowała, babcia nazywała hippisem. W każdym razie babcia mogła nie doceniać Susannah, ale ja myślę, że to najmiłsza osoba, jaką kiedykolwiek poznałam. Spotkałam ją w więzieniu, gdzie co tydzień odwiedzała swego męża, i ani razu nie spytała mnie, dlaczego tata tutaj jest. Taka była miła.

Ciekawa jestem, co mama myślałaby o Susannah, która nigdy nie robiła sobie makijażu. Mama używała czerwonej szminki do swych ust Królowy Śnieżki i robiła sobie doskonałe czarne kreski wokół oczu. Mama nazwałaby Susannah pospolitą Jane. Pamiętam, że często używała tego określenia. Lulu twierdzi, że wymyślam sobie wszystkie moje wspomnienia, ale to nieprawda. Pamiętam, jak byłam mała.

Wiele kobiet, które nie używają szminki, wygląda, jakby były chore, ale Susannah bez makijażu wydawała się właśnie taka jak trzeba, jak jedna z bohaterek książki Domek na prerii.

Dawała mi różne życiowe rady, kiedy czekałyśmy, aż rozpocznie się pora odwiedzin w więzieniu, zwłaszcza wtedy, gdy babcia szła do toalety i zostawałyśmy same.

- Mogłabyś zrobić sobie badanie wzroku - powiedziałam, zgodnie z sugestią Susannah. - Robimy takie w szkole.

Mogłabym zapamiętać kolejność liter i cyfr na tablicy, a potem nauczyłabym cię i zdałabyś test. A wtedy mogłybyśmy z tobą zamieszkać.

Babcia się roześmiała.

- Kochanie, ja nie potrafię zadbać o siebie, a co dopiero o ciebie i Lulu. Wkrótce będę musiała pójść do domu starców. Z

tą moją cukrzycą i kiepskim wzrokiem nie powinnam wychodzić bez laski. Obiecuj mi, że przyjdiesz mnie odwiedzić, kiedy będę już w tamtym domu.

Z całej siły wbiłam paznokcie w zaciśnięte dłonie, żeby się nie rozpłakać. To Lulu nauczyła mnie tej sztuczki. W jaki sposób wyjdziemy kiedykolwiek z Duffy - Parkman, jeśli babcia pójdzie do domu starców?

- Jeżeli zamieszkamy razem, będziemy się tobą opiekować i nie będziesz musiała tam iść.

- Posłuchaj mojej rady, Merry. - Babcia spojrzała mi głęboko w oczy. -



Nigdy się nie zestarzej.

Weszliśmy do sklepu Woolwortha, gdzie sprzedawczynie obsługiwały kasy i porządkowały długie lady. Ekspedientka na stoisku ze słodyczami, która miała jak zawsze przypiętą złotą broszkę w kształcie kota z diamentowymi oczami, posłała nam uśmiech słodki jak żelki. Uwielbiałam to, że ona jakby naprawdę czekała na nas co tydzień. W każdą sobotę babcia kupowała mi torebkę łakoci.

Sięgnęłam do naszyjnika z różnokolorowych cukierków, moja ręka krążyła wokół pastelowych krążków na gumowym rzemyku; z niemą prośbą czekałam na zgodę babci.

- Dobrze. Zabierz te swoje chazerai (Coś odrażającego, śmieci (jid.)). Najwyżej nie zapłacę rachunków za dentystę.

Wybierz też coś dla Lulu. - Babcia wskazała swym kościstym palcem cukierki, które nazywała śmieciami. - Wiesz, że rozumiem więcej, niż wam obu się wydaje.

- Może Lulu przyjdzie tu z nami następnym razem -

skłamałam. Lulu poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie zobaczy taty, i za każdym razem, kiedy próbowałam wpłynąć na zmianę jej decyzji, przypominała, że on „zabił naszą mamę”, praktycznie plując mi w twarz, kiedy to mówiła. „Jak możesz w ogóle na niego patrzeć? Jak możesz oddychać tym samym powietrzem? Zobacz, co on ci zrobił”. Przesuwała przy tym ręką wzdłuż mojej blizny. „Co ty wyprawiasz?

Czemu tam chodzisz?”.

„Bo babcia chce, żebym szła. Bo on mnie potrzebuje.

Bo co on zrobi, jeśli przestanę go odwiedzać?”.

Nie wiedziałam, jak mam jej powiedzieć, że się boję, że jeśli nie będę tam chodzić i uszczęśliwiać go tym, może być jeszcze gorzej. Lulu wydawała się nie przejmować takimi rzeczami.

Babcia pokiwała głową i pochyliła się nad cukierkowymi ziarenkami.

- Czy takie właśnie lubi tata? - Wskazała na kupkę pokrytych cukrem landrynek. Poczulałam woń naftaliny, której kulki wsadza do swoich swetrów. Wiśniowy zapach cukierków od kaszlu Smith Brothers, które babcia ciągle ssała, unosił się wokół nas, mieszając się z zapachem lakieru Dippity - Do, którego używała do układania coraz bardziej rzednących włosów w sztywne fale.

W te soboty, kiedy nie odwiedzałyśmy taty, wracałam do Duffy - Parkman

przesiąknięta wonią Dippity - Do. W te dni babcia sadzała mnie na krawędzi wanny i wcierała mi we włosy różowy galaretowaty płyn, a ja w tym czasie starałam się nie wiercić. Potem nawijała mi włosy na różowe gąbczaste wałki. Wracałam do sierocińca ze zwisającymi loczkami w kształcie kiełbasek, będących przedmiotem żartów wszystkich dziewcząt, ponieważ każda z nich bardzo się starała, żeby mieć proste włosy, ale ja za nic nie chciałam zranić babcinych uczuć. W każdym razie, owo uczucie, kiedy palce babci wędrowały mi po włosach, warte było wysłuchiwania tych żartów.

- Najbardziej lubi bananowe pianki. - Przesuwałam palcami wzdłuż drewnianych pojemników, szukając ulubionych przez tatę pomarańczowych cukierków z prawoślazem. - Chciałabym, żebyśmy mu trochę zaniósły.

- Daj spokój z piankami. Tata kupuje sobie słodczyce w kantynie. Muszę dawać mu na to pieniądze. Myślę, że potrzebuje raczej dezodorantu - pisał mi o tym. Ale on tak mało pisze. - Babcia podała mi pomietą kartkę papieru. -

Masz. Czytaj.

Rozłożyłam tani biały papier listowy, nienawidząc zamazanego niebieskiego stempla informującego świat, że ten papier pochodzi z Więzienia Okręgowego Richmond. Z

powodu tej pieczętki składałam listy na malutkie kwadraciki i chowałam je do futerału na szczoteczkę do zębów, żeby trzymać je z dala od Enid i Reethy z łuszczącą się twarzą.

Moich nieprzyjaciółek. Nazywały mnie Córką Więźnia.

Enid i Reetha były największymi beksami w Duffy, z krzywymi zębami, śladami oparzeń i strupami nie wiadomo po czym. Znęcały się nade mną.

Ja i moje koleżanki byłyśmy dość bystre. Trzymałyśmy się razem w tym przewróconym do góry nogami świecie sierocińca, gdzie królowało zło. Rozłożyłam kartkę papieru i szeptem czytałam słowa napisane przez tatę.

Mamo, potrzebne mi są: pasta do zębów, cukierki, dezodorant. Wpłać, ile możesz, na moje konto, ale nie zostań bez grosza! Przywieź mi książki - lana Fleminga albo Lena Deightona - jeśli znajdziesz takie, których jeszcze nie czytałem. Cokolwiek znajdziesz, będzie dobre, mamo. Z góry dziękuję. Mam wielką nadzieję, że ty i moja mała Słodka Dziecina będziecie mogły przyjechać do mnie w przyszłym tygodniu. Czy twoje nogi są w porządku? Byłaś u lekarza po te tabletki przeciwbólowe? Może gdybyś pojechała na Florydę na tydzień lub dwa, ciepło by ci pomogło. Woda z oceanu mogłaby ci dobrze zrobić na twój artretyzm, nie sądzisz?

Kochający cię Joey

- Floryda, dobre sobie! - Babcia pociągnęła nosem. Potem się uśmiechnęła. - Joey ma dobre serce.

- Dostałaś te książki? - zapytałam.

- Schodziłam wszystkie księgarnie na Brooklynie.

- Mieli je? - Dotknęłam palcem mojej blizny, ale babcia odciągnęła mi rękę od piersi.

- Dostałam je, dostałam. Nie bądź taka męczybuła! -

Babcia oparła się na moim ramieniu, prostując się znad skrzynek z cukierkami. - Chodźmy, bo się spóźnimy.

Chłodny wiatr hulał po zatłoczonym pokładzie promu na Staten Island. Morze było lekko wzburzone; miałam nadzieję, że nie dostanę mdłości. Za każdym razem, gdy płynęłyśmy promem, babcia nazywała taki rejs najtańszą randką w mieście.

- Zobacz, za pięć centów mają tyle miejsca do całowania się. - Babcia ruchem głowy wskazała całującą się parę. -

Taniej niż w kinie albo w restauracji, co? Najtańsza randka w mieście. Choć może on powinien zaoszczędzić na fryzjera, żeby zrobić porządek z tymi włosami hippisa.

Patrzyłam na mężczyznę i kobietę, o których mówiła babcia. Jego włosy opadały mu na plecy grubymi kręconymi splotami. Kiedy całował swoją delikatnie wyglądającą towarzyszkę, otulał ją mocniej czarną peleryną.

- Czemu ludzie stają się hippisami? - zapytałam babcie.

Lulu twierdzi, że nie mogę tego pamiętać, bo byłam za mała, ale wiem, że mama mówiła, że być może zmarnowała swoją szansę. Powiedziała też, że jeśli nie poślubiłaby taty, byłaby wolna. Pojechałaby na Woodstock. Wiedziałam, że to była prawda, nawet jeśli Lulu myśli, że niczego nie rozumiałam.

- Żeby mogli robić to, na co mają ochotę, nie zwracając uwagi na to, co inni o tym myślą. - Mówiąc to, babcia prychnęła pogardliwie, jakby się bała, że ucieknę i zostanę hippiską. Cóż, gdybym nią została, to może nie przejmowałabym się, kiedy ludzie nazywaliby mnie Więzienną Dziewczyną. Obróciłabym moją czapkę dookoła i sprawiłabym, żeby zniknęli.

Prom przybił do brzegu. Towarzyszące temu zgrzyty i piski zmusiły mnie do zatkania uszu rękami. Teraz czekała nas długa jazda taksówką, podczas której babcia wpatrywała się w zmieniające się błyskawicznie cyfry na taksometrze. Babcia nie chciała jechać autobusem.

- Nie będę się tłuła z tą bandą jadącą do więzienia -

mówiła za każdym razem, jakbyśmy były kimś lepszym niż reszta smutnych ludzi, których widywaaliśmy w każdą sobotę.

Kiedy sunęliśmy bezpiecznie taksówką, opierałam czoło o brudną szybę i obserwowałam w milczeniu przesuwaną się za nią Staten Island. Te wizyty były dla mnie jedyną okazją do przejażdżki samochodem. Wzdłuż ulicy ciągnęły się domki jednorodzinne; kwadratowe trawniki porośnięte były małymi, wątlymi drzewkami. Było tu więcej słońca niż na Brooklynie.

Im bliżej byliśmy więzienia, tym bardziej otoczenie się zmieniało. Porządne zabudowania ustępowały miejsca dużym, rozsypującym się domom, przyczepom kempingowym i małym sklepikom. Te ostatnie sąsiadowały z żałośnie wyglądającymi budynkami z przytwierdzonymi do nich szyldami: LAWYER/ABOGADO (Adwokat (ang./hiszp.)).

Świat stawał się bardziej szary.

Więzienie Okręgowe Richmond wyglądało jak zamek Drakuli. Przy każdej wizycie spodziewałam się, że szeroka drewniana brama opadnie jak most zwodzony. Druty kolczaste oplatały budynek więzienia jak pajęczyna. Taksówka zatrzymała się przy głównym wejściu na zewnątrz ogrodzenia, jednak kolczasta bariera zatrzymała nas w sporej odległości od bramy.

Babcia odliczała kwotę należną taksówkarzowi, wpatrując się z obawą w licznik, jakby opłata za przejazd mogła jeszcze wzrosnąć w czasie, gdy ona liczyła ćwierćdolarówki.

Wysiadłam pierwsza, podając babci rękę, by pomóc jej wydostać się z taksówki. Trzymałam jej laskę. Zanim ją ode mnie wzięła, chrząknęła i rozprostowała plecy. Potknęła się lekko, zamykając drzwi taksówki. Przestraszyłam się, wyobraziwszy sobie, jak babcia upada na ulicy.

- Wszystko w porządku? - zapytałam. Nagle zatkało mnie z przerażenia. Jeżeli babci coś by się stało, co bym zrobiła całkiem sama na Staten Island? Jeżeli coś by się stało babci albo Lulu, zostałabym sama na świecie.

Babcia podniosła rękę i pomachała do mnie.

- Nie martw się, jeszcze nie umieram.

- Proszę cię, babciu, nie mów tak.

- Dobrze. Obiecuję ci, że nie umrę, kiedy jesteśmy razem.

W porządku? Czy umiała czytać w moich myślach? Czy wiedziała, że przechodziłam od martwienia się, że umrze w mojej obecności, do cichego płaczu w moim łóżku w sierocińcu, kiedy wyobraziłam sobie, że umiera w

samotności i jej ciało rozkłada się przez cały tydzień aż do soboty, kiedy przyjdę z kluczami i otworzę mieszkanie?

„Boże, proszę cię, niech to będzie jedna z tych sobót, kiedy Lulu jest ze mną, a nie sobota, w którą przypadną odwiedziny u taty”.

Babcia strzepnęła kurz ze swej niebieskiej sukienki w kropki i wyprostowała się.

- Chodźmy. Twój ojciec czeka.

Przeszliśmy przez bramę, trzymając się za ręce. Raz jeszcze poklepałam się po kieszeniach mojego swetra, sprawdzając po raz setny, czy nie mam przy sobie żadnych zakazanych rzeczy. Babcia trzymała listę zasad na swoim stoliku do kawy. Nauczyłam się ich na pamięć w taki sposób, w jaki nauczyciel polecił nam zapamiętywać daty ważnych wydarzeń historycznych. „Powiedz to sobie w duchu, powiedz to na głos i powtórz pięć razy”.

„Zasada: Dzieci poniżej osiemnastego roku życia muszą mieć świadectwo urodzenia. Dziecku musi towarzyszyć rodzic albo opiekun prawny”.

To właśnie z powodu więzienia babcia Zelda zdecydowała się ostatecznie przejąć nad nami opiekę prawną, jeszcze zanim umarła Mimi Rubee. Ona nie chciała zabrać mnie na odwiedziny do taty, kiedy jednak ciągle o to błagałam, w końcu zgodziła się, żeby zabrała mnie tam babcia Zelda, czyniąc ją naszym opiekunem, chociaż ciocia Cilla skrzyczała ją za to. Wtedy już nic nie mogło mnie powstrzymać. Babcia oczekiwała tego, a tata, cóż, nie wiem, co by zrobił, gdyby mnie więcej nie zobaczył.

„Zasada: Żadnych kapeluszy, marynarek, jedzenia, napojów, gum ani cukierków. Żadnych prowokacyjnych ubrań. Żadnych rzeczy w kieszeniach”.

Ciasne skrytki, w których musiałyśmy wszystko zostawić, śmierdziały jak brudne łachy i psujące się jedzenie, które prawdopodobnie ludzie próbowali przemycić do więzienia.

„Zasada: Możesz krótko uściskać więźnia na początku i na końcu wizyty”.

Bałam się tych uścisków i czekałam na nie.

„Zasada: Więzień może otrzymać łącznie pięć małych książek w miękkiej oprawie, z wyjątkiem tych, które oficer dyżurny uzna za nieodpowiednie”.

Gdy szliśmy długim, obskurnym korytarzem do pomieszczenia, w którym odbywała się kontrola, modliłam się, żeby służbę miał strażnik McNulty. On bowiem uśmiechał

się i ledwie rzucał okiem na książki, które przynosiłyśmy.

Najgorszy z nich, Rodgers, zawsze odrzucał przynajmniej jedną, pod pretekstem, że była - jak on to nazywał - pikantna.

Kiedy spytałam babcię, co znaczy to słowo, potrząsnęła głową i odparła:

- Nie twój interes.

Susannah powiedziała, że to oznacza seks. Wiedziałam o seksie. W sierocińcu nic nie jest tajemnicą.

„Zasada: Więzień może otrzymać łącznie pięć fotografii rodzinnych. Żadna z nich nie może być większa niż 4 X 6

centymetrów”.

Miałam

dwa

dolary

zaoszczędzone

na

aparat

fotograficzny, z ćwierćdolarówek, które czasem dawała mi babcia. Lulu, wiedząc o tym, że chcę dać tacie zdjęcia, ostrzegła mnie, żebym nigdy jej nie fotografowała. „Nie po to, żeby dać je jemu” - powiedziała.

Babcia dotknęła kieszeni mego swetra.

- Puste?

Przytaknęłam i ruszyłam za nią korytarzem. Kobiety, dzieci i kilku mężczyzn przesuwali się przed szeregiem strażników. Stałam na palcach, żeby sprawdzić, kto ma dziś służbę. McNulty! A jednak nawet przy nim gardło ścisnęło mi się ze strachu. Zaciskałam i rozluźniałam pięści. Nie widziałam Susannah.

Przedemną stała blada kobieta. Przez cienkie rude włosy prześwitywała jej czaszka. Za babcią niska kobieta z wielkimi srebrnymi kolczykami w uszach mamrotała co chwilę „cholera”. Jej fryzura afro wydawała się większa niż sama głowa.

- Myślisz, że wpuszczą tę Angelę Davis z takimi malutkimi kolczykami? - szepnęła babcia, pokazując ruchem głowy za siebie.

- Ciii. - Nie byłam pewna, kim jest Angela Davis, ale nie wydawało mi się, by w ustach babci zabrzmiało to jak komplement. Nie próbowałam się przekonać, czy ta kobieta to słyszała. Burczało mi w brzuchu. Żałowałam, że

na promie nie zjadłam więcej cukierków.

Kiedy przyszła nasza kolej, McNulty uśmiechnął się do mnie. Był wysoki i wyprostowany, jak żołnierz pilnujący pałacu Buckingham w Londynie.

- Znowu tutaj?

Wyszczrzyłam zęby w szerokim uśmiechu i podniosłam rękę, czekając, żeby mnie obszukał. Zrobił to szybko, nie tak jak niektórzy z pozostałych. Nienawidziłam ich.

- Twój tata czeka niecierpliwie. - Jego miła twarz sprawiała wrażenie, jakby naprawdę życzył mi udanej wizyty.

Zastanawiałam się, co odpowiedzieć, żeby to dobrze zabrzmiało.

- Życzę panu miłego dnia - powiedziałam.

Kobieta z fryzurą afro cmoknęła, jakby chciała mi coś przekazać. McNulty ucisnął moje ramię.

- Jesteś dobrą dziewczynką, Merry. Idź do swojego taty.

## 5. Merry

Weszliśmy z babcią do sali odwiedzin. Beżowe kafelki upstrzone były plamami, w moim wyobrażeniu niemożliwymi do usunięcia nawet za milion lat. Być może krew i kawałki mózgu pozostały tu po więziennych walkach.

Wzdłuż pomieszczenia ciągnęły się metalowe stoły z gumowymi krawędziami i przymocowane do nich ławki.

Więźniowie i ich rodziny siedzieli naprzeciwko siebie, mężczyźni zawsze plecami do okna. Słabe światło słoneczne oblewało z tyłu ich drelichowe koszule. Siedziałyśmy jak najdalej od innych, udając, że jesteśmy gdziekolwiek indziej, tylko nie tu.

Mój ojciec siedział na końcu sali, na swym zwykłym miejscu. Ledwie już pamiętałam tatę z czasów przed więzieniem, tatę, który mieszkał z nami, i tatę, którego mama wyrzuciła z domu. Tamten był opasły, miał brud za paznokciami i gęste włosy opadające na oczy. Więzienny tata miał muskuły, był ostrzyżony do gołej skóry i wyglądał na przystojniaka, jak na fotografiach, które stały u babci na serwantce, z okresu, kiedy poślubił mamę. Chciałam je pokazać Lulu, ale ona odsunęła fotografie, jak wszystko, co dotyczyło taty.

Przyglądałam się im za każdym razem, kiedy odwiedzałam babcię, wpatrując się w śliczne rysy twarzy mamy, w welon, który jak tajemnicza mgiełka spowijał jej głowę. Na czarno - białych zdjęciach mamy szminka wydawała się ciemna jak krew.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy zobaczyłam spragnionego naszego widoku tatę.

- Moja dziecinka! - powiedział. Uściskaliśmy się krótko, jak było dozwolone. Starłam się odsunąć moment, kiedy się dotknęliśmy. Nie znosiłam, gdy tata obejmował mnie choćby sekundę dłużej niż pozwalały przepisy, będąc przekonana, że strażnik krzyknie na mnie albo, co gorsza, na tatę. Widziałam więźnia, którego wyprowadzono z sali, bo wrzeszczał na swoją żonę, że jest taka gruba, że tłuszcz wylewa jej się ze spodni. Mężczyzna, choć wyglądał jak pokurcz, sprawił, że jego gruba żona zmalęła nagle, jakby był Charlesem Atlasem.

Strażnik podszedł do niego i zdzielił go po plecach ciężką brązową pałką, a potem wywlókł na zewnątrz.

- O mój Boże, spójrz - powiedziała babcia. - Walnął go prosto w plecy! -



Bałam się spytać taty, czy kiedykolwiek był

walnięty, ale od tego czasu często myślałam o brązowej pałce.

Tata zlustrował mnie, jak przy każdych odwiedzinach.

- Ależ ty urosłaś przez ostatnie dwa tygodnie!

- Na pewno nie na tych odpadkach, którymi karmią ją w tamtym miejscu - powiedziała babcia.

- Ale co najmniej raz w tygodniu zjada u ciebie dobry posiłek, prawda, mamo?

- Daj spokój. - Babcia machnęła ręką. - Nie mogę już patrzeć na gary, ale samo się nie ugotuje.

Przysunęłam się bliżej babci i położyłam rękę na jej dłoniach. Jej skóra była jak papier, przechowywany przez dłuższy czas, składany i rozkładany tak długo, aż stanie się miękki i zwiotczały. Teraz takie były też stare listy taty, te, które trzymałam u babci.

- No, jak tam w szkole? - zapytał. Wzruszyłam ramionami.

- Dobrze. Zmarszczył twarz.

- Tylko dobrze? Czy ktoś ci dokucza?

- Nie. Wszystko w porządku.

- Chciałbym zobaczyć jakieś dobre stopnie na twoim świadectwie, panienko. Takie, które umożliwią ci przejście do średniej szkoły. Nie chcesz chyba skończyć tak jak twój staruszek, prawda?

Patrzyłam na niego z drugiej strony stołu, zdumiona. Czy średnia szkoła uratowałaby go przed więzieniem? Czy on cokolwiek o mnie wiedział?

Czy wiedział, że czasem nienawidziłam ludzi tak bardzo, że aż mnie to parzyło? Na przykład Reethę. Skąd mam wiedzieć, czy kiedyś kogoś nie zabiję? Może ciocia Cilla miała rację - mam to we krwi. To pewnie dlatego nigdy nie chciała, żebyśmy u nich mieszkały. Może ja też kiedyś pójdę do więzienia.

- Nie bądź głupi, Joey. - Babcia potrząsnęła głową. -

Czasem wydaje mi się, że jesteś szalony, kiedy mówisz takie rzeczy.

Babcia nie znosiła, kiedy mój ojciec mówił cokolwiek na temat tego, czemu go zamknęli. Ze mną też nie chciała o tym rozmawiać. Nikt nie chciał, z wyjątkiem Lulu, a ona mówiła tylko o tym, jak bardzo nienawidzi taty i jaką głupotą jest widywanie się z nim.

- Czego ty ode mnie chcesz, mamó? - zapytał tata. -

Myślisz, że jest tu mnóstwo fascynujących tematów do rozmowy? Czy powinienem opowiedzieć o tym, jak chłopcy z Black Power chcieli zabić strażników?

- Ciii - odparła babcia. - Oni mogą to usłyszeć.

Rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś na to zareagował.

- Czy powinienem mówić o tym, jak się tu starzeję?

- Przestań. Masz dopiero trzydzieści jeden lat. Jesteś młodym człowiekiem. Dostaniesz zwolnienie warunkowe.

Wyjdiesz stąd, nawet nie wiedząc kiedy.

Czy będziemy mogły mieszkać z nim, gdy wyjdzie z więzienia? Czy Lulu się zgodzi?

- I kto tu opowiada głupstwa? - zapytał tata. - Stuknie mi setka, zanim mnie stąd wypuszczą. Dostałem dożywocie.

Myślisz, że pozwolą mi wyjść po dziesięciu latach? Albo po dwudziestu?

- Zostaniesz przesłuchany w sprawie warunkowego zwolnienia. - Babcia miała w rękach białą chusteczkę z czarnymi diamentami na brzegach. Zerknęłam, żeby zobaczyć, czy strażnicy tego nie zauważyli. Rodziny więźniów nigdy nie patrzyły na inne rodziny; cicho i spokojnie prowadziliśmy rozmowy, z których bardzo niewiele docierało do innych.

Tata potrząsnął głową i zacisnął wargi, jakby babcię o coś oskarżał.

- Wszystkie dziewczęta piekły wieczorem ciasto z dynią - skłamałam. - Na powitanie jesieni.

- W tamtym miejscu? - zapytała z niedowierzaniem babcia.

- Tak. - Patrzyłam prosto na nią. - Pokroiłyśmy dynie i przyrządziłyśmy miąsz na ciasto. - Przeczytałam w jakiejś książce, jak długo należy piec dynie, i o włóknistym, surowym paskudztwie w środku.

- To brzmi nieźle - stwierdził tata. - Szkoda, że nie przyniosłaś mi kawałka.

- Tak, wielka szkoda - odparłam, nie patrząc na babcię.

- Ach, jak dawno nie jadłem ciasta z dynią. Dawaliście dużo cynamonu? A imbir? Ja zawsze lubiłem aromatyczne ciasto.

- Smakowało dokładnie jak cynamonowe ciasteczka.

Babcia uszczypliła mnie pod stołem w udo. „Dosyć” -  
powiedziały jej ostre palce.

Tata odchylił się do tyłu, kładąc muskularne ramiona za głowę. Przybrał rozmarzony wyraz twarzy.

- Ciasto z dynią. Co ja bym za nie dał.

- No, dobra - powiedziała babcia. - Gdybym ja miała wąsy, to byłabym dziadkiem. A co to za program, o którym pisałeś?

- Program Pracownia optyczna? - zapytał.

- Więc to prawda? Mógłbyś w końcu nauczyć się jakiegoś fachu.

- Mamo, ja przecież miałem przedtem pracę.

Przedtem znaczyło, kiedy mama żyła. Lulu też tak mówiła: „Nie rozmawiajmy o tym, co było przedtem. Nic mnie to nie obchodzi”. Dotknęłam mojej blizny, zanim mogłam się powstrzymać.

- Byle jakie zajęcie - oto, co miałeś. Ja mówię o fachu, zawodzie - odparła babcia.

- Produkcja mosiężnej armatury dla statków to nie byle jakie zajęcie, mammo. Prawdopodobnie właśnie to, że wymagało ono ode mnie precyzji, skłoniło ich do rozważenia tego, czy nie wpisać mnie na tę listę.

- Co to jest precyzja? - zapytałam.

- Spytaj babcię, która jest taka mądra, że wie wszystko.

- Przestań się nad sobą rozczulać. Przepraszam, że cię obraziłam. Odpowiedz swojej córce.

Tata odciągnął do tyłu ramiona.

- Precyzja oznacza robienie czegoś, co ma ściśle określone wymiary; jeśli się je przekroczy, czasem nawet o milimetry, można zniszczyć to, co się zbudowało.

- A możesz coś tutaj budować? - Nie mogłam się połapać w tym, co tata robił tu, w więzieniu. Ilekroć próbowałam go o to zapytać, zawsze zmieniał temat, mówiąc: „To miejsce jest nieważne. Wolałbym porozmawiać o tobie”.

- Wprowadzają tu taki program, otwierają pracownię optyczną, w której będą produkowane soczewki. Chcę się w to włączyć, żebym mógł dostać pracę, kiedy stąd wyjdę.

- A kiedy wyjdiesz, tatusiu? - O tym też nigdy nie chciał

mówić, kwitując to zwykle stwierdzeniem: „Czas pokaże”, które nic mi nie mówiło.

- Może za dwadzieścia albo za trzydzieści lat będę mógł dostać zwolnienie warunkowe za dobre sprawowanie.

Dwadzieścia albo trzydzieści lat! Będę miała wtedy prawie dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści dziewięć lat. Mój ojciec będzie starym człowiekiem. Będzie miał pięćdziesiąt jeden lub sześćdziesiąt jeden lat. Czy w ogóle będzie mógł

jeszcze pracować?

W jaki sposób mogłabym go rozweselać przez te wszystkie lata? Babcia powiedziała, że moim zadaniem jest rozweselać tatę. - Bóg jeden wie, że twoja matka nigdy tego nie robiła. - Mówiąc to, babcia potrząsała głową. - Wręcz przeciwnie, robiła wszystko, żeby mu nie było wesoło.

Dlatego stało się to, co się stało. Uwierz mi. To ona doprowadziła go do tego, tym cackaniem się ze swoimi włosami, paznokciami, a potem z facetami. Nie chcę mówić źle o zmarłych - powiadała babcia - ale twoja matka uważała się za jakąś piękną królową. Uważała, że nie musi pracować tak jak wszyscy ludzie na świecie.

Nie rozumiałam, co babcia Zelda miała na myśli. Tata zabił mamę dlatego, że była piękną królową?

Lulu powiedziała, że tata to zrobił, bo mama umawiała się ze złymi mężczyznami. Mimi Rubee twierdziła, że to alkohol i leki popchnęły tatę do tego. Ciotka Cilla mówiła, że zabił

mamę, bo jest zwierzęciem. Nie wiedziałam, w co mam wierzyć.

„Tak czy owak, co ze mną?”. Chciałabym to wiedzieć.

„Czemu tata zranił mnie nożem?”. Nikt o tym nigdy nie mówił, poza tym, że tata ni stąd, ni zowąd powiedział kiedyś: - Przepraszam cię, Merry. Wiem, że ty prawdopodobnie nie pamiętasz tego, co się stało. Byłaś bardzo mała. Ale jest mi przykro.

Babcia wstała.

- Czas na tortury.

Zawsze tak mówiła, kiedy szła do toalety, ponieważ musiała czekać, aż strażnik poprowadzi ją bardzo długim holem. Nazywała to drogą przez mękę. Szedł tuż za nią tam i z powrotem, jakby w toalecie mogła mieć ukrytą broń. Ja nigdy nie piłam wody przed wizytą u taty. Nie chciałam być zmuszona do zrobienia siusiu w więzieniu.

Po odejściu babci atmosfera stała się cięższa, jakby to ona ożywiała ją swym ciągłym gadaniem i chroniła nas przed dotarciem do najdalszych granic, które wyznaczały życie każdego z nas.

- A jak tam Lulu? - zapytał tata. - Wciąż jest takim mołem książkowym?

Przytaknęłam.

- Tatusiu... - Umilkłam, nie mogąc wydusić z siebie słów, które bębniły mi w głowie. „Czemu mnie zraniłeś? Czemu mnie zraniłeś? Czemu mnie zraniłeś, tatusiu?”.

- Co jest, dziecinko? - Jego oczy były pełne miłości i troski, przebijającej zza okularów. - Na pewno w szkole wszystko w porządku? Nikt ci nie dokucza?

Potrząsnęłam głową.

- W szkole wszystko dobrze.

- O co więc chodzi, placuszku? Mrugałam oczami i mrugałam, tak jak babcia.

- Oho, idzie deser bananowy - powiedział.

Tata mówił tak zawsze, kiedy płakałam. Potem wyjmował swoją chusteczkę do nosa, wycierał mi oczy i mówił: „Oczyśćmy teren”. Zapomniałam już o tym. Nigdy tu nie płakałam.

Babcia powinna zaraz wrócić. Pytanie coraz mocniej pchało mi się na usta.

- Zapomniałaś języka w buzi? - Tata uśmiechnął się i pochylił głowę; wyglądał teraz na kogoś bardzo mądrego i miłego, jakbyśmy grali w serialu The Brady Bunch.

- Czemu zraniłeś mnie nożem, tatusiu? - wyszeptałam. Te słowa wypadły ze mnie jak strzała. - Czemu próbowałeś mnie zabić? - Tata odchylił się do tyłu, jakby moje ciche słowa były małymi nożami. Teraz ja byłam nożownikiem.

- Pamiętasz to? - zapytał ciekawym głosem, pochodzącym jakby gdzieś z przełyku.

Tata wypycha mnie z kuchni. Mama leży na podłodze.

„Leż. Leż u mamusi i tatusia w łóżku. Bądź grzeczną dziewczynką”.

- Pamiętam niektóre rzeczy.

Tata trzyma nóż poplamiony mamy krwią. „To zaboli tylko przez chwilę,

dziecinko”. Nie, tatusiu, to będzie bolało bardzo długo.

- Nie mogłem tego zrobić. - Potrząsnął głową. -

Zacząłem, ale nie mogłem. Rana nie była głęboka.

Otwarłam dłoń i położyłam ją na bawełnianej bluzce, zakrywając moją bliznę, jakby tata mógł widzieć ją przez materiał. Znałam każdą jej wypukłość. Była prosta, purpuroworóżowa. Ciągnęła się po lewej stronie mojego ciała na długości odpowiadającej mniej więcej wysokości notatnika, w którym pisałam zadania szkolne.

- Czemu chciałeś mnie zranić? - „Odpowiedz na moje pytanie, tatusiu”.

- Och, dziecinko. Alkohol sprawił, że upiłem się na umór i straciłem rozum. Do tego jeszcze skręcało mnie z zazdrości.

Jesteś za mała, żeby to zrozumieć. - Objął głowę rękami.

Chciałam je oderwać i uderzyć go w tę głupią, pijaną na umór, zazdrosną głowę.

- I dlatego mi to zrobiłeś? - wyszeptałam, dziwiąc się, jak ktoś w ogóle może się tak upić.

- Nie chciałem cię zostawiać. - Tata skrzyżował ramiona, jakby sam siebie obejmował. - Nie chciałem zostawiać cię całkiem samej.

- A co z Lulu? O nią się nie martwiłeś?

- Alkohol odebrał mi rozum - powtórzył tata. - I wpadłem w panikę, dziecinko.

-

Ale chciałeś zostawić Lulu całkiem samą?

Przestraszona? - Czułam, że ściany pomieszczenia wałę się na mnie.

- Lulu zawsze umiała o siebie zadbać. A ty... ty jesteś bardziej podobna do mnie.

„Nie jestem podobna do ciebie. Nie jestem”.

- Jezu, Merry. Tak bardzo cię kocham. Tylko ty i babcia zostałyście mi na świecie. Nikogo innego nie obchodzi, czy żyję, czy już umarłem. - Tata zdjął okulary i pięściami potarł

oczy. Teraz mogliby zjawić się strażnicy. Teraz babci mogłoby być przykro.

- Nie mogę znieść myśli, że jesteś w tamtym miejscu -

powiedział tata. Przekleści Cilla i Hal umieścili was tam.

Cholerni tchórze. Po Cilli niczego innego nie można się było spodziewać. Ale Hal? Myślałem, że to porządny gość.

Gdybym mógł choć na minutę zostać z nim sam na sam, to przysięgam...

- Nic mi nie jest, tatusiu. Wszystko w porządku. -

Musiałam go uspokoić. Uszczęśliwić. Inaczej mógłby skrzywdzić ciocię Cillę i wujka Hala, nawet będąc tutaj.

- Nie powinnaś tam być. - Zatopił głowę pomiędzy rękami. Wyglądało to, jakby strząsał kciukiem łzę. Nie wytrzymałabym, gdyby się rozpłakał. Nie miał chusteczki ani niczego takiego. Więźniom nie wolno było zabierać niczego do sali odwiedzin. Byłam ciekawa, czy tata w ogóle może cokolwiek wynosić z celi. Może ciągle trzymają go w zamknięciu. Czy może czasem oglądać telewizję? Czy musi brać prysznic albo iść do ubikacji pod jakimś nadzorem?

To, że odwiedzałyśmy go z babcią, było dla mojego ojca prawdopodobnie najważniejszą rzeczą na świecie, a ja to psułam.

- Już dobrze, tatusiu - powtórzyłam. - Wszystko w porządku. Twarz mojego ojca ożywiła się nadzieją, jak mordki szczeniaków na wystawie sklepu ze zwierzętami na Fiatbush Avenue.

- Ach, zapomniałam ci powiedzieć. - Szczypałam się pod stołem po rękach. - Po cieście dyniowym zrobiliśmy jeszcze naleśniki. - Złożyłam ręce na brzuchu i posłałam mu szeroki, pełen szczęścia uśmiech. - Z prawdziwym syropem klonowym. Świętowałyśmy nadejście jesieni. To było śmieszne, tatusiu. Naprawdę, ale to naprawdę śmieszne.

## 6. Merry

Wbiegłam pędem po schodach w Duffy - Parkman, pognałam korytarzem, a potem wpadłam do mojej sypialni.

Olive leżała w swoim łóżku, podparta na łokciu i wpatrywała się w ścianę. Miałam szczęście, że to była Olive. Ona nigdy nikomu nie dokuczała, tylko czytała, czytała i czytała, jakby wstrzymywała oddech, dopóki nie przyjadą po nią jej rodzice, co nigdy nie nastąpi, bo oboje zginęli w wypadku samochodowym. Olive nie miała nikogo z rodziny na całym bożym świecie, nie licząc wiekowej ciotki zamkniętej w domu starców.

Wszystkie sypialnie w sierocińcu były takie same: trzy łóżka ustawione w rzędzie pod jedną ścianą i trzy pod drugą.

Małe nocne stoliki oddzielały je od siebie. Na szczęście moje łóżko stało na końcu, więc mogłam opierać się o ścianę.

Na mój widok Olive wyjęła schowaną pod poduszką książkę z biblioteki. Tylko Lulu czytała więcej od niej, ale nie musiała robić tego po kryjomu. Lulu była postrachem większości dziewcząt, z wyjątkiem tych najtwardszych, takich jak Kelli.

Ściągnęłam sweter i białą bluzkę. Po chwili wahania zdjęłam przepocone podkolanówki, wyglądające obrzydliwie po całym dniu chodzenia w plastikowych butach z paseczkiem na podbiciu, które babcia kupiła mi we wrześniu zeszłego roku. Sięgnęłam po ostatnie czyste skarpetki, wiedząc, że to była jedyna para, jaka pozostała mi do dnia prania, które przewidziane jest najwcześniej pojutrze. Będę musiała włożyć je również jutro i w poniedziałek, ale potrzebowałam czegoś czystego już teraz. Powąchałam dwie pary rajtuzów, żeby wybrać te czystsze.

Lulu krzyczała na mnie, żebym lepiej nie planowała różnych spraw, ale ja tak bardzo potrzebowałam czasem czegoś dla poprawy samopoczucia, że nie mogłam się powstrzymać.

Zerknęłam na Olive, która trzymała książkę - Trixie Belden and the Mystery of the Missing Heiress - kilka centymetrów od swego nosa.

- Hej, Olive, idziesz z nami połączyć?

Z nami oznaczało z Janine, Crystal i ze mną. Janine, którą rodzice zabierali do domu co kilka miesięcy, zanim znowu nie zaczęli pić, wyglądała jak miniaturowa Diana Ross. Miała ogromne oczy i była szczupłątką



ślicznotką. Crystal miała fantastyczne blond włosy, których jej bardzo zazdrościłam.

Opadały jej poniżej talii i wychowawczynie w Duffy lubiły czesać je i zaplatać, i kręcić na różne wymyślne sposoby.

Rodzice Crystal zginęli w pożarze.

Znałyśmy się od ponad dwóch lat. Gdy byłyśmy Niebieskimi Ptaszkami, najmłodszymi i najmniejszymi, opiekunki i wychowawczynie brały nas na kolana podczas oglądania telewizji. Teraz, kiedy jesteśmy Czerwonymi Ptaszkami, nikt nas już nie przytula. Ale przynosimy sobie popcorn i czasem opieramy się o wychowawczynię podczas sobotnich wieczorów spędzanych przed telewizorem.

- Chyba wolę poczytać - odparła Olive.

- Dobrze - powiedziałam. Nie będę musiała pilnować, żeby jej nie dokuczano. Nikt w grupie za nią nie przepadał, ale też nikt się nad nią nie pastwił.

Wyjrzałam z pokoju, popatrzyłam w prawo i w lewo i pobiegłam do pracowni plastycznej. Pani Parker - Peckerhead pozwalała nam przebywać tylko w trzech miejscach poza naszymi sypialniami. Jednym z nich była sala gier i zabaw, dawne pomieszczenie klasowe z ławkami. Żadna z gier nie była kompletna. Drugim była świetlica z telewizorem i radiem. Wszystkie lubiłyśmy siedzieć w świetlicy, ale tam też odbywały się najgorsze bijatki.

Trzecim miejscem była pracownia plastyczna, dokąd chodziłam z koleżankami. W starym pojemniku po marynowanych ogórkach, pełnym ołówków i kredek, nieaktualnych

czasopism

i

stert

zużytego

papieru

ofiarowanego przez jakąś firmę, przechowywałyśmy nasze przybory plastyczne. Rysowałyśmy księżniczki i szczeniaczki na odwrocie sprawozdań ubezpieczeniowych i druków zamówień.

Janine i Crystal pochylały się nad swymi obrazkami.

Janine szkicowała kontury papierowych lalek, które wycięłyśmy z gazetowych reklam, dorysowując im nowe stroje. Crystal, najbardziej

uzdolniona plastycznie z całej naszej grupy Czerwonych Ptasek, pracowała nad rysunkiem gór wylaniających się zza jakiegoś zamku.

- Jak się ma twoja babcia? - zapytała Janine.

- Dobrze. - Nigdy nie narzekałam na babcię; w końcu miałam kogo odwiedzać. Rodzice Janine przyjeżdżali tylko wtedy, gdy zabierali ją do domu, dwa - trzy razy do roku.

Zawsze byliśmy przekonane, że Janine opuszcza Duffy na dobre, więc płakałyśmy i ścisnęłyśmy się, dopóki opiekunka nas nie rozdzieliła. Potem, kiedy Janine wracała po dwóch tygodniach, Crystal i ja zachowywałyśmy się tak, jakby w ogóle nigdzie nie wyjeżdżała. Tak samo, jak Crystal i Janine udawały, że nic nie wiedzą o moich wizytach u ojca w więzieniu, a my obie z Janine udawałyśmy, że nie widzimy śladów oparzeń na nogach Crystal.

- Przyniosłam to dla ciebie z pokoju. - Janine wręczyła mi obrazek, który zaczęłam rysować dzień wcześniej. Część mojego cyklu szczeniąt - złotych, czarnych i czerwonych.

Dziewczyny przechowywały wszystkie nasze rysunki i inne specjalne rzeczy. Czerwone Ptaszki zajmowały w Duffy dwie sypialnie, a one miały szczęście, bo znalazły się razem w jednej z nich, bez Enid i Reethy.

- Mamy tylko około piętnastu minut - ostrzegła Crystal.

Przestrzegała zasad obowiązujących w sierocińcu do tego stopnia, że umarłaby chyba, gdyby przypadkiem złamała którąś z nich.

Zaczęłam pociągać kontury narysowanego szczeniaka srebrną kredką. Niezbyt mocno, bo złote i srebrne kredki rzadko pojawiały się w pojemniku, a ja wiedziałam, że Crystal potrzebowała ich do swoich zamków.

Drzwi do pracowni otwały się. Zobaczyłyśmy w nich przerażające towarzystwo.

- O, spójrzcie, Więzienna Dziewczynka wróciła. - Reetha wpadła gwałtownie do sali, porywając wypełnione do połowy kredkami brązowe pudło.

Crystal zasłoniła ręką swoją kartkę papieru. Posunęłam łokciem moje szczeniaczki, żeby zakryć jej zamki.

- Czemu nie wpełzniesz z powrotem pod swój kamień? -

spytała Janine.

Wstrzymałam oddech, słysząc jej słowa. Reetha faktycznie przypominała mi ślimaka, cała spocona, z twarzą bez wyrazu. Postrzępione różowe linie na jej czole wskazywały, gdzie jej matka podrapała ją, popychając na ogrodzenie

z drutu kolczastego.

- A czemu ty nie idziesz zjeść gówna? - Reetha wyciągnęła rękę i chwyciła srebrne i złote kredki.

- Hej, my ich używamy - powiedziałam, próbując bezskutecznie wyrwać je z jej rąk.

- Czemu nie poprosisz babci, żeby ci takie kupiła? -

Reetha zbliżyła swą twarz robaka do mojej. - Zobacz, Więzienna Dziewczynko! Znalazłam nowy papier do rysowania. Może wyłożę nim moje pudełko.

Poznałam papier, który trzymała Reetha, odręczne pismo mojego ojca, pieczętkę Więzienia Okręgowego Richmond.

- „Droga Merry - Reetha zaczęła czytać na głos, zanim mogłam złapać list. - Babcia napisała mi, że dostałaś piątkę z testu na transliterację. Gratuluję! Słodka Panienko”.

Crystal wyrwała kartkę Reecie, której został w ręce tylko jej strzępek.

- Och, podarł się - powiedziała Reetha. - Nie płacz, Słodka Panienko. Powiedz, jak bardzo zła była twoja matka, że twój ojciec musiał ją zabić? Była dziwką?

Janine stanęła między nami.

- A jaka ty byłaś brzydka, że twoja matka nazwała cię Urethra?

- Mam na imię Reetha.

Chwyciłam kredki, które zabrała. Wykręciła głowę, żeby ugryźć mnie w rękę, ale ja nadal trzymałam woskowe ołówki, zmęczona wyrywaniem ich Reecie, która teraz złapała zębami koniec mojego kciuka.

- Au! - wrzasnęłam, puszczając kredki.

- Przestań - powiedziała Janine.

- Spadaj! - odkrzyknęła Reetha, chwytając przy tym fioletową i czerwoną kredkę leżącą obok Crystal.

Nienawidziłam jej. Tak bardzo, że mogłabym złapać nożyczki z pojemnika po piklach i wbić je jej w gardło.

- Ty szpetna, pokryta bliznami gębo! - zawołałam. -

Wszyscy cię nienawidzą.

Nazajutrz obudziłam się z tego rodzaju odczuciem, jakie się ma, kiedy

dzieje się coś złego, a ty nie wiesz co. Była siódma trzydzieści, sobota rano, i za pół godziny miało się rozpocząć śniadanie. Był to najlepszy posiłek w całym tygodniu. Naleśniki, po trzy dla każdego.

Przesunęłam palcem wzdłuż klatki piersiowej. W

powietrzu unosił się zapach szamponu, którym myłam włosy poprzedniego wieczora. Sięgnęłam ręką, żeby rozpuścić włosy związane po umyciu w koński ogon, z którym położyłam się spać.

Lecz koński ogon zniknął. Z gumki, którą był spięty, wystawała krótka kłująca kitka.

Starałam się nie płakać, nie dać po sobie niczego poznać, ponieważ płacz pogarszał jeszcze sprawę w sierocińcu.

Czułam łzy napływające mi do oczu. Ponownie dotknęłam głowy w miejscu, gdzie był mój długi koński ogon.

Reetha uśmiechała się, leżąc na swoim łóżku. Wpiłam paznokcie głęboko w skórę dłoni. Enid siedziała w kucki na podłodze - być może szukając jakichś okruchów do zjedzenia.

Spasiona świnia.

W sali panowała cisza.

- O co chodzi? - zapytała Reetha. - Beksa nie wygląda dzisiaj tak uroczo? Loki z mojego końskiego ogona leżały obcięte na poduszce. Ręce mi się trzęsły. Chciałam pobiec do lustra, ale nie mogłam sprawić Reecie takiej satysfakcji.

Zamiast tego chwyciłam grubą książkę w twardej oprawie, największą, jaka stała na półce Olive, i podbiegłam do łóżka Reethy. Jej piżama wyglądała na chłopięcą i śmierdziała tak, jakby dziewczyna nigdy się nie myła. Złapałam książkę obiema rękami, podniosłam ją nad głowę, tak wysoko, jak tylko mogłam, i opuściłam ją na głowę Reethy.

- Ty wredna świnio! - Uderzyłam ją ponownie, celując w blizny na jej czole.

Reetha zwinęła się i kopnęła mnie w brzuch.

- Nadęta Żydówka!

- Przestańcie - ostrzegła Olive. - Ktoś idzie.

Pobiegłam z powrotem do łóżka, ściskając książkę Olive w drżących rękach.

Weszła nasza opiekunka.

- Co tu się dzieje? - Zaczęła sprawdzać nas łóżko po łóżku. - Merry, co się stało z twoimi włosami?

Zacisnęłam wargi i powiedziałam: - Obcięłam je.

Odwróciłam się twarzą do brudnej beżowej ściany i zaczęłam kreślić na niej palcem kształt psiej mordy. Kółko, kółko, kółko, język. Zwisające uszy. Wszyscy byli w kościele.

Naciągnęłam mocniej na głowę elastyczną opaskę, którą pożyczyła mi Janine, zsuwając ją niżej na uszy, i udawałam, że nikt nie zauważył, jak brzydko wyglądam. Pasemka długich włosów mieszały się z krótkimi lokami odstającymi jak druty.

Wychowawczynie powiedziała, że muszę się ostrzec na chłopaka. Kiedy opiekunka starszych dziewcząt pracująca w dni powszednie, ta, która nas strzyże, przyjdzie jutro rano, dokończy dzieła Reethy. Kopnęłam w ścianę.

Gdy tylko dziewczęta poszły do kościoła, podałam wszystkie listy od taty i wrzuciłam je do muszli klozetowej.

Moja kryjówka okazała się bezużyteczna. Spacerowałam stopami w górę i w dół po ścianie. Cicho, bo gdyby pani Parker - Peckerhead przyszła i zobaczyła, że to robię, kazałaby mi zmywać całą ścianę brązowym płynem dezynfekującym, który niemal wyżerał dziury w rękach.

„Myślisz, że ludzie chcą oglądać odciski twoich stóp na ścianie, Meredith?” - powiedziałyby pani Peckerhead, wręczając mi szczotkę do szorowania i kubek wody z mydlinami. Gdyby kazała mi odsunąć moje łóżko od ściany i zobaczyła, jaki tam jest bałagan, ukarałyby mnie nie na żarty.

„Spójrz na to! - krzyczałyby. - Papierki po cukierkach. Skąd ty je wzięłaś?”.

Byłabym w poważnych tarapatach, mając schowany zapas cukierków. Musiałyśmy oddawać wszystkie posiadane smakołyki pani Peckerhead do wspólnego pudła, ale ja starałam się zatrzymać te, które dostałam od babci, oczywiście dzieląc się nimi po połowie z Lulu. Niczego, co wręczyło się pani Peckerhead, nigdy więcej się już nie zobaczyło - z wyjątkiem jakichś paskudnych rzeczy, których ona nie chciała, takich jak suszone morele, które jedna z dziewczynek dostała od dziadka.

Pusty pokój śmierdzał trującym brązowym środkiem dezynfekcyjnym i talkiem o kwiecistym zapachu. Dziewczęta z Duffy kupowały go w John's Bargain Store na Fiatbush Avenue - te, które wyprosiły pieniądze u swoich krewnych, o ile ci je mieli, albo ukradły innym dziewczętom - i posypywały się nim przed włożeniem tanich, szorstkich sukienek, które ubierały, idąc do

kościół.

Lulu weszła do sali, kiedy pedałowalam nogami w powietrzu, z rękami na biodrach.

- Dokąd jedziesz? - zapytała.

- Cha, cha, cha. Bardzo śmieszne. Lulu siadła obok mnie.

- Reetha cię zabije, jeżeli zobaczy, że siedzisz na jej łóżku.

- Potwornie się boję. - Jakby chcąc dowieść, że w ogóle się nią nie przejmuję, Lulu położyła się, kładąc nawet buty na łóżku. Stała się twarda, od kiedy skończyła trzynaście lat.

Babcia nazywała ją przyszlým młodocianym przestępcą.

- Zejdź, nie rób sobie żartów - błagałam ją.

- Dobra, dobra. Nie bądź dzieckiem. - Lulu przeniosła się na moje łóżko. - Więc jak, dobrze się czujesz?

Wskazała podbródkiem na moją głowę, a ja starałam się nie rozpłakać, więc pedałowalam coraz szybciej.

- Możesz być spokojna, że już nigdy więcej tego nie zrobią - powiedziała.

- Nie! - krzyknęłam. - Nic nie rób, bo będzie jeszcze gorzej. Wiem o tym. Chyba że je zabijesz. Cha, cha! -

Podniosłam rękę i pomacałam miejsce, gdzie włosy wymykały się spod opaski. - Dlaczego ona mnie nienawidzi?

- Z powodu taty - odparła Lulu.

- O wszystko go obwiniasz.

- Jak się ma babcia? - Lulu zawsze zmieniała temat w chwili, gdy rozmowa schodziła na tatę.

- W porządku. - Uderzyłam stopami o barierkę na końcu łóżka. - Tata prosił, żeby cię pozdrowić.

- Pytałam cię o to? - Lulu obróciła się na bok, twarzą w moją stronę, podpierając głowę ręką.

Usiadłam w kucki.

- Lulu, myślisz, że tata będzie żył za dwadzieścia albo trzydzieści lat? Lulu zmarszczyła brwi.

- Czemu?

- Bo powiedział, że może wtedy wyjdzie - za dwadzieścia albo za

trzydzieści lat. - Przyglądałam się twarzy mojej siostry.

- Prawdopodobnie będzie żył. Chyba że ktoś go zabije w więzieniu.

- Nie mów tak. - Wyprostowałam nogi i opuściłam podbródek, wtulając twarz w kolana. - Nie brakuje ci rodziców, Lu? - zapytałam wpatrzona w strup na kolanie.

- Nie myślę o tym. - Lulu szturchnęła mnie nogą. - Ty też nie powinnaś. Zapomnij o tym. To już skończone. Chodźmy na dół, do sali rekreacyjnej. Zagramy w hasła.

- Myślisz, że mogłabym tu umrzeć? - zapytałam. Lulu chwyciła mnie za ramiona i wyciągnęła z łóżka.

- Czemu o to pytasz?

- A co jeśli ktoś mnie tu zabije?

Naprawdę tak nie myślałam. Naprawdę myślałam: A co jeśli ja kogoś zabiję? Wtedy faktycznie byłabym Więzienną Dziewczyną.

- Nienawidzę tego miejsca. Nie chcę tu dorastać. -

Odepchnęłam Lulu i opadłam z powrotem na łóżko. - Wolę umrzeć niż żyć tutaj.

## 7. Lulu

Kiedy szłyśmy w kierunku domu babci, Merry doprowadzała mnie do szaleństwa. Z każdym stawianym przeze mnie krokiem nalegała, żebym szła szybciej. Nie byłam w stanie pędzić tak szybko, jakby tego pragnęła, a ona z kolei nie chciała dostosować się do mojego żółwiego tempa.

Buty grzęzły mi w brei pokrywającej Caton Avenue, jakbym miała cegły przyklejone do podeszew; oto jak bardzo pragnęłam iść do babci.

- No, chodźże - ponaglała Merry. Chwyciła mnie za ramię. - Musimy tam być przed dwunastą. Z powodu lunchu.

- Przestań. - Odsunęłam się od niej. - Dojdziemy wtedy, kiedy dojdziemy.

Merry zmarszczyła brwi pod opadającym jej na oczy kapeluszem, skrywającym jej żałośnie ostrzyżone włosy. Po trzech tygodniach nadal były postrzępione, ale bardziej niż włosami Merry martwiłam się jej gadaniem o śmierci.

Powinna opuścić Duffy. Ja mogłam tam wytrzymać, ale Merry nie była wystarczająco twarda.

- Na pewno będzie wyglądać przez okno! - Merry podskakiwała naokoło mnie jak małe pisklą; jej potrzeba sprawienia babci przyjemności doprowadzała mnie do obłędu.

- Pośpieszmy się.

Babcia siedziała zwykle przyklejona do okna, mając krzesło ustawione tak, by móc obracać głowę raz w stronę ekranu telewizora, a raz na ulicę, którą miałyśmy nadejść.

Sobota była dla niej ciężkim dniem, gdy idzie o program telewizyjny - żadnych teleturniejów, żadnych jej ulubionych programów - ale i tak wpatrywała się w to pudło. Mówiła, że telewizja dotrzymuje jej towarzystwa w oczekiwaniu na śmierć. Nawet jeśli czyta wielkoformatowe, drukowane dużą czcionką magazyny Reader's Digest, które wypożycza z biblioteki, telewizor jest włączony.

Gdy zbliżyłyśmy się do wejścia do budynku z czerwonej cegły, w którym znajdowało się babci mieszkanie, Merry zaczęła dziko machać ręką w kierunku jej okna.

- Ona nawet nie jest w stanie cię zobaczyć -



powiedziałam.

- Nie wiesz tego na pewno. - Merry szarpnęła drzwi, wciąż się spiesząc, chociaż byliśmy już na miejscu. Obskurny korytarz śmierdzał jak stara szmata do podłogi. Sterta nieodebranej korespondencji nieomal zablokowała dostęp do skrzynek na listy.

- Babcia ledwie widzi. - Pociągnęłam rąbek mojej krótkiej spódniczki, gdy Merry nacisnęła dzwonek przy drzwiach wejściowych. W ubiegłym miesiącu poprawiłam napis „Mrs.

Harold Zachariah”, bo wypisane atramentem litery na starej kartce stały się nieczytelne. Babcia nalegała, żebym napisała „Mrs.”, ponieważ sądziła, że bycie mężatką wydaje się czymś godnym większego szacunku. Kiedy wsunęłam nową karteczkę do prostokątnej mosiężnej ramki, powiedziała: „Jeśli ludzie wiedzą, że kiedyś jakiś mężczyzna cię zechciał, lepiej cię traktują”.

Babcia godzinami potrafiła rozprawiać o starych ludziach, którym nikt dziś nie okazuje szacunku. „Popatrz tylko na tych hippisów z włosami zwisającymi im do pępka. Wyglądają jak obdartusy. Myślisz, że któryś z nich przystanie, żeby powiedzieć: »Dzień dobry, pani Zachariah«?”.

W budynku, w którym mieszkała babcia, studenci college’u tłoczyli się po czterech, pięciu, a nawet sześciu w malutkich mieszkaniach z jedną lub dwiema sypialniami.

Babcia narzekała, że zmieniają go w dom bitników. Hippisi stali się przeżytkiem dla wszystkich z wyjątkiem babci, która ich nie znosiła. Kiedy w lipcu skończyłam trzynaście lat, dała mi jedyną prawdziwą biżuterię, jaką posiadała - parę kolczyków ozdobionych perłami i perłowy naszyjnik, przekonując mnie cały czas, że młoda panienska powinna nosić coś takiego, a nie te zwariowane pestki owoców, które hippiski wieszają sobie na szyjach, i przypominając, żebym kolczyki dała Merry, gdy będzie starsza.

Oczywiście, dwa dni później ktoś w sierocińcu ukradł kolczyki i naszyjnik.

Babcia wpuściła nas do środka. Merry popędziła na trzecie piętro, podczas gdy ja zmuszałam się do pokonywania zniszczonych schodów po jednym stopniu. Zapach kapusty i cebuli smażonej na tłuszczu z kurczaka mieszał się z zapachami paczuli i marychy. Rozpoznałam marychę, bo dziewczyny w sierocińcu wieczorami wymykały się do łazienki i paliły ją. Potem rozpylały wszędzie lakier do włosów White Rain, żeby nie śmierdziało. Naprawdę spodziewałam się, że któregoś dnia łazienka wyleci w powietrze, kiedy jedna dziewczyna rozpyli lakier, a inna w tym czasie zapali

zapałkę.

Marychę czułam od dziewczyn z college'u, które zaproponowały, że będą tak zwanymi specjalnymi przyjaciółkami starszych dziewcząt. Moją była Hillary Sachs.

Nie wiedziałam, czy przydzielili mi Żydówkę celowo, czy przypadkiem. Hillary patrzyła na mnie ciełym wzrokiem, posyłając mi znaczące spojrzenia, kiedy grałyśmy w scrabble albo robiły krótkie wycieczki. Nie mogłam rozszyfrować, co miały znaczyć te spojrzenia. W ubiegłym tygodniu powiedziała mi, żebym była przygotowana na coś wielkiego przy okazji naszego następnego spotkania, które miało nastąpić jutro.

Kiedy weszłam na górę, babcia stała w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na chudych piersiach. Pamiętałam babcię jako łagodną kobietę o okrągłych kształtach i serce ścisnęło mi się na widok luźno wiszącego na niej ubrania; miałam wrażenie, że stoi przede mną inna babcia.

- Gdzie się podziewałyście? Okropnie się o was martwiłam.

- Jest dopiero dziesięć po dwunastej. - Wskazałam na tani timeks, który babcia miała na ręku.

- Martwiłam się już po dwóch minutach. - Gdy babcia ścisnęła mnie mocno, Merry pokazała mi język.

- Przygotowałam na obiad gorący barszcz. Oczywiście, zapomniałam o kwaśnej śmietanie. Wasza babcia jest teraz oficjalną idiotką. Nawiasem mówiąc, uznaną za taką w tym tygodniu.

- Przez kogo? - Merry chwyciła twardy cukierek z miseczki, którą babcia trzymała napełnioną specjalnie dla nas.

- Przez kogo? Przez wszystkich. Pani Edelstein z parteru prosiła mnie, żebym odbierała jej pocztę w czasie jej wizyty u syna w New Jersey. I zgadnijcie, kto zapomniał?

- To przecież nic takiego - powiedziałam.

- Wiercie mi, to tylko czubek góry lodowej. - Babcia wyjęła portmonetkę z sekretarzyka zajmującego większą część ciasnego przedpokoju. - Masz tu, Merry. Idź i kup trochę kwaśnej śmietany. Potrzebne mi jest też ćwierć litra mleka i trzy jabłka, ale nie te blade, które kładą z przodu. Śmietanę i mleko też wyjmij z głębi półki.

- Lulu powinna iść. Nie przychodzi tu co tydzień, tak jak ja, więc mogłaby mnie wyręczyć - powiedziała Merry. - Chcę zostać z tobą.

- Chętnie pójdę - oświadczyłam z nieskrywanym entuzjazmem. Dusiałam

się w tym trzypokojowym mieszkaniu babci. Nie mogłam uwierzyć, że mój ojciec mieszkał tu jako nastolatek. Musiało mu być ciasno. W malutkiej kuchni stał

miniatury stół nakryty kawałkiem czerwonej ceraty wyszorowanej aż do przesady, stara lodówka i kuchenka, która wyglądała jak eksponat z brooklyńskiego muzeum.

Pokój dzienny niemal w całości wypełniała pokryta rdzawoczerwonym aksamitem kanapa i krzesło, ale mimo to babcia wepchnęła tam jeszcze chwiejące się małe stoliczki przykryte papierowymi serwetkami w kolorze herbacianym.

Babcia bez przerwy sprzątała mieszkanie, ale i tak wszędzie unosił się ciężki zapach, jaki często panuje w mieszkaniach starych kobiet.

- Nie, ty zostaniesz. - Babcia wręczyła pieniądze Merry. -

Tylko pamiętaj, wyciągaj z głębi.

Merry wyszła, a ja zwinęłam się na starej kanapie, starając się nie dotykać twarzą szorstkiego materiału i biorąc do rąk jedyną dostępną tu rzecz do czytania - drukowany dużą czcionką biuletyn Reader's Digest.

- Porzuć na chwilę swoje nawyki mola książkowego.

Muszę z tobą porozmawiać. - Babcia usiadła obok mnie na kanapie i wyjęła mi z rąk magazyn.

Posłałam jej dyskretny uśmiech.

- A o czym?

- Powinnaś wiedzieć o kilku sprawach. - Babcia ujęła mnie za rękę. Pomimo delikatnego wyglądu, miała mocny uścisk. - Nie będę żyła wiecznie, Lulu.

- Nie lubię, kiedy tak mówisz.

- Ciii. Mówiąc, że nie wiecznie, mam na myśli, że już niedługo. Lekarz powiedział, że z moim sercem nie jest dobrze, a cukrzyca ciągle ten stan pogarsza. No i te oczy...

ledwie mogę cokolwiek zrobić. Wybacz, że ci to mówię, mamela, ale śmierć będzie dla mnie wybawieniem. Martwię się tylko tym, kto zaopiekuje się waszym ojcem. I kto będzie czuwał nad Merry.

- Muszę iść do łazienki, babciu.

- Możesz wytrzymać jeszcze chwilę. Posłuchaj mnie -

kiedy umrę, czuwaj nad siostrą.

- Już teraz nad nią czuwam.

- Nie pozwalaj sobie za dużo. - Babcia zgmiotła mi palce, boleśnie ściskając moją rękę.

- Auu! - Staralam się wyrwać, ale babcia trzymała mnie w żelaznym, gangsterskim uścisku.

- Pilnuj jej jak jastrząb, słyszysz? - Wciąż mnie nie puszczała. - Opieka nad Merry będzie twoim obowiązkiem, kiedy ja odejdę. Wiem, wiem, myślisz, że już teraz robisz wszystko - ale uwierz mi, że tak nie jest. Gdy mnie zabraknie, będziesz dla niej wszystkim. Potrafisz troszczyć się o siebie, ty zawsze dasz sobie radę, ale ona nie jest taka silna.

- Okej, dobrze. - Słowa babci przytłaczały mnie.

Dlaczego wszyscy myślą, że mogę się o coś albo o kogoś troszczyć? Nie zatroszczyłam się o mamę, prawda?

- I pamiętaj, że twoja siostra chce widywać się z tatą -

powiedziała babcia. Ignorowałam ją, gapiąc się na moje kolana, aż w końcu babcia uderzyła mnie lekko w głowę. -

Spójrz na mnie.

Podniosłam wzrok.

- Powiedziałam, że zaopiekuję się Merry, ale nie możesz oczekiwać, że będę zabierać ją do więzienia. Ja mam dopiero trzynaście lat, babciu.

- Cóż ty masz za charakter. Kiedy próbuję powiedzieć ci, co masz zrobić, mówisz, że nie jesteś dzieckiem, masz trzynaście lat. A teraz raptem, mając trzynaście lat, jesteś dzieckiem? - Pogroziła mi kościstym palcem, nadal trzymając moją dłoń drugą ręką. - Musimy porozmawiać o twoim ojcu.

Wolną ręką nerwowo gładziłam wytarty aksamit kanapy.

Mogę wziąć odpowiedzialność za Merry, ale nie za niego.

- Nie byłeś w odwiedzinach u ojca - powiedziała babcia. -

Ani razu. Kiedy umrę, pojedziesz do niego. Słyszysz? Nie ma nikogo na tym świecie poza tobą i Merry.

- Czy to nie był jego wybór? - Ścisnęłam uda. Nigdy nie rozmawiałam z babcią o tym, jak zginęła mama, że to mój ojciec ją zabił, że wbił nóż mokry od mamy krwi w pierś Merry.

- Twój ojciec zrobił straszliwą rzecz. Nie mam zamiaru go bronić.

Jednakże jest moim synem, a twoim ojcem. Gdy umrę, zaopiekujesz się Merry i zobaczysz się z nim.

Obiecujesz?

- A niby jak miałabym się tam dostać? - Wyobrażałam sobie więzienie jako fortecę ze szczurami wyskakującymi z każdego kąta i poruszającymi się brązowymi plamami karaluchów na ścianach.

- Jesteś bystra. Coś wymyślisz. Zadzwoń do wujka Hala.

Czy ona żartuje? Ciotka Cilla i wujek Hal nie odwiedzali nas od śmierci Mimi Rubee.

- Jeśli nie obiecasz, zabije mnie to - powiedziała babcia.

Wzruszyłam ramionami.

Babcia ponownie uściśniła moją rękę.

- Obiecuj!

Skrzyżowałam palce, nogi trzymałam razem. Nigdy nie pojedę do więzienia Richmond. Nigdy.

- Obiecuję - powiedziałam. - Obiecuję.

- Grzeczna dziewczynka. - Babcia rozluźniła uścisk i poklepała mnie.

- Pamiętaj, obietnica jest rzeczą świętą. Bóg słucha. Jeśli się nie dotrzyma obietnicy, Bóg wie, co się może stać. Ale mniejsza o to. Wiem, że ty dotrzymasz słowa. - Pochyliła głowę i posłała mi pełen aprobaty uśmiech.

- Patrząc na ciebie, widzę twojego ojca. To mnie pociesza. Łatwiej mi będzie umierać, wiedząc, że mogę na ciebie liczyć.

Następnego ranka ubrałam się szczególnie starannie.

Próbowałam być opanowana, czekając, aż Hillary zabierze mnie na „coś wielkiego”. Do tej pory chodziłyśmy do kina, do Muzeum Brooklyńskiego, gdzie Hillary nie mogła się nacieszyć ekspozycją kostiumów z epoki, a ja myślałam, że tam zasnę i żałowałam, że nie zostałam w sierocińcu, żeby pograć w scrabble. Kiedyś zaciągnęła mnie do brooklyńskiego Ogrodu Botanicznego, który podziałał na mnie uspokajająco.

Chciałabym wieść życie tak spokojne, jak atmosfera japońskich ogrodów.

Posłałam moje łóżko tak starannie, jak tylko się dało i jak oczekiwała tego pani Parker, zakładając zwisające krawędzie wełnianego koca pod materac, ostrożnie, żeby nie skaleczyć się o żelazne żebrowanie, na którym ów materac spoczywał, co przydarzyło mi się nie raz w ciągu tych lat. Nie lubiłam

chodzić do naszej opiekunki i prosić ją o neosporin. Robiłam to jednak za każdym razem, gdy przecięłam sobie skórę, gdyż zarazki uwielbiały sierociniec. Niezależnie od tego, jak mocno pani Parker kazała nam wszystko szorować, zawsze spotykało się dziewczyny z Duffy - Parkman rzygające albo wycierające smarki o krzesło. Zakażenia krwi nie należały tu do rzadkości.

Musiałeś stracić nogę albo mieć 42 stopnie gorączki, żeby zabrali cię do lekarza.

Od dawna zastanawiałam się, czy zostać lekarzem, czy antropologiem. Jako lekarz możesz robić dużo dobrego, ratując i lecząc ludzi. Lekarze zawsze wiedzą, co robić -

niezależnie od tego, co się stało. Trzeba czasem zajmować się obrzydliwymi rzeczami, ale właściwie prawie nic nie jest w stanie wywołać u mnie sensacji żołądkowych. Gdy Olive bała się powiedzieć pani Parker, że wydaje jej się, iż ma wszy, sprawdziłam, czy faktycznie je ma. Mało tego - poprosiłam babcię, żeby kupiła preparat na robaki i pielęgnowałam Olive po kryjomu w łazience, podczas gdy Merry stała na straży.

Wyczesalam każdą gnidę.

Antropolog nadaje ludziom znaczenie. Czytałam książkę *Coming of Age in Samoa*, którą ktoś wrzucił do torby razem z innymi darami dla sierocińca. Nasunęła mi ona myśl, że szalenie wiele zależy od miejsca, w którym żyjesz. Bardzo chciałabym być antropologiem, jak Margaret Mead, ale nie wiedziałam, czy mogłabym kiedykolwiek wyjechać tak daleko od Merry.

Ubijałam moją płaską poduszkę, próbując przywrócić ją do życia, ale znajdujące się w niej pierze miało swój własny „rozum”. Odkurzyłam i poukładałam książki na półce według wielkości, ustawiając pośrodku kartkę z wykonanym kredkami napisem: NIE WYPOŻYCZAĆ BEZ POZWOLENIA. Nikt tu zbyt wiele nie czytał, ale kradzież była w sierocińcu ulubionym sportem. Na szczęście, książki nie obchodziły nikogo na tyle, żeby pragnął moich, może z wyjątkiem Olive, która choć straszna, była rzadkim w Duffy okazem uczciwości.

Włożyłam szczotkę i grzebień do mojej jedynej szufladki.

Gdybym wyszła z pokoju, nie zrobiwszy idealnego porządku na moich trzech półkach i nie poukładawszy starannie wszystkich ubrań, miałabym zrujnowany dzień. Miałam najlepiej uporządkowane rzeczy na Brooklynie.

Przejrzałam się w lustrze przymrużonymi oczami, próbując sobie wyobrazić, co myślą o mnie koleżanki z college'u. Większość dziewcząt z sierocińca ubierała się jak dziry, ale ja grzebałam w każdej torbie z

darowanymi ubraniami, szukając sukienek, spodni i spódnic jak najmniej przypominających te noszone przez nie.

Gdy

ludzie

podrzucali

stare

ubrania,

opiekunki

wysypywały zawartość toreb na środku dziennego pokoju, a my przyglądałyśmy się tym rzeczom, jakbyśmy wcale nie były nimi zainteresowane. Jednak w chwili, gdy ktoś wykonał

pierwszy ruch, wszystkie rzucałyśmy się na nie.

Najsilniejsze i najbardziej podłe dziewczyny nosiły najlepsze rzeczy. Dlatego Merry wyglądała na zanedbaną.

Starałam się wyciągnąć dla niej porządne ubrania, ale spróbuj szukać ciuchów w dwóch różnych rozmiarach, kiedy dziewczyny kopią cię kolanami w piersi. Jednak miałam nad nimi przewagę. Kiedy te idiotki szukały szortów, które mogłyby wyeksponować ich pośladki, ja walczyłam o levisy i bluzki z szerokimi rękawami.

Dzisiaj miałam na sobie niebieską bluzkę zapinaną na guziki. Myślę, że ten kolor całkiem dobrze pasuje do mojej cery. Nie żeby to była karnacja przyciągająca czyjąś uwagę, ale przynajmniej nie miałam pryszczycy. Skóra większości dziewcząt w sierocińcu wyglądała tak okropnie, że miało się ochotę zamknąć oczy. Być może był to efekt naszego tłustego jedzenia, więc starałam się jeść najlepsze rzeczy, jakie podawano w Duffy. Oczywiście, nie mogłam tego robić przy każdym posiłku, bo musiałabym wtedy ograniczać się do chleba i wody. Moja zdrowa cera była prawdopodobnie kwestią szczęścia. Słuszny wzrost i brak pryszczycy były moim błogosławieństwem.

Merry wpadła do pokoju. Sprawiała wrażenie przygaszonej i samotnej. W sobotnie poranki wydawało nam się, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie.

- Kiedy wrócisz? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

- Dokąd cię zabiera?

- Nie wiem. To niespodzianka.

Merry wskoczyła na moje łóżko, składając nogi po indiańsku. Chciałam ją przegonić i wyrównać posłanie, ale ona wyglądała tak patetycznie. Biedna babcia starała się poprawić wygląd obciętych włosów Merry, zakręcając je na kilka godzin, ale osiągnęła tyle, że moja siostra przypominała szalonego pudła.

- Nie znoszę być tutaj. - Merry ryła piętami w moim kocu.

- Nie rozwalaj mi łóżka. Wiem, że tego nienawidzisz. Ja też.

- Wszyscy mnie nienawidzą.

- Nie ma nikogo takiego.

- A Reetha i Enid? Pocięły mi bluzkę, kiedy mnie nie było. Tę w kwiatuszki, którą dostałam od babci. - W głosie Merry słychać było rezygnację. - A może to zrobił ktoś inny, kto też mnie nienawidzi.

- Babcia kupi ci nową.

- Nie chcę jej tego mówić. To by ją przeraziło.

- Mam trochę oszczędności. Ja ci kupię nową bluzkę.

Merry leżała na brzuchu, z policzkiem na mojej poduszce.

- Zapomnij o tym - powiedziała stłumionym głosem. - To nie ma znaczenia. Tu wszystko jest złe. Będziemy miały po prostu bardzo złe życie.

To coś wspaniałego, o czym mówiła Hillary, to był lunch z jej rodzicami. Trzymała to w wielkiej tajemnicy, wioząc mnie metrem, przesiadając się setki razy i ciesząc się, jakbyśmy szły na spotkanie z prezydentem. Starłam się nie okazywać rozczarowania. Zmuszałam się, by wyglądać na podekscytowaną, wyobrażając sobie wiele rzeczy. Wypad na zakupy! Sztuka na Broadwayu! Carnegie Hall! Miejsca, o których czytałam i marzyłam, takie jak wierzchołek Empire State Building i lodowisko do jazdy na łyżwach na Rockefeller Plaza.

- Tu mieszkają moi rodzice. - Hillary zachowywała się zwyczajnie, wskazując perłowobiały budynek otoczony szpalerem karłowatych, wiecznie zielonych krzewów.

Mosiężne drzwi lśniły tak, jakby utrzymywanie na nich połysku było czymś jedynym zajęciem. - Zaprosili nas na lunch.

Dom Hillary przekraczał wszelkie moje wyobrażenia. Nie wiedziałam, że takie domy w ogóle istnieją w prawdziwym życiu. Moja bluzka, która wydawała się ładna w lustrze w sierocińcu, teraz wyglądała na znoszoną. Przynajmniej ze względu na wyjątkowo ciepły listopad będę mogła nosić jasnozieloną kurtkę i nie będę musiała pokazywać rozdartej kieszeni.



Dotknęłam moich włosów, czując, że w każdej chwili mogą wymknąć się spod zapięcia. Okna na każdej z czterech kondygnacji lśniły odbitym światłem, czarne linie dzieliły szyby na mniejsze kwadraty.

- Na którym piętrze mieszkanie?

Hillary roześmiała się.

- Na wszystkich. To jest nasz dom.

- Wow! - Nie mogłam się powstrzymać, by tego nie powiedzieć. Za domem na lewo błyszczała woda. - Co tam jest?

- East River. - Uśmiechnęła się i przechyliła głowę. -

Byłaś kiedyś na Manhattanie?

Nie wiedziałam, jak mam jej powiedzieć, że nie jestem pewna, co to słowo znaczy. Myślałam, że jesteśmy w Nowym Jorku.

- Chyba tak. Prawdopodobnie.

- To jest Sutton Place. - Hillary wzięła mnie za rękę.

Rodzice Hillary powitali mnie, jakbym była Anią z Zielonego Wzgórza. Nie miałam zamiaru psuć ich wrażenia, opowiadając prawdę o sobie. Państwo Sachs mieli na sobie takie ubrania, w jakich na moich rysunkach przedstawiałam zazwyczaj mamę i tatę - on brązowy tweedowy garnitur i krawat, ona dopasowaną sukienkę w słonecznym kolorze.

Przypominali mi burmistrza Lindsaya i jego żonę. Rodzice Hillary byli ze wszech miar doskonali, mieli doskonałe zęby i takie same włosy.

W jadalni wszędzie mieniło się szkło. Dominowały tu biel i błękit, kojące i wspaniałe. W moim świecie pokoje były w kolorze spłowiałego beżu. Usiadłam przy stole, gotowa do naśladowania Hillary. Strzepnęła serwetkę tak idealnie gładką, jak rzeczy wyprasowane przez naszą sąsiadkę Teenie, i położyła ją sobie na kolanach. Zrobiłam to samo, przyciskając serwetkę do trzęsących się ud.

Pan Sachs trącił srebrny dzwonek. U mego boku pojawiła się służąca.

- Panienko? - zapytała.

Pani Sachs zwróciła się do mnie.

- Lulu, Mary pyta, czy masz ochotę na bułkę.

Podniosłam wzrok. Mary trzymała w srebrnym pojemniku pulchną białą bułkę. Przełknęłam ślinę, mając nadzieję, że nie straciłam jeszcze głosu.

- Tak, proszę.

Mary położyła bułkę na talerzyku stojącym obok talerza obiadowego. Cały stół był zastawiony małymi talerzykami, na które Mary kładła masło, bułki, a także innymi płytkami, na których stały głębokie. Trzy widelce. Dwie łyżki. Dziesięć srebrnych półmisek pełnych różnych różności. Co niby mieliśmy z tym wszystkim robić?

Pan Sachs uśmiechnął się do mnie, kiwając przy tym głową z zadowoleniem, którego powodu nie rozumiałam.

- Jak sprawuje się moja córka jako twoja starsza siostra?

Hillary potrząsnęła głową.

- Tato, mówiłam ci. W Duffy - Parkman nazywają nas wielkimi przyjaciółkami.

- Wielka przyjaciółka. W rzeczy samej. To brzmi trochę jak ze Studni samotności (Powieść angielskiej pisarki Radclyffe Hall, wydana w 1928 r., zawierająca wątek lesbijski - przyp. tłum.) - powiedział pan Sachs.

- Tata jest profesorem literatury - oświadczyła Hillary, jakby to tłumaczyło słowa jej ojca. - Lulu uwielbia czytać, tatusiu.

Przytaknęłam,

pragnąc

zaprezentować

się

jako

miłośniczka książek.

- Hillary jest wspaniałą przyjaciółką - wydusiłam w końcu.

- To znakomicie - powiedział pan Sachs. - Powinniśmy dać jej trochę twoich starych książek, Hil.

Mary zanurzyła chochlę w dużej srebrnej wazie i naląła zupę do głębokich talerzy - najpierw pani Sachs, potem Hillary, potem mnie, a na końcu panu Sachsovi. Nikt nie sięgał po łyżkę. W sierocińcu dziewczyna, która pierwsza złapała jedzenie z półmiska, zazwyczaj skończyła jeść, zanim ostatnia z dziewczyn sięgnęła po widelec. W końcu, kiedy pani Sachs zanurzyła łyżkę w zupie, wszyscy poszli za jej przykładem.

Jadłam

zupę

ostroźnie,

zachowując

nadzwyczajną czujność i wyobrażając sobie, że bomba wybuchłaby, gdybym uroniła choćby kroplę.

- Jakie książki lubisz najbardziej? - zapytał pan Sachs.

- Lubię biografie. - Biografie brzmiały mądrze.

- A ostatnio ulubiona?

Struchlałam, nie mogąc przypomnieć sobie niczego, co czytałam, z wyjątkiem Are You There, God?, It's Me, Margaret, a te tytuły brzmiały okropnie banalnie. Państwo Sachs przyglądali mi się. Lulu, gwiazda lunchu.

- Marie Curie. Jej książka - odparłam.

- Aha. Właściwie powinnaś powiedzieć: książka o Marie Curie, chyba że ona sama ją napisała. Czy tak?

- Nie. To byłaby autobiografia - powiedziałam. - Prawda?

Pan Sachs uśmiechnął się tak, jakbym wynalazła rad.

- Tak, masz rację. Wydaje mi się, że szkoły na Brooklynie nie są takie całkiem złe, co, Lulu?

Kiedy zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć tak, czy nie, Hillary przyszła mi w sukurs.

- Przestań jej dokuczać, tato.

- W rzeczy samej. Cieszę się, widząc, jak dobrze wydawane są nasze podatki.

Pani Sachs obserwowała jak jem, choć próbowała to ukryć. Zauważyłam, jak delikatnie posługuje się łyżką, kiedy przechyla swój talerz, i uświadomiłam sobie, że ja robię coś wręcz przeciwnego. Odłożyłam łyżkę. Miałam już dość zupy.

- Lulu. Niezwykłe imię. - Pan Sachs skrzyżował ręce na piersiach i odchylił się do tyłu. - Skąd je wzięłaś?

Hillary wyglądała na skępowaną. Nigdy nie pytała mnie o moje pochodzenie, ale z wyrazu jej twarzy wyczytałam, że zna moją przeszłość.

- Moje prawdziwe imię brzmi Louise. Lulu to przezwisko.

- Aha. Ja nazywam moją córkę Hil. - Splótł palce i podparł nimi brodę. - Czy to coś znaczy? Lulu?

Kręciłam się na krześle, nie wiedząc, w jaki sposób zmienić temat.

- Moi rodzice mówili, że kiedy byłam małym dzieckiem, miałam oczy podobne do Małej Lulu. Jak w tym komiksie.

Nie powiedziałam im, co faktycznie mówiła mama, gdy razem z Teenie piły kawę w salonie, a co ja usłyszałam, będąc w przedpokoju. „Była wyjątkowo odrażającym dzieckiem.

Takim cichym. Jej oczy były tak cholernie okrągłe i ciemne.

Jak czarne dziury. Jak u Malej Lulu”.

Nikt nic nie mówił. Może przypomnieli sobie, czemu trafiłam do sierocińca. Pani Sachs ujęła mnie za rękę.

- Masz piękne oczy, Lulu.

Wypuściłam powietrze i uśmiechnęłam się szerzej niż zwykle. Staralam się być miła, jak Merry. Miła i ujmująca.

Hillary była jedynaczką. Powiedziała mi kiedyś, że jej matka nie mogła mieć więcej dzieci. A ona zawsze chciała mieć siostrę.

- Chciałabym, żebyście państwo mogli poznać Merry -

powiedziałam. - Moją siostrę. Jest cudowna. Wszyscy to mówią.

- Z pewnością tak jest. - Pani Sachs skinęła na Mary, co, jak sędzę, miało znaczyć, żeby wniesiono następne danie.

Ważne było szybkie rozumienie gestów.

- Wszyscy ją uwielbiają - dodałam.

- Może kiedyś ją poznamy. - Promienie dobroci i czystości emanowały z pani Sachs.

Przytaknęłam. Merry oczarowałyby ich pod warunkiem, że nie pokazałaby jednego ze swych szalonych numerów, co zdarzało jej się niezmiernie rzadko, może raz do roku, ale nie ośmieliłaby się zrobić tego tutaj. Zwłaszcza gdyby dowiedziała się, że państwo Sachs mogą nas wyciągnąć z Duffy.

- Hillary mówiła nam, że lubisz grać w scrabble -

powiedział pan Sachs. - Nie miałybyś ochoty zagrać z nami?

- Z przyjemnością. - Uświadomiłam sobie, że naśladowuję sposób mówienia Sachsów, ponieważ chciałam brzmieć jak Sachs, zanim stanę się Sachsem.

W odróżnieniu od poplamionych płytek i tablicy pogryzmołonej przez dziewczyny z sierocińca, z którymi grałam, w zestawie do gry w scrabble państwa Sachsów wszystko było jak należy. Płytki były w kolorze

amarantowym, lśniaca plastikowa tablica obracała się wkoło, a każdy z grających miał osobny pojemniczek na swoje litery.

Usiedliśmy w pokoju dziennym, choć oni nazywali go salonem. Zastanawiałam się, czy to tylko inna, lepsza nazwa pokoju dziennego, czy też oznaczała inny pokój. Wszędzie stały krzesła, którym towarzyszyły małe stoliki. W rogu cztery krzesła otaczały wysoki kwadratowy stół, przy którym usiedliśmy jak rodzina.

Staralam się grać lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Miałam niewielkie doświadczenie, bo dziewczyny w sierocińcu bardziej interesowała telewizja. Najczęściej grywałam sama, udając, że gra ze mną ktoś jeszcze.

Wpatrywałam się w moje litery, wiedząc, że w tym zestawie kryje się siedmioliterowe słowo, które muszę odgadnąć.

OWOHDAL WOHAOLD HOLWODA

Zbyt długo się zastanawiałam. Bałam się, że zaczną się niecierpliwić. Ale oni starali się być dla mnie mili.

Wiedziałam jednak, że nie mogą czekać na mnie w nieskończoność. „Ale ja jestem bystra” - chciałam powiedzieć.

„Spójrzcie!”.

HODOWLA

Gdzie mam to położyć? Pot spływał mi po szyi. W holu tykał zegar dziadka. Pani Sachs siedziała ze starannie złożonymi rękami. Litery Hillary trzaskały, gdy je przestawiała w swoim pojemniczku. Pan Sachs wydawał się rozbawiony, obserwując mnie. Uważnie mi się przyglądał. Jak córce. Przypominał mi Carsona Drew, ojca Nancy Drew (Bohaterowie popularnej serii powieści dla młodzieży Nancy Drew

Mystery

Stories,

publikowanych

w

Stanach

Zjednoczonych w latach 1930 - 2003 - przyp. tłum.).

Spokojny i mądry.

Och, dostrzegłam to wreszcie! Położyłam hodowla obok brać, tworząc jednocześnie obrać i hodowla.

- Wspaniale, Lulu! Po prostu wspaniale! - powiedział pan Sachs. - Spójrzcie, Lulu użyła wszystkich swoich liter.

Pięćdziesiąt punktów dodatkowo!

- I popatrzcie, jak to zrobiła. Podlicz to, kochanie. - Pani Sachs wydawała się taka dumna. Hillary miała rację. To było coś wspaniałego.

Wygrałam, i to wcale nie dlatego, że chcieli mi to ułatwić.

Wszyscy

sprawiali

wrażenie takich szczęśliwych i zadowolonych. Wyobraziłam sobie miły zimowy wieczór, ogień płonący w kominku. Pan Sachs może paliłby fajkę.

Merry mogłaby nauczyć się grać w scrabble. Była bystra.

Wszyscy by ją kochali. Wszyscy kochają słodkie dziewczynki.

Siedziałam spokojnie, zastanawiając się, co moglibyśmy zrobić potem. Pragnęłam, żeby pani Sachs powiedziała: „Może zostaniesz na kolacji, kochanie?”. I żeby pan Sachs dodał: „Mógłbym odwiedzić cię potem do domu”.

- Dobra gra! Wystarczy już tego na dziś - powiedział pan Sachs. - Naprawdę miło nam było cię poznać, Lulu.

„Powiedz to. Proszę, powiedz to”.

- Zanim się pożegnamy... - odezwała się pani Sachs.

„Zanim się, pożegnamy, umówmy się na następne spotkanie”. - ...idź do kuchni, do Mary. Prosiłam ją, żeby zapakowała kilka swetrów, których Hillary już nie nosi.

Bardzo ładne swetry. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby je wyrzucić. - Pani Sachs obdarzyła mnie promiennym uśmiechem. - Zamiast wysłać je dokądś razem z innymi niepotrzebnymi rzeczami, będę miała pewność, że znalazły dobry dom.

## 8. Lulu

Państwo Sachs odesłali mnie do domu taksówką. Pan Sachs wręczył mi dziesięć dolarów, o wiele za dużo. Nie był

to zresztą dla niego żaden wydatek. Prawdopodobnie mógłby bez mrugnięcia okiem wydać sto dolarów.

Wróciłam do Duffy o szóstej. Nie chciałam nikogo widzieć. Gdy weszłam do sutereny, pragnąc schować się w dawnej bibliotece, z której nikt nie korzystał, zastałam tam Kelli i jej bandę, palące w toalecie.

- O, popatrzcie, kto wrócił do domu! - powiedziała Kelli.

- Czy Panna College zabrała cię na podryw?

- Zamknij się, Kelli.

Kelli zablokowała mi wejście do kabiny.

- Kto mnie do tego zmusi? Ty? Za pomocą twoich książek?

Rozejrzała się dokoła, czekając na uznanie. Głupawa April uśmiechnęła się tak szeroko, że jej oczy w czarnych obwódkach zniknęły w tłustych policzkach. Maureen z kolei uśmiechnęła się, nie otwierając przy tym ust. Ich mała maskotka, Reetha, kręciła się za nimi.

- Rusz się, Kelli.

Kelli pstryknęła palcem w moją klatkę piersiową.

- Nie nosisz ostatnio stanika? Może jesteś działaczką na rzecz równouprawnienia kobiet, co?

Moje płaskie piersi rozbawiły Kelli, niezwykle dumną ze swych obrzydliwych, obwisłych cycków.

- Odpieprz się - powiedziałam, odtrącając jej pstrykający palec.

April wskazała na mnie.

- Założę się, że nie ma nawet czym wypełnić miseczki w rozmiarze A.

- Czy ty w ogóle masz stanik? - zapytała Maureen.

Makijaż pokrywał jej pokrytą trądzikiem twarz.

- A czy ty w ogóle masz mózg? - zapytałam.

- Może powinnaś poprosić twego ojca, żeby przysłał ci stanik z więzienia,

co? - April zbliżyła swoją twarz do mojej.

Dławiło mnie od tego nadmiaru zapachu Jean Nate zmieszanego z gorzką wonią frankfurterki.

- No więc jak, Córeczko Mordercy? Masz cycki? - Kelli odchyliła się, opierając plecami o drzwi kabiny. - A może zmusimy ją, żeby nam je pokazała, co, Maureen?

Reetha podeszła bliżej Lulu.

- A potem zajmiemy się twoją siostrą.

- Dotknij jeszcze raz mojej siostry, to cię zabiję, ty śmierdzący kawałku gówna. - Dostrzegłszy spełnienie tej groźby w moich oczach, Reetha się cofnęła.

- No, dalej. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Wszyscy są na górze i oglądają telewizję. - Kelli popchnęła Maureen w moją stronę.

Maureen chwyciła mnie za bluzkę pod szyją i szarpnęła na tyle mocno, by ściągnąć materiał do krawędzi mojego białego stanika, urywając przy tym dwa guziki. Kopnęłam ją w goleń.

- Dziwka - wysapała Maureen, kiedy walczyłam z nią, by się uwolnić.

- Prawdopodobnie ma na sobie stanik dziewicy. - April zaryczała oślim śmiechem.

- Tak, Córeczka Mordercy na pewno jest dziewicą - powiedziała Kelli.

- Kto chciałby macać takie małe cycki jak jej?

- Ciągnij dalej, Maureen - zachęcała koleżankę podniecona April.

- Ściągnij ją całkiem.

- Pieprzona lesba. - Zamierzałam kopnąć ją wyżej, lecz Maureen odchyliła się i złapała mnie z tyłu. April podeszła, żeby ściągnąć mi bluzkę.

- Odpierdol się, Maureen, bo cię zabiję. - Wymierzyłam jej mocny cios łokciem, trafiając ją w ramię, gdyż była prawie dziesięć centymetrów niższa ode mnie.

- Niech to szlag! - krzyknęła Maureen. - Trzymajcie ją.

Kelli wyjęła z kieszeni dzinsów mały nóż sprężynowy i otworzyła go. Przyłożyła jego ostrze do mojej szyi i powiedziała:

- Nie ruszaj się.



- Już nie żyjesz - warknęłam, jednym obrotem uwolniłam się z rąk Maureen, od nacisku noża i od spojrzenia wilgotnych oczu Kelli.

Zimne, chude palce Maureen wiły się wokół moich ramion. Wszystko widać było ostro i czysto. Odrapaną beżową farbę. Brązowe rury. Przepelniony kosz na śmieci.

Idiotyczną tablicę, którą postawiono, żeby powstrzymać grafficiarzy.

„Pieprzona dziwko, niech cię szlag, nienawidzę cię, nienawidzę was wszystkich”.

Ostry czubek noża zranił mnie lekko w szyję. Podniosłam nogę, ułożyłam odpowiednio stopę i uderzyłam Kelli w brzuch, odpychając ją od siebie. Upadła na plecy. Skoczyłam na nią i złapałam ją za gardło, ściskając i wyczuwając struny głosowe pod moimi palcami. Kolanem z całej siły ugniatałam jej klatkę piersiową.

- Złaż z niej, jebana! - wrzasnęła Maureen, kopiąc mnie z tyłu. April krzyknęła:

- Załatw ją nożem, Kelli!

- Wstawaj, Lulu - powiedziała Maureen - bo inaczej cię, kurwa, zabiję. Z oczu duszonej Kelli ciurkiem płynęły łzy.

- Skończcie to! - chwytając mnie, wrzasnęła April.

W tym momencie drzwi otwały się z głuchym odgłosem i do środka weszła pani Cohen, pracownica socjalna dyżurująca w sierocińcu podczas weekendów.

- Lulu, zejdz z Kelli, natychmiast.

Pani Cohen trzymała mnie za ramię. Kelli leżała na podłodze, zanosząc się kaszlem. April i Maureen przybrały maksymalnie obojętny wyraz twarzy.

- Nie staraj się chować noża, Kelli, już go widziałam.

Pani Cohen spojrzała na mnie. Chyba zauważyła moją podartą bluzkę.

- Ona mnie dusiła. - Kelli dotknęła swojej poczerwieniałej szyi, na której widać było okalające ją na kształt naszyjnika ślady palców. Próbowała przyjąć pozycję siedzącą.

- Nic ci nie jest? - W głosie pani Cohen nie było słycać współczucia.

Kelli nie odpowiedziała, patrzyła tylko gniewnie.

- Wyglupiałyśmy się tylko - przekonywała April. Reetha stała skulona w kącie.

- Wyglądało to na świetną zabawę. - Pani Cohen spojrzała na mnie ze spokojem. - Lulu, co się stało?

Wzruszyłam ramionami.

- Tak jak powiedziała April, wygłupialiśmy się tylko.

Pani Cohen zwolniła uścisk i w końcu puściła mnie.

Założyła ręce i potrząsnęła głową. Inne pracownice socjalne były młodsze od pani Cohen, która wyglądała raczej jak jedna z tych bogatych dam przywożących do sierocińca ubrania i książki.

- Wszystkie kłamiecie. Kelli, Maureen, April -

zaczekajcie na mnie w sali konferencyjnej. - Pani Cohen obrzuciła je gniewnym spojrzeniem. - Ty też, Reetha.

Sala konferencyjna była to grzeczna nazwa brudnego, małego pomieszczenia bez okien, które służyło do odbywania kary. Nie było tam żadnych obrazków, lamp ani wykładziny dywanowej, tylko twarda kanapa i trzy odrapane plastikowe krzesła.

Pani Cohen zaczęła aż wyjdą, potem spojrzała na mnie zmrużonymi oczami.

Nie mogłam się zorientować, czy jest zła, czy zmartwiona.

- Czemu je chronisz? - zapytała.

- Bo żyję tutaj.

- Mogły cię zranić.

- Ja też mogłam je zranić. Przynajmniej jedną z nich - I to mnie bardzo martwi. Może nawet jeszcze bardziej.

Czy miałam obnażyć swoją duszę w piwnicznej toalecie?

- Martwię się o ciebie, Lulu. Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby stracić to, co masz.

- A co mam?

Pani Cohen przebiegła dłonią nad moim czołem.

- Szansę.

To słowo dotarło do mnie bardziej jako żądanie niż komplement. Pani Cohen miała łagodne oczy, jakbym była swego rodzaju nagrodą. Widziałam, że chce mnie ocalić.

- Martwię się o moją siostrę - powiedziałam. - Boję się, że chce się zabić.

- Pamiętaj - powiedziałam Merry kilka dni później. -

Musisz być dzisiaj wyjątkowo grzeczna. Bądź taka milutka, jak tylko potrafisz.

- Milutka? - Merry cofnęła się, kiedy wkładałam jej bluzkę. - Przestań. Nie jestem dzieckiem. W tym miesiącu kończę dziewięć lat.

Przewróciłam oczami.

- Po prostu bądź sobą.

- Czemu pani Cohen zabiera nas stąd?

Zastanawiałam się, ile mam jej powiedzieć. Moja siostra bez chwili namysłu wypowiadała to, o czym myślała. Nie wiadomo, co z tego by powtórzyła.

- Bo myśli, że ja jestem superbystra, a ty superśładka.

- Naprawdę? - Merry przekrzywiła głowę, pokazując, jaka potrafi być śładziutka. Czy ona wie? Czy moja siostra wie, że potrafi oczarować świat, tylko pokazując swą buzię?

- Namówiłam ją, żeby nas zabrała. - Nie zamierzałam opowiadać Merry o mojej smutnej krótkiej rozmowie z panią Cohen na temat jej depresji. O tym, jak bardzo się bałam, że Merry się zabije. O tym, że kiedyś nie mogłam nic jeść, bo moje gardło się zamknęło. Wymyślałam takie bzdury, że sama nie wiem, jak moje słowa mogły przedostać się przez te pokłady kłamstw. - Może uda jej się znaleźć dla nas rodzinę zastępczą.

- Nie! - powiedziała Merry. - Crystal mówiła mi o nich.

Była kiedyś w takiej rodzinie. Opowiadała, że to było o wiele gorsze niż pobyt tutaj. Zrobili z niej niewolnicę. - Merry zamachnęła się na mnie nogą. - Ja nie idę. Nie możesz mnie zmusić.

- Pójdiesz tam, gdzie ci każe - odparłam. Zanim mógł ją ogarnąć szal, dodałam: - Pani Cohen zabiera nas na lody. Do Jahna.

Merry powstrzymała się od wrzasku. Desery były dla nas rzadką przyjemnością, a lody Jahna serwowane były w przycumowanych do nabrzeża statkach. Babcia zabrała nas tam w grudniu ubiegłego roku, gdy Merry obchodziła ósme urodziny.

- A co będzie, jeśli wyślą nas do dwóch różnych domów?

- spytała Merry.

Przez chwilę pomyślałam o tym, jakie mogłoby być życie bez mojej siostry liczącej na mnie, bez tej ciągłej odpowiedzialności za jej ciało i duszę,

lecz zanim ta idea zdołała zagnieździć się w mojej głowie, wyrzuciłam ją stamtąd.

Byłyśmy tu dlatego, że wpuściłam naszego ojca do mieszkania. Merry została ranna, bo otworzyłam drzwi. To dlatego znalazłyśmy się w Duffy. Obrazy ciała mojej matki wypłynęły stamtąd, gdzie je zagrzebałam. Pozwoliłam ojcu wejść do domu. Pozwoliłam mu zranić nas wszystkich.

- Pani Cohen nigdy by się na to nie zgodziła. Ja się na to nigdy nie zgodzę. Zawsze będziemy razem - powiedziałam.

- Obiecujesz?

Merry wydawało się, że to ja rządę światem.

- Obiecuję, ale musisz być dzisiaj bez zarzutu. Idealna.

Pani Cohen musi nas naprawdę bardzo polubić. Jedyne ona może wyciągnąć nas z Duffy, zanim stanie się coś strasznego.

- Co na przykład? - Merry wyglądała na przerażoną. To dobrze. Jeśli to ma nam pomóc.

- Na przykład to, że ciężko zranią mnie albo ciebie. Albo nas rozdziela.

- Ale przecież obiecałaś - szepnęła.

- Wiem, ale musisz pomóc mi dotrzymać obietnicy, sprawiając, że pani Cohen cię polubi. Spraw, żeby bardzo cię polubiła.

Lodziarnia Jahna robiła wrażenie zimnej i gładkiej jak podawane w niej lody. Wszędzie dokoła lśnił marmur i drewno. W powietrzu unosił się zapach cukru.

- Czy ktoś w ogóle jest w stanie zjeść coś takiego? -

Merry wskazała obrazek przedstawiający duży półmisek wypełniony trzema gałkami lodów - czekoladowych, truskawkowych i waniliowych - udekorowanych kawałkami banana i bitą śmietaną.

- Może jacyś nastoletni chłopcy - powiedziała pani Cohen. - Myślę, że ten deser byłby dla ciebie trochę zbyt duży.

Merry zrobiła wielkie oczy.

- Nie zamierzałam takich zamówić, pani Cohen.

- Nic takiego nie sugerowałam, kochanie. - Pani Cohen otoczyła Merry ramieniem i uścisnęła. - Zamów to, na co tylko masz ochotę.

Merry uniosła do góry brodę, uśmiechając się do pani Cohen.

- Bardzo, ale to bardzo dziękuję. Czy oni zgodzili się, żeby pani nas tu zabrała?

- Jesteśmy tu przecież, czyż nie? - Bałam się, czy nie zabrzmiało to zbyt cierpko, więc uśmiechnęłam się szybko, choć wiedziałam, że nigdy nie będę wyglądała tak czarująco jak Merry. - Naprawdę jesteśmy pani bardzo wdzięczne, pani Cohen.

- Nie oczekuję podziękowań - powiedziała. Zaprowadziła nas do stolika pod oknem. Kiedy Merry i ja przeglądałyśmy menu, dosłownie ciekła nam ślinka.

Po złożeniu przez nas zamówienia kelner szybko postawił

przed nami trzy srebrne talerze: mały z lodami kawowymi dla pani Cohen, waniliowo - karmelowy deser lodowy z pianką żelową zamiast bitej śmietany dla Merry i dwie gałki lodów czekoladowych z posypką dla mnie.

W mojej łyżeczce odbijały się wszystkie lustra znajdujące się wokół nas. Zanurzyłam ją w gałce gęstych lodów i wzięłam ich odrobinę do ust, pragnąc, by ta przyjemność trwała wiecznie. Raz w miesiącu dostawaliśmy w Duffy spumoni. Małe porcje tak zwanych lodów, składających się z kilku warstw, na przemian różowych i zielonych, owiniętych w woskowany papier, o paskudnym smaku.

- Dobrze? - zapytała pani Cohen.

- Pyszne. - Odłożyłam łyżeczkę na talerz. - Pani Cohen, czy mogę panią o coś spytać?

- Oczywiście, skarbie. O co chodzi?

- Co to jest święto Chanuki? Co Żydzi powinni wtedy robić? Merry podniosła wzrok znad swojego deseru, który zdążył się już rozpuścić.

- Babcia mówi... Kopnęłam ją mocno pod stołem.

- Wiem, Merry, wiem. Babcia mówi, żeby się tym nie przejmować. To dlatego, że czuje się smutna.

Przyglądałam się badawczo zatroskanym oczom pani Cohen, chcąc wyczytać w nich jej reakcję. Zamiast bezkształtnej sukienki przypominającej fartuszek, którą zwykle nosiła, miała na sobie czarno - biały sweter i czarne spodnie. Brązowe, siwiejące włosy splotła we francuski warkocz i wyglądała na młodszą i mniej pulchną.

- Nie wiecie nic o Chanuce? - zapytała pani Cohen.

- Gdy mówią o Chanuce w szkole, naprawdę nic z tego nie rozumiem. - Westchnęłam przeciągle i smutno. - Babcia nie ma pieniędzy na prezenty z

okazji świąt Bożego Narodzenia i Chanuki ani nawet na nasze urodziny. Staramy się nie zadawać jej kłopotliwych pytań.

Moja siostra patrzyła na mnie, jakbym była stuknięta.

„Trzymaj buzię na kłódkę, Merry” - przesłałam jej wiadomość, na ułamek sekundy szeroko otwierając oczy.

- Jesteśmy chyba jedynymi żydowskimi dziećmi w Duffy.

Może to bez znaczenia, ale nie mam nikogo, kogo mogłabym spytać o moje dziedzictwo. - Oblizywałam czubek łyżeczki. -

Czy to właściwe słowo - dziedzictwo? Sprawdzę to, kiedy wrócimy.

- Tak, to właściwe słowo, kochanie. - Twarz pani Cohen złagodniała. Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać. -

Chanuka jest świętem świąteł. Zostało ono ustanowione ponad dwa tysiące lat temu, na pamiątkę zwycięstwa Żydów, którzy odzyskali swoją świątynię. Chanuka oznacza poświęcenie.

Obchodzimy je, zapalając codziennie o zachodzie słońca specjalne świece.

- I dając sobie prezenty, prawda? - głos Merry przybrał na sile.

- Tak, obdarowując się prezentami. - Pani Cohen uśmiechnęła się i pogłaskała Merry po głowie. - Moje dzieci uwielbiały to święto, gdy były w waszym wieku. Być może za bardzo się nim przejmujemy, starając się rywalizować z Bożym Narodzeniem, które jest trudne dla żydowskich dzieci.

- Musimy wkładać specjalne bożonarodzeniowe ubrania, kiedy przychodzą te kobiety - powiedziała Merry.

Przytaknęłam, informując panią Cohen, jakie to trudne być żydowskim dzieckiem noszącym krynolinę i śpiewającym Ave Maria dla bogatych kobiet, które sponsorują dodatkowe wydatki naszego sierocińca, takie jak puzzle dla starszych dziewcząt i kolorowe klocki dla małych dziewczynek. Czasem dostawałyśmy jakiś szampon, żeby nie musieć myć głowy brązowym kastylijskim mydłem. O tak, bogate kobiety zmieniły nasze życie.

- Ale za to dostajemy keks - powiedziałam, z lekką przesadą w głosie.

- Keks. - Pani Cohen przewróciła oczami. - Dziewczyнки, musicie skosztować ziemniaczanych latkes i rugelach (Odpowiednik placków ziemniaczanych oraz rodzaj słodkich ciastek z rodzynkami, orzechami i serem (jid.)).

- Co to są latkes? - zapytałam, ponownie kopiąc Merry.

„Nie mów jej o babcinych plackach”.

- Mam pomysł. Będziecie obchodzić Chanukę razem z moją rodziną.

## 9. Lulu

1975

Pogrzeb babci wyglądał, jakby żywcem wzięty z Rodziny Addamsów, tylko że w odróżnieniu od kuzyna To i Rąsi, widok przyjaciół babci przyprawiał

o gęsią skórkę. „Córki mordercy. Dziewczynki Joeya”.

Tak szeptały stare damy. „Pamiętacie jej syna? Tego mordercę? To są jego córki”. Patrzyły na nas ukradkiem, a potem ściszały głos, jak gdybym nie wiedziała dokładnie, o czym mówią. Żałowałam, że nie mam odwagi, żeby do nich podejść i poklepać jedną z nich po ramieniu. „Przepraszam, czy pani mówi o mnie? O córce Joeya? To nie jest zaraźliwe, wie pani? Aha, na ostatnim świadectwie miałam same piątki.

Dziękuję, że pani zapytała. A tak przy okazji - nie ma czegoś takiego jak gen mordercy. Wiem, bo uczyłam się biologii”.

Choć tak naprawdę nie wiedziałam.

Babcia umarła pięć miesięcy po tym, jak wymogła na mnie obietnice związane z jej śmiercią. Umarła we śnie.

Jej brat, nasz wujek Irving, znalazł ją, wezwał policję, a potem pojechał prosto do sierocińca, żeby nam o tym powiedzieć. Nie mogłam znieść świadomości, że babcia nie żyje i chciałam, żeby wujek Irving sobie poszedł, ale on wciąż mówił, opowiadając o rzeczach, które mnie wcale nie obchodziły, na przykład o tym, jak odwiedzał babcię wtedy, kiedy była jeszcze w lepszej formie.

Miałam nadzieję, że ludzki mózg wyłącza się w momencie śmierci i że potem człowiek już nie myśli. Miałam nadzieję, że życie po śmierci jest tylko mitem. Babcia nie powinna była wiedzieć, że tak długo czekała, aż ją ktoś znajdzie, że już zaczęła się rozkładać.

Nikt nie zwracał uwagi na Merry ani na mnie, gdy siedziałyśmy w małej kaplicy, czekając na pogrzeb.

Znajdowałyśmy się w przegrzanym pomieszczeniu. Dywan na posadzce był tak zniszczony, że równie dobrze mógł być linoleum. Zbyt jasne oświetlenie uwydatniało garstkę żałobników.



Merry trzymała mnie za rękę tak mocno, że ktoś mógłby pomyśleć, iż oddycha poprzez moje palce.

Po nieskończeniu długich minutach obserwowania starszych ludzi, którzy obserwowali nas, zjawił się wujek Irving. Podszedł, położył rękę na plecach każdej z nas i popchnął w stronę małego bocznego pomieszczenia, w którym znajdowała się trumna.

- Pożegnajcie się z babcią - powiedział. - Zanim zamkną trumnę. Żydzi nie odprawiają nabożeństwa przy otwartej trumnie, więc jak już zostanie zamknięta, nie zobaczycie babci więcej.

Merry otworzyła swoje oczy laleczki tak szeroko, że przez chwilę pomyślałam, że upadnie i umrze ze strachu. Czy dziewięciolatka może dostać ataku serca?

- Ja się pożegnám za nas obie, wujku Irvingu. -

Wskazałam Merry jedno z brudnych krzeseł w kolorze mahoniu stojących pod ścianą. - Zostań tu.

Wszyscy patrzyli, jak idę do pomieszczenia z wystawioną trumną. Wujek Irving otworzył drzwi, wepchnął mnie do środka, po czym przymknął je, zostawiając mnie samą. Było tam zimno i tak jasno, że chciałam zamknąć oczy do końca życia. Straciłam czucie w rękach i w nogach.

„Nic się nie stanie, nic się nie stanie - powtarzałam sobie. -

Wszystko w porządku”. Myślałam o tym, jaka dzielna musiała być Anna Frank.

Babcia leżała na lśniącym białej satynie wyściełającej trumnę. Jej twarz pokrywał gruby makijaż. Czy jej zamknięte oczy nie mogą się nagle otworzyć?

Patrząc na nią z tak bliska, czułam się, jakbym kradła jakieś jej sekrety. Czy ludzie wiedzą, że będą się na nich gapić, kiedy umrą?

- Dobrze wygląda - powiedział wujek Irving, który wszedł do pokoju, jakby chciał mnie o tym zapewnić. -

Ładnie.

Czy on oszalał? Babcia wyglądała jak woskowe jabłka i banany, które trzymała na półmisku. Mówiła, że mogłyby zmienić ją w tancerkę hula.

„Wyobraź sobie to wszystko na mnie” - powiedziała kiedyś. Jedynym kosmetykiem, którego babcia używała do makijażu, była szminka o nazwie Chińska Róża.

Przechowywała zużyte opakowania, więc pod koniec miesiąca, kiedy czekała na emeryturę, wyskrobywała z nich resztki koloru.

„Za bardzo spłukana na piękno - mawiała nam, wydłubując ostatni kawałek szminki. - Wasza babcia jest zanadto spłukana, żeby ładnie wyglądać”.

„Ty zawsze ładnie wyglądasz” - mówiła na to Merry, obejmując babcię mocno. Ja przewracałam oczami, ale babcia sprawiała wrażenie zadowolonej. Powinnam była być dla niej miłsza. Taka jak Merry.

Ledwie poruszając wargami, wyszeptalam nad trumną: - Wujek Irving ma rację, babciu, naprawdę ślicznie wyglądasz.

Merry dyndała nogami zwisającymi z głębokiego siedzenia karawanu zakładu pogrzebowego. W pojeździe unosił się zapach wilgotnej wykładziny dywanowej i odświeżacza powietrza w kształcie sosnowego drzewka, przywiązanego do wstecznego lusterka. Merry skrzyżowała nogi, starając się zakryć dziurę w zmechaconych czarnych rajtuzach. Chciałam znaleźć dla nas obu jakieś ubranie stosowne do okoliczności, sukienki, których babcia nie nazwałaby a shandeh un a charpeh, ale nie mogłam, i to, co miałyśmy na sobie, to był właśnie wstyd i hańba.

Blade chmury towarzyszyły nam podczas jazdy autostradą. Miałam ochotę podrzeć szarą sukienkę Merry, która idealnie pasowała do przygnębiającego marcowego chłodu i sprawiała, że moja siostra wyglądała jak mała strażniczka więzienna. Tłuste plamy znaczyły miejsca, gdzie poprzedniej właścicielce tej sukienki prawdopodobnie upadły kawałki jedzenia.

- Kto będzie się nami teraz opiekował? - szepnęła Merry.

- Babcia się nami nie opiekowała. - Wyglądałam przez okno, obserwując wijącą się drogę, która coraz bardziej oddalała nas od Brooklynu. - Odwiedzałyśmy ją tylko co tydzień.

- To ja widywałam ją co tydzień - odparła Merry. -

Ponieważ jeździłam z nią w odwiedziny do taty. Ty nie byłaś z nią tam ani razu.

- Cicho bądź, Merry. - Nie chciałam, żeby wujek Irving i kuzynka Budgie, siedzący z przodu, słyszeli, co mówię, więc przytknęłam usta do ucha Merry i ponownie ostrzegłam ją, żeby przestała mówić o tacie.

Merry miętosiła krawędź sukienki, ignorując to, co powiedziałam.

- Kto mnie teraz do niego zabierze?

- Ani słowa na ten temat, dobra? Okaż szacunek naszej babci; jesteśmy na jej pogrzebie. - Miałam ochotę ją trzepnąć.

- Chcesz, żeby wujek Irving pomyślał, że ona nic nas nie obchodzi?

Merry zacisnęła usta w sposób, którego nie znosiłam.

- Odwiedzanie taty byłoby okazaniem babci szacunku.

Zacisnęłam dłoń aż do bólu, a potem szturchnęłam Merry w ramię.

- Auu!

Wujek Irving obejrzał się.

- Dobrze się czujecie, dziewczynki?

Mama mawiała, że jego czarny garnitur wygląda na starszy i brzydszy niż błotnista ziemia. Gdy wujek Irving przyjechał, żeby powiedzieć nam, że babcia zmarła, nie pamiętałam nawet, że on był jej bratem. Nigdy chyba nie widziałam ani jego samego, ani jego córki, kuzynki Budgie, która była bardziej w wieku naszych ciotek niż kuzynek.

Po kuzynce Budgie widać było napięcie, ale zachowywała się cicho. Kiedy przyjechali zabrać nas na pogrzeb, wcale nas nie pocałowała, nadstawiała tylko swój głupi policzek, jak jakąś tłustą nagrodę. Nie chciałam dotknąć wargami jej oślizłej, pokrytej makijażem skóry. Kuzynka Budgie śmierdziała jak wnętrze babcinej torebki.

- Dobrze, wujku Irvingu. - Posłałam mu dziewczęcy uśmiech.

- Tylko bądźcie ostrożne. - Odwrócił się z powrotem, przyglądając się drzewom ciągnącym się wzdłuż autostrady.

Jechaliśmy na cmentarz na Long Island, gdzie - jak powiedział

wujek - mamy rodzinny grobowiec.

- Nie chcemy mieć z wami żadnych problemów - dodała kuzynka Budgie, nie racząc przy tym nawet na nas spojrzeć.

Wpatrywała się w kierowcę karawanu, jakby martwiła się, co on sobie pomyśli. Pokazałam jej język za plecami, nie przejmując się tym, czy kierowca to widzi.

Dla nich Merry i ja byłyśmy córkami mordercy. Tak samo jak dla tych starszych pań w domu pogrzebowym.

Samochód podjechał pod cmentarz. Było tu jeszcze mniej ludzi niż w domu pogrzebowym. Wiekowe przyjaciółki babci miały miliony wymówek, dlaczego nie mogą przybyć. „Jest za zimno. Strasznie bołą mnie nogi. W

marcu jest największa wilgotność powietrza”.

Miałam nadzieję, że babcia nie może spojrzeć na dół i zobaczyć, że prawie nikt nie uczestniczy w jej pogrzebie. Pięć osób łącznie z rabinem, ale on nie miał wyboru. To była jego praca.

Karawan zwolnił przed zielonkawą żelazną bramą z wykutymi na niej gwiazdami Dawida i zwojami Tory.

Wjechaliśmy na cmentarz i ruszyliśmy powoli wąską alejką otoczoną z obu stron nagrobkami, z których część zgrupowana była blisko siebie, a inne stały osobno.

- Nie możecie tego wiedzieć - powiedział po drodze wujek Irving - ale gdy kupowaliśmy miejsce na tym cmentarzu, wszystkie macewy były tak blisko siebie jak krakersy w pudełku.

Skręciliśmy w lewo w Drogę Jerozolimską i jechaliśmy nią aż do końca. Karawan zatrzymał się i my też stanęliśmy.

Teraz będziemy musieli pochować babcię.

- Ubierz rękawiczki - poleciłam Merry. Sama też włożyłam moje wełniane, z jednym palcem, trzęsąc się, gdy wujek Irving otworzył ciężkie drzwi limuzyny i wpuścił do środka zimne cmentarne powietrze.

Merry zdjęła swe rozciągliwe rękawiczki w czerwono -

różowe prążki. Były na nią za małe, ale innych nie miała. Na nogach miałyśmy baletki, które pani Cohen wygrzebała nie wiadomo skąd. Pomagała nam się ubrać, przybywszy specjalnie tylko dlatego, że jechałyśmy na pogrzeb.

- Patrz - szepnęła Merry. - Jest tu jeszcze ktoś.

- Nie musisz mówić szeptem. Wolno nam rozmawiać. -

Choć czułam na sobie nienawistne spojrzenie mojej zbyt -

dobrej - dla - nas matronowatej kuzynki, to mówiłam na tyle głośno, żeby mogła to usłyszeć. Merry wskazywała duży samochód, nie tak duży jak karawan, ale długi i ciemnoniebieski. Jakiś mężczyzna opierał się o maskę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a obok niego stał drugi, władczo wyprostowany.

- Myślę, że to rabin.

- A to nie on jest rabinem? - Merry wskazała na mężczyznę o guzowatej twarzy, w jarmułce i szalu przykrywającym jego garnitur. Czekał przy otwartym grobie, patrząc jak dwaj mężczyźni niosą trumnę babci. Spuścili ją

do grobu za pomocą czegoś w rodzaju liny.

Wujek Irving i kuzynka Budgie podeszli do odsłoniętego grobu, pozostawiając nas przy samochodzie. Przypuszczałam, iż spodziewali się, że podążymy za nimi.

- Czy powinniśmy iść z nimi? - głos Merry był delikatny i zatroskany.

- Tak sądzę. - Sięgnęłam do kieszeni, szukając papierowych chusteczek, które dała nam pani Cohen.

Prowadziłam Merry powoli i ostrożnie po zmarzniętej brązowej trawie. Zwłoki mogą leżeć wszędzie. Na terenie wykupionym dla naszej rodziny znajdowało się kilka nagrobków. Puste miejsca czekały na nas. Wujek Irving powiedział, że Merry i ja, nasze dzieci i nasi mężowie, my wszyscy będziemy mieli tu swoje groby. Niczego bardziej nie pragnęłam, jak leżeć tu po wieczne czasy obok głupiej kuzynki Budgie. Podeszliśmy bliżej do otwartego grobu.

- Merry? Lulu?

Podskoczyłam na dźwięk tego głosu.

- Tata! - Merry chwyciła mnie za rękę i pociągnęła z powrotem. Rzuciła się na ojca. Kajdanki na rękach nie pozwalały mu jej objąć i Merry uderzyła w jego klatkę piersiową. Wygiął się tylko niezdarnie, przytulając policzek do jej wełnianego kapelusika, czerwonego kapelusika, który Merry włożyła, gdyż należała na to pani Cohen. Nawet dziecko mogło się zorientować, że był nieodpowiedni na pogrzeb, ale nie chciałam się kłócić z panią Cohen.

- Tatusiu! - krzyczała Merry. - Nie wiedziałam, że tu będziesz.

- Nie dali mi czasu, żeby do was napisać. - Obserwował

mnie, podczas gdy Lulu przytulała się mocno do niego; wpatrywał się we mnie, dopóki nie kopnęłam w zmarzniętą ziemię. - Chodź tu, Lulu. Przywitaj się ze mną. Sporo czasu minęło.

„No jasne, sporo czasu minęło, od kiedy zabiłeś mamę”.

Mężczyzna towarzyszący memu ojcu, dozorca czy strażnik, jakkolwiek go nazwać, stał tuż za nim.

- No chodź - nalegał ojciec.

Dzwoniłam zębami tak mocno, że o mało nie wyskoczyły.

Zacisnęłam wargi, żeby tego nie widział.

- Lulu, mamy niewiele czasu - powiedział głosem tak zwyczajnym, jakbyśmy mieli iść do kina i on się bał, że się spóźnimy

Merry patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, prosząc, żebym do nich podeszła. Powłócząc nogami, pokonałam dzielący mnie od nich krótki dystans i zatrzymałam się w pewnej odległości. Ojciec bardzo się zmienił. Nie był ani szczupły, ani gruby. Jego ciało sprawiało wrażenie silnego, nawet w tym luźnym garniturze. Okulary upodabniały go do Clarka Kenta - Supermana.

- Ile masz lat? - zapytałam.

- Trzydzieści dwa.

Mama miałaby trzydzieści jeden.

Podniósł głowę i obserwował mnie. Merry tuliła się do niego, chowając głowę w jego ubraniu.

- A ty masz trzynaście - powiedział. - W lipcu będziesz miała czternaście. Wow.

„Wow”. To słowo wychodziło mi gardłem, a ja nie wiedziałam czemu. Czułam się zakłopotana pod wpływem jego spojrzenia.

- Jesteś wysoka, tak jak mój ojciec.

Próbowałam przypomnieć sobie fotografie, które babcia trzymała na telewizorze.

- Masz ładne włosy - powiedział. - Lubię ten kolor.

Ręką w jednopalczastej rękawiczce dotknęłam moich włosów.

- „Śni mi się Jeanny o jasnobrązowych włosach” -

zaśpiewał. Zapomniałam, jaki ładny głos ma nasz ojciec.

Śpiewał mi, kiedy byłam mała. Nigdy nie były to dziecięce piosenki. Tłumaczył, że lubi nucić, a nie recytować. „Nie spodziewaj się po mnie żadnych bzdetów w rodzaju Hickory Dickory Dock - mawiał. Przed spaniem śpiewał Only the Lonely. Kiedy urodziła się Merry, na topie było Oh, Pretty Woman, i ojciec chodził po domu, śpiewając ten szlagier. Gdy słyszę śpiewającego Roya Orbisona, myślę zawsze o moim ojcu. Wyłączam radio, kiedy nadają jedną z tych piosenek.

- Lulu, odjęło mowę, co? - powiedział ojciec do Merry.

Potem jego twarz zmieniła się. - Dobra, dziewczynki.

Chodźmy się pożegnać.

Szliśmy razem, zimny wiatr szczypał mnie w nos. Ojciec lekko się kołysał, być może z trudem utrzymując równowagę z rękami w kajdankach.

Jak mu się szło ze skutymi z przodu rękami? Moje ręce drżały. Chciałam spróbować.

Kuzynka Budgie odsunęła się od nas, jak tylko mogła najdalej, jakby tata mógł wysunąć rękę i dźgnąć ją nożem albo coś w tym stylu. Podeszłam bliżej do ojca, tak blisko, że krawędziami płaszcza dotykałam jego rękawa i trzęsłam się.

Rabin śpiewał prawdopodobnie po hebrajsku. Ojciec i wujek Irving podchwycili słowa. Słuchając tych obcych dźwięków, zastanawiałam się, czy mogłabym przytulić się do ojca, nawet gdyby to było dozwolone. Nie żebym chciała.

Rabin przeszedł na angielski, a ja starałam się bardzo być skupiona, ale zbyt dużo myśli kotłowało się w mojej głowie.

- Ty, który jesteś źródłem miłosierdzia, prosimy cię, osłoń ich na wieki swymi skrzydłami i zwiąż ich dusze z duszami żyjących, aby mogli odpoczywać w pokoju i pozwól nam powiedzieć: Amen

- Amen - powiedział mój ojciec ze spuszczoną głową.

Wujek Irving i kuzynka Budgie mruknęli „amen”, chociaż Budgie mogła równie dobrze szepnąć: „To jest całkiem chore”.

- Amen - szepnęła Merry.

Chciałam to powiedzieć. Chciałam być źródłem miłosierdzia. Chciałam, żeby babcia spoczywała w pokoju, i może powiedzenie „amen” było szczególnym sposobem, żeby jej w tym pomóc, ale nie mogłam wydobyć z siebie słowa w obecności ojca. W końcu prawą ręką narysowałam to słowo na lewym ramieniu, powtarzając w głowie każdą literę.

Rabin podniósł łopatę i nabrał nią grudę zmarzniętej ziemi, którą wrzucił następnie do grobu babci. Merry zrobiła głęboki wdech, gdy ziemia spadła na trumnę. Rabin podał

łopatę wujkowi Irvingowi, który powtórzył ten rytuał, po czym wręczył łopatę swej córce. Budgie nabrała łyżeczkę ziemi i stała, trzymając ją, z malującą się na twarzy złością.

- Czemu oni to robią? - Merry zapytała ojca. Przetarła rękawiczkami spierzchnięte, mokre policzki.

Rabin położył rękę na jej ramieniu.

- Robimy to, żeby towarzyszyć naszej ukochanej zmarłej w jej podróży.

Merry pociągnęła nosem, trzymając ojca za rękę; nie mogąc zrobić nic innego, oparł głowę na jej czerwonym kapelusiku. Wzięłam łopatę z rąk

mojej śmierdzącej starej kuzynki i włożyłam cienki trzonek między drżące ręce ojca.

Podeszliśmy razem do grobu babci. Merry poszła za nami.

Ojciec i ja pochyliliśmy się razem, podnieśliśmy grudę ziemi i niezgrabnie, czterema rękami, donieśliśmy tę ziemię nad grób.

Trumna babci leżała ciemna i samotna na dnie dziury.

Jak jeden mąż, odwróciliśmy łopatę i obserwowaliśmy, jak ziemia spadała na środek trumny.

Podaliśmy łopatę Merry, która wbiła ją zbyt głęboko i nabrała za dużo ziemi. Pomogłam jej ją podnieść i razem zakryłyśmy dalszy fragment trumny.

„Przepraszam, babciu”.

- Pora jechać, Joey - powiedział strażnik mojego ojca.

Człowiek ten miał zaskakująco miłą twarz, a może sprawiał takie wrażenie dzięki okularom w grubych oprawkach.

Pomyliłam okulary z dobrocią.

- Czy mogę spędzić z dziewczynkami jeszcze trochę czasu, Mac? - Ojciec wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Miałam ochotę go uderzyć. Merry uczepiła się jego marynarki.

- Proszę - błagała - zostań dłużej.

Ojciec spojrział na strażnika tak samo błagalnie jak Merry.

- Przykro mi, Joey - odparł strażnik. - Czas na nas, stary.

Pożegnajcie się z tatą, dziewczynki.

Ojciec spróbował podnieść ręce, żeby nas uściskać, ale kajdanki nie pozwalały mu na to.

- Kocham cię nad życie, tatusiu. - Merry objęła go w pasie. Ojciec położył skute ręce na jej głowie.

- Ja ciebie jeszcze bardziej, skarbie. - Ojciec podchwycił moje spojrzenie. - Ciebie też, Lulu.

Wzruszyłam ramionami.

- Słuchaj - powiedział. - Wiesz o tym dobrze. I ja też wiem, że ty mnie kochasz.

Spojrzałam mu prosto w oczy, wytrzymując jego przeszywający wzrok.



- Tego nie wiesz.

- Tak, on to wie - odezwała się Merry, trzymając nadal głowę na jego piersiach.

- Lulu, jestem twoim ojcem - powiedział. - I nigdy nie będziesz miała innego.

- Ja nie mam ojca.

- Właśnie, że masz - nie ustępowała Merry. - Tata jest naszym ojcem. - Nie chciała go puścić, wciąż obejmując go ramionami.

- Chodźmy, Joey. - Strażnik usiłował odciągnąć Merry od ojca, co powodowało, że trzymała go jeszcze mocniej.

- Nie odchodź, tatusiu - powiedziała.

Tata delikatnie odsunął Merry. Ona jednak nie puszczała jego marynarki, naciągając coraz bardziej materiał. Musiałam to zakończyć. Położyłam rękę na jej ramionach.

- Puść go - powiedziałam. - Pozwól mu odejść, bo będzie miał jeszcze większe kłopoty.

Merry zwolniła uścisk i upadła na mnie.

- Wybacz, dziecinko - zwrócił się ojciec do Merry. - Tak mi przykro. Chwyciłam ją i zmusiłam, żeby się odwróciła i ruszyła z miejsca.

- Bądź dzielna, dziecinko! - zawołał ojciec. Strażnik dotknął jego głowy, pomagając mu wsiąść do samochodu.

Mama umarła prawie cztery lata temu, a ja zdążyłam zapomnieć nawet to, gdzie została pochowana. A shandeh un a charpeh.

Wujek Irving i kuzynka Budgie skierowali się z powrotem do karawanu. Podążyliśmy za nimi, gotowe do powrotnej jazdy do Brooklynu. Obejrzałam się i wyciągnęłam szyję, żeby jeszcze raz zobaczyć, gdzie jest babcia.

Przepraszam, babciu.

## 10. Merry

Grudzień 1975

Nie było dnia, żebym wciąż nie myślała o babci, choć minęło już dziewięć miesięcy od jej śmierci.

Już kończył się grudzień, za parę dni nastanie nowy 1976 rok.

Lulu i ja opuszczaliśmy Duffy. Byłam przerażona.

Nigdy dotąd się nie pakowałam. Poskładałam bluzki dokładnie tak, jak nauczyła mnie babcia, gdy pomagałam jej robić pranie, przekładając każdy rękaw na ukos przez piersi i robiąc z każdej bluzki małą paczuszkę. Potem włożyłam je do zdezelowanej brązowej walizki babci. Nie miałam pojęcia, po co babci była walizka. Przez całe życie nigdzie nie wyjeżdżała.

Wygładziłam jasnyniebieskie ponczo. To ponczo było dla mnie najcenniejszą rzeczą w mojej garderobie od chwili, gdy pani Cohen dała mi je na święto Chanuki.

Nikt nas nie zaczepiał, od kiedy dowiedziano się o pani Cohen i o nas. Można było odnieść wrażenie, że w jednej chwili stałyśmy się jakby magicznymi istotami. Nawet Reetha zostawiła mnie w spokoju. Czasami rzucała mi ten swój przerażający, słodki uśmiech, który odsłaniał wszystkie jej żółte zęby, tak jakby myślała, że może zabiorę ją ze sobą.

Tak jakby.

Chętnie zabrałabym Janine i Crystal. Przyrzekłyśmy sobie nawzajem, że zawsze będziemy przyjaciółkami, ale Lulu powiedziała, że nie byłaby tego taka pewna. „One nie chciałyby cię tu widzieć z powrotem po tym, jak stąd wyjedziesz - powiedziała mi. - Zwłaszcza że pani Cohen nie będzie już dłużej pracować w Duffy”.

Zastanawiałam się, o której godzinie pani Cohen i jej mąż tu przyjadą. Nie wiedziałyśmy z Lulu, jak ich nazywać, więc kończyło się zwykle na „oni”. Teraz, kiedy będziemy z nimi mieszkać, musimy znaleźć dla nich lepsze określenia.

Kiedy myślałam o wprowadzeniu się do ich domu, czułam się tak, jakby chciało mi się siusiu. Pytania kłębiły się w mojej głowie. „Czy potrafię być cały czas grzeczna? Co będziemy tam robić? Jak długo państwo Cohen będą mnie lubić?”

Lulu wsadziła głowę do mojej sali.

- Jesteś gotowa? Oni wkrótce tu będą.

Przeszła na moją stronę sypialni, rzuciła papierową torbę, którą trzymała w ręce, i natychmiast zaczęła sprawdzać zaścielone łóżko i każdą szufladę w szafce, czy czegoś nie zapomniałam.

- Boję się - powiedziałam.

- Jesteś pewna, że masz wszystko? - Lulu uklękła, zajrzała pod łóżko, potem wstała i otrzepała z kurzu dzinsy, które były takie długie, że doły ich modnie wystrzępionych nogawek

zamiatały

podłogę.

Metalowe

sprężyny

zatrzeszczały, gdy Lulu usiadła na cienkim, pozbawionym pościeli materacu, podniosła kolana pod brodę i podtrzymując je długimi rękami, kręciła nimi w powietrzu koła. Z każdym miesiącem Lulu stawała się wyższa, spokojniejsza i bystrzejsza, podczas gdy ja pozostałam karzełkiem. Pragnęłam urosnąć. Chciałam stanąć na wysokości zadania w tym najważniejszym momencie mojego życia. Pani Cohen musi być szczęśliwa z powodu tego, że mnie wzięła. Cohenowie konieczne powinni mnie polubić, pokochać.

- Jak myślisz, jak długo pozwolą nam zostać? -

zapytałam.

Lulu zmarszczyła brwi.

- Nie wiem i nie pytam. Ty tylko musisz być dobra. Jeśli pozwolą nam zostać trzy lata, będę miała wtedy skończone osiemnaście i będę mogła się tobą opiekować. - Lulu usunęła moją rękę z klatki piersiowej, żeby nie dotykała blizny. -

Naprawdę dobra - podkreśliła. - Nie możemy sprawiać im żadnych kłopotów.

- Czy to, że nas zabierają, nie oznacza, że się nami zaopiekują?

- Oni są starzy. Pani Cohen jest już prawie emerytką.

- Nie jest taka stara.

- Na Boga, Merry, ona ma z sześćdziesiąt lat.

Sześćdziesiąt! Gdyby była naszą prawdziwą matką, musiałaby cię urodzić koło pięćdziesiątki.

Lulu wepchnęła mój zbiór książek o Nancy Drew, które kiedyś należały do niej, do walizki babci. Zabrałam je z domu babci, kiedy wujek Irving zawiózł nas tam i powiedział: „Cokolwiek stąd chcecie, jest wasze”. Nie wiedziałam, co jeszcze wziąć. Ciężki tasak ze zniszczonym drewnianym trzonkiem, którego babcia używała zawsze do robienia sałatki z jajek? Gruby rdzawoczerwony koc z jej łóżka? Lulu zobaczyła, że przyglądam się wszystkiemu i powiedziała: - Cohenowie pomyślą, że jesteś stuknięta, jeśli wkroczysz tam z torbą pełną starych rzeczy babci. - Wzięłam więc tylko kilka fotografii, które Lulu przechowała dla mnie w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem Reethy.

Pragnęłam zabrać coś, co należało do babci. Coś, czego mogłabym dotykać, aby ją czuć.

Na największym zdjęciu widać było tatę w dniu ślubu.

Mamy na nim nie było. Tata pokazywał w uśmiechu swe doskonałe zęby, włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Był

najprzystojniejszym

mężczyzną,

jakiego kiedykolwiek

widziałam.

Na innym zdjęciu tata trzymał mnie wysoko na ramionach, a wiatr na Coney Island rozwiewał nam włosy. Wyglądałam jak miniaturowa nastolatka w malutkim bikini. To było latem przed śmiercią mamy. Tata lubił śpiewać krótki „bikini song”, zastępując żółte kropki czerwonymi, bo miałam kostium kąpielowy w czerwone kropki. Babcia śmiała się, kiedy jej to opowiadałam.

- Jak możesz to pamiętać? - dziwiła się. - Byłaś wtedy małym pisklaczkiem.

Nie przejmowałam się tym, że nikt mi nie wierzy. To było jedno z moich ulubionych wspomnień. Nie miałam takich wspomnień związanych z mamą, chociaż tęskniłam za nią każdego dnia.

- Zrób coś dla mnie, Merry - powiedziała Lulu. - Nie dekoruj tymi zdjęciami całego twojego pokoju u Cohenów, dobrze? Odłóż je gdzieś.

Zycie z Cohenami nigdy nie było łatwe. Po upływie niemal roku nauczyłam się, jak być grzeczną, prawie doskonałą, ale wciąż się martwiłam, że się kiedyś zapomnę.

Lulu często przypominała mi, że jedna chwila zapomnienia mogłaby oznaczać katastrofę.

Wraciałam ze szkoły do domu, kopiąc liście unoszone podmuchami październikowego wiatru. Liście w Central Parku czy na Manhattanie były ładniejsze niż te na Brooklynie.

Zazwyczaj wracałam do domu, oddalonego o pięć przecznic od szkoły, razem z moją najlepszą przyjaciółką, Katie, ale teraz Katie była przeziębiona i nie chodziła do szkoły. Dobrze mi było samej; wystarczała towarzysząca mi świadomość, że mam przyjaciółkę. Do tego planowałam po drodze różne rzeczy, na przykład to, jak zorganizować sobie znowu widzenia z tatą.

Przesunęłam ręką w dół po moim nowiutkim płaszczyku, który pani Cohen kupiła mi u Bloomingdale'a, gdzie czułam się jak w muzeum, bo wszystko było pod szkłem, błyszczące w jaskrawym świetle. Tego dnia, gdy kupiliśmy płaszczyk, pani Cohen obejmowała mnie, kiedy przechadzałyśmy się po sklepie, dotykając bawełnianych koszul, podziwiając złote medaliony i zegarki.

Anne.

Mama.

Pani Cohen.

Nadal nie wiedziałam, jak się do niej zwracać.

Tego wieczoru, gdy Lulu i ja wprowadziłyśmy się do ich domu, pani Cohen powiedziała: - Mówcie do mnie Anne. - A kilka tygodni później rzekła z pragnieniem w głosie: - Jeśli chcecie, możecie nazywać mnie mamą. - Lecz kiedy spróbowałam, brzmiało to głupio. Prawdziwe dzieci państwa Cohen, które były już dorosłe i miały własne małe dzieci, spoglądały na mnie skwaszone i złe, słysząc, jak zwracam się do ich matki. Przede wszystkim jednak nie mogłam tego robić, bo myślałam, że nasza mama byłaby wściekła.

Nawet gdybym chciała nazywać panią Cohen mamą, co zresztą czasem robiłam, musiałabym też nazywać doktora Cohena tatą, ale on nigdy o to nie prosił, a poza tym miałam przecież prawdziwego ojca. Wobec tego zwracałam się do nich

bezosobowo,

co

utrudniało

rozmowę. Babcia

powiedziałyby, że to najgorsza rzecz, jaka mogła się stać.

Powiedziałyby mi, żebym przestała tyle myśleć.

Mocniej otuliłam się płaszczem, osłaniając się przed wiatrem.

Myślenie o ojcu sprawiało, że wszystko stawało się płynne. Nawet przed Katie musiałam udawać, że tata nie żyje.

Tak przykazała mi Lulu, zanim jeszcze poszłyśmy do nowej szkoły.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczęła Lulu, zachowując się tak, jakbym mogła wpaść w szal, czego już nigdy nie robiłam. - Kiedy zaczniemy szkołę, nie wolno ci mówić czegokolwiek o naszym ojcu ani o więzieniu, ani o naszej mamie, ani w ogóle o niczym. - Wyrzuciła to z siebie jednym tchem.

- Kto tak powiedział? Oni? - Mówiąc „oni”, miałam oczywiście na myśli Cohenów.

- Ja tak mówię. Nie będę więcej Córką Mordercy. I ty też nie. Rozumiesz?

Rozpłakałam się, ale cicho, żeby pani Cohen nie przyszła i nie dopytywała się zmartwiona, co się stało. Lulu szturchnęła mnie w ramię.

- Przestań.

- Auuu.

- Posłuchaj. - Położyła mi ręce na ramiona. - Nasza historia brzmi tak: nasi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. I tyle. Do wypadku doszło na północy stanu.

Jechali do Catskills. Mieszkałyśmy z Mimi Rubee do jej śmierci. Trafiliśmy do Duffy, bo nie miałyśmy innych krewnych. Teraz jesteśmy tutaj. I to wszystko.

Lulu była wszystkim, co miałam. Stosowałam się do wszelkich jej poleceń.

Szybciej niż pragnęłam, dotarłam do dużego białego budynku na West Eighty-seventh Street, w którym mieszkali Cohenowie. Portier Dominic skinął mi głową i uśmiechnął się, jak to czynił zawsze, otwierając drzwi. Często myślałam o nim tuż przed wejściem do budynku. O tym, że będę musiała się do niego uśmiechnąć i być przekonana, że nie pomyśli, iż jestem rozpuszczona albo taka, która uważa, że wszystko jej się należy. Nie cierpię domu z portierem.

Uśmiechnąwszy się do niego i podziękowawszy mu, pobiegłam do czekającej windy i nacisnęłam na szóste piętro, czując znajomy świst, gdy ruszyła w górę. Włożyłam klucz do zamka, modląc się, żeby nikogo nie było w domu. Gdy byłam sama, mogłam myszkować po mieszkaniu, nie martwiąc się o to, czy jestem dobra, czy zła.

- Merry? - Pani Cohen wyszła z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę w niebieską kratę. - Zgadnij, kto tu jest!

Staralam się nie okazywać emocji.

- Eleanor? - zapytałam. Córka pani Cohen na mój widok zachowywała się zawsze tak, jakby czuła jakiś smród.

Natomiast syn pani Cohen udawał, że ja nie istnieję.

- Chodź do nas. Mamy ciastka czekoladowe z orzechami i lody. Położyłam torbę z książkami w przedpokoju i powłócząc nogami, poszłam do kuchni.

- Cześć - powiedziałam do Eleanor, starając się ukryć rozczarowanie.

Eleanor skinęła mi głową, próbując wyrwać się pięcioletniej Rachel, która ciągnęła ją za spódnicę. Brzydka jak wszystkie jej ubrania - przypominała worek z grubego płótna, a na jej aksamitnej bluzce widać było sztywne plamy w miejscach, gdzie wyciekało z jej sutków mleko. Mocno kręcone jasne włosy miała związane z tyłu chustką. Lulu mówiła, że Eleanor ubiera się tak, jakby sądziła, że wciąż jest nastoletnią hippiską. Słyszałam, jak doktor Cohen pytał swoją żonę, czemu ich córka musi ubierać się jak wieśniaczka. Brat Eleanor, Saul, był pod tym względem jej przeciwieństwem.

Wszystko doskonale na nim leżało. Był chirurgiem, tak jak doktor Cohen, i cenił w życiu dokładność i czystość.

- Mamo, czy możesz ją wziąć, a ja tymczasem nakarmię maleństwo. - Eleanor popchnęła kolanem Rachel w kierunku pani Cohen.

- Merry, mogłabyś zająć się Rachel? - Pani Cohen obdarzyła swą wnuczkę nerwowym uśmiechem. - Czy chciałabyś, kochanie, żeby kuzynka Merry coś ci przeczytała?

Rachel podbiegła do stosu książek i wiklinowego kosza z zabawkami. Eleanor przewróciła oczami. Pocierałam kciukiem dolną wargę.

- Nie mąć jej w głowie - powiedziała Eleanor. - Jeśli każdego będziesz nazywać jej kuzynem czy kuzynką, Rachel nie będzie wiedziała, co to znaczy.

Pani Cohen popatrzyła przeprasząco najpierw na Eleanor, a potem na mnie.

- Nie każdego. - Ścisnęła moje ramię i wręczyła mi naczynie z lodami i leżącym na wierzchu tłustym ciastkiem orzechowym, które na pewno bym zwróciła, gdybym próbowała wepchnąć je na siłę do ściśniętego gardła.

- Przeczytaj mi to. - Rachel położyła mi na kolanach książkę doktora Seussa. Wzięłam ją i zaniósłam do salonu, zanim pani Cohen albo Eleanor

zdążyły powiedzieć coś jeszcze.

- „Słońce nie świeciło. Było za mokro na zabawę” -

czytałam. Rachel przytuliła się mocniej, wsunawszy kciuk do swych różanych ust.

Na wprost kanapy stał błyszczący, cudny fortepian Cohenów, który wydawał się olbrzymi. Ponieważ był

poniedziałek - dzień, w którym przychodziła sprzątaczką -

czarny wierzch instrumentu lśnił. Stała na nim cała masa fotografii, których złożone ramki jakby nakreślały kontury życia państwa Cohenów.

Na brzegu fortepianu przysiadło jedyne nasze zdjęcie, na którym byliśmy obie z Lulu, zrobione w domu krewnych doktora

Cohena,

mieszkających

na

Long

Island.

Uśmiechałyśmy się leciutko, nijako. Przez cały dzień nie odstępowałam Lulu ani na chwilę. Nikt z nami nie rozmawiał, nie licząc uwag, jaka to jestem śliczna - „Patrzcie na te loki i dołeczki” - kompletnie ignorując Lulu, jakby była moją opiekunką.

„Więc siedziałyśmy w domu przez cały ten bardzo zimny, mokry dzień”.

Gdy po raz pierwszy przyjechałyśmy tu, by zamieszkać u Cohenów, chciałam być cały czas blisko Lulu. Czekałam nawet na nią pod drzwiami do łazienki. Mieszkanie wydawało nam się ogromne, mimo iż byłyśmy w nim już wcześniej z wizytą. Perspektywa mieszkania pod jednym dachem z mężczyzną zdawała się niesamowicie dziwna. Kiedy obie z Lulu przechadzałyśmy się po mieszkaniu, zapierało mi dech w piersiach. Pani Cohen powiedziała, że to jest teraz nasz dom; nie wolno nam było tylko wchodzić do gabinetu doktora Cohena. Miesiąc później widziałam, jak doktor zabrał tam Rachel, rysował jej coś i bawił się z nią lalkami, pracując równocześnie.

Jestem przekonana, że tata nie zabroniłby mi wchodzić do jego gabinetu. Lulu mówiła, że mama zazwyczaj pozwalała nam bawić się w jej pokoju, że zwykle używałyśmy jej dużego łóżka jako cyrku, wsadzając kij od miotły pod kołdrę, żeby stworzyć z niego maszt cyrkowego namiotu. Lulu opowiadała mi



o tym późnym wieczorem, kiedy pod wpływem koszmarnych snów tak bardzo bolała mnie głowa, iż myślałam, że ją rozbiję, by pozbyć się tego bólu, i biegłam do pokoju Lulu.

Rachel stała się ciężka, gdy usadowiła się głębiej na moich kolanach, nadal ssąc swój kciuk. Gdybym mieszkała z tatą i gdyby tata miał gabinet, nie sądzę, żeby zabraniał mi tam wchodzić.

Kiedy przeczytałam ostatnią linijkę książki, zobaczyłam, że Rachel zasnęła. Przykryłam ją patchworkową afgańską narzutą, którą pani Cohen trzymała na kanapie, i wyszłam na palcach do mojego pokoju.

Wciąż dziwiło mnie to, że posiadam jakąś przestrzeń tylko dla siebie. Podczas gdy w sierocińcu wszystko było byle jakie i zniszczone, tutaj mój pokój wypełniały nowe rzeczy.

Udrapowane pomarańczowe zasłony związane były z tyłu aksamitnymi sznurami. Na moim łóżku leżały poduszki w tęczy kolorach. Jedyną rzeczą, której nie lubiłam, był

oprawiony plakat przedstawiający drzewo w zimie, gołe, z ciemnymi konarami wznoszącymi się na tle ponurej, szarej ziemi. Obraz ten działał na mnie przygnębiająco, ale Cohenowie bardzo go lubili, więc udawałam, że mnie też się podoba.

Zauważyłam dwie nowe koperty leżące na moim łóżku i szybko je podniosłam. Musiały być od ojca. Nikt inny do mnie nie pisał. Jeden list był do mnie, a drugi miał być dla Lulu.

Ona nie otworzyłaby listu od taty, więc adresował je do mnie, a moim zadaniem było przekonać ją, żeby posłuchała, co ojciec pisze. Zadanie, z którego zwykle się nie wywiązywałam.

Rozciąłam kopertę.

Droga Merry, tęsknię za tobą niewyobrażalnie. Jak ściany tęsknią za farbą. Jak Abbott tęsknił za Costello. Jak piłeczka bejsbolowa tęskni za kijem. Minęło już sporo czasu od śmierci babci, a ja nie widziałem ani ciebie, ani Lulu.

Wszystkie listy taty zaczynały się w ten sam sposób: jak bardzo za mną tęskni i ile czasu minęło, od kiedy widział mnie po raz ostatni. W ubiegłym tygodniu listy zawierały niebo tęskniące za gwiazdami i mydła tęskniące za myjkami.

U mnie nic nowego (cha, cha!). Nie, to nieprawda. Mam nowego towarzysza w celi. To nie najlepsza rzecz w więzieniu. Codziennie jest tu coraz bardziej tłoczno. Wiem, że w końcu nadejdzie mój czas. Ten facet (ma

na imię Hank) przynajmniej nie wygląda na takiego, który chciałby mi robić jakieś świństwa.

Czasem czytając listy ojca, chciałabym być ślepa.

Skończyłem moje szkolenie optyczne. Możesz dać wiarę?

Naprawdę nauczyłem się tu nowego fachu. Babcia byłaby szczęśliwa. Robię teraz soczewki do okularów. Jestem szlifierzem. Gdy się zobaczymy, wszystko ci opowiem. Ale kiedy to będzie? Napisałem do waszych nowych rodziców zastępczych, ale na razie nie dostałem od nich odpowiedzi.

Aha, powiedziałem im, żeby nawet nie myśleli o tym, by was adoptować. Nie mam najmniejszego zamiaru rezygnować z mojej rodziny.

Czy tata był na mnie wściekły? Wyobrażałam go sobie, jak rzuca różnymi rzeczami. Wali nimi. Rani Cohenów.

Wszystko mnie uciskało i biłam się po klatce piersiowej, dopóki to uczucie nie minęło.

Czy Cohenowie chcą adoptować Lulu i mnie? Czy to dlatego tata wracał do tego tematu? Nie odważyłam się zapytać go o to, kiedy mu odpisywałam, bo gdyby Cohenowie przeczytali te listy, może pomyśleliby, że ja nie chcę być przez nich adoptowana. Albo że chcę.

Merry, powtarzaj im, że chcesz do mnie pojechać. Proś ich często! Tak baaardzo cię potrzebuję!

A jak tam w szkole? Czy nadal przyjaźnisz się z Katie?

Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać, kiedy stąd wyjdę. Mój prawnik przygotowuje kolejną apelację. Mówi, że zbrodnia w afekcie powinna być inaczej traktowana.

W każdym razie pamiętaj, jak bardzo cię kocham. Nie mogę się obejść bez ciebie, jak auto nie może się obejść bez kół.

Z miłością, Tata

Upuściłam list na łóżko i próbowałam wymyślić, w jaki sposób mogłabym odwiedzić ojca. Nie wyobrażałam sobie pani Cohen ze złotymi bransoletkami i apaszkami, jadącej ze mną do więzienia.

Musiałam schować ten list. Musiałam namówić państwa Cohenów, żeby zabrali mnie do taty, zanim wpędzi nas wszystkich w kłopoty. A co będzie, jeśli oni uświadomią sobie, że to dla nich zbyt trudne, trzymać nas tutaj? Co jeśli oddadzą nas z powrotem do sierocińca, zanim Lulu skończy osiemnaście lat?

# 11. Merry

## Listopad 1977

- Mam nadzieję, że nie wykorzystałam twojej siostry. -

Pani Cohen wepchnęła garść farszu do trzymanego przeze mnie indyka. - Myślisz, że kupienie dla mnie indyka sprawiło jej kłopot?

Lulu pracowała po szkole w supermarkecie, co dawało jej - w przekonaniu pani Cohen - szansę na zdobycie najlepszej sztuki.

- Nic się nie stało. - Mimo upływu dwóch lat, nadal unikałam bezpośredniego zwracania się do pani Cohen. W

grudniu skończę dwanaście lat i wciąż nie wiem, jak rozwiązać ten problem. Praca razem z nią w kuchni była torturą. Pochylałam głowę, lecz za każdym razem, kiedy musiałam ją o coś spytać albo jej odpowiedzieć, czułam na sobie jej wzrok. - Wszyscy praktykanci w A&P starają się zdobyć najlepszego indyka dla swoich rodziców. Tak mi mówiła Lulu.

Wzdrygnęłam się, słysząc samą siebie mówiącą słowo „rodzice”, ale użyłam go, wiedząc, że pani Cohen się ucieszy.

Nie przejmowałam się kłamstwem, nie wtedy, gdy dzięki niemu mogłam sprawić, że ludzie czuli się wyjątkowo.

Dlatego ludzie mnie lubili. Ale czy pani Cohen uwierzyła, że dla Lulu jakiegokolwiek znaczenie miało to, jakiego indyka będziemy jeść w Święto Dziękczynienia? Nie żeby Lulu odmówiła spełnienia jakiegokolwiek prośby pani Cohen, ale potem powtarzała wciąż, jaka ona jest irytująca.

- Lulu jest taka czuła na łamanie zasad. - Pani Cohen klepnęła indyka. - Chciałam tylko mieć wystarczająco dużego ptaka. Jesteś pewna, że nie jest na mnie zła?

Pani Cohen wydobywała ze mnie informacje, jakbym była jakimś magicznym koralikiem na mojej siostrze. Wyciągnięcie z Lulu czegoś bardziej osobistego wymagało nie mniej szczęścia niż zdobycie Fort Knox. Pani Cohen rozpaczliwie próbowała zrozumieć moją siostrę. Gdybym chciała, mogłabym powiedzieć jej, że Lulu myśli tylko o tym, żeby dostać się do college'u poza Nowym Jorkiem i wynieść się od Cohenów.

Kiedy ostatnio zapytałam Lulu, czemu tak bardzo nie lubi Cohenów,

klepnęła mnie w buzię i powiedziała: - Obudź się, Merry. Jesteśmy tylko częścią ich planu. Chyba nie wierzysz, że oni myślą, że jesteśmy rodziną? - Na jej twarzy pojawił się grymas, który mógł świadczyć o tym, że ma zamiar się rozpłakać. - Jedyna rodzina, jaką mamy, to my.

Chciałam wspomnieć o tacie, ale to by ją tylko rozzłościło.

- Nie jest zła - zapewniłam panią Cohen. - Tylko zmęczona.

Lulu praktycznie rzuciła indyka na stół, kiedy wróciła do domu wczoraj wieczorem. Pani Cohen była często przejęta tym, że Lulu pracuje tyle godzin, ale doktor Cohen przekonywał ją, że dopóki należy do wyróżniających się uczniów - „na miłość boską, Anne, tylko dwoje uczniów w całej szkole ma lepsze stopnie od niej” - on nie ma nic przeciwko jej wielogodzinnej pracy. Praca kształtuje charakter. To jej pomoże w otrzymaniu stypendium.

Doktor Cohen używał takich słów jak „otrzymać” zamiast „dostać”. Moje oceny nigdy go nie interesowały, chociaż byłam już w siódmej klasie. Pozostawił mnie swojej żonie.

Najczęściej byłyśmy w domu same, tylko we dwie. Lulu rzadko w nim bywała. Kiedy nie pracowała w supermarkecie, podawała jedzenie w schronisku dla bezdomnych albo angażowała się jako wolontariuszka w szpitalu w Harlemie.

Eleanor nazywała Lulu „zbawicielką”, ale w jej ustach nie brzmiało to jak komplement. „Ta dziewczyna ma kompleks zbawicielki” - mówiła do pani Cohen, kiwając głową i zaciskając usta.

- Czy mogłabyś zacząć kroić ziemniaki? - zapytała pani Cohen. Podniosłam nafaszerowanego indyka, który ważył

teraz chyba tonę, i sięgnęłam po deskę do krojenia.

Dwukrotnie wypłukałam ziemniaki, tak jak nauczyła mnie pani Cohen, potem pokroiłam każdy z nich na równe ćwiartki, żeby ugotować je i ugnieść.

- Czy wszyscy przyjdą? - Uśmiechnęłam się, żeby pokazać, jak bardzo jestem podniecona perspektywą przybycia całej rodziny Cohenów, którzy wypełnią mieszkanie.

Pani Cohen wydawała się zadowolona z mojego pytania.

- Tak, wszyscy tu będą.

- Czy chce pani, żebym wyczyściła do połysku szkło?

Miałam nadzieję, że powie „nie”. Byłyśmy w kuchni od wielu godzin i spędzenie z nią tyle czasu sam na sam wyczerpało mnie.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - zapytała pani Cohen.

Odwróciłam się do niej plecami i zrobiłam minę do tosterka.

Potem sięgnęłam po szkło.

Pieczony indyk wyglądał jak z reklamy w „Ladies’ Home Journal”. Doktor Cohen położył srebrne półmiski na stole w pokoju jadalnym. Stół rozłożony na maksymalną długość i nakryty ciężkim białym obrusem, wyprasowanym rano przez gosposię, wyglądał jak z telewizyjnego show. Lulu zrobiła wielkie oczy, gdy pani Cohen wyjaśniła, że ta kobieta nie ma nic przeciwko pracy w dniu świątecznym, bo płacą jej wtedy potrójnie.

- Tak jakby to była jakaś różnica - mruknęła pod nosem Lulu. - Powinni dać jej dodatkowe pieniądze za to, że zrobili z niej niewolnicę przez cały rok. Zapłacenie jej dniówki, mimo że nie pracowała, byłoby miłym gestem z okazji Święta Dziękczynienia, prawda? Zamiast odciągać ją od rodziny.

Zgadzałam się z nią, ale obawiałam się, że pani Cohen nas usłyszy, zdenerwuje się i zmartwi. Lulu, której tak zależało, żeby Cohenowie wzięli nas do siebie, zdawała się nienawidzić ich z każdym rokiem coraz bardziej.

- Zanim pokroimy indyka, złożmy dziękczynienie. -

Doktor Cohen delikatnie położył ręce po obu stronach talerza, jakby poddawał to pod rozwagę. Popatrzył na obie strony stołu - na lewą, gdzie siedziała Eleanor z rodziną, a potem na prawą, spoglądając z dumą na Saula, również chirurga, na jego żonę i dziecko.

Pani Cohen rozejrzała się z promiennym uśmiechem po pokoju.

- Kto chce zacząć?

Byłam przekonana, że wszyscy czekają na Lulu i na mnie, że podziękujemy Cohenom za to, że nas przygarnęli, tak jak byśmy były szczeniakami ocalonymi przed pewną śmiercią w schronisku dla zwierząt, które powinny przewracać się na grzbiet i nadstawiać brzuszki do głaskania.

Zeszłego roku wymamrotałam coś o wdzięczności za to, że wszyscy jesteśmy zdrowi. Lulu powiedziała, że powinniśmy być wdzięczni, że nikt z rodziny siedzących przy stole nie zginął w Wietnamie. Pani Cohen przytaknęła, jakby Lulu powiedziała najmądrzejszą rzecz na świecie, choć ja wiedziałam, że Lulu zrobiła przytyk pod ich adresem za to, że została wywołana. Pragnęłam, żeby Lulu się zamknęła, zanim Cohenowie się wściekną.

Lulu uważała, że Cohenowie to najgorszy rodzaj liberałów, nadzianych pieniędzmi i udających normalnych ludzi. Wkrótce po tym, jak zapisałyśmy się do naszych nowych szkół na Manhattanie, Lulu stała się kimś, kogo

doktor Cohen nazywał „naszym domowym protestującym”.

Pani Cohen zmartwiła się, kiedy Lulu pokryła ściany swojej sypialni hasłami typu: „Bojkot sałaty i grejpfrutów”

czy „Feminizm jest potęgą”.

- Nie żebym nie sympatyzowała z przekonaniem Lulu -

powiedziała mi ostatnio pani Cohen. - Kobiety powinny mieć, oczywiście, równe prawa, ale nie chcę, żeby stało się to jej obsesją.

Myślałam, że zbawianie przez Lulu świata było właściwie robieniem na złość Cohenom. Pani Cohen rozpaczliwie pragnęła kupić jej fajne ciuchy i zabrać ją do dobrego fryzjera.

Jednak Lulu wolała nosić wystrzępione ogrodniczki na swym kościstym ciele i zapuszczać coraz dłuższe jasnobrązowe włosy, spadające jej na plecy - przytrzymując je w upalne dni niebieską bandaną. Gdy pani Cohen powiedziała Lulu, że „odpowiednia fryzura byłaby uzupełnieniem jej wprost cudownej figury”, Lulu odparła, że do podania o przyjęcie do college’u nie trzeba dołączać zdjęć, ale dziękuje za tę myśl.

Później, kiedy byłyśmy same, Lulu oskarżyła panią Cohen, że tym stwierdzeniem chciała dać do zrozumienia, że Lulu jest prosta jak baba ze wsi i potrzebuje pomocy.

- Dalej, czekamy - powiedział Saul.

- Ja zacznę - oświadczyła jego żona Amy.

Doktor Cohen skinął głową i uśmiechnął się. Widać było, że Amy jest jego ulubienicą.

- Bardzo proszę, kochanie.

- Tak bardzo jestem wdzięczna. - Amy powiodła wzrokiem po siedzących przy stole. - Jestem wdzięczna mamie i tacie za to, że troszczą się o wszystkich.

Amy uśmiechnęła się znacząco do Lulu i do mnie. Lulu splotła palce obu rąk i oparła podbródek na powstałym w ten sposób moście.

- W tych czasach konfliktów rasowych, wojen, także kulturalnych, jestem wdzięczna za to bezpieczne niebo nad głową. - Amy uśmiechnęła się nieśmiało, zwracając się do Saula, który trzymał na rękach ich dziecko. - A przede wszystkim za mojego męża i to śliczne dziecko.

Pełne aprobaty uśmiechy pojawiły się na twarzach gości przy stole, oczywiście z wyjątkiem Eleanor. Słyszałam, jak nazwała Amy mizdrzącą się

lizuską. Eleanor była po prostu zanadto zła, żeby móc dostrzegać dobro wokół siebie. Amy i pani Cohen były dobre, choć ja też nie lubiłam Amy. Lulu nazywała je liberalnymi Paniami Szczodrobliwymi.

Obrona pani Cohen stała się moim zajęciem.

Rachel oparła się o ramię Eleanor i coś do niej szepnęła.

- Rachel chce coś powiedzieć - oświadczyła Eleanor.

- Co takiego, skarbie? - Pani Cohen nachyliła się ku niej, jakby miała dostać od swej wnuczki milion dolarów.

- Jestem wdzięczna za to, że mam mamusię i tatusia. I że nie muszę być umieszczona w rodzinie zastępczej.

Mięłam w rękach brzeg sztywnego białego obrusu. W

pokoju zrobiło się cicho. W końcu doktor Cohen przełknął

ślinę i powiedział:

- Jesteśmy wdzięczni, że możemy zapewnić dom Lulu i Merry. To dla nas wielka radość. Bycie dla nich ojcem dodaje teraz mojemu życiu nowy wymiar.

Lulu rzuciła mi spojrzenie mówiące: „zobacz, co ja o tym myślę”.

- A za co wy jesteście wdzięczne, dziewczynki? - zapytała Amy. Zacisnęłam usta, modląc się, by Lulu coś powiedziała i żeby zostawili mnie w spokoju. Patrzyłam błagalnie na moją siostrę szeroko otwartymi oczami. Ramiona Lulu opadły w geście odrazy. „Świetnie”. Klasnęła w dłonie i posłała mi leciutki uśmieшек oznaczający: „Okej, sama tego chciałaś”.

- Jestem wdzięczna za to, że wojna się skończyła i że nikt już nie zrzuca na nas napalmu. Jestem wdzięczna, że nie głoduję w Etiopii. Jestem wdzięczna, że nie jestem w Appalachach i nie mam nóg wygiętych krzywicą.  
- Zamilkła i uśmiechnęła się. - Aha, i jestem wdzięczna, że mnie tu wzięto.

Dziękuję całej rodzinie Cohenów.

Doktor Cohen zrobił głęboki wdech.

- Chociaż twoja świadomość społeczna, Lulu, jest prawdziwym błogosławieństwem, mam nadzieję, że nauczysz się kiedyś tego, że etyka i zasady powinny iść w parze z szacunkiem.

Lulu wydała cichy pomruk.

- Chciałaś coś powiedzieć? - zapytał doktor Cohen. Pani Cohen przerwała mu.

- Paul, pokrój indyka, proszę.

- Pozwól mi tylko coś wyjaśnić, Anne. - Doktor Cohen pochylił się do przodu. - Nie odpowiadają ci nasze wartości, Lulu?

Czemu pan Cohen musiał wprawiać ją w zakłopotanie?

Lulu utkwiała wzrok w obrusie i schowała ręce pod stół, prawdopodobnie kreśląc na nich słowa w rodzaju „pieprzę was”. Czułam, jakby moja skóra pękała z traskiem pod naporem wszystkich ostrych słów, które przeze mnie przelatywały.

- Jestem pewien, że mamy tu coś, za co mogłabyś być wdzięczna - powiedział pan Cohen. - Czy jest wśród naszych wartości coś, co mogłabyś strawić?

- Paul - upomniała go pani Cohen.

- Przepraszam cię, Anne, ale mam dosyć niewdzięczności.

Zrobiliśmy dla tych dziewczynek wszystko, co się dało. Czy nie zabraliśmy ich z tamtego miejsca i z rynsztoka ich patologicznej rodziny?

Aż podskoczyłam, słysząc te słowa.

- Zostawcie Lulu w spokoju. Jesteście podli. Dlaczego mam być wdzięczna, że nie pozwalacie mi widywać się z moim ojcem? Czy to nie byłoby wyrazem szacunku, pozwolić mi na to? On nie jest rynsztokiem. On jest moją rodziną. I jest całkiem sam. Czemu mnie karzecie?

- Merry. - Lulu wyciągnęła rękę w moją stronę. - Nie rób tego. Odsunęłam jej rękę.

- Dlaczego nic nie mogę powiedzieć? Czemu mam udawać, że on nie żyje? To nie fair. - Uderzyłam pięścią w biały obrus. Za każdym razem, gdy prosiłam, bym mogła odwiedzić tatę, uciszali mnie i mówili: „kiedyś” albo „we właściwym czasie”. I po raz kolejny przekonywałam się, że nikt nie chce ze mną rozmawiać.

- Uspokój się, skarbie. Skąd ci się to wzięło? - Pani Cohen podniosła się.

- Powiedziałam wam. Chcę zobaczyć mojego ojca. -

Otuliłam się ramionami i kołysałam się do przodu i do tyłu. -

Proszę. Proszę. Proszę. Pozwólcie mi zobaczyć się z tatą.

Amy otoczyła mnie ramieniem i podniosła rękę, żeby powstrzymać panią Cohen.

- Dlaczego, na Boga, ona musi udawać, że jej ojciec nie żyje?



## 12. Merry

### Luty 1978

Jazda do więzienia samochodem była czymś zupełnie innym od podróży promem Staten Island Ferry. Brakowało mi całujących się par i lekko wzburzonych fal, i widoku wież World Trade Center wyrastających przed moimi oczami. W

porównaniu z tym jazda samochodem była nudna, ale ja byłam wdzięczna, że w ogóle jedziemy - statkiem, samochodem albo drogą powietrzną, przelatując ponad murami więzienia. Pani Cohen pracowała ciężko przez trzy miesiące, żeby przekonać swego męża, aby pozwolił mi odwiedzić tatę. Gdy wreszcie zgodził się na to, postanowił, że to on sam mnie zawiezie.

Czy myślał, że więźniowie mogliby zaatakować panią Cohen? Doktor Cohen mówił zawsze, że jego żona nie jest wystarczająco surowa; może myślał, że ona pozwoli mi wystawać razem z więźniami i że nauczę się od nich, jak okradać banki.

Zerkałam na doktora Cohena. Jego ręce pewnie trzymały kierownicę. Od kiedy wprowadziłyśmy się do domu Cohenów, przeszło dwa lata temu, nigdy nie byłam z nim sam na sam. Był cichym człowiekiem, ale w jego towarzystwie trudno było czuć się komfortowo. Czułam się wbita w panującą w samochodzie ciszę, wiedząc, że nudzę doktora Cohena i niezależnie od tego, jak bardzo wyteżałabym umysł, by coś powiedzieć, nie byłam w stanie sobie wyobrazić, co w moim życiu mogłoby go zainteresować.

- Zobaczymy wieże World Trade Center? - zapytałam. -

Widziałyśmy je zawsze z babcią, kiedy płynęłyśmy promem.

Teraz są o sześć lat starsze, prawda? - Zadałam pytanie, choć znałam odpowiedź, ponieważ doktor Cohen lubił wiedzieć różne rzeczy.

- Masz rację. W sierpniu minie siedem lat. Jeśli nie będzie mgły, zobaczymy je w pewnym momencie. - Doktor Cohen rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym z powrotem utkwiał

wzrok w szosie. - Interesuje cię inżynieria? Architektura?

Nie mogłam powiedzieć doktorowi Cohenowi, że te wieże stały się widzialnym znakiem śmierci mojej mamy.

- Ojciec opowiadał mi o tym, jak je budowano -  
powiedziałam. - Czytał o ich uroczystym otwarciu. - Nie wspomniałam,  
że było to tuż po śmierci mamy. Kiedy ojciec trafił do więzienia.

- Naprawdę? Gdzie?

- W gazecie. Babcia zamówiła mu prenumeratę.

- „Daily News”?

Wiedziałam, co doktor Cohen sądził o „Daily News”. Czy on myślał, że  
mój ojciec jest głupi?

- Nie, „Timesa” - skłamałam. Tak naprawdę był to „Post”.

- Doprawdy? - Doktor Cohen kilka razy kiwnął głową.

Robił tak, gdy dowiadywał się czegoś nowego.

- Mój ojciec bardzo dużo czyta. Jego cela jest prawdopodobnie zavalona  
książkami. - Wykrzywiłam twarz w zakłopotaniu. Pomimo tego, że doktor  
Cohen wiózł mnie do więzienia, czułam się dziwnie, rozmawiając z nim o  
tym.

- Może przed świętem Chanuki wybierzemy trochę waszych książek i  
poślemy mu je - powiedział doktor Cohen, obróciwszy się na chwilę ku mnie  
z miłym uśmiechem. - A jeśli nie może dostawać prezentów, moglibyśmy  
ofiarować je więziennej bibliotece.

- To byłoby miłe - szczebiotałam zawstydzona. Zaczęłam nienawidzić  
całej tej dyskusji.

- Wiesz - powiedział doktor Cohen - pomaganie ludziom w trudnym  
położeniu jest błogosławieństwem. Będę szczęśliwy, mogąc pomóc twojemu  
ojcu w jego potrzebie czytania i rozwijania się. Niewykluczone, że kiedyś  
moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

Doktor Cohen zawsze starał się stanąć na wysokości zadania i postępować  
właściwie. Próbowałam sobie wyobrazić jego i mojego ojca jako przyjaciół.  
Pomimo że tata był

najbardziej przyjacielską osobą na świecie, przy doktorze Cohenie czułby  
się nieswojo. Ja czułam się przy nim nieswojo każdego dnia - był tego  
rodzaju człowiekiem, którego nie można było sobie wyobrazić w sytuacji,  
gdy coś zawala.

- To byłoby miłe - powtórzyłam. Nic innego nie przychodziło mi do  
głowy, więc oparłam się o szybę i zamknęłam oczy.

Wydawało mi się, że upłynęło zaledwie parę chwil, kiedy ocknęłam się

nagle, gdy podjechaliśmy pod więzienie i zaparkowaliśmy. Nie wiedziałam nawet, że jest tu parking.

Chrysler New Yorker doktora Cohena był lśniący i czarny i wyróżniał się spośród zardzewiałych, wysłużonych samochodów, których pełno było na parkingu.

Przechodzenie przez to, co razem z babcią zwykłyśmy nazywać ekipą poszukiwawczą, bez jej zabawnych komentarzy było dla mnie upokarzające. „Spójrz, Merry, pani Feingold znowu ufarbowała włosy. Wygląda jak chemiczna tęcza”. Babcia starała się uczynić więzienie ciekawym małym światem.

Doktor Cohen rzucał się w oczy, stojąc w kolejce razem z innymi odwiedzającymi, w garniturze i krawacie, otoczony przez wycieńczone kobiety, ich wrzeszczące dzieci i garstkę wyglądających na zagubionych mężczyzn, ubranych w rozciągnięte podkoszulki z jasnymi wzorami lub zniszczone ubrania robocze.

Poprawiłam mój czerwony kombinezon. Był nowiuteńki i miałam nadzieję, że ojciec pomyśli, że ładnie w nim wyglądam. Pani Cohen kupiła mi go po Święcie Dziękczynienia. Czerwone dżinsowe ubranie miało czarny zamek błyskawiczny przechodzący przez talię.

- Och, Merry! Jesteś taka maleńka i tak doskonała, że wyglądasz jak laleczka! - wykrzyknęła pani Cohen. Wykupiła dla mnie połowę Bloomingdale'a, próbując zatrzeć przykre wspomnienia ze Święta Dziękczynienia. Potem dała mi przekłuć uszy i kupiła mi dwie pary złotych kolczyków. Lulu stwierdziła, że śmiesznie wyglądam, ale nie obchodziło mnie to. W moim przekonaniu wyglądałam dobrze. Pani Cohen też tak uważała.

Wzięłam płytki oddech, gdy przesunęliśmy się na czoło kolejki. Trzymałam złożone ręce przed sobą, żeby nie dać się klepać po piersiach.

- O, panna Merry! - zawołał strażnik McNulty. - Ledwie cię poznałem. Wyrosłaś na młodą damę. Nie widzieliśmy cię przez dłuższy czas.

Wyskoczyłam przed doktora Cohena, żeby pokazać mu, co powinien zrobić, stanąwszy przed strażnikiem. Podniosłam ręce, mówiąc przy tym:

- Umarła moja babcia.

- Och, tak mi przykro. Twoja babcia była urocza.

Prawdziwa dama. Chciałam uściskać McNulty'ego.

- Kto dziś cię przywiózł? - zapytał.

- Jestem doktor Cohen. - To mówiąc, doktor wyciągnął rękę, którą McNulty uścisnął, lekko zdziwiony. - Merry mieszka z moją żoną i ze mną.

- To miło. Szczęściara z ciebie, Merry. - McNulty obrzucił ojca szybkim spojrzaniem zdradzającym szacunek.

- Wspaniale się stało - powiedziałam, rozglądając się po zatłoczonym pomieszczeniu w poszukiwaniu taty. Był tam, siedział przy tym samym co zwykle stoliku, na przeciwnym końcu niż Pete ze swoją beznadziejnie grubą żoną, Anette.

Ludzie na ogół zmierzali co tydzień do tych samych stolików; a jednak nie spodziewałam się, że będzie tu wyglądać tak samo. Czy oni tu kiedykolwiek malują ściany albo coś?

- Merry! - zawołał tata, gdy zobaczył, że do niego biegnę.

Rzuciłam się w jego ramiona, lekceważąc przepisy. Uścisnął

mnie mocno, tak mocno, jakby chciał zrekompensować sobie fakt, że za chwilę będzie musiał odejść. Chciałam wgramolić mu się na kolana i poczuć, jak mnie obejmuje - nie przejmowałam się tym, że miałam dwanaście lat.

- O Boże, jak ty ślicznie wyglądasz. Wstań. Obróć się.

Pozwól mi nacieszyć się twoim widokiem.

Zakręciłam się dla niego, zadowolona, że włożyłam ubranie, w którym wyglądałam ekstra.

- Wyglądasz doskonale. Jesteś taka ładna jak twoja matka, a wyjątkowa z niej była ślicznotka.

Doktor Cohen wydawał się zaskoczony. W domu państwa Cohenów nie mówiło się nigdy o mamie, jakby wymówienie jej imienia było grzechem śmiertelnym.

- A pan jest pewnie doktorem Cohenem - powiedział ojciec. - Miło mi pana poznać.

- Proszę mówić do mnie Paul. - Doktor Cohen uścisnął wyciągniętą rękę ojca.

- Jaką mieliście drogę? - zapytał ojciec, usiadłszy przy piknikowym stoliku. Siadłam naprzeciw niego i gestem zachęciłam doktora Cohena, żeby usiadł obok mnie.

- Całkiem dobrą - odparł doktor. - Jechaliśmy przez Verrazano. Mały ruch.

- Trafiliście bez problemu?

Pod wpływem rozmowy z ojcem doktor Cohen rozluźnił się.

- Bez najmniejszego. To miejsce jest dobrze oznakowane.

Powiedział „to miejsce”, jakby się bał, że mówiąc Więzienie Richmond, mógłby wprowadzić ojca w zakłopotanie.

- Jak się sprawuje moja córeczka?

Doktor Cohen otoczył mnie ramieniem; byłam zszokowana, bo nigdy dotąd mnie nie dotknął.

- To złote dziecko. Przywiozłem jej świadectwo, ale...

- Jak sobie radzi? - przerwał mu tata, być może nie chcąc przypominać doktorowi Cohenowi, że do tego „miejsca” nie wolno niczego wnosić.

- Wspaniale. Jesteśmy z niej dumni. Jest wzorową dziewczynką. Chciałam pogłaskać ojca po rękę, po policzku.

Wyglądał starzej. Miał

zmarszczki wokół ust, nadające mu wyraz smutku.

Policzyłam na palcach. Miał trzydzieści pięć lat.

- Jak się ma Lulu? - zapytał mnie ojciec. - Czyta listy ode mnie?

- Większość z nich - odparłam. - W zeszłym tygodniu dostałam piątki z testu z historii i z dyktanda. Pamiętasz, jak pisałam, że mam zamiar pójść do klasy SP?

- Dla uczniów, którzy wykazują specjalne postępy -

wtrącił się doktor Cohen. - To znaczy, że będzie wykonywać trudniejsze zadania.

- Wiem, co to jest SE - Głos taty brzmiał teraz mniej przyjaźnie. - A co z Lulu? Jak moja starsza córka radzi sobie w szkole?

Doktor Cohen zawahał się przez chwilę; potem powiedział

powoli i bez modulacji głosu: - Bardzo dobrze. Jest w klasie o profilu matematycznym.

Lulu ma talent do przedmiotów ścisłych.

- Prawdopodobnie odziedziczyła go po mnie - stwierdził ojciec apodyktycznym, a nawet nieco zaczepnym tonem. -

Wiesz, że robiłem kiedyś instalacje okrętowe? Czy Merry mówiła ci, że teraz jestem już prawie licencjonowanym optykiem?

- Nie wydaje mi się, żebym o tym słyszał. - Doktor Cohen skinął głową. - Ale ci gratuluję.

- Nie musisz traktować mnie jak głupka, chłopie. - Tata nadał się lekko, na tyle jednak, że nie uszło to mojej uwagi.

Doktor Cohen oparł się łokciem na stole i powiedział łagodnie:

- Panie Zachariah, nie ma się o co kłócić. Oboje z żoną cieszymy się, że możemy opiekować się Lulu i Merry. -

Pokręcił złotą spinką do mankietu. - Moja żona pokochała je, kiedy były w sierocińcu. Mają teraz namiastkę rodziny. Nie jestem pańskim wrogiem. Jednak nie będę tolerował obelg z pańskiej strony.

Złożyłam ręce i wpatrywałam się w blat stolika, kręcąc pod spodem nogami i przyciskając kostki do siebie, gdzie nikt nie mógł tego zobaczyć. Dłonie znowu wyrywały mi się do klatki piersiowej, ale niewidzialna ręka Lulu powstrzymywała je. Patrzyłam z ukosa na strażników sterczących w każdym kącie.

- Jeszcze jedno - kontynuował doktor Cohen, gdy ojciec nie odezwał się ani słowem. - Merry powiedziała mi, że lubi pan książki. Zobaczymy, co da się zrobić, żeby dostarczyć panu jakąś lekturę.

Tata posłał mi spojrzenie, które przestraszyło mnie i zmartwiło zarazem.

- Merry wie, co ja lubię. - Sprawiał wrażenie przygnębionego. - Ona może się o mnie troszczyć.

- Nie sądzi pan, że to zbyt duża odpowiedzialność jak na taką młodą osobę?

- Rodzina troszczy się o rodzinę. - Tata skrzyżował

ramiona. Doktor Cohen spojrzał na niego z takim wyrazem twarzy, jakby przed chwilą polizał plasterek cytryny. Wiem, co myślał. Tata też wiedział.

- Myśli pan, że jestem potworem, doktorze. Może i jestem. - Zamilkł na chwilę. - Taak, przypuszczam, że byłem potworem najgorszego rodzaju. Ale

byłem pijany i miałem złamane serce. Sądzi pan, że to mnie nie usprawiedliwia, ale płacę za to, co zrobiłem.

Doktor Cohen nachylił się i powiedział spokojnie: - Zdaje się, że pańskie córki płacą za to na równi z panem.

- Myślę, że tak to wygląda dla kogoś takiego jak pan, ale z mojego punktu widzenia, dobrze sobie radzą. Mają was, prawda? Z tego, co pisze Merry, wiem, że z pańskiej żony jest równa babka. - Ojciec zdjął okulary. Jego oczy przypominały oczy babci. - Dziewczynki dostają dobre oceny w szkole. Lulu wybiera się do college'u.

- Ale one nie mają rodziców - powiedział doktor Cohen. -

Nic nie wynagrodzi utraty matki.

Nie wiedziałam, co zrobić, żeby zakończyć tę ich rozmowę.

- Moje córki mają mnie. Swego ojca.

- Nie sędzę.

- Kocham moje córki. - Tata zmrużył oczy. - I Merry o mnie dba. Zawsze będzie dbać. Prawda, Merry?

Wstrzymałam oddech i zamknęłam oczy, pragnąc być daleko stąd. Potem je otwarłam.

- Tak, tatusiu.

Część druga

## 13. Lulu

1982

Dzisiaj zaczynają się zajęcia z anatomii. Za pół godziny stanę przed drzwiami pomieszczenia, w którym znajdować się będą przykryte prześcieradłem zwłoki. Rano nic nie mogłam przełknąć, wypilałam tylko filiżankę kawy.

Pomimo że kilka tygodni temu nastąpiła jesień, Boston wyglądał wciąż jak w lecie. To miasto wydawało się idylliczne. Nawet najędzniejsze dzielnice miały klimat porównywalny z Nowym Jorkiem.

Szłam wzdłuż Commonwealth Avenue, upajając się szerokimi chodnikami i pasami trawy rozdzielającymi drogę niczym zielona rzeka. Za kilka miesięcy girlandy magicznych białych bożonarodzeniowych lampek udekorują drzewa. Lecz nawet gdy Comm Ave - jak nazywają tę ulicę miejscowi - nie miała odświętnej dekoracji i była zwyczajną ulicą z kamienicami o fasadach z piaskowca, ciągnącą się od Back Bay do rojącego się od studentów Kenmore Square obsadzonego przez akademiki, tanie bary i Burger Kingi; lubiłam ją, ponieważ niezależnie od wszystkiego nie była w Nowym Jorku.

To był mój pierwszy rok w Cabot Medical School -

jedynej uczelni, do której złożyłam podanie. Znajdowała się w Bostonie, miejscu narodzin mojej wolności, tam, dokąd udałam się do college'u. W Bostonie, gdzie zaczynałam życie od nowa. W Bostonie, gdzie nikt mnie nie znał. W Bostonie, gdzie zamierzałam zabić Córkę Mordercy.

Na studiach wszyscy uważali mnie za spokojną dziewczynę, która spędza cały czas na nauce. Wszyscy poza moją współlokatorką byli przekonani, że nieomal sypiam w bibliotece. Przed rozpoczęciem drugiego roku miałam zamiar wynająć mieszkanie. Coś małego i niezbyt atrakcyjnego, na co mogłabym sobie pozwolić, dysponując odrobiną pieniędzy od Cohenów i tym, co zarobiłam, pracując na pół etatu w laboratorium medycznym.

Jedynym sposobem, by czuć się na uczelni bezpiecznie, było pozostawianie swojego zdania dla siebie. Tylko samotność dawała mi spokój. Wydawała się ona niewielką ceną za cztery lata anonimowości po moim życiu w sierocińcu i u Cohenów. Przypuszczałam, że wiele czasu upłynie, nim zrzucę z siebie tę wymuszoną więź, którą musiałam znosić w Duffy, i



ustawiczny dozór, któremu poddana byłam w domu Cohenów.

Czasem przypominałam sobie mój krótki przypływ podniecenia na myśl, że mogłabym stać się częścią rodziny Sachsów, kiedy marzyłam o tym, żeby zostać adoptowaną siostrą Hillary. Zastanawiałam się, czy oni wyczuwali moją tęsknotę za ich życiem i czy to ich w jakiś sposób odstraszyło.

Może dlatego Hillary zniknęła po tym, jak zabrała mnie do swego domu. Wyobrażałam sobie, jak jej ojciec i matka przestrzegają ją, żeby trzymała się z dala ode mnie. „Znajdź

sobie inny obiekt do pracy społecznej - powiedzieli, mając mnie na myśli. - Ta dziewczyna jest zbyt biedna”. Moja upokarzająca wizyta w domu Sachsów nauczyła mnie, żeby niczego nie ujawniać.

Teraz, kiedy dołączyłam do wielu młodych mężczyzn i kobiet wchodzących po stopniach Cabot Medical School, nie widziałam nikogo, ani jednej osoby, którą chciałabym pozdrowić albo skinąć jej przyjaźnie głową. Od początku moich studiów medycznych, tak jak w gimnazjum i w liceum, skoncentrowałam się na książkach i nie zawierałam prawdziwych przyjaźni; teraz chciałam być bardziej przyjacielska. Potrzebujesz kogoś bliskiego, gdy masz do czynienia z tyloma martwymi ludźmi.

Znalazłszy się w środku, zbiegłam po schodach do piwnicy i weszłam do pracowni anatomicznej. Otoczył mnie zapach formaliny, świeżej farby i strachu. Wszyscy czekali przemarznięci na to, co powie profesor.

- Panie i panowie, jestem doktor Eli Haslett. Zapraszam do śmierci. - Jego łagodny uśmiech świadczył, że nie zamierzał nas urazić, lecz słowa doktora sprawiły, że zadrżałam. Jego biały fartuch był sztywny i czysty. Różowa cera kontrastowała z siwiejącymi włosami. Miał twarz niewiniątka, człowieka, który nie ma powodu bać się śmierci.

- Podejdźcie, proszę, do waszych stołów - powiedział. -

Zwracam uwagę, że numer stołu odpowiada numerowi waszej grupy.

Przyjazny głos doktora Hasletta zdawał się stworzony do pomocy przerażonym studentom przy krojeniu zwłok. Pokiwał

głową z aprobatą, gdy skierowaliśmy się ku nakrytym niebieskimi prześcieradłami ciałom leżącym na chirurgicznie czystych metalowych stołach.

Większość z nas trzymała kurczowo żółte kartki papieru ze wstępnymi instrukcjami do działu pierwszego anatomii ogólnej doktora Hasletta. Na mojej było napisane: „Grupa piąta: Ronald Young, Henry Yee, Marta Zayas i Louise Zachariah”.

Pod spodem znajdowały się „osobiste porady”. Mądre wskazówki doktora Hasletta dotyczyły również ubrania, które powinno być takie, żeby można je było potem wyrzucić, oraz najlepszego sposobu na pozbycie się zapachu formaliny -

użycie cytrynowego proszku Joy przeznaczonego do zmywarki do naczyń. Zrobił też aluzję do emocji i uczuć: „Czujecie mdłości? Użyjcie Vicksów. Robi wam się słabo?”

Włóżcie głowę pomiędzy kolana. Jesteście przerażeni? Czas wszystko leczy”. W przypadku kryzysów emocjonalnych lub duchowych doktor Haslett sugerował, by porozmawiać z duszpasterzem, z przyjaciółmi albo z kimś z rodziny, co w moim przypadku raczej nie wchodziło w rachubę.

Gdy doszłam do stołu numer pięć, zdrętwiały mi ramiona.

Pod prześcieradłem widać było niewyraźne zarysy ludzkiego ciała. Mój dawca wydawał się malutki. Dobry Boże, oni chyba nie dali tu dzieci? Henry Yee - wszyscy mieliśmy małe plakietki przypięte do krótkich białych fartuchów - zajął

miejsce przy prawym ramieniu nieboszczyka. Czy przy zwłokach można stanąć w lepszym lub gorszym miejscu?

Wzięłam lewe ramię naszego dawcy, w przekonaniu, że Henry - Chińczyk w świeżo wyprasowanej niebieskiej koszuli, stojący na baczność - wie coś, czego ja nie wiem.

Marta Zayas i Ronald Young dołączyli do nas. Ronald podał nam rękę.

- Jestem Ron.

- Lulu - powiedziałam bez namysłu.

- Rodzinne przezwisko? - spytał Ron. Na mojej plakietce wydrukowane było LOUISE.

Potrząsnęłam głową.

- Nie, szkolne - odparłam, dodając, że Lulu to jedno z tych pretensjonalnych uczniowskich przezwisk, tak jak Muffy, Kiki czy Puffy.

Ron porozumiewawczo kiwnął głową i wymienił krótkie spojrzenie z Martą, tworząc komitwę pomiędzy czarnym mężczyzną i Latynoską, przeciwko Europejce. Stół numer pięć był ONZ-etem kursu anatomii, a ja reprezentowałam „uprzywilejowaną” rasę. Marta uśmiechnęła się do mnie ciepło, a ja strąciłam z ramienia maleńki kawałek lodu.

Cała się trzęsłam. Pomieszczenie było zimne i pozbawione okien. Ostre cząstki formaldehydu sączyły się przez moją skórę, wypełniając mi nozdrza.

Szybko podniosłam rękę do nosa, wdychając Vicks VapoRub, którą rano skropiłam niczym perfumami przeguby dłoni.

Ron, Marta, Henry i ja patrzyliśmy na siebie.

„Ty pierwszy, ty pierwsza”.

Przygotowawszy się, wyciągnęłam rękę i chwyciłam krawędź zimnego prześcieradła. Powoli odkryłam leżące na brzuchu ciało. Przypomniałam sobie o oddychaniu. Głowa naszego denata owinięta była cienkim białym bandażem.

Musnęłam kciukami zimną skórę, która przypominała mi plastikową lalkę. Wyrostki jej kręgosłupa - zobaczyłam teraz, że było to ciało kobiety - wyglądały jak sznur pereł.

W jaki sposób ta kobieta umarła? Czy umarła w samotności? Czy tak jak mama? Ugryzłam się w język, żeby odegnać kłujący ból w brzuchu. Krew mojej matki była czerwona jak kredka Crayola. Z tego ciała nie ciekła żadna krew. Odsunęłam od siebie wspomnienia o mamie, nie chcąc myśleć o tym, że mogłaby żyć, gdybym prędzej biegła, gdybym szybciej wezwała Teenie. Nie chciałam myśleć o niej jako o pokrytych popiołem kościach.

- Przejdźcie palcami wzdłuż kręgosłupa - powiedział nam doktor Haslett. - Pamiętajcie, żeby używać też kciuków.

Henry położył rękę na zwłokach, blokując mnie. Teraz jego kolej. Ja już ściągnęłam przykrycie. Trzy razy tam i z powrotem przejechał kciukiem wzdłuż kręgosłupa.

- Hej, Henry, daj innym szansę - powiedział w końcu Ron.

Henry cofnął się i długie, zręczne palce Rona zastąpiły jego grube paluchy. Ron miał ręce chirurga. Spojrzałam na moje. Palce praczki. Krótkie, tępe paznokcie. Szerokie dłonie, jak u babci Zeldy.

Paznokcie Marty były perłoworóżowe. Miała dłonie zakonnicy, palce świętej. Delikatnie przesuwała nimi po kręgosłupie naszej denatki, czując każdy kręg. Jej dłonie były takie, jakie chciałabym, by mnie dotykały, kiedy umrę.

Moja matka miała delikatne dłonie. Jej pierścionki były na mnie za małe.

Czy to ciotka Cilla zabrała mamy pierścionełk zaręczynowy z drobniutkimi brylancikami? I jej grubą złotą obrączkę? I ametyst, który Mimi Rubee dała mamie na jej szesnaste urodziny? Czy ciotka Cilla wzięła wszystko?

- Lulu - powiedziała Marta. - Znowu twoja kolej.

Trzęsła mi się ręka, gdy dotykałam skóry denatki.

Poruszyłam palcami. Gdybym była szybsza, mądrzejsza, gdybym nie otworzyła drzwi, mama by żyła. Wiedziałam, że to prawda.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Henry.

- Tak. - Położyłam płasko dłoń na jej plecach. Czy była osobą wierzącą? Żydówką? Chrześcijką? Buddystką?

Szybko, tak by nikt nie zauważył, zrobiłam krzyżyk na jej plecach, a potem gwiazdę Dawida, żałując, że nie znam więcej symboli.

Cztery miesiące później umarła Anne Cohen.

Przygotowywałam się do szywy - tygodniowej żałoby, nie mogąc uczestniczyć w pogrzebie. Ortodoksyjni żydzi szybko grzebią swoich zmarłych, a potem opłakują ich przez siedem dni. Doktor Cohen nalegał, żeby trzymać się litery żydowskiego prawa i pochował Anne nazajutrz po jej śmierci, zgadzając się, żebym nie była na pogrzebie. Powiedział, że nie chciałby, abym opuszczała jakiegokolwiek zajęcia. Tego dnia mieliśmy preparować ludzkie serce. Doktor Cohen stwierdził, że wie, jak ważne jest to ćwiczenie.

Anne umarła w poniedziałek wczesnym rankiem. Dzisiaj była niedziela, ostatni dzień, kiedy rodzina obchodziła szywę.

Miałam przyjechać do Nowego Jorku w ostatnich godzinach oficjalnej żałoby, a następnego dnia wrócić autobusem do Bostonu.

Greyhound pędził autostradą. Grudniowa breja pokrywała trawę na poboczach. Bałam się tej podróży, ale pogodziłam się z nią. Nie chciało mi się jechać autobusem, gdyż rozpaczliwie pragnęłam się wyspać.

Godziny otępiających zajęć, po których następowały godziny nauki, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, wyczerpywały mnie. Weekendy spędzałam w bibliotece razem z moją grupą ćwiczeniową. Henry, Ron, Marta i ja byliśmy sobie bliscy jak rodzina, o ile komuś rodzina kojarzy się z bliskością.

Rozbudzona pomimo szalonego zmęczenia, tępo patrzyłam na zmieniający się krajobraz za szybą. Jechaliśmy przez Connecticut odcinkiem drogi biegnącej wzdłuż oceanu i wyobrażałam sobie siebie odpływającą gdzieś w nieznaną, ku wolności.

Pani Cohen umarła zaraz po siedemnastych urodzinach Merry. Zamierzałam przyjechać do domu na uroczysty obiad.

Cohenowie planowali zabrać Merry i mnie do Okien na Świat, dokąd Merry zawsze chciała pojechać. Widocznie nasz ojciec opisał jej to miejsce

na podstawie jakiegoś artykułu, który przeczytał w jednym z czasopism. W „Smakoszu”? W „New Yorkerze”? Jakie czasopisma mogą mieć w więziennej bibliotece?

Merry chciała widzieć świat w takim świetle, w jakim opisywał go ojciec. Doktor Cohen zaplanował obiad o zachodzie słońca, ale ja ostatecznie nie przyjechałam, bo miałam za dużo nauki. Trzy dni po urodzinach Merry udar zabił Anne.

Zamknęłam oczy, próbując zasnąć. Chciałam być bardziej smutna. Pani Cohen była dla nas dobra. Starła się zastąpić mi matkę, ale za każdym razem, gdy mnie obejmowała, stawałam się nieczuła. Zmuszałam się całą siłą woli, by odwzajemnić jej uścisk.

Pamiętam, jak Merry zapytała mnie, czemu nienawidzę pani Cohen. „Oni myślą, że Bóg poklepał ich po głowie w dniu, kiedy wzięli nas do siebie” - stwierdziłam. Powiedziałam jej, jakim pozerem jest pani Cohen, prawdziwa Dobra Pani, nadęta tym swoim noblesse oblige. Tak jakbym miała pani Cohen za złe to, że nam pomogła, po tym, gdy poświęciłam sporo czasu na kombinowanie, w jaki sposób tę pomoc od niej uzyskać. Jezu, ja praktycznie nakłaniałam biedną Merry, żeby była na tyle słodka i miła, by pani Cohen zaopiekowała się nami.

Kiedy mój plan się powiódł i Merry miała zapewnioną opiekę, pomyślałam, że mogę nareszcie odetchnąć, po raz pierwszy od dnia, w którym tata zabił mamę. Pozbyłam się Merry, przekazując ją pod skrzydła Anne. Pozbyłam się ojca, czyniąc z nas sieroty. A kiedy Anne starła się być moją matką, jej też się pozbyłam.

Może niewiarygodnie cierpliwa dobroć Anne pokonała moją podłość. A może dzięki niej poczułam się na tyle bezpiecznie, by dać się ponieść złości. Ale potworne było to, że postanowiłam ją zaatakować. Liczyłam reflektory, żeby się uspokoić. Układałam w duchu przeprosiny wobec Anne.

Może sobie samej też jestem winna przeprosiny. Anne była moją ostatnią i jedyną szansą, bym poczuła matczyną opiekę, a ja ją odrzuciłam.

Doktor Cohen, Saul, Amy i Eleanor siedzieli na drewnianych skrzyniach zanurzonych w grubym dywanie. Z

pamięci wynurzyły się niewyraźne wspomnienia śmierci mamy.

Doktor Cohen wstał i wziął mnie za rękę.

- Dziękuję, Lulu, że przyjechałaś.

- Tak mi przykro, że nie byłam na pogrzebie.

Zlekceważył moje zmartwienie machnięciem ręki.

- Do wczoraj było tu pełno ludzi. Ciesz się, że przyjechałaś teraz, gdy jest już spokój, tylko najbliższa rodzina.

Rozejrzałam się za Merry.

- Twoja siostra jest w swoim pokoju, pilnuje dzieci -

powiedział, jakby czytając w moich myślach. - Ona jest darem niebios.

Przytaknęłam, pocałowałam go symbolicznie w policzek.

Saul podniósł się i uściskał mnie. Czy kiedykolwiek przedtem się dotykaliśmy?

- Współczuję ci z powodu śmierci mamy. Była dobrą kobietą - powiedziałam.

- Była aniołem. - Eleanor podniosła się z trudem. Wygląd córki Cohenów wskazywał na czwarty lub piąty miesiąc kolejnej ciąży. - Któż wie o tym lepiej niż ty i twoja siostra? -

Potrząsnęła głową. - Aniołem.

Łzy Amy, żony Saula, zmoczyły mi policzek, kiedy przytuliła swoją twarz do mojej.

- Brakowało nam ciebie na pogrzebie.

- Lulu nie mogła opuścić szkoły. - Ton Eleanor nie pozostawiał wątpliwości, że pokazałam tym swoje prawdziwe oblicze.

Mieszkanie wydawało się pozbawione tlenu, było jakby próżniowym labiryntem pokoi zastawionych drogimi meblami. Te same kanapy i fotele od kiedy tu zamieszkałyśmy. Byłam zszokowana, gdy udało się zrealizować mój dziecinny plan, by skłonić panią Cohen, żeby nas do siebie zabrała. Oczywiście, byłam wdzięczna. Byłabym szalona, gdybym nie chciała uciec od nędzy Domu dla Dziewcząt Duffy - Parkman. Zalała mnie kolejna fala wstydu, jeszcze silniejsza niż ta w autobusie. Chciałabym, żeby moja wdzięczność przeobraziła się w miłość, której Anne Cohen zdawała się tak spragniona. Chciałabym jej powiedzieć, jak bardzo lubiłam pokój, który dla mnie urządziła. Chciałabym strząsnąć z siebie poczucie bycia Projektem Lulu - tożsamość, której nienawidziłam tak samo jak tę córki mordercy.

Merry i ja spędziłyśmy wieczór osobno, a następnego dnia rano poszłyśmy razem na spacer. Ludzie pędzili po Broadwayu z niedzielnym wydaniem „New York Timesa” pod pachą, spiesząc do domu, zanim arktyczne powietrze oziębi świeże, gorące bajgle, które nieśli niczym jadalny skarb.

- Zostawiłaś mnie samą. To było straszne, być na pogrzebie bez ciebie - powiedziała Merry.

- Doktor Cohen stwierdził, że powinnam zostać na zajęciach. - Odwróciłam głowę, rzucając Merry wyzwanie.

Ona też na mnie spojrzała, jej oczy pomalowane na purpurowo i czarno mówiły: „nie wciskaj mi kitu”. Odgarnęła włosy z twarzy. Wyglądała zupełnie inaczej niż podczas mojego ostatniego pobytu w domu, w sierpniu. Jedwabiste, ciemne fale zostały zastąpione sterczącymi sztywno włosami z jasnymi pasemkami. Postrzępiona satynowa bluzka spadała z jej ramion. Wyglądała, jakby ukradła strój Patti Smith po jej ostatnim koncercie. Czyżby pani Cohen pozwalała jej wychodzić z domu w takim ubraniu? Czy wszyscy licealiści wyglądają teraz tak niechlujnie?

- Jasne, nie powinnaś opuszczać zajęć z powodu śmierci matki z rodziny zastępczej.

- Nie wyobrażasz sobie, Merry, czym są studia medyczne.

- A ty sobie nie wyobrażasz, czym jest moje życie tutaj. -

Chwyciła mnie za ramię. - Co ja mam robić? Co będę robić tego lata? Co z moimi studiami? Dokąd mam jechać na ferie i wakacje?

- Uspokój się, Mer. Myślisz, że cię stąd wyrzucą? Nie będą płacić za twoje studia?

- Myślisz, że będę z nim mieszkać sama? Boże, jaka ty jesteś odrażająca.

Pomimo skołtunionych włosów Merry wyglądała jak dziecko. Łzy wisiały jej na rzęsach, a różowe policzki miała pobrudzone spływającym tuszem.

- Dlaczego? Co się dzieje? - zapytałam.

- Wyobrażasz sobie mieszkanie w tym domu bez Anne?

Wiesz, że to nie jemu zależało najbardziej, żeby nas przygarnąć.

- To sprawa tylko kilku miesięcy. Potem przyjadę na lato.

Będziesz mnie miała przy sobie. Obiecuję. - Już kiedy to mówiłam, świat stał się bardziej ponury.

- Musisz przyjeżdżać do domu w każdy weekend -

powiedziała Merry. - Inaczej oszaleję, przysięgam. Ledwie wytrzymałam z nim przez tydzień. Wieczorem, kiedy ludzie wyszli, odsiedziawszy sziwę, czułam się jak zamknięta w klasztorze i związana ślubami milczenia. Ucieknę stąd. Znajdę sobie kogoś, z kim będę mieszkać. W zeszłym miesiącu na imprezie poznałam kilku facetów z Columbii i New York University.

- Zatrzymajmy się tam - wskazałam ręką kawiarnię po drugiej stronie ulicy. Ruszyłam w jej kierunku i weszłam do środka, a Merry za mną. Opadłam na stołek przy barze.

Chwyciłam Merry za ramię i pociągnęłam ją, zmuszając, by usiadła obok.

- Przestań mną dyrygować - powiedziała. Grad zaczął walić w okna kawiarni.

- Z nikim nie zamieszkas. - Nadal trzymałam ją za ramię.

- Spotykasz się z kimś?

- Spotykam się z wieloma facetami.

- Wiesz, co mam na myśli.

Merry podniosła paczuszkę cukru z metalowej podstawki.

Barman podszedł i wytarł brudną szmatą blat baru obok łokcia Merry.

- Hej, dziewczyny, zamawiacie coś, czy przyszłyście tu tylko na pogaduszki? - zapytał. - To nie living room.

- Dwie kawy. - To miejsce przypominało mi dawny lokal Harry'ego na Brooklynie. - Chciałam powiedzieć: dwa mleczne shake'i - waniliowy i czekoladowy.

Merry siedziała z głową opartą na rękach; jej włosy rozsypały się na kontuarze. Obróciła się do mnie. Wyglądała jak śpiąca pięciolatka usmarowana kosmetykami mamy.

- Spotykam się z jednym z tych facetów z Columbii.

Mogłabym wprowadzić się do jego pokoju.

- Super. Zamierzasz więc mieszkać u jakiegoś faceta w akademiku.

Merry usiadła prosto i przesuwała palcami tam i z powrotem po klatce piersiowej. A mnie swędziały ręce, żeby ją powstrzymać.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Przemyślimy to, obiecuję ci. Zdaj się na mnie. Zostało ci tylko kilka miesięcy do matury.

Merry potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czy wytrzymam tak długo. Zdjęłam jej rękę z piersi.

- Wytrzymasz. Jeśli będziesz miała taką potrzebę, możesz przyjechać do Bostonu. - Słowa te sprawiły, że moja bostońska wolność zmalą.

Henry Yee posłał mi dyskretny uśmiech, gdy ugniotłam jedną z jego poduszek, nadając jej wygodniejszy kształt. Jego pokój stał się dla mnie



wybawieniem, od kiedy umarła Anne Cohen. Nie wiedziałam, czy zaczęłam się z nim spotykać, bo był atrakcyjny, czy dlatego, że potrzebowałam spokojnego miejsca do nauki w czasie weekendów, kiedy odwiedzała mnie Merry. Mój pokój w akademiku stał się dla niej ucieczką, ale kiedy ona tam była, było w nim dla mnie za ciasno.

Henry dotknął mojej ręki, jakby dotykał prezentu.

- Masz cudowną skórę. - Grubymi palcami gładził czubki moich małych piersi i uśmiechał się. - Doskonałą.

Henry uznawał za idealne te rzeczy, które dla większości mężczyzn były nieodpowiednie. Moje dziewczęce piersi, prawie czarne oczy, które wielu mężczyznom wydawały się upiorne, moje chłopięce, proste biodra - wszystko to według Henry'ego było doskonałe. To, co jeden facet nazwał moją „pieprzoną niezdolnością do wyrażania czegokolwiek, co nie jest cholernym faktem”, Henry'emu wydawało się drobnostką.

Oboje ceniliśmy ludzi, których nic nie obchodziło to, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu spędzamy zagrzebani w stercie książek. Cieszyliśmy się po prostu, że możemy uprawiać seks i oglądać Saturday Night Live.

Leżałam, trzymając głowę na klatce piersiowej Henry'ego, który opowiadał o gimnastyce, pływaniu, podnoszeniu ciężarów, lecz oboje wiedzieliśmy, że były to puste słowa. Nie miało to dla mnie znaczenia - jego endomorficzne ciało dodawało otuchy mojej ektomorficznej budowie.

Przesuwał usta wzdłuż mojego ciała, skubiąc je lekko na swój zwykły sposób. Henry i ja kochaliśmy się tak, jak wyobrażałam sobie, że mogą to robić ludzie w średnim wieku.

Nic dziwnego. Nic zaskakującego. Byliśmy zadowoleni.

- Pomasuję ci plecy, a potem ty mnie - powiedział Henry.

Przewrócił mnie na brzuch i masował mi tak, jak lubię -

długimi, głębokimi ruchami. Mruczałam przy tym. Potem się zmieniliśmy, usuwając sobie nawzajem całotygodniowe napięcie z naszych mięśni. Miałam nadzieję, że zachowam przytomność na tyle długo, by zrobić Henry'emu kompensacyjny masaż.

Byliśmy razem od stycznia - cztery miesiące. Jak dotąd, raz poszliśmy do kina i dwa razy na kolację; w obu przypadkach w naszych tak zwanych randkach uczestniczyli Ron i Marta, których też połączył w szkole medycznej niby -

romans. Podobnie jak nasz, ich związek polegał na seksie, wspólnej nauce i oglądaniu telewizji podczas jedzenia taniego żarcia na wynos.

Henry i ja mieliśmy nad nimi przewagę, jedząc posiłki przysyłane przez jego matkę. Uwielbiałam panią Yee. Mówiła słabo po angielsku, ale ilekroć do niej przychodziłam, uśmiechała się, mówiąc: „Miła dziewczyna”. Potem mnie karmiła. Idealną sytuacją byłoby mieszkanie z głuchą albo niemówiącą po angielsku rodziną.

Po

kilkuminutowym

masażu

pleców

Henry’ego

kochaliśmy się byle jak, potem się pocałowaliśmy i wtulili każde w swoją poduszkę, po obu stronach łóżka. Jak zwykle zasnęliśmy natychmiast. Siedem godzin później, kiedy zadzwonił budzik, zaskoczyłam Henry’ego, kładąc się na nim.

- Mamy tylko pół godziny, potem musimy wstawać -

powiedział. Napomknęłam, że zabierze nam to tylko parę minut.

- Pomyśl, o ile bardziej zrelaksowani będziemy podczas testu - szepnęłam, kiedy wchodził we mnie. Mieliśmy rano egzamin z chemii organicznej. Nie martwiłam się, wykorzystując seks jako pomoc w nauce; robiliśmy to często.

Założę się, że połowa naszej grupy dobrała się w pary, ponieważ endorfiny, których poziom wzrasta w czasie orgazmu, pomagają nam zapamiętać, któredy biegnie nerw pneumogastyczny.

Było po dziewiątej, gdy w poniedziałkowy wieczór dowlokłam się w końcu do akademika. Miałam zadzwonić do Merry poprzedniego wieczoru, żeby się upewnić, czy wróciła szczęśliwie do Nowego Jorku, ale zapomniałam, a potem jedno zajęcia następowały po drugich w nieustannym kołowrocie.

Moje życie kręciło się w kółko. Ogłupiające słowa i obrazy nagromadziły mi się w mózgu i w zeszytach, zapychając moje obwody, zanim nie wyrzuciłam z siebie faktów i wzorów podczas testów i na ćwiczeniach z anatomii.

Tego dnia Henry, Ron, Marta i ja pracowaliśmy ciężko nad splątaną masą nerwów szyjnych naszej nieboszczki.

Nazwaliśmy ją Twiggy. Zmarła na anoreksję albo na coś podobnego;

wywnioskowaliśmy to, posługując się skromnymi narzędziami diagnostycznymi dostępnymi w tych warunkach.

Ciało Twiggy stało się w naszych rękach zestawem małego montera.

Wjechałam windą na czwarte piętro. Akademiki dla studentów szkoły medycznej były zniszczone i obskurne.

Niechlujne wykładziny dywanowe w kolorze odkurzonego brudu ciągnęły się wzdłuż korytarzy. Drzwi i hole pozbawione były dekoracji. Studentki medycyny zajmowały jednoosobowe cele, w których żyły jak zakonnice, które się różną. Obudziłam się o dziwnej porze i usłyszałam, jak Irena wysiła się i jęczy w pokoju obok; słychać było rytmiczne uderzenia w cienką ścianę, dopóki nie osiągnąwszy orgazmu, nie krzyknęła teatralnie. Cieszyłam się, że wspomniana Irena tylko od czasu do czasu wabi partnerów chcących odwiedzić jej pokój.

Kadzidło, zapach marihuany i widok Merry barłóżącej się w moim łóżku zaatakowały mnie, gdy otworzyłam drzwi swojego pokoju.

- Co ty tu jeszcze robisz, do cholery? - zapytałam.

Merry odwróciła głowę, nie ruszając się z łóżka, i utkwiała we mnie zaczerwienione pod wpływem trawki oczy. Głos Ricky'ego Springfieldda sączył się z tandetnych głośników mojego magnetofonu. Siostra miała na sobie czerwone spodnie od dresu - moje ulubione - i szarą bluzę sportową Henry'ego z napisem "University of Michigan", którą trzymał

u mnie w pokoju. Opierała brudne małe stopy o ścianę, uderzając nimi do rytmu.

- Nie jestem w stanie tego wytrzymać - powiedziała Merry.

- Czego? - Chciałam, żeby opuściła mój pokój.

- Wszystkiego. Doktora Cohena. Eleanor, która przyjeżdża, żeby zasztyletować mnie wzrokiem i robić ze mnie nianię swoich dzieci. Listów taty, który błaga mnie, żebym przyjechała, bo nie widział mnie już trzy tygodnie.

- Wątpię, żeby to wszystko zważyło się na ciebie jednego dnia. - Podniosłam pusty kubek gotowego dipu cebulowego i na wpół pustą torebkę chipsów Doritos i cisnęłam je do wiadra. - I pamiętaj, że nie jesteś odpowiedzialna za swego ojca.

Nie uśmiechało mi się spędzenie cennych godzin przeznaczonych na sen na sprzątaniu bałaganu Merry.

- Byłaś tu sama przez cały weekend?

- Tata nie ma na świecie nikogo poza mną. A jeśli chcesz wiedzieć, nie byłam sama. Spotkałam kogoś miłego z piętra poniżej.

- To jest męskie piętro.

- Czy to nie jego zaleta? - Merry roześmiała się i sięgnęła po wielką paczkę m&m'sów, wyciągając z niej tak dużą garść cukierków, że musiała upychać je w ustach.

- Czy ten facet wie, że jesteś jeszcze licealistką?

Obróciła się na bok. Jej zwodniczo niewinne spojrzenie i zachowanie niegrzecznej dziewczynki uczyniło z niej doskonałą odaliskę. W porównaniu z Merry ja byłam surową belferką skrzyżowaną z babcią Zeldą.

- Nie sędzę, żeby miało to dla niego jakieś znaczenie.

- A co z szacunkiem do samej siebie? - Machałam rękami, wskazując poszczególne przedmioty w pokoju: jej porzucaną bieliznę, resztki jedzenia, brudne naczynia. - Nie mówiąc o szacunku dla mnie, dla tego miejsca, w którym żyję, dla moich rzeczy.

- Dla tego miejsca? Powinam okazać więcej szacunku twoim rzeczom? Nie wyobrażasz sobie nawet, jaką jesteś szczęściarą; masz przynajmniej ten pieprzony pokój. A co ja mam? - Głos Merry stawał się coraz ostrzejszy i coraz bardziej nieprzyjemny. - Nic. Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć, a Pani Studentka Medycyny raczyła mi poświęcić mniej więcej piętnaście minut, zanim wyszła.

- Studiuję. Pracuję.

- Pieprzysz się z Henrym. Nie mogłaś sobie darować jednej nocy? - Merry przykryła nogi sportową bluzą Henry'ego i zapytała płaczącym głosem: - Zostaniesz tu dzisiaj?

- Nie, nie mogę. Skoro doprowadzasz mój pokój do takiego stanu. To się musi skończyć. Nigdy nie wiem, kogo i co tu zastanę, i nie zamierzam budzić cię z narkotycznego zamroczenia, zanim będę mogła położyć się we własnym łóżku.

Miałam wrażenie, że Merry zmiękła pod wpływem moich słów. Położyła się na plecach, upuszczając na podłogę torebkę m&m'sów.

- Mam tylko ciebie, Lu. Czasem nawet nie potrafię normalnie oddychać, jeśli nie jestem na haju albo czegoś ze sobą nie zrobię.

Zmarszczyłam brwi, ale nic nie powiedziałam, tylko westchnęłam i położyłam się obok niej. Obróciła się w moją stronę i objęła mnie rękami. - Już dobrze. - Czułam, jak bije jej serce.

- Tata będzie się martwić; to już trzeci weekend, kiedy go nie odwiedzam.

- Czy właśnie to cię dręczy?

- Nie musisz tego tak nazywać. Ojciec to tylko jeden z wielu moich problemów. Nie mogę nie martwić się nim, skoro wiem, że siedzi tam sam, smutny i czeka na mnie.

- Zapomnij o nim. Przestań do niego jeździć.

- Łatwo ci mówić. - Merry odwróciła się ode mnie. - Nie potrafię być taka jak ty. Nie potrafię tak po prostu go odrzucić.

- Naucz się tego. - Wstałam i zaczęłam zbierać puste opakowania po jedzeniu. - Dla własnego dobra.

- Zamiast namawiać mnie, żebym przestała widywać tatę, po prostu przestań o nim myśleć.

- Nie ma na to szans. - Ze złością złożyłam karton po pizzy i wrzuciłam go do kosza na śmieci. - Skoro ty bez przerwy o nim mówisz i wnosisz go zawsze ze sobą do pokoju.

Merry spuściła nogi z łóżka.

- Tata i tak zawsze jest w pobliżu, Lu. I mówienie o tym, że on nie żyje, jest głupim gadaniem. Nierozmawianie o nim nie uczyni go ani trochę mniej żywym.

- A odwiedzanie go nie przywróci życia mamie. -

Schyliłam się i podniosłam jeszcze jedną brudną skarpetkę.

- Jeżeli myślisz, że dlatego go odwiedzam, to jesteś głupia - powiedziała Merry. - Chcesz wiedzieć, czemu to robię?

Strzepnęłam wymięty ręcznik i wrzuciłam go do kosza na brudną bieliznę.

-

Nie.

## 14. Lulu

Grudzień 1986

Mogłabym przysiąc, że wciąż czuję, jak więzienny papier szeleści w mojej dłoni, choć umyłam ręce nie mniej dokładnie niż chirurg przed operacją, po tym jak zgmiotłam list od ojca i wrzuciłam go do kosza. Potem umyłam je raz jeszcze po przyjeździe na oddział pomocy doraźnej. Szorstkim szpitalnym mydłem. Jednakże list ojca drażył mój mózg i drażnił skórę; jego słowa odbijały się rykoszetem jak kule.

„Czemu mnie nie odwiedzasz?

Nie boisz się mnie, prawda, Lulu?

Możemy porozmawiać, powinniśmy porozmawiać, Ptysiu.

To, że cię nie widuję, doprowadza mnie do szaleństwa, złotko.

Jestem twoim ojcem, na miłość boską”.

Uśmiechając się do mojej młodej pacjentki, poczułam napływającą falę mdłości. Na moment napięłam mięśnie szyi, zdecydowana wypchnąć ojca z mojej głowy. Nie wiedziałam, czemu otworzyłam ten list, zamiast wrzucić go od razu na dno śmietnika, gdzieś na ulicy, jak to zwykle robiłam.

Choćbym nie wiem jak bardzo udawała, że go tam nie ma, czasem pojawiał się znienacka. Dzisiejszy błąd w postaci otwarcia jego listu kładłam na karb mojego przepracowania.

Dotychczas moje dyżury na oddziale pomocy doraźnej były próbą przed wojną nuklearną. Diagnozy wylatywały ze mnie, gdy pędziłam od jednego pacjenta do drugiego. Dzięki Bogu, nie rozpoczęłam mojego stażu na tym oddziale tak jak Marta, która w ciągu kilku tygodni zamieniła się w zombie.

Doprowadziła się do tego, że chodziła zapalać świece w kościele, śpiewając przy tym: „Święty Boże, spraw, bym miała więcej żywych pacjentów niż umarłych”.

- Melisso, jestem doktor Zachariah - przedstawiłam się pacjentce. Melissa skinęła głową, prawie na mnie nie patrząc.

Pulchna i blada jak to w grudniu, z brązowymi włosami opadającymi na twarz, wydawała się gotowa do tego, by zniknąć.

- A to jest... - spojrzałam ponownie na przywieszkę z imieniem i nazwiskiem stojącego obok mnie studenta - to jest Doug Keller. Jest

studentem trzeciego roku, który będzie dziś ze mną pracował.

- Będę asystował doktor Zachariah - powiedział Doug.

Podszedł do stołu zabiegowego, na którym leżała pacjentka.

Melissa mocniej ścisnęła kolana.

- Gdzie dokładnie cię boli? - zapytałam. Zarumieniła się i wzruszyła ramionami.

Doug podniósł jej kartę z popękanego kontuaru. Za każdym razem, gdy patrzyłam na niszczące wnętrza szpitalne - blaty, uchwyty szafek, kozetki do badań -

wyobrażałam sobie zarazki kłębiące się we wszystkich spękaniach i szczelinach i miałam ochotę zanurzyć to wszystko w lizolu.

Doug czytał na głos uwagi pielęgniarki; z każdym słowem Melissa coraz mocniej mięła swoje nakrycie.

- Ból brzucha, z lewej strony, przy stosunku. Pochwa nie obolała. A jak z oddawaniem moczu? - zapytał Doug.

- Co?

- Czy boli, kiedy siusiasz? - spytałam. Przytaknęła ledwie dostrzegalnie.

- Postaramy się jakoś temu zaradzić. - Ścisnęłam jej kolano. - Czy to cię boli?

Po policzku Melissy spłynęło kilka łez. Obawiałam się, że współczucie może łatwiej doprowadzić człowieka do płaczu niż okrucieństwo, więc starałam się unikać współczucia.

Zleciłam badania laboratoryjne, przekonana, że Melissa ma zapalenie jajowodów. Zatrzymawszy się tylko, by umyć ręce, skierowałam się do następnego pacjenta, pukając lekko przed wejściem. Przytłoczył mnie smród alkoholu, niemytego ciała i czegoś nieokreślonego. Idący za mną Doug zatrzymał

się w drzwiach.

Przerazająco

brudny

mężczyzna

siedział

na

przeznaczonym do badania stole. Pognieciony papier, który pod niego podłożono, poplamiony był krwią. Pacjent wyglądał

na czterdzieści kilka lat, ale tak naprawdę mógł mieć od dwudziestu pięciu w górę. Praca na oddziale pomocy doraźnej nauczyła mnie, że pod wpływem alkoholu człowiek wygląda na starszego niż jest w rzeczywistości.

- Panie Hammond, jestem doktor Zachariah. -

Przyglądałam się z pewnego dystansu jego twarzy, próbując ustalić, czy wciąż jest jeszcze pijany, czy też zapach taniego wina pochodzi z wczorajszej popijawy. - A to jest mój asystent, student medycyny, Doug Keller.

Z wywiadu wynikało, że mój pacjent brał udział w bójce w barze i zadano mu powierzchowne rany nożem w ramię i w plecy. Sądząc po ilości i kolorze krwi, którą nasiąkła jego koszula, brzmiało to wiarygodnie.

- Musi pan zdjąć koszulę, panie Hammond. Wyjdziemy, kiedy będzie się pan rozbierał.

Czemu pielęgniarki nie przygotowały lepiej tego pacjenta?

Mężczyzna zignorował moje polecenie i powiedział: - Powinna pani zobaczyć tamtego gościa.

- Dobrze - odparłam. - Ale teraz zajmujemy się panem.

Proszę powiedzieć, czy bardzo pana boli?

- W ogóle mnie nie boli, dziewczynko. - W jego głosie pobrzmiwała brawura. - Może zamiast tego, żebyś ty zajęła się mną, ja zajmę się tobą.

- Zarechotał, po czym omal nie spadł ze stołu, kiedy wyciągnął do mnie rękę. - Zrobię ci dobrze, kotku.

- Panie Hammond, wychodzimy z pokoju. Proszę, aby był pan rozebrany, kiedy wrócimy.

- Taaak? A może byś mi tak nie mówiła, co mam robić?

Ostatni, który traktował mnie w ten sposób, wyglądał potem o wiele gorzej niż ja teraz. - Ściągnął koszulę, odsłaniając długie rozcięcie od ramienia do łokcia.

- Co się stało? Mowę ci odjęło, złotko?

Poczułam, jakby ktoś przejechał mi nożem po klatce piersiowej. W gardle urosła mi naraz gęsia skóra, jakbym połknęła stetoskop.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Doug.



Potrząsnęłam głową, nie wiedząc, co próbuję wyrazić, miałam tylko wrażenie, że jestem bliska śmierci. Pomyślałam, że Doug musiał słyszeć, jak wali mi serce.

- Co się, u licha, dzieje? - wybełkotał Hammond. - Co jej się stało? „Zamknij się. Odejdź. Odejdź”.

Jego otwarta rana wpatrywała się we mnie, błagając, żebym ją zszyla. Krew skleiła jego gęste brązowe włosy. Ich kępki sterczały do góry.

- Czy ona ma zamiar się mną zająć, czy nie? - dopytywał się.

- Pani doktor? - Doug ujął mnie za ramię. - Czy mam kogoś poszukać?

- Gdzie ja trafiłem? - Pacjent ruszył w moim kierunku. -

Pieprzę coś takiego.

Puściłam się pędem.

Damska toaleta wydawała się odległa o mile. Tak bardzo chciało mi się sikać, iż bałam się, że tam nie dobiegnę. Ludzie stojący na korytarzu oglądali się za mną, kiedy mijałam ich kłusem, ledwie widząc ich zaniepokojone twarze.

- Doktor Zachariah! - wołał za mną Doug, ale ja skręciłam już za róg, zbliżając się do toalety. Czułam się, jakbym biegła w zwolnionym tempie i nie miała nigdzie dotrzeć.

Ledwie udało mi się zamknąć drżącymi rękami drzwi kabiny. Atakowały mnie głośnie nawoływania Douga i innych.

„Dobrze się pani czuje? Louise, nie potrzebujesz czegoś? Co się z tobą dzieje?”.

Słyszałam ich słowa jakby z oddali. Spuściłam wodę i usiadłam z powrotem, opuszczając głowę do kolan. „To tylko atak paniki” - powiedziałam sobie, wymieniając w myślach tyle objawów, ile zdołałam sobie przypomnieć: palpacje, pocenie się, dreszcze, uczucie dławienia się i duszności, chwilowa utrata świadomości oraz tożsamości, parestezja, nagła potrzeba załatwienia potrzeb fizjologicznych. Uczucie jakby się miało umrzeć.

Gorący, metaliczny zapach ojca wynurzył się gwałtownie z tego ciepłego lipcowego dnia i uderzył we mnie z całą siłą.

Czy mama by żyła, gdybym została wtedy w mieszkaniu? Czy to ja byłabym martwa?

Czemu tak się ociągałam z pójściem po Teenie? Czemu od razu nie popędziłam do jej mieszkania?

- Ochrona wyważy drzwi, jeśli pani zaraz nie wyjdzie, Louise. Zdecydowany głos przywrócił mi świadomość.

Brzmiał znajomo.

- W porządku - wychrypiałam. - Nic mi nie jest. Po prostu źle się poczułam. - Wstałam powoli i otworzyłam drzwi.

Wyglądająca na udręczoną pielęgniarka przyglądała mi się z założonymi rękami.

Przetarłam ręką twarz, udając, że jest mi niedobrze, i podeszłam do umywalki. Obmyłam się wodą. Serce biło mi zbyt mocno. Miałam nierówny oddech. Świadomość tego, co te objawy oznaczają, nie pomagała w ich usunięciu.

Pochyliłam się tak głęboko, jak tylko mogłam i wydusiłam z siebie kilka słów.

- Grypa. Nagła. Ledwie się trzymam na nogach.

- Potrzebuje pani pomocy? - Pielęgniarka wydawała się podejrzliwa.

- Odprowadzę panią - powiedział Doug. Stał w drzwiach, nie mogąc się zdecydować, czy powinien wejść do damskiej toalety.

- Zostań. Oni cię potrzebują. - Objęłam się ramionami.

- Wezwę dla pani taksówkę - powiedziała pielęgniarka.

Moje zabałaganione studio zapewniało mi wygodę. Tym razem nie przeszkadzało mi nawet to, że od tygodnia nie miałam czasu posprzątać. Czułam się tu bezpieczna.

Zrzuciłam z siebie płaszcz i padłam na niezasłane łóżko, wtulając twarz głęboko w poduszkę. Ujawniły się dawno skrywane uczucia i musiałam ugryźć się w rękę, żeby nie krzyknąć na wspomnienie kości mojej matki w brudnej ziemi.

Nienawidziłam jej za to, że na mnie krzyczała, że posyłała mnie do sklepu, że nie przygotowywała mi kolacji, że nie była łagodna i wyrozumiała. Za to, że nie zdawała sobie sprawy, że ja istniałam dla niej tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebowała.

„Pobaw się z siostrą.

Zanieś Teenie rzeczy do prasowania.

Ocal mi życie”.

Nienawidziłam siebie za to, że nienawidziłam jej. Może moja nienawiść pomogła tacie zabić mamę? Dlaczego nie wskoczyłam mu na plecy? Nie rzuciłam się pomiędzy nich?

Nie krzyczałam na niego? Czemu nie otworzyłam ust, zamiast chować się w łazience? Merry do nich pobiegła. Nie weszłam tam, nawet kiedy mama wrzeszczała: „On ma nóż. Sprowadź

Teenie! On chce mnie zabić”.

Czy mama tak mówiła? Czy ja to dobrze pamiętam, może to tylko moja wyobraźnia podsuwa mi te słowa? Czy mama powiedziała, że on chce ją zabić? Czemu nie stanęłam między nimi?

A gdyby zabił Merry?

Czemu sam się nie zabił?

Czemu nikogo nie ocaliłam?

Nazajutrz rano, gdy wróciłam do pracy, wytłumaczyłam wszystkim, że moja grypa, która zniknęła bez śladu, była efektem zatrucia pokarmowego. Przynajmniej porządnie się wyspałam, choć nie bez pomocy tabletki NyQuil - leku o działaniu bardzo podobnym do narkotyku.

Po dyżurze przeznaczyłam pierwszy od dwóch tygodni wieczór, żeby zobaczyć się z Merry, która była teraz w ostatniej klasie college’u Northeastern w Bostonie. Poprosiła mnie o spotkanie, gdyż potrzebowała pieniędzy. Oczywiście, była już dwadzieścia minut spóźniona. Wpatrywałam się w drzwi wejściowe, co trzy minuty spoglądając na zegarek. Po pół godzinie ogarnęła mnie biała gorączka. Zanim wkroczyła do baru Rubina, miałam ochotę drzeć się na całe gardło.

- Gdzie byłaś? Czemu tym razem się spóźniłaś? -

zapytałam, choć przekrwione oczy Merry i jej nieumyte włosy powiedziały mi, jaka była tego przyczyna.

- Niedzielny rozkład jazdy tramwajów. Musiałam czekać całe wieki. -  
Opadła na stojące obok mnie krzesło. -

Potrzebuję kawy.

- Potrzebujesz strażnika. Wyglądasz okropnie.

- Dzięki. To duża pociecha znaleźć u ciebie wsparcie.

Uczyłam się cały tydzień do końcowych egzaminów. -

Sięgnęła ręką do torebki i grzebała w niej tak długo, aż w końcu wyciągnęła pudełko papierosów.

- Czy mogłabyś poczekać, aż skończę jeść? -

Wyciągnęłam paczkę marlboro z jej ręki. - Uczyłaś się w barze poprzedniego wieczoru? - Podniosłam do ust grubą kanapkę z peklowaną wołowiną i ugryzłam spory kęs.

- Buee - powiedziała Merry. - To wygląda ohydnie.

- Patrzeć na twoje skołtunione włosy podczas jedzenia też nie należy do przyjemności.

- Dlaczego musisz być taka złośliwa?

- A czemu ty bardziej o siebie nie zadbasz?

Merry wzięła ze stołu pudełko zapalek i łamała jedną po drugiej.

- Wybacz, ale nie każdy może być święty, tak jak ty. -

Chwyliła mój kubek z kawą i pociągnęła łyk. - Fúj, ty słodzisz? Od kiedy?

Pochyliłam się nad stołem i odebrałam Merry kubek.

- Od czasu, gdy muszę czekać na moją siostrę po harówie na ciągłych dyżurach, a ona nie zjawia się punktualnie i to poziom cukru we krwi obniża mi się tak bardzo, że muszę wsypywać do kawy trzy porcje. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

Merry usiadła głębiej na krześle.

- Tramwaj naprawdę jechał wolno.

- Powinnaś była wziąć poprawkę na to, że w niedzielę taka jazda zajmie ci więcej czasu.

Tłumiona złość kazała mi potrząsać nią, dopóki nie zacznie mnie słuchać, słuchać naprawdę. Straszliwe rzeczy wydarzyły się na świecie. Powinna o tym pamiętać, zamiast udawać, że wszystko jest okej. Nie znosiłam tego, że śmierdziała papierosami i nie cierpiałam, gdy jej ubranie przesiąknięte było zapachem piwa.

- Mam dwadzieścia jeden lat. Kiedy wreszcie przestaniesz mnie krytykować?

- Wtedy, gdy ty przestaniesz przychodzić do mnie po pomoc. - Sięgnęłam po starą zamszową torebkę, którą nosiłam, od kiedy Anne dała mi ją na osiemnaste urodziny.

Powiedziała wówczas, że kolor gorzkiej czekolady pasuje do moich oczu. Pamiętam, że byłam zaskoczona tą jej poetycką frazą, a jeszcze bardziej tym, że wie, jakiego koloru mam oczy.

Znowu ogarnęło mnie znajome uczucie bycia niezbyt miłą dla Anne. Ona tak bardzo się starała, a ja zachowywałam się po świńsku. Ta myśl świdrowała w mojej głowie jak dokuczliwy ból zęba. Merry siedziała, wpatrując się w swoje ręce, jakby czekała na dalsze krytyczne uwagi z mojej strony.

Lecz ja sięgnęłam do torebki, wyjęłam portfel i wyciągnęłam z niego pięć dwudziestodolarowych banknotów wypłaconych z banku.

- Weź to - powiedziałam, kiedy Merry nie wyciągnęła ręki po pieniądze. - Daję ci stówę.

- Prosiłam tylko o pięćdziesiąt. - Merry sączyła parującą czarną kawę, którą kelner przyniósł jej szybko i z uśmiechem, zachowując się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy stawiał przede mną wystygłą kawę i kanapkę. Wystarczyło, że Merry spojrzała na jakiegoś mężczyznę, a ten już gotów był zrobić dla niej wszystko.

Położyłam banknoty na brudnym blacie stolika i przesunęłam w jej kierunku. Starsza para przy sąsiednim stoliku spojrzała na nas.

- Weź to - powtórzyłam. - Nie mogę znieść myśli, że jesteś bez pieniędzy.

- Nie martw się. Gdy zdam w maju maturę, nigdy więcej nie będziesz musiała się o mnie martwić.

Wzięłam siostrę za rękę i wsunęłam jej w dłoń złożone banknoty. Czułam się winna. Gdy ja kończyłam średnią szkołę, Cohenowie zafundowali mi wycieczkę z Włoch do Francji i na wyspy greckie. Mimo iż natrzęsałam się z przewodnika i innych wycieczkowiczów, z jakiejś grupy młodzieżowej działającej przy synagodze na Upper West Side, to pierwszy raz w życiu czułam wtedy, że żyję. Nikt mnie nie znał. Mogłam być kimkolwiek. Prawdopodobnie dlatego straciłam w końcu dziewictwo, które dotąd nosiłam na sobie jak ogromną szkarłatną literę D.

David Stern, jeden z liderów synagogałnej grupy wycieczkowej, z gęstymi czarnymi włosami i szerokim uśmiechem, wyglądał jak klasycznie przystojny mężczyzna podczas bar micwy, mimo że minęło dziesięć lat, od kiedy stał

przy bitnie - modlitewnym ołtarzu w synagodze - i czytał

haftarę. Chociaż podczas całej tej wycieczki trzymaliśmy rzeczy w plecakach, jego niebieskie koszule i jasnobrązowe drelichowe spodnie

wyglądały zawsze, jakby było świeżo wyprasowane. Po każdym postoju sprawdzał, czy wszyscy wrócili do autokaru.

Gdy Mindy Grossman napiła się absyntu i zaczęła rzygać, David przyniósł jej herbatę rumiankową i znalazł francuskie krakersy na jej kaca. Podobnie jak ja, miał zacząć studia medyczne. Inaczej niż ja - wyrastał czysty i adorowany, otoczony miłością i wysokimi oczekiwaniami.

Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, złota gwiazda Dawida zwiślała mu z szyi, bujając się nade mną, i jedyną rzeczą, o jakiej potrafiłam myśleć, były otwarte groby - mamy i babci. Chciałam, żeby zabrał tę swoją gwiazdę, ale nie wiedziałam, jak go o to poprosić. Zerwaliśmy ze sobą i na wyspach greckich David posuwał energicznie Mindy Grossman.

David był wspaniałym prezentem za zdaną maturę. A co mogłaby dostać moja Merry? Doktor Cohen prawie nie utrzymywał z nami kontaktów od czasu, gdy Merry poszła do college'u, płacił jedynie za jej naukę. Wszelkie pozory tak zwanych więzi rodzinnych z Cohenami skończyły się, kiedy doktor zaczął spotykać się z jakąś kobietą. To ja muszę zadbać o prezent dla Merry i nie będzie to żadna wycieczka do Europy. Jeśli mi się uda, będę mogła kupić jej timeksa.

Merry odsunęła pieniądze z powrotem w moją stronę.

- Nie stać cię aż na tyle, a poza tym nie zasługuję na nie.

Jestem smarkulą. Spóźniam się, jestem niegrzeczna, palę i piję. - Wysunęła podbródek. - Nie chciałabyś po prostu odciąć się ode mnie? Czy nie myślałaś nigdy o tym, że mogłabyś zacząć żyć jak normalni ludzie?

- Jesteśmy normalne. - Zaczęłam kreślić linie na ramieniu.

- Nic nie może nas rozdzielić, Merry. Nawet tak nie mów.

- Nie możesz niczego zagwarantować.

- Mogę - odparłam. - Mamy kontrolę nad naszym życiem, Merry. Nie zapominaj o tym.

# 15. Lulu

## Maj 1987

Przed nadejściem wiosny obawiałam się, że moje życie wymyka mi się spod kontroli. Zrozumiałam nareszcie, w jaki sposób ludzie zasypiają za kierownicą. Byłam przerażona, gdy zdarzyło mi się przysnąć przy zakładaniu kroplówki dożylniej.

Marta kilkakrotnie przypominała mi o party u Rona dzisiejszego wieczoru, lecz ja byłabym w pełni zadowolona, gdybym mogła tego wieczoru obejrzeć Dynastię. Mój dyżur kończył się o piątej i byłabym szczęśliwa, gdybym mogła spędzić następne godziny na oddziale neurologicznym, siedząc w pokoju pana Vincenta i delektując się jedzeniem, które jego żona przynosiła do szpitala.

Vincentowie byli małżeństwem od pięćdziesięciu pięciu lat i pani Vincent była zdecydowana siłą utrzymać męża przy życiu. Całymi godzinami trzymała go za rękę, wyciągając przy tym szyję, żeby móc oglądać program w ustawionym w sali telewizorze, i karmiła personel. Przyjeżdżała wraz z synem codziennie koło dziesiątej; on dźwigał karton wyłożony dla izolacji gazetą. Były w nim pojemniki pełne gorącego, pysznego jedzenia, codziennie inne wariacje ravioli, lasagne i pieczonych

bakłazanów.

Lista

dań

wydawała

się

nieskończona. Ponadto jej syn niósł przewieszoną przez ramię reklamówkę wypełnioną cannoli i ciasteczkami z piekarni jej kuzyna.

- Dzień dobry, pani Vincent - powiedziałam, wchodząc do pokoju. - Dzień dobry, panie Vincent. Jak pan się dzisiaj czuje?

- Popatrz, Joe, to doktor Zachariah. - Pani Vincent delikatnie wytarła ślinę wypływającą z ust jej męża. -

Oglądamy wiadomości. Joe uwielbia wiadomości. Prawda, Joe?

Pan Vincent uśmiechnął się i przytaknął, co zresztą robił

w odniesieniu do wszystkiego. Pani Vincent traktowała jego zadowolony wyraz twarzy jako oznakę powrotu do zdrowia po przebytych udarze, pomimo ponurych diagnoz neurologa prowadzącego.

- Jest pani głodna, kochanie? - Sięgnęła do pogniecionej torby z zakupami ze sklepu Jordana Marsha.

Przysiadłam na krześle obok niej.

- Umieram z głodu.

Doglądałam pacjentów od przyjscia do szpitala w sobotę rano. Teraz był sobotni wieczór, tydzień później.

Pani Vincent nałożyła lasagne na tekturowy talerz.

Potrawa była zimna, ale nie przeszkadzało mi to. Kobieta wręczyła mi plastikowy widelec i złożoną serwetkę.

Przewróciłam oczami z rozkoszy, gdy wzięłam do ust kęs słodko - pikantnego dania z dużą ilością mięsa.

Kawałek makaronu spadł mi na biały fartuch i zmieszał się z krwią, którą przed chwilą pobrudził mnie pacjent na korytarzu. Podniosłam makaron, przez chwilę nawet zdecydowana, żeby go zjeść. Przetarłam fartuch serwetką, czyniąc w efekcie z małej plamki krwi czerwoną plamę wielkości spodka, która bez wątplenia byłaby widoczna nawet z Marsa.

- Proszę wziąć to. - Pani Vincent podała mi wilgotną chusteczkę odświeżającą. - Chce pani przestraszyć swoich pacjentów?

- Oni powinni być przestraszeni - odparłam. - Wie pani, jak długo już tu jestem?

Pani Vincent prychnęła.

- Wielka mi rzecz. Proszę spojrzeć na Joe'ego. Pani pójdzie do domu. On nigdy stąd nie wyjdzie. Niech się pani cieszy, że jest młoda i zdrowa. Silna dziewczyna, taka jak pani, może znieść wszystko. Proszę poczęstować się cannoli, potrzebuje pani cukru.

Pani Vincent sama była sprytna. Czy jej mąż mógł mieć tu lepszą opiekę? Kto byłby na tyle bezduszny, żeby nie zrobić czegoś, choćby czegoś małego, dla pana Vincenta - posłuchać jego serca, zbadać mu wzrok, zrobić badanie wydolnościowe -

po zjedzeniu lasagne pani Vincent? Walczyłam z sobą, żeby nie usnąć przy jedzeniu i oglądaniu ogólnokrajowych wiadomości, w czym pomagałam



sobie, bawiąc się w odgadywanie PWPP - poziomu wydolności przy pieprzeniu, decydując, czy Peter Jennings jest w tym dobry. Ta zabawa stała się ostatnio nowym szaleństwem wśród stażystów i stażystek Cabot, którzy w ten sposób określali, z kim warto iść do łóżka. Ocenialiśmy pod tym kątem gwiazdy filmowe, personel szpitala, prezydentów, wszystkich, tylko nie pacjentów. Etyka nadal odgrywała dużą rolę w naszym życiu.

Zabawa w PWPP pomagała nam przetrwać. Jeśli nie mogliśmy uprawiać seksu, graliśmy. Podczas naszych piętnastominutowych posiłków w kafeterii rzucaliśmy nazwiskami osób, które czyniliśmy przedmiotem naszej zabawy, choć wybory nigdy nie były banalne, jak Richard Gere czy Demi Moore. Proponowaliśmy ludzi typu Gorbaczow albo Nancy Reagan, wymuszając nawzajem decyzje.

Peter Jennings był za łatwy; wyśmialiby mnie.

Oczywiście, Jennings był wyjątkowo dobry w te klocki. Czy byłoby dużym nietaktem poprosić panią Vincent, żeby zmieniła kanał? Muszę wymyślić kogoś innego, kogoś mniej oczywistego.

- Może kawy? Mój syn przyniósł w termosie. - Pani Vincent podniosła pusty tekturowy kubek. Ciekła mi ślinka na myśl o tej jej nieszpitalnej kawie, zwłaszcza że zamiast położyć się spać - jak zwykle po dyżurze, postanowiłam pójść na przyjęcie zorganizowane z okazji zakończenia stażu.

- Dziękuję. Uwielbiam kawę.

- To wspaniale. Tak przy okazji, myślę, że puls Joey'a jest trochę za wysoki.

Ron Young, mój były partner z grupy na zajęciach z anatomii, urządził party w swym dużym domu w Dorchester, który odziedziczył po rodzicach. Jego ojciec był cieślą i przebudował ten dom od fundamentów. Każde pomieszczenie miało w sobie coś specjalnego - wbudowane w ściany biblioteczki, wiśniową boazerię, misternie wymurowane kominki. I lilie z ogrodu w kryształowych wazonach. Dom Rona wyglądał jakby rodzina i historia zespoliły się w nim ze sobą.

Ron zaprosił tych wszystkich z naszej grupy, którzy byli jeszcze w Bostonie, razem z - jak się zdawało - pięcioma tysiącami innych, którzy mogli być zarówno kibicami Red Sox, jak i performerami, znając eklektyczny gust Rona.

- Widzisz tu kogoś, kogo lubisz? - Marta zjawiała się przy mnie, niosąc dwa kieliszki wina.

Przytaknęłam wymijająco.

- Weź czerwone - powiedziała Marta. - Szkoda, że Henry wyjechał do Los Angeles. Mógłby cię tu przelecieć, przez wzgląd na starą przyjaźń.

Delikatne rysy Marty nie pasowały do jej niewyparzonej gęby. Ruchem głowy wskazałam faceta w rogu, słuchającego cierpliwie i przytakującego jakiejś atrakcyjnej rudowłosej dziewczynie.

- Kto to jest? Marta uśmiechnęła się.

- Nebraska.

- To jego imię? - Upiłam łyk wina, obiecując sobie, że to ostatni kieliszek.

- Nie, stamtąd pochodzi.

Nebraska wydawał się pociągający z racji swej surowej męskiej urody, ubrany w dżinsy i granatową sztruksową koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi gęsto owłosione ramiona pasujące do ciemnoblonde czupryny.

- Rozmawiałś z nim? Marta przytaknęła.

- Trochę. Ma za jasną karnację jak dla mnie. - Marta gustowała raczej w mężczyznach o oliwkowej cerze -

Włochach, Grekach, Żydach albo Portorykańczykach - takiej, jaką sama miała. A do tego z grubą książeczką czekową. - Nie jest lekarzem.

- A kim?

Wzruszyła ramionami.

- Artystą.

- Mówisz tak, jakby to było czymś nudnym.

- Uprawia sztukę komercyjną. Kartki okolicznościowe czy coś takiego. Nie pamiętam. - Machnęła ręką, widząc moje zmarszczone brwi. - W porównaniu z Henrym jest dzikim mężczyzną. Tak naprawdę sprawia wrażenie kogoś z charakterem. Nie wiem, czy powinnaś się nim zainteresować.

- Marta dawno temu zaszufładowała mnie jako osobę napuszoną.

Przyglądałam się ubraniu Marty. Jej szpiczaste obcasy miały ponad siedem centymetrów, czyniąc ją o tyle wyższą, a sukienka ścisnęła ją w pasie tak, jak mnie nigdy żadna sukienka. Porównanie z Martą sprawiło, że miałam ochotę popędzić do Saks Fifth Avenue. Sięgnęłam po pusty kieliszek, tłumiąc emocje, zanim wybuchną.

- Mam ochotę jeszcze się napić. Przynieść ci też? Marta potrząsnęła głową.

- Przyjrę się temu. - Trzymanym w dłoni kieliszkiem wskazała na dosyć przysadzistego mężczyznę. - Numer jeden na swoim roku na Harvardzie, wybitny stażysta i najlepszy etatowiec na chirurgii w Mass General. - Oblizła językiem górną wargę. - Wróżą mu wspaniałą przyszłość, duży majątek.

Będzie doskonałym mężem - Żyd, chirurg i na tyle prosty, by mnie uwielbiać. - Swymi doskonałymi palcami zakonnicy musnęła swą twarz Dziewicy Maryi.

- Nie bądź taka pewna teorii, że Żydzi są najlepszymi mężami. - Nie mogłam jej powiedzieć, że moje życie zadało kłam tej hipotezie. Tak jak wszyscy, Marta sądziła, że jestem sierotą, bo moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. -

Osobiście uważam, że wymyślili to sami Żydzi. Jako formę autoreklamy.

Ruszyłam na poszukiwanie wina. Marta skierowała się w stronę jej przyszłego męża.

Po wypiciu drugiego kieliszka stwierdziłam, że Nebraska emanuje wysokim PWPR Problem tylko w tym, jak pozbyć się jego gadatliwej towarzyszki. Im dłużej mu się przyglądałam, tym bardziej podobał mi się jego naturalny wygląd. W pomieszczeniu pełnym facetów z żelazem na głowie podniecające było zobaczyć mężczyznę, którego włosy się poruszają. Pragnęłam zdjąć mu koszulę, położyć głowę na jego szerokiej piersi i leżeć tak całymi godzinami.

Wysączyłam resztkę wina z kieliszka, zmierzwiłam włosy i podeszłam do Nebraski. Wykorzystując chwilę nieuwagi rudowłosej, przyciągnęłam jego wzrok i spróbowałam uśmiechnąć się do niego na sposób Marty.

- Jakiej specjalności lekarzem jesteś? - Czułam się lepsza, znając odpowiedź na postawione przeze mnie pytanie.

- Nie jestem lekarzem. - Miał kojący głos, mówił powoli i z namysłem.

- Jeżeli nie jesteś lekarzem, co cię tu przywiodło? -

zapytałam w formie powitania.

- Miałem nadzieję spotkać jakąś lekarzkę. - W oczach Nebraski za okularami w drucianych oprawkach kryło się więcej niż się spodziewałam - dostrzegłam w nich dobroć.

- No to szczęściarz z ciebie - powiedziałam. - Jestem lekarzką.

- Naprawdę jestem szczęściarzem - odparł. - A jakiej specjalności?

- Właśnie skończyłam okropnie wyczerpujący staż.

- Zameczają cię, prawda? - W jego głosie wyczułam pewien rodzaj troski, który zwykle ja okazywałam. Do tej pory nie zdarzało mi się jej doznawać. - Twoje oczy, chociaż piękne, wyglądają jak z reklamy środków nasennych. Nie ma sensu doprowadzać ludzi do wycieńczenia po to, żeby nauczyć ich pomagania chorym i bezbronnym. Czemu źle przygotowuje się tych, którzy będą opiekować się najbardziej potrzebującymi?

- Myślę, że teoria musi iść w parze ze zdobyciem doświadczenia

postępowania

nawet

w

najgorszych

warunkach. - Położyłam rękę na szyi, żałując, że nie założyłam czegoś ładniejszego, czegoś błyszczącego, czegoś, co włożyłaby Merry.

- Może właśnie tak wam mówią, żebyście harowali całymi godzinami, a oni zyskali w ten sposób tanią siłę roboczą. - Położył mi palec pod brodę, a kiedy podniosłam głowę, spojrzał mi w oczy. Potem odgarnął mi z czoła za długą grzywkę, która jak zawsze groziła ograniczeniem widoczności. - Widzę potrzebę długiego snu, pożywnego jedzenia i rozmowy na tematy niezwiązane z medycyną.

- A ja widzę kogoś, kto mi zapewni przynajmniej to trzecie. - Może był to efekt wypitego wina albo jego głosu; jednak jakakolwiek była tego przyczyna, ten facet po raz pierwszy zachęcił mnie do flirtu.

- Mogę. I zapewnię. Ale tylko wtedy, jeśli pozwolisz mi postawić ci porządną kolację.

Nazajutrz rano obudziłam się obok Nebraski. Ile ja wczoraj wypiałam? Zwlokłam się z łóżka, mając nadzieję, że go nie obudzę, ale miałam zbyt wielkiego kaca, żeby iść na palcach.

Doszłam do toalety w samą porę, żeby zwrócić czerwone wino i resztki pieczonego kurczaka, będące wyobrażeniem Nebraski o porządnym jedzeniu. Ohyda. Potem osunęłam się na podłogę. Linoleum wyglądało na obrzydliwie brudne i pełne zarasków. Od dawna chciałam posprzątać mieszkanie, ale najczęstszym rozstrzygnięciem dylematu „co zrobić z sześcioma godzinami wolnego czasu w tygodniu” był sen.

Alkohol nigdy za bardzo mi nie służył. Ściągnęłam ręcznik z drążka, żeby się nim przykryć i skuliłam się maksymalnie. Pomiędzy kolejnymi wymiotami przysypiałam na zimnej i wilgotnej posadzce, wciśnięta pomiędzy muszlę klozetową i wannę.

Kiedy ocknęłam się po raz kolejny, zobaczyłam gołe męskie nogi porośnięte brązowozłotym owłosieniem. Walcząc z zawrotami głowy, rozpaczliwie próbowałam się podnieść.

Nebraska przykucnął obok mnie; miał na sobie bokserki.

Znowu poczułam mdłości.

Mimo ciągłych torsji, miałam ochotę go dotknąć.

- Hej, hej, już dobrze - powiedział, gdy skończyłam wyrzucać z siebie resztki jedzenia, które pozostały jeszcze w moim obolałym żołądku. Trzymał mokrą myjkę, a ja zastanawiałam się, gdzie w moim mieszkaniu udało mu się znaleźć coś czystego. Wziął moje ręce i zaczynając od palców, ścierał z nich brud zmieszany z potem. Patrzyłam na to z niemą wdzięcznością. Potem wstał, starannie wypłukał myjkę i delikatnie przetarł nią moją twarz i kark.

- Dzięki - powiedziałam. Nie mogłam sobie przypomnieć poprzedniego wieczoru, ale moje ciało pamiętało jego pewny dotyk. Musiało być dobrze, skoro tak bardzo go pragnęłam.

Wręczył mi biały frotowy szlafrok, który jakimś cudem wydobył ze stosu ubrań w sypialni.

- Nie przywykłaś do picia, czy przywykłaś za bardzo?

Zaczęłam kręcić głową, ale ten ruch wywołał kolejne zawroty. Mój nadwężony żołądek protestował przy każdym zbędnym poruszeniu. Pękała mi głowa.

- Nie. - Nie mogłam wykrztusić nic więcej ponad to jedno słowo.

- Moja matka dużo pije - powiedział. - Nie jest to dobra cecha - dodał, przechadzając się po malutkiej łazience - jak sama zresztą widzisz.

Starając się jak najmniej ruszać głową, zobaczyłam - i wzdrygnęłam się na ten widok - stertę brudnych ręczników, z których zrobiłam sobie coś na kształt gniazda, i resztki papieru toaletowego, którym wycierałam sobie nos i usta. Gdyby mnie tak nie mdliło, a mój ból głowy nie urastał do kosmicznych rozmiarów, może odczuwałabym większy wstyd, co zresztą pewnie nastąpi później.

- Chyba lepiej będzie, jak cię stąd zabiorę. Nie jestem lekarzem, ale nie wydaje mi się, żeby to było najzdrowsze otoczenie.

Zaprowadził mnie z powrotem do łóżka, w którym natychmiast zasnęłam. Na szczęście. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam Nebraskę czytającego gazetę. Byłam zaskoczona, że nie skorzystał z okazji, aby się ulotnić. Ja bym tak zrobiła.

Przyniósł mi kubek herbaty i talerzyk z ciasteczkami. Musiał pójść do sklepu po zapasy, bo ani jednej z tych rzeczy nie było w mojej biednej spiżarni.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Nebraska jest prawdziwy, czy może jest częścią jakiejś alkoholowej wizji - dobrego snu, z mężczyznami w rolach rycerzy, obrońców i uzdrowicieli.

- Okryty tajemnicą przepis rodzinny. - Przy łóżku postawił zniszczoną tacę, której często używałam przy oglądaniu telewizji. Łóżko zapadło się, gdy na nim usiadł.

Podsunał mi dymiący kubek. Z pewnym wahaniem upiłam łyk przesłodzonej herbaty, niepewna swojej reakcji.

Nebraska podał mi ciastko, które ugryzłam.

- Choć trochę lepiej?

- Ciut, ciut. Dzięki Bogu, nie muszę iść dzisiaj do szpitala.

- To twoi pacjenci powinni dziękować Bogu. Wyobraź sobie, jak gwałtownie wzrosłaby śmiertelność, gdybyś poszła.

Nebraska miał poczucie humoru. To dobrze.

- Nie wiem nawet, jak masz na imię - powiedziałam. - Nie zapytałam, co? Jezu, spałam z mężczyzną, którego imienia nie pamiętam. - Uniosłam kolana i umieściłam kubek między nimi. - Nigdy nie miałam faceta na jedną noc. Wierzysz mi?

- Pewnie. Mam na imię Drew. Skrót od Andrew. Andrew Winterson. - Ujął mój podbródek dwoma palcami i uniosł go.

- Chociaż myślę, że skłamałabyś, gdyby to było konieczne.

Chciałbym jednak, żeby tak się nigdy nie stało.

- W myślach nazywałam cię Nebraska.

- Jak się dowiedziałaś, skąd pochodzę?

- Od mojej przyjaciółki Marty. Ty powiedziałeś jej, a ona mnie.

- Pytałaś o mnie? - Tak.

- Co jeszcze mówiła?

- Że jesteś nudny. Martę pociągają niebezpieczni mężczyźni, chociaż chce poślubić bogatego, zrównoważonego faceta. Przypuszczam, że będzie go zdradzać.

- Dobrze, że nie wiedziała, że ja jestem bogaty. Za to ma rację, mówiąc, że jestem nudziarzem.

- Naprawdę taki jesteś?

- Nudny?

- Nie, bogaty.

- Nie bardzo, ale moja rodzina żyje całkiem wygodnie.

Ojciec jest właścicielem sieci sklepów z oponami.

- To dopiero musi być nudne.

- Pewnie tak, ale to pozwala mojej mamie pić, nie licząc się z miejscowymi damami i ich krytycznymi opiniami na ten temat. One zaś umieszczają ją we wszystkich możliwych radach i komisjach. W związku z tym spędza zimy w Karolinie Północnej i z pasją oddaje się diecie i ginowi.

- Ja nie jestem sierotą - palnęłam.

- Nie powiedziałem, że jesteś.

- Mówię wszystkim, że jestem sierotą. Że moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam dziesięć lat. Ale to kłamstwo.

- Czemu więc tak mówisz?

- Bo mój ojciec zabił moją matkę. Siedzi w więzieniu. Nie powiedziałam o tym nikomu, od kiedy rodzina zastępcza wzięła moją siostrę i mnie z sierocińca. Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

- Nikomu nie powiem. - Drew podniósł kołdrę. - Posuń się.

- Okropnie śmierdzą - powiedziałam, robiąc mu jednak miejsce.

- Nie tak okropnie. Choć nie jest to też wspaniały zapach.

- Kiedy objął mnie ramieniem, poczułam, że mam gęsią skórę na całym ciele, od ramion do ud. - Ale jestem z Nebraski - jesteśmy tam wszyscy bardzo zahartowani.

Drew był jakimś rzadkim gatunkiem. Godnym zaufania mężczyzną, który przyprawiał mnie o dreszcze.

Trzy tygodnie później przyznałam się Merry, że ujawniłam rodzinną tajemnicę. Siedziałam przy kuchennym stole, mnąc serwetkę i czekając na jej reakcję. Żałowałam, że nie ma przy mnie Drew.

- Jak mogłaś powiedzieć mu o tym ot tak sobie? - Merry grzebała w mojej lodówce. - Nie masz soku pomarańczowego?

- Ciesz się, że w ogóle mam coś do jedzenia i do picia -

odparłam. - Samo mi się wymyśliło, wcale tego nie planowałam.

Nie wiedziałam, czy Merry jest w stanie pojąć, jak bardzo Drew różni się od całej reszty świata. Powiedzenie tego zabrzmiałoby fałszywie, ale on dba o moje bezpieczeństwo. O

nasze bezpieczeństwo. Można mu zaufać, nawet powierzając mu takie tajemnice.

Był typem człowieka, który ofiarowuje ci prezent, jakiego pragniesz, a nie taki, jaki według niego powinnaś dostać.

Drew był człowiekiem honoru. Może nigdy nie znalazłabym ponownie kogoś takiego, kogoś, kto sprawiwszy, że drzę w ciemności, wyprowadza mnie na słońce.

- Przestajemy więc kłamać? - Merry ugryzła lekko nadgnite jabłko. Czy to się mogło odnosić tylko do mnie, a nie do niej? Dlaczego nie była mi wdzięczna, że zaprosiłam ją w pierwszej wolnej chwili, kiedy nie byłam w pracy ani z Drew.

Pragnęłam być z nim bez przerwy, dzielić z nim wszystkie chwile. Pragnęłam zamieszkać w jego ciele, spędzać dzień w jego kieszeni.

- Nic się nie zmieniło - powiedziałam. - Nie możesz nikomu o tym mówić. Zanim nie spotkasz tego jedyne.

Kiedy to będzie?

Dzisiaj przynajmniej Merry przyzwicie wyglądała.

Wsunięta do spodni biała bluza odsłaniała mniej niż zwykle potargany t-shirt ozdobiony nazwą jakiegoś zespołu. Od kiedy chodzi do pracy, uspokoiła się, chociaż wyobrażam sobie, że codzienne stawanie twarzą w twarz z ofiarami przestępstw może sprawić, że czuje się jak we freudowskim horrorze.

- Przestań mnie kontrolować. - Merry znów ugryzła wielki kęs jabłka. Obie pędziłyśmy przez życie wiecznie głodne. Jadłyśmy szybko, często i dużo. Bóg oszczędził nam dnia, w którym nasz metabolizm uległby spowolnieniu -

choć nie mamy żadnego materiału genetycznego do oceny, więc kto wie, kiedy to może nastąpić? Merry mówiła, że nasz ojciec staje się trochę sflaczały oklapły - ale, jeśli mam być szczerą, nie wiem, czy chciałabym dopuścić do siebie myśl, że jego obecna kondycja fizyczna jest jakąś zapowiedzią mojej przyszłej formy?



- Naprawdę poszłaś z nim do łóżka tego samego wieczoru, kiedy go poznałaś? - zapytała Merry, sięgając po kruche ciasteczko do otwartego pudełka. - Gdzie się podziała Panna Doskonała?

- Zakochać się to co innego, niż wskoczyć komuś do łóżka. - Spojrzałam na ciemną oprawę oczu mojej siostry, na jej usta w kolorze wiśni i poczułam się, jak zrzędliva stara panna pouczająca studentkę.

Merry zignorowała moje niemiłe słowa.

- A czym się ten cudowny mężczyzna zajmuje?

Uśmiechnęłam się.

- Sztuką.

- Jest artystą? Malarzem?

- Uprawia sztukę komercyjną. Kartki z życzeniami i tym podobne rzeczy. Chce ilustrować książki dla dzieci.

- Rysuje kotki na kartkach urodzinowych? - spytała Merry. - Takie sztamkowe szczeniaczki?

Nie przejmowałam się tym, co o nim mówiła. Pozwoliłam jej gadać, a sama pograżyłam się we wspomnieniach chwil spędzonych w łóżku. Z Drew. Badając jego PWPP I mój.

Cholernie fajnie do siebie pasowały.

Po chwilach upojenia włączaliśmy telewizor i oglądaliśmy byle jaki film, który akurat wyświetlali. Tematyka, recenzje, obsada, gatunek - to wszystko nie miało dla nas znaczenia.

Nigdy nie zobaczyliśmy żadnego z nich do końca.

Nachyliłam się i położyłam dłoń na ramieniu mojej siostry.

- Polubisz go, Mer - zapewniłam ją. - Będzie dla nas dobry. Odsunęła się.

- Czemu nie porozmawiałaś ze mną, zanim mu powiedziałaś? Zabiłabyś mnie, gdybym to ja zrobiła coś takiego. Dlaczego zawsze ty o wszystkim decydujesz?

Nie chciałam być szczerą i powiedzieć jej, że mam lepszą ocenę sytuacji.

- On jest jak rodzina. Wiem to. Pokochasz go.

- Ja też chciałabym spotkać właściwego mężczyznę, ale jak mogę na to liczyć, skoro bez przerwy jeżdżę do taty?

Niełatwo jest ukrywać moje wizyty w więzieniu przed każdym poznanym

mężczyzną.

- Jeżdżenie tam to twój wybór, nie mój - powiedziałam.

- Czemu się wściekasz? Dlatego, że nie chcę dłużej żyć w zakłamaniu?

- Powiedzenie prawdy jest najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką możemy zrobić. Myślę o nas obu. Kiedyś będziemy miały dzieci, które nie będą potrzebowały mieć cholernego mordercy za dziadka.

## 16. Merry

Wrzesień 1989

Lato się skończyło, a wraz z nim pachnące morską solą i seksem weekendy nad oceanem, spędzane z Quinnem, podczas których piliśmy bacardi z coca - colą, ukryci na opuszczonych plażach Maine znanych tylko miejscowym.

Rum i słońce pomogły mi odsunąć od siebie rzeczywistość na całe dwa miesiące. Odsunąć żonę Quinna. Wrzesień przypomniał o poważnej stronie życia. O mojej pracy, moich tak zwanych stosunkach i oczywiście, o moim ojcu, którego ciężar przygniatał mnie, ilekroć wysiadałam z autobusu i stawałam przed bramą więzienia.

Iona była dzisiaj moją pierwszą klientką. Bałam się spotkania z nią, bo wiedziałam, że jak zwykle przez cały czas będzie jęczeć i płakać. Weźmie ode mnie dziesiątki chusteczek i odrzuci przy tym wszelkie moje rady, podając mi mnóstwo powodów, dla których one nie skutują. W

psychologicznym żargonie uniwersytetu Northeastern, Iona była odrzucającą pomoc malkontentką. Ja jednak dojrzywałam do tego, żeby ją znienawidzić, co sprawiało, że czułam się jak ostatnia szmata.

Były chłopak Iony zbił ją, zgwałcił i omal nie zabił, więc mój stosunek do niej, chociaż pozornie pełen współczucia, był

okropny. Wszystko Ionie opadało - włosy, ramiona, jej cholerne paznokcie. W głębi duszy pragnęłam się jej pozbyć.

Jaki kurator sądowy myśli w ten sposób o ofierze?

Wyczuwałam fałsz w moim oficjalnym tytule.

Paliłam papierosa na schodach prowadzących do gmachu sądu. To mój ostatni przystanek przed wejściem do środka.

Zabawne, tak bardzo lubiłam to zajęcie. Praca z ofiarami wydawała się dla mnie doskonała. Programy pomocy ofiarom przestępstw w tym czasie, kiedy robiłam dyplom z prawa karnego, były czymś nowym, propozycją skierowaną do aktywistów, którzy lobbowali na rzecz uchwalonej niedawno Deklaracji Praw Ofiar. Nie wiedziałam, że była to propozycja skromna i niedopracowana.

Pomimo iż wiedziałam z wykładów na kursie psychologii, że będę przerabiać w pracy własne problemy, zdawałam sobie sprawę z tego, że

reagowałam zbyt emocjonalnie.

Odwracałam się plecami do wszystkich klientów, miałam ochotę krzyknąć na nich, żeby się zamknęli, przestali płakać.

Zatkajcie się, na miłość boską!

Nawet wtedy, gdy łonie okazywałam życzliwość i wsparcie, jej łyż wściekłości i uzalanie się nad sobą sprawiały, że chciałam nią wstrząsnąć. Szeptając słowa pociechy, przytakiwałam i dawałam jej chusteczki, podczas gdy coś we mnie krzychało: „Zamknij się i spierdalaj!”.

Kiedyś po śmierci Anne, pomiędzy liceum i studiami, coś we mnie pękło. Samotne życie w tym śmiertelnie cichym mieszkaniu doktora Cohena odebrało mi nadzieję. Doktor wynajął gosposię, która zajmowała się wszystkim, od jedzenia do prowadzenia korespondencji z moją szkołą. Gdyby to było możliwe, wynajęłby kogoś do rozmawiania ze mną.

Jedyną formą opieki doktora Cohena nade mną było zawożenie mnie do Więzienia Okręgowego Richmond.

Zwiększył częstotliwość tych wizyt z jednej do dwóch, a potem do czterech miesięcznie, a ja nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że to za dużo. W pewien groteskowy sposób sądziłam, iż on wierzy, że może zrzucić na tatę ojcowską odpowiedzialność.

Bez Anne doktor Cohen nie wiedział, co ze mną robić.

Stałam się dla niego kulą u nogi. Kiedy zaczął spotykać się z kobietą prawie w moim wieku, nie mógł pozbyć się mnie ze swego domu tak szybko, jakby tego pragnął.

Po raz ostatni zaciągnęłam się papierosem, po czym zgasłam go w betonowej donicy stojącej przed ciężkimi szklanymi drzwiami prowadzącymi do gmachu sądu. Drzwi zaskrzypiały, gdy weszłam do wyłożonego drewnem i wyciszzonego

pomieszczenia;

czułam,

że

powinam

przyklęknąć. Przestępcy i ofiary przechadzali się ze spuszczoneym wzrokiem. Prawnicy i personel sądu pomykali korytarzami napuszeni wysokim mniemaniem o sobie, tak jak zapewne kardynałowie dostojnym krokiem przechadzali się po Watykanie.

Wjechałam windą na piąte piętro. Brud przyciemnił  
mosiężne  
plastry,  
świadectwo  
niedbalstwa  
stanu

Massachusetts. Biuro Pomocy Ofiarom, późne dziecko systemu prawnego, zostało umieszczone na „ziemi niczyjej” w budynku sądu i wyposażone w nikomu niepotrzebne meble, przedpotopową maszynę do pisania i zniszczone tekturowe pudła z ewidencją zapomnianych przestępstw.

Podobnie jak nasi klienci, my, ich adwokaci, nie byliśmy nigdy atrakcją prawniczych widowisk. Główne role przypadały sędziom, przestępcom, prokuratorom i obrońcom.

Nawet kuratorzy, choć byli tylko drugoplanowymi graczami, też należeli do głównej obsady. Ofiary i ich adwokaci byli jedynie dodatkiem.

Wysiadłam z windy. Urządzenia klimatyzacyjne wyrzucały z siebie ledwie chłodne powietrze. My na ostatnim piętrze byliśmy na szarym końcu w kolejce do zimna. Biurka adwokatów rozrzucone były na zbyt dużej przestrzeni pozbawionej ścianek działowych, stwarzających przynajmniej pozory prywatności. Iona pochylała się nad moim biurkiem, jedząc bajgla, siejąc ziarna sezamowe i okruszki na moje porozrzucane papiery.

- Weź to. - Wręczyłam jej na powitanie serwetkę, w którą owinięty był kubek mojej gorącej kawy. - Przepraszam za spóźnienie. - Tak naprawdę, nie byłam spóźniona. Byłam nawet kilka minut wcześniej. Poza naszą sekretarką, studiującą swe pory w powiększającym lusterku, byłam jedyną osobą na stanowisku pracy.

Iona wymamrotała słowa podziękowania.

- Dobrze się czujesz? - Sprzątnęłam stertę notatek z mojego krzesła. Co wieczór kładłam je tam, żeby rano zwrócić na nie uwagę w pierwszej kolejności. A rano pojawiała się coś pilniejszego, więc przenosiłam te notatki, jak wiele innych przedtem, na podłogę.

Iona wzruszyła wąskimi ramionami, co miało być próbą porozumienia. Wyglądała na bliską załamania. Wszystko w niej, włącznie z jej prostymi blond włosami, sprawiało przygnębiające wrażenie.

- Znowu mnie prześladowuje.

Według Iony, jej dawny chłopak dręczy ją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie miałam powodu, żeby jej nie wierzyć, tylko nie wiedziałam, jakie mam możliwości, poza tym samym bla, bla, bla, które już tyle razy jej powtarzałam.

Miała już nakaz sądowy.

Nic nie przerażało mnie bardziej niż świadomość, że ona albo jakaś inna klientka może umrzeć na mojej zmianie.

Nachyliłam się nad biurkiem i podałam jej chusteczkę.

- Czemu tak myślisz?

- Jak oni mogli zwolnić go za kaucją? To nie w porządku.

Czemu muszę co chwilę oglądać się za siebie?

- To takie trudne, prawda? - Ujęłam jej dłoń i uścisnęłam.

Tak jak w przypadku większości moich klientów, nigdy nie wiedziałam, co robić, poza głaskaniem ich i pocieszaniem.

Współczułam im, że mają takiego adwokata jak ja.

- Co ci zrobił?

- Czuję na sobie jego wzrok - odparła. - Cały czas. Jestem pewna, że mnie obserwuje.

- Gdzie? - Podniosłam pióro. - Daj mi jakieś konkrety, coś, co mogłabym przekazać jego kuratorowi.

Iona pochyliła się do przodu, łapiąc się rękami za głowę.

- To nie jest tak, że on mi się pokazuje. Jezu.

- Więc skąd wiesz, że on tam jest?

Oczy Iony uświadomiły mi znowu, że jestem do niczego.

- Uwierz mi, gdy byłeś z kimś takim jak Larry, wiesz, kiedy jest w pobliżu.

- Rozumiem. - Czyżby? - Nie wątpię w to, co mówisz, ale potrzebujemy czegoś, żeby przekonać sędziego, że Larry łamie nakaz sądowy.

- Czemu to on nie musi udowodnić swej niewinności, tylko ja muszę udowodnić jego winę?

Przebiegłam w myślach moje lata spędzone w Northeastern, szukając słów pocieszenia. Zerknęłam na listę cudów, których dokonania - zgodnie z instrukcją sądu - klienci mogli ode mnie oczekiwać, listę wręczaną im „na

dzień dobry”, którą trzymałam pod szklanym blatem biurka.

TWÓJ ADWOKAT ZAPEWNI CI:

1. Doraźne działania interwencyjne i wsparcie emocjonalne.
2. Zaplanowanie i pomoc przy ochronie i staraniu o nakaz sądowy.
3. Objaśnianie przebiegu procesu sądowego oraz informacje o statusie danej sprawy.
4. Pomoc przy składaniu zeznań przed sądem.
5. Pomoc przy składaniu prośby o informację na temat statusu osadzonego.
6. Pomoc przy przewiezieniu do sądu.

Dwa z tych sześciu punktów nie stanowiły problemu; mieliśmy odpowiednie protokoły do tych zadań. Punkt pierwszy jednak zdawał się mnie przerastać. W formie szkolenia dostałam segregatory z protokołami i formularzami i wysłuchałam wykładów na temat różnych sposobów i przyczyn maltretowania kobiet przez mężczyzn. Nikt jednak nie wytłumaczył nam, jak mamy uczynić częścią naszej pracy ochronę ofiar przemocy.

Iona uderzyła pięścią w blat mojego biurka.

- Jestem sama. Nie miałam nikogo oprócz Larry’ego.

Teraz mam tylko ciebie.

Ogarnęła mnie nagła potrzeba zapalenia papierosa.

Spojrzałam na moją listę i udzieliłam jej kilku gładkich odpowiedzi, które miałam w głowie jeszcze przed rozpoczęciem tej pracy.

- Iona, musisz pomyśleć o spotkaniu z psychoterapeutą.

Trauma staje się łatwiejsza do opanowania, jeśli zostanie zwerbalizowana.  
- Starłam się nadać moim słowom osobisty charakter, więc nie chciałam, żeby brzmiały tak, jakbym je czytała. - Może gdybyś opowiedziała o swoich uczuciach do Larry’ego komuś, komu ufasz, poczułabyś się lepiej.

- Tylko tobie ufam - odparła. - Nie chcę żadnego psychoanalityka. Przynajmniej ty nie próbuj mi robić bałaganu w głowie.

- Wielu kobietom w takiej sytuacji jak twoja pomaga prowadzenie dziennika. - Moja chęćka na papierosa jeszcze wzrosła.

- Nie mogę się na niczym skupić. - Iona sięgnęła do pudełka po kolejną chusteczkę, targając tę zużytą na drobne, wilgotne kawałki.

Powróciłam do mojego arkusza.

- To naturalne. Myślenie człowieka, który przeżył traumę, jest narażone na szwank. - Nie wytrzymam tego dłużej.

- Ciągłe płaczę. Nie mogę się powstrzymać.

- Uda ci się, zobaczysz.

- Tęsknię za Larrym.

- Nie, to nieprawda. Tęsknisz za jego wyobrażeniem, a nie za nim samym  
- powiedziałam, powtarzając jak papuga przeczytane słowa, wyuczone pojęcia.

- Tęsknię za nim. Nie mogę przestać płakać nad moim życiem. Co będzie, jeśli już nikt mnie więcej nie pokocha?

- Łzy są hołdem dla naszego cierpienia. Usuwają toksyny z naszego ciała.  
- Podsunęłam pudełko z chusteczkami w stronę Iony. - Ale nie możesz powracać do źródła twojego bólu, żeby wyleczyć rany.

To było to, przeczytałam całą listę. Może Iona chce papierosa.

Tego wieczoru jakoś mi się nie spieszyło do Burke's Bar; znalazłabym tam głośną muzykę, tanie drinki i miejsce, gdzie mogłabym udawać, że nie jestem samotna. Bar był na tyle czysty, żeby ustrzec się choroby, i na tyle brudny, żebym mogła uwierzyć, że pijąc tam, zostanę uznana za młodą i trendy. Warstwy nikotyny wżarły się w ciemne drewniane stołki, zniszczony bar i wytarte linoleum na podłodze, nadając wszystkiemu żółtawy odcień.

Był czwartkowy wieczór. W barze tłoczno, ale nie tak jak w piątek, kiedy wszyscy sprawiają wrażenie oszalałych. Przed sobotą w powietrzu czuć desperację. Mądrzy ludzie wiedzieli, że za wszelką cenę należy unikać gorączki sobotniej nocy, chyba że ktoś czuje się na tyle samotny, że inaczej jego szare komórki obumrą.

Czwartkowe wieczory należały do mnie.

W łazience czuć było zapach perfum i marychy. Umyłam ręce, sprawdziłam makijaż, a potem ostrożnie zeszłam po stromych schodach z powrotem do baru. Tylko w knajpie dla facetów, takiej jak Burke's, damska toaleta mogła znajdować się na tym samym poziomie co mała scena. Schodząc na dół, było się więc wystawionym na widok klientów, ale nie przejmowałam się tym. Czułam się dobrze. Włosy powiewały mi dziko, czerwona bluzka opinała mnie mocno, a kryształowe kolczyki skrzyły się seksownie.

Przepychałam się przez grupki wyrośniętych chłopców.



Tak zwana kapela zrobiła sobie przerwę, więc zamiast fałszywie brzmiących rockowych klasyków w drodze do baru towarzyszył mi Chaka Khan. Ain't Nobody (Loves Me Better) - bębniło mi w uszach.

Nie było nikogo, kto by mnie pokochał. Przynajmniej nikogo dobrego dla mnie.

- Jeszcze jednego, Mickey! - zawołałam, siadając na stołku przy barze i dopijając resztkę Jacka Daniel'sa z colą.

Mickey uśmiechnął się i podniósł szklankę. Słodki Mickey nigdy nie naciskał, żeby iść z nim do domu, ale oczywiście, nie musiał tego robić. Mógł przebierać w dziewczynach, jak to zwykle robią barmani. Byliśmy ze sobą kilka razy, oboje świadomi, że jedynie spędzamy noc w bezpiecznej przystani.

Nie był mężczyzną moich marzeń, ale całował namiętnie, pieścił delikatnie i zawsze przynosił mi kubek gorącej kawy, zanim odszedł nazajutrz rano. Kiedy powiedziałam Lulu, czemu uważam go za dzentelmena, zapytała, czy mogę jeszcze bardziej obniżyć wymagania.

Sorry, Lu, ale nie wszyscy spotykamy miłość swojego życia.

- Musisz iść jutro do pracy? - Mickey postawił mojego drinka na podstawce Heinekena.

Z głośnika ryknął Pat Benatar. - Jutro piątek. Mogę się zaniedbać.

- Tym niemniej zrobiłem ci coś łagodnego. - Mickey dał mi świeżą serwetkę.

- Czy powinnam być ci za to wdzięczna?

- Będiesz. Jutro. - Poklepał mnie w czoło. - Zaufaj mi.

Mickey nie raz bywał świadkiem mojego kaca.

Odgarnęłam włosy z twarzy i rozejrzałam się. Kapela zaczęła się rozgrzewać, a ja zastanawiałam się, z jakiego muzycznego bajora właściciel baru wyciągnął ten zespół.

Burke's był znany z kapel grających podróbki przebojów Police.

- Hej, piękna.

Ktoś położył mi z tyłu ręce na ramionach i uścisnął.

Odchyliłam się leciutko do tyłu. Ten ktoś był wysoki i pachniał mi na żonatego.

- Hej - powiedziałam.

Nieznajomy usunął czapkę Red Sox leżącą na stołku obok mnie i rzucił ją na barową ladę, żeby móc usiąść.

- Dawno cię nie widziałem - powiedział.

- Bywałam tu. - Chciałam cofnąć moje słowa, żeby nie pomyślał, że wysiadywałam tu, czekając na niego.

Odgarnął lok z mojego czoła.

- Powinienem więc tu być.

Poczułam nagły skurcz w żołądku. Dotyk Quinna wywrócił mnie na drugą stronę. Podniosłam szklankę i próbowałam nie opróżnić jej do dna. Quinn pstryknięciem przywołał Mickeya. Ten skinął głową na znak, że zauważył

jego gest. Bynajmniej nie ignorując Quinna, długo przygotowywał dla nas drinki, wlewając do mojego tylko odrobinę Jacka. Nie miało to znaczenia. Poprzednio wypity alkohol sprawił, że byłam już lekko pijana, a siedzenie obok Quinna dopełniło reszty.

Nie było gorszego wyboru niż on. Nie tylko był żonaty -

był żonatym irlandzkim katolikiem z piątką dzieci i poczuciem winy. Miałam cholerne szczęście, że Quinn nie roztopił skóry na moim ciele.

Przed laty grał w drużynie Patriots. W odróżnieniu od innych dawnych piłkarzy, którzy przesiadywali w Burke's, Quinn nie skapcaniał ani nie zgorzkniał. Miał umięśnioną klatkę piersiową i ramiona i ten sam ironiczny grymas, który widziałam na taśmach z nagranyymi kiedyś meczami z jego udziałem.

Nigdy nie powiedział mi, że jego żona jest dziwką, albo że z nim nie sypia. Powiedział tylko, że mnie pragnie. Jego piękna żona pewnie sypia z nim na każde zawołanie.

Jeszcze przed wejściem do mieszkania Quinn przygniótł

mnie do ściany. Mocno przycisnął swoje usta do moich.

Śmierdział jak ocean i jak skóra, jak klub fitness, który prowadził w południowym Bostonie.

- Wejdźmy do środka - powiedziałam z trudem, tak bardzo go pragnęłam.

- Nie mogę czekać - wyszeptał. - Zróbmy to tutaj.

Nie byłam aż tak pijana. Wyrwałam mu się i wsadziłam klucz do zamka w drzwiach.

Quinn uwielbiał wykorzystywać okazje - tak było z seksem, na boisku, z

miłością, ze mną. Opór wydawał się czymś beznadziejnym. Za każdym razem, gdy próbowałam go odtrącić, on przyciągał mnie z powrotem. Lulu nazywała mnie naiwną i głupią, ale Quinn był jazdą, której nie mogłam przerwać. Był prawie dwadzieścia lat starszy ode mnie.

Zabierał mnie na kolacje przy świecach do restauracji na wodzie, podczas gdy faceci w moim wieku szli ze mną do naleśnikarni. Dał mi złoty medalionik, w którym było jego maleńkie zdjęcie w stroju Patriots.

Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu, Quinn zapalił

papierosy dla nas obojga. Poszłam palić do kuchni, gdzie po raz pierwszy od miesiąca, przygotowałam dla nas drinki, otwierając przyniesioną przez niego butelkę Jamesona. Gdy wyciągałam lód z pojemnika, podszedł od tyłu i naparł na mnie. Odchyliłam się i pozwoliłam mu obrysować dłońmi moje ciało.

- Tęskniłem za tobą - powiedział, a jego głos brzmiał ponuro i twardo.

- Nie powinienes tu być.

- Ale jestem. Jak myślisz, dlaczego? - Wsunął nogę pomiędzy moje. Potrząsnęłam głową, ale nie mogłam znaleźć zgryźliwej odpowiedzi, ani przyznać, że go wpuściłam, bo o to prosił.

Spotykałam się z Quinnem od grudnia, prawie przez rok.

Co jakiś czas znajdowałam w sobie na tyle siły, żeby wyrzucić go z mojego życia, a on respektował tę decyzję przez tydzień albo przez miesiąc.

- Potrzebujesz mnie, żebym się o ciebie troszczył. -

Odpowiadał sam sobie na pytanie. - Chcę cię uszczęśliwić, dziecino. Moja biedna mała sierotko.

Biedna mała sierotka.

Quinn nie miał pojęcia o moim prawdziwym życiu, ale ja lubiłam tę osobę, którą byłam w jego wyobrażeniach. Lepiej było być drogą osieroconą dziewczyną niż córką człowieka, który zabił swoją żonę. Moją matkę.

Podaliśmy mu drinka. Sama zdążyłam już wypić połowę swojego mocnego,

w

przeciwieństwie

do

tych

rozcieńczonych, którymi poił mnie Mickey.

Kiedy opróżniłam moją szklanę, pokój zawirował. Nie miało znaczenia, jak bardzo byłam pijana. Spałam z dziesiątkami mężczyzn i nigdy nie musiałam łamać określonych przez Lulu zasad dotyczących umawiania się z facetami - zdradzania tajemnic, których zachowanie narzuciła tak dawno temu, choć sama, raz przespawszy się z Drew, opowiedziała mu całą naszą historię. Zrozumiałam to jednak, kiedy go spotkałam. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę z mężczyzną takim jak Drew, czy pozwoliłabym sobie na to, by umówić się na randkę z kimś podobnym do niego.

Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, żeby taki Drew mnie zechciał.

Quinn i ja skierowaliśmy się do sypialni. Nie spodziewałam się jego wizyty i wygląd mojego mieszkania o tym świadczył. W zlewku było pełno naczyń. Ubrania wisiały na krzesłach, skołtuniona pościel leżała na niezasłanym łóżku.

Kubki z resztkami kawy poniewierały się na stoliku z Armii Zbawienia. Wyobrażałam sobie tajemniczą żonę Quinna jako połączenie Kleopatry i dobrej wróżki prowadzącej dom, i nienawidziłam jej. Czasem widziałam ją podobną do mojej matki, najpiękniejszej kobiety, jaką znałam w prawdziwym życiu.

Usiłowałam wyprostować prześcieradło, co okazało się trudnym zadaniem, zważywszy na to, że ledwo trzymałam się na nogach.

- Zostaw to. - Quinn rozpakował mnie z mojej błyszczącej czerwonej

bluzki,

jakbym

była

prezenterem

bożonarodzeniowym. Kiedy całkiem mnie rozebrał i położył

na łóżku, odrzucił stertę książek, wymacał ręką magnetofon i nacisnął „play”, gotów zaakceptować każde dźwięki, jakie mogłyby się rozleć. Z głośnika wydobył się głos Marvinu Gaya, a ja to i tak miałam gdzieś. Quinn sączył się przez pory mojej skóry, docierając aż do mózgu, i znowu byłam w jego posiadaniu.

Położył się na mnie, rozkołysał nas, zespolił, a potem przycisnął mnie mocno, finiszując. Myślałam, że może już nigdy nie wrócę do rzeczywistości. Później zapadłam w głęboki sen.

Obudziłam się o czwartej nad ranem i zobaczyłam, że Quinn stoi nade mną. Gdy ujrzał, że mam otwarte oczy, usiadł

na brzegu łóżka i usiłował mnie przykryć.

- Nie rób tego - powiedziałam. Uniosłam się z trudem i położyłam głowę na jego ramieniu - śmierdziałam barem, mydłem i papierosami.

Przejechał ręką po moich splątanych lokach. Trąciłam brodą o jego dużą, ciepłą dłoń.

- Muszę iść, mała.

- Ona myśli, że gdzie byłeś w nocy? - Kto?

- Wiesz, kto. - Moja ręka popęzła w stronę piersi.

- Myśli, że jestem właśnie tam, gdzie jestem, spędzając czas z przyjaciółką. - Ton jego głosu świadczył o tym, że temat został zamknięty. Nie wspominaj o świętej żonie, dziwko. Nie wymieniaj imion świętych dzieci. Grymas niezadowolenia na twarzy Quinna sprawił, że słowa uwięzły mi w gardle. Odsunęłam się i wcisnęłam ręce między kolana.

- Zadzwoń do ciebie jutro - powiedział.

- Nie dzwoń.

- Znowu zaczynamy?

Podniosłam wymięty bawełniany szlafrok. Quinn nauczył

mnie sypiać nago. Żaden mężczyzna przed Quinnem nie widział mojej blizny. Przyjął moje kłamstwo o walce z użyciem noża w Duffy bez komentarza i oceny. Początkowo bardzo mi się to podobało. Teraz znałam prawdę: on po prostu nie był ciekaw tej historii. Uświadomiłam sobie więc, że mnie nie kochał. Jeśli kogoś kochasz, jesteś ciekaw wszystkiego, co robi, wszystkiego, czym jest.

Wiedziłam o tym, ponieważ to właśnie do niego czułam.

## 17. Merry

Udało mi się unikać telefonów Quinna przez tydzień i dwa dni, aż do chwili, kiedy nadszedł czas, by jechać do Nowego Jorku. Lulu składała moje pranie, obserwując, jak się pakuję.

- Merry, co chcesz z tym zrobić? Zawsze będziesz jego grzeczną dziewczynką? - Lulu wygładziła zagniecenia na moich czarnych dżinsach gniewnymi, stanowczymi ruchami dłoni.

Wepchnęłam książkę do plecaka, zastanawiając się nad stosowną odpowiedzią. Nazajutrz, jak co dwa tygodnie, miałam pojechać autobusem linii Greyhound w odwiedziny do taty, dojechać do dworca autobusowego, a potem popłynąć promem do więzienia. Za każdym razem wieczorem przed takim wyjazdem przychodziła Lulu, aby tak na zapas wdeptać mnie w błoto. Po powrocie zaś, czekała na mnie, by wycisnąć ze mnie, jak wodę z gąbki, wieści na temat tej wizyty.

- Grzeczną dziewczynką tatusia? - Byłam zbyt zmęczona na kłótnię. Ukrywanie się przed telefonami Quinna osłabiło mnie. Dzień zaczął się dla mnie od niewyspania. - To jego masz na myśli?

Uniosłam spoconą butelkę piwa. Lulu wiedziała, że znów przespałam się z Quinem. Odczytała sygnały, i kiedy spytała, a ja przytaknęłam, tylko pokręciła głową. Jej reakcja wprawiła mnie w przygnębienie, jak gdyby moje grzechy stały się teraz tak mało zaskakujące, że nie zasługiwały na nic więcej niż taki gest.

- Niech będzie. Greczna dziewczynka tatusia - odparła Lulu. - Nie wyobrażam sobie, by Quinn uważał cię za grzeczną dziewczynkę.

- Ojciec nie ma nikogo innego. - Nasza rozmowa cierpiała na skrajne wyczerpanie z racji beznadziejnego powtarzania wymęczonych argumentów. Każda z nas od lat wyczekiwała zmiany u tej drugiej.

Lulu chwyciła mój plecak. Ułożyła i powcisnęła rzeczy znacznie lepiej niż ja bym to zrobiła.

- I co z tego? - Zrolowała bawełniany sweter wraz z numerem „MS. Magazine”. - Nie zasługuje na nikogo.

- Czy ci się to podoba, czy nie, to nasza rodzina - powiedziałam.

- Ty i Drew jesteście całą moją rodziną. - Lulu na nowo złożyła koszulę.

- Musimy o tym mówić? - Próbowałam zmienić temat. -

Co w pracy?

- Praca wprawia mnie w stały stan przerażenia. Myślałam, że po stażu zrobi się lżej, ale teraz żyję w ciągłym strachu, że jakiś mój praktykant kogoś uśmierci.

- Przynajmniej kochasz to, co robisz.

- Może dlatego, że lubię siebie - odparła.

- Wal się. - Odwróciłam się, żeby nie widziała, jak szczypię mocno rękę, by się powstrzymać od dotknięcia piersi. Lulu uważała, że dzielenie się ze mną swymi brutalnie prostymi poglądami pomoże mi i nic nie mogło jej przekonać, że mogłoby być inaczej. - Znajdę odpowiednią pracę. Nie jestem aż taką niedojdą, za jaką mnie uważasz.

Lulu zaciągnęła suwak w plecaku i oparła się o wezgi, upychając za plecami moje poduszki.

Przynajmniej zdążyłam pościelić łóżko zanim przyszła.

- Nie uważam, że taka jesteś - powiedziała - ale tanio się sprzedajesz. Weź Quinna. Chyba nie myślisz, że naprawdę ma coś do zaoferowania?

- A co miałby oferować?

- Poczucie bezpieczeństwa? Małżeństwo? Jakieś życie?

Rodzinę?

- Może nic z tego mnie nie interesuje. Może pragnę czegoś innego.

- Świetnie. A czego? - Splotła dłonie na czubku głowy i wzrokiem szukała w niebiosach ratunku dla mojej zdirowatej duszy. - Łaźnienie po barach i sypianie z mężami innych kobiet to żadne życie.

- Jakieś jest, bo nim żyję. - Dopiliśmy piwo, patrząc, jak Lulu mnie obserwuje. Zapaliłam papierosa, a ona zakasłała.

- Chcemy tylko, żebyś była bezpieczna. I szczęśliwa.

- Chcemy? - Rozejrzałam się wokół siebie. - Czy Drew chowa się w szafie? Jezu, Lu, nawet nie jesteście jeszcze małżeństwem. Co jest, takie z was papużki - nierozłączki, że nie potrafisz nic powiedzieć, żeby go w to nie wciągnąć?

Lulu, to nie on zawiesił księżyc na niebie. A może twoje życzenia nie są moimi życzeniami. Na przykład pragnęłabym, żebyś odwiedziła tatę. Jeden jedyny raz. Zrób to dla mnie.

Twarz Lulu stężała. Zamknięte z powodu remontu, zamknięte na zimę, zamknięte na sezon. Lulu zamyka się na zawołanie.

- Nie ma szans, Merry - powiedziała Lulu. - Nigdy w życiu. Poszukaj sobie innego życzenia.

Wsiadłam do autobusu odjeżdżającego o 5.45 rano, a miałam wrócić tym o 20.00. Oparłam się o zagłówek fotela w Greyhoundzie i kiedy wjechaliśmy na dworzec, poczułam znajome szarpnięcie w piersi. Przepętniał mnie lęk przed opuszczeniem autobusu, przerażał widok pogniecionych gazet i walających się opakowań po jedzeniu, żebrzących meneli, odór skwaśniałej kawy i uryny. Wiedziałam, że bez względu na to, ile ćwierćdolarówek i dolarowych banknotów bym nie rozdała, to i tak niczego nie zmienię.

Dworzec autobusowy stał się meliną dla głodujących rodzin, złodziei i kalek bez nóg na drewnianych platformach.

Jakaś kobieta, pomimo wrześniowego upału okutana w liczne swetry, wyciągnęła brudne pazury, by schwycić jak w kleszcze pieniądze, które właśnie miałam jej dać.

Pojechałam metrem do centrum. Poranny sobotni pociąg był przepelniony ludźmi udającymi się na zakupy.

Poprawiłam plecak tak, by szelki uciskały inne miejsce.

Przez graffiti gęsto pokrywające okna wagonu nie było nic widać. Pod moimi stopami znajdowała się lepka, zaschnięta kałuża czegoś, co wyglądało jak krew, choć modliłam się, by to była cola.

Kobieta siedząca naprzeciwko wyjęła z torebki lusterko i odwracała się to w lewo, to w prawo, przyglądając się sobie.

Na oko miała czterdzieści parę lat. Moja matka byłaby teraz w tym wieku. Tak jak mama, miała ciemne włosy, choć nie tak bujne i lśniące. Dotknęłam swoich. Włosy tej kobiety wyglądały na cienkie, pomimo jej żałosnych wysiłków, by uczynić je puszystymi. Łatwo mogłam zauważyć, gdzie je natapirowała, puste miejsca pomiędzy polakierowanymi na sztywno kępkami.

Spróbowałam wyobrazić sobie, jak wyglądałaby moja matka, ale - jak zwykle - przed oczami miałam tylko fotografie. Mama zastygła w wieku, kiedy umarła. Lulu była teraz o rok starsza od mamy w chwili jej śmierci, ale Lulu w wieku lat dwudziestu ośmiu zdawała się dużo młodsza od mojego wspomnienia o mamie. Śmierć matki dodawała lat do wspomnienia o niej. Ona zawsze była dorosła, a ja zawsze będę dzieckiem.

Kobieta z naprzeciwka kręciła obrączką i pierścieniem zaręczynowym. Widocznie poczuła mój wzrok, bo spojrzała na mnie z zadziornie pytającym



wyrazem twarzy, doprowadzonym przez nowojorczyków do perfekcji.

Do promu dotarłam wyczerpana z wysiłku, by nie wpatrywać się w ludzi. Wszystkie kobiety w wagonie stały się moją matką albo ciotką Cillą. Szkoda, że nie spałam podczas jazdy z Bostonu. W głowie dźwięczała mi ostatnia wiadomość telefoniczna od Quinna.

„Merry, spotkajmy się wieczorem u Burke’a”.

Odsłuchałam ją dopiero, kiedy Lulu już poszła. Myśl o nocy w jego ramionach pociągała mnie tak mocno, że musiałam wziąć pigułkę, żeby się pozbyć dźwięczącego mi w głowie krzyku: „Zobacz się z nim!”. Sięgnęłam do kurczącego się zapasu valium; najpierw wysypałam tabletki na łóżko, żeby je przeliczyć, a potem podzieliłam jedną na pół. Z

powodu skarg na ból kręgosłupa mogłam zdobyć od mojego lekarza jedynie ograniczoną liczbę tabletek. Kiedy połknęłam lekarstwo, rozcieńczyłam wodą kieliszek chablis i popijając wino, oglądałam telewizję. Za każdym razem, gdy dzwonił

telefon, ustawiałam głośniej telewizor, aby tego nie słyszeć.

Czekając, odsuwałam koszulę od ciała, starając się ochłodzić. Byłam następna w kolejce. Materiał mojej bluzki sięgał wysoko pod szyję, aby ukryć blizny, a długie rękawy sprawiały, że prawie wcale nie przyciągałam uwagi mężczyzn.

Uśmiech strażnika McNulty’ego zdradzał jego wiek.

Oślepiająco białe protezy zastąpiły dobrze mi znane pożółkłe od tytoniu zęby.

- Jak się miewasz, Merry? - Najkrótsze z możliwych przeszukanie na okoliczność kontrabandy. - Słyszałem od twojego ojca, że masz posadę w sądzie.

Przytaknęłam.

- Pracuję z ofiarami przemocy.

Kiwnął głową.

- To dobrze.

Powiedział to, jak gdyby praca w systemie sądownictwa karnego stanowiła dla mnie karmiczne odrodzenie.

- Życzę ci dobrych odwiedzin - rzekł. - Dla twojego ojca to wydarzenie. Grzeczna z ciebie dziewczynka.

Wszyscy o tym wiedzieli, nawet jeżeli Lulu wypowiadała to jak

przekleństwo.

Przeszłam po wyglądającej ciągle tak samo podłodze.

Poplamione linoleum na drodze do mojego ojca zawsze przypominało mi rozbryzganą krew i kawałki mózgu.

Przez moment dostrzegłam grymas na jego twarzy. Za każdym razem ten sam cholerny uśmiech. „Kochaj mnie!

Uczyni mnie szczęśliwym! Przez godzinę pozwól mi być ojcem!”. Pochyliłam się do przodu i poczułam, jak jego ramiona mnie obejmują. Nie zważając na regulamin, ukradkiem dołożył uścisk do dopuszczanego na powitanie ucałowania policzka. „Któregoś dnia, tato...” - zawsze go ostrzegałam.

Któregoś

dnia,

w

niesprzyjających

okolicznościach, jakiś nowy strażnik wywlecze go stamtąd i przywali mu prosto w plecy.

Tata pachniał dymem i trochę stęchlizną. Przesiąkł

metalicznym smrodem. Krat w celi? Warsztatu, w którym robił okulary dla współwięźniów? Prawie nie rozmawialiśmy o tym, co działo się w Richmond, odcinając się od więzienia jak od przyznania się do szalonej ciotki. - Chcesz bananowych pianek? Tato? - Opuściłam rękę, chwyciłam na sekundę jego dłoń, a potem wyzwoliłam się z żelaznego uścisku. -

Zostawiłam ci paczkę. Mam nadzieję, że po prześwietleniu nie zmienią smaku.

- Dobrze wyglądasz, Cukiereczku. - Siedzieliśmy sobie, a on przyglądał mi się znad stołu. - Zmęczona? Nie przesadzasz znowu z pracą?

- Znowu? A kiedyś przesadzałam?

- Nie nabierzesz oszusta. - Wyglądało na to, że się przejmuje, starając się być prawdziwym ojcem, tutaj, na środku sali widzeń.

W zaroście brody pojawiła się siwizna. Biedny tato, nigdy dokładnie się nie golił. Żyłki musiały starczać mu na długo.

Od jak dawna używał tępego ostrza drapiącego mu twarz?

- Uzupełnić ci konto, tato?

Uniósł ręce, jakby chciał odepchnąć moje słowa. - Nie trzeba. Przecież pracuję.

- Prawda. - Wyślę mu trochę pieniędzy zaraz po powrocie do domu. Próbowałam sobie przypomnieć, ile mam na rachunku bieżącym. Trzysta? Wyślę mu dwadzieścia dolarów.

- A więc kim jest ten facet?

- Jaki facet?

- Ten, przez którego masz podkrążone oczy. Dotknęłam skóry pod oczami.

- Posłuchaj, Słoneczko, kimkolwiek by nie był, nie nadaje się dla ciebie. Chyba nie wróciłaś do tego piłkarza?

- Tato, on nie jest piłkarzem. Kiedyś nim był. Teraz ma siłownię.

- Siłownię, siłownię. Ma żonę i dzieci. To szmaciarz.

Zostaw go. - Uderzył w krawędź stołu, by nadać wagę swoim słowom. - Tylko szmaciarze zdradzają. Mów, co chcesz, ale ja nigdy nie zdradzałem twojej matki.

Jezu Chryste, ratuj. - Nie mówiłam, że do niego wróciłam.

- Ani że nie wróciłaś.

- To bez znaczenia. Już się z nim nie spotykam.

- Oszuści oszukują, oto co robią. Potrzebny ci mężczyzna, któremu mogłabyś zaufać. Ktoś, na kim możesz polegać.

- Racja. Masz rację, tato. - To, że powiedziałam mu o Quinnie, było szaleństwem, desperackim wołaniem o pomoc, o bliskość.

- Martwię się, moja słodka.

- Wiem o tym. - Grzebałam w najdalszych zakątkach mojego mózgu, szukając tematu do rozmowy, który nie wywoływałby we mnie pragnienia zadania sobie ciosu nożem w samo serce.

- A jak twoja siostra? - zapytał. - Jak jej urodziny?

- To było dwa miesiące temu.

- Tak, wiem. - Przesunął dłonią po podbródku. - Jezu, te żyletki. Łażę jak jakiś menel. Merry, wiem, kiedy są urodziny twojej siostry. Chciałem zapytać o to, co robiłyście.

- Poszliśmy coś zjeść. Z Drew.

- Z Drew, powiadasz? Zawsze się gdzieś kręci. Może zostanie moim zięciem?

Kiwnęłam głową. - Chyba tak, tato. Porządny facet, taki, jakiego byś chciał dla mnie.

- Żaden oszust, prawda?

- Żaden. - Ani damski bokser.

Zbrodnię mojego ojca należało teraz inaczej nazywać. W

pracy uważano, że kogoś takiego nie wystarczy nazywać zabójcą. Teraz wiedziałam, że trzeba to określać przemocą w rodzinie, a ojca zabójcą wyspecjalizowanym. Było to coś, o czym nie mogłam nawet myśleć.

Lulu mówiła, że „przemoc w rodzinie” brzmi zbyt czysto jak na to, co ojciec zrobił. Nie chciała o tym rozmawiać.

„Morderca” jej wystarczyło. Powiedziała, że reszta nie ma znaczenia.

Ale ja wiedziałam, że nie ma racji.

- Czy Lulu czasami o mnie pyta? - Ojciec zrobił oczy małego pieska.

- Zazwyczaj chce się dowiedzieć czegoś o odwiedzinach.

Chce wiedzieć, czy w końcu padłeś na kolana i żebrałeś o przebaczenie. Zastanawia się, czy w końcu wyłeś do księżycyca i przyznałeś, że zrujnowałeś nam życie.

- Pyta, czy wszystko w porządku. - Skrzyżowałam palce pod wpływem tego kłamstwa, wiedząc, jaka byłaby wściekła, gdyby mnie słyszała.

- Nigdy nie będzie w porządku. Wsiąknę tu na zawsze. -

Klasnął, aż podskoczyłam. - Chryste, co mam zrobić, żeby ją zmusić, by tu przyjechała? Jest tak samo uparta, jak twoja matka.

Siedziałam sztywno i prosto, krzyżując ciasno nogi w kostkach.

- Cholernie by mi pomogło, gdyby napisała do komisji zwolnień warunkowych.

Pozwoliłam, by jego słowa wybrzmiały. - Poproszę ją jeszcze raz. Uniósł w górę obydwie kciuki. - To wszystko, o co proszę, jasne? Dzięki, Słońce.

## 18. Merry

### Czerwiec 1990

Świt czerwcowego dnia ślubu Lulu wstał czysty i pełen obietnic. Kiedy pomagałam jej się ubrać, mocno się starałam, by atmosfera pozostała czysta i piękna jak niebo Karoliny Północnej, prześwitujące poprzez okiennice - a było ono koloru wiosny na południu. Przed nami rozciągał się widok na Ashville. Elegancja pokoju hotelowego harmonizowała z królewską postawą mojej siostry.

- Wyglądasz przepięknie.

Lulu przyjrzała się sobie w lustrze. - Powinnam była z nim uciec.

- Mamie podobałaby się ta suknia - powiedziałam.

Jedwab spływał z bioder Lulu jak gęsta śmietana. - Masz wspaniałe ciało. Jak mama.

- To ty jesteś do niej podobna, nie ja.

- Ale ty masz jej figurę.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Lulu potrząsnęła głową. - Nie. Mama była krągła. Tak jak ty. Myślisz, że jestem zbudowana tak jak ona, ponieważ była wysoka. Wysoka w porównaniu z tobą, ale to ty masz jej kształty. Jesteś jej miniaturą.

Patrząc w lustro, studiowałam odbicie kontrastu pomiędzy swoimi ciemnymi włosami i perłoworóżową sukienką. Pani Winterson, matka Drew („mów mi Peg, kochanie”) będzie przerażona brakiem dekoltu, tak jak sukienką ukrywającą blizny, którą miałam na sobie poprzedniego wieczoru, podczas próby wesela. Przy Peg wyglądałam jak zakonnica. Obcisłą suknię z żółtego jedwabiu, która eksponowała jej piersi, i ufarbowane pod kolor pantofle na dziesięciocentymetrowych obcasach traktowała jak ulubione dodatki.

- Kochanie, popatrz na ten piękny biust i cieniuseńką talię. - Peg mierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, zza rzęs pokrytych potrójną warstwą tuszu. - Musisz włożyć coś z dużym dekoltem, kochanie.

Drew postanowił interweniować, zanim matka zabrnęła za daleko. Była tak pijana, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle wyjęła parę nożyczek do paznokci i rozcięła moją sukienkę koktajlową do pępka.

- Mamo, ty i Daphne wystarczająco dużo pokazujecie -

zauważył Drew, unosząc podbródek w stronę wylewających się piersi siostry.

- Drew! - upomniała go Daphne, wspierając się na swym wstawionym mężu.

Peg Winterson zaśmiała się dźwięcznie głębokim zmienionym przez papierosy głosem. - Merry, nie miej do mnie pretensji, jeżeli będziesz miała uderzenia gorąca. Coś takiego, sukienka pod szyję i długie rękawy w czerwcu!

Lulu musiała myśleć o tym samym co ja, bo dalej wpatrywała się w lustro. Podtrzymując dłońmi piersi i podnosząc je w górę tak, by tworzyły niewielkie wzgórki spytała: - Jak myślisz, jestem wystarczająco biuściasta dla Peg?

Jasnobrązowe włosy Lulu skręcały się w luźny węzeł

zebrany nisko. Zniosła z godnością zabiegi fryzjerki, na której usługi uparła się Peg.

- Wyglądam jak dojarka, prawda? - spytała Lulu, dotykając swej niczym nieozdobionej białej sukni. -

Wyglądasz zjawiskowo - odpowiedziałam. - Pozostaw Daphne i Peg sznyt tancerek brzucha.

- Babcia - Lulu cmoknęła wargami, by utrwalić szminkę.

- Pamiętasz, jak mi mówiła, że mam nie nosić mini?

- Bo też byś wyglądała jak tancerka brzucha -

powiedziałam. - Szkoda, że jej tu nie ma. Ile babcia miałaby lat?

- Nie wiem. A jakie to ma znaczenie?

- Jestem ciekawa. Nie chciałabyś, żeby mama tu była?

Lulu skrzyżowała ręce na piersiach. - Pokazałoby tyle biustu, że wystarczyłoby na cały ślub.

- I wyglądałoby najlepiej w całym Heritage Ballroom.

- Najlepiej w całej Grave Park Inn - dodała Lulu.

- Najlepiej w całej Karolinie Północnej. - Pokręciłam głową. - Naprawdę uważasz, że jestem do niej podobna?

- Nie przymawiaj się. Wiesz, że tak.

- Tata mówi, że jesteś podobna do rodziny z jego strony.

- Babcia miałaby chyba osiemdziesiąt siedem lat -

powiedziała Lulu. - A Mimi Rubee sześćdziesiąt sześć, a może sześćdziesiąt pięć. Boże, była taka młoda, kiedy mama się urodziła.

- Tata prosił mnie, żebym dała tobie i Drew prezent od niego. - W chwili kiedy wypowiedziałam te słowa, zapragnęłam je połączyć.

- Co takiego? Cynowy kubek?

- Nie bądź wredna, Lulu. Nie dzisiaj.

- Po prostu o nim nie mów, dobrze? I nie dawaj mi żadnych prezentów od niego. - Siostra potrząsnęła głową. - To dzień mojego ślubu. Wspieraj mnie - zalani krewni Drew zaraz pożąrają mnie żywcem. Chcę, żeby wszystko wypadło idealnie, chociaż dzisiaj.

- A jutro?

- Spokojnie. Godnie. Grzecznie i przyjemnie. Czy oczekuję zbyt wiele?

- Nie. - Ujęłam Lulu za rękę, jej rękę w białej rękawiczce aż do łokcia, i poszliśmy na spotkanie jej małżeństwa.

Lulu i Drew spędzili swój miesiąc miodowy w Islandii, gdzie przeciętna temperatura w czerwcu wynosiła dwanaście stopni, a rekord ciepła dwadzieścia jeden. Lata spędzane z rodziną w Karolinie Północnej sprawiły, że Drew miał alergię na upały. W sierpniu poprzedniego roku, kiedy odwiedził

rodzinę, dostał wysypki, za którą winił pogodę. Lulu przypuszczała, że miał alergię na swoją wygadaną pijaną matkę, ale zatrzymała tę teorię dla siebie i dała mu wody wapiennej.

Zresztą Lulu przyznała, że spodobał jej się pomysł

wyjazdu do Islandii. Nie mogła wyjechać dalej i jednocześnie pozostać na tym świecie. W Islandii mogła przestać udawać.

Nie musiała pamiętać o wymyślonej przeszłości. Jeżeli będą mieli książki do czytania, a Drew trafi od czasu do czasu na partię pokera w hotelu, będą szczęśliwi. I będą mieć siebie.

W chwili przedślubnej słabości Lulu oznajmiła, że pozbycie się nazwiska

naszego ojca będzie najlepszym prezentem ze wszystkich. Wiedziałam, co czuje - szkoda, że ja nie mogłam przybrać nazwiska Drew. Ale przecież nie złamałabym ojcu serca.

Podczas tygodni oczekiwania na powrót Lulu i Drew z ich podróży poślubnej spakowałam swoje rzeczy.

Przygotowywałam się do przeprowadzki do ich wielkiego, pełnego zakamarków domu w Cambridge, który kupili jeszcze przed ślubem. Oczywiście nie mieliśmy zamiaru mieszkać razem. Miałam własne mieszkanie z osobnym wejściem. Już dawno poprzedni właściciel podzielił dom na dwie części.

Wiktoriański budynek zajmował dużą narożną działkę.

Miałam mieć wejście od jednej ulicy, a oni od drugiej.

Myślę, że mogło się to wydawać żalosne, żeby mieszkać obok siostry i szwagra, ale i ja, i Lulu czułybyśmy się bezpiecznie, a Drew zdawało się to nie przeszkadzać.

Kiedy go poznałam, nie mogłam nie zauważyć, że przyciągają się z Lulu jak namagnetyzowane lalki. Życie Drew nie było tak dramatyczne jak życie Lulu, ale dorastał w atmosferze szaleństwa. Jego ojciec obarczał winą południowe korzenie matki za jej picie, romanse i wybujałą osobowość.

Matka Drew winiła stan Nebraska za lodowatą osobowość męża. Ogień i lód tworzyły dom pełen burz.

Lulu i Drew uwielbiali spokój.

Za tydzień wprowadzę się do nowego domu, w którym do moich trzech średniej wielkości pokoi będą prowadziły schody. Podejrzywałam, że moje mieszkanie należało kiedyś do służby, ale uznałam, że to w porządku, bo w końcu to Drew sfinansował całą transakcję.

Drew i Lulu wchodzili do swojego znacznie większego mieszkania z ogromnego tarasu zbudowanego na tyłach nieco zmodernizowanego domu. Przerobiono szczególnie kuchnię i główną łazienkę, by zadowolić Lulu. Zachowano jednak detale z epoki, takie jak ozdobne stiuki i plafony na sufitach, które - z miłości do architektury - doprowadzały Drew do szaleństwa. Usłyszałam tyle poetyckiego rozpływania się nad antycznymi bursztynowymi gałkami do drzwi, że wystarczyłoby mi roztrząsania tej



szczególnej kwestii na całą resztę życia.

Lulu i Drew mieli po swojej stronie domu miejsca bez liku. Mogli mieć dzieci i gabinety, centra rozrywki i nawet salony masażu, gdyby tylko tego zapragnęli. Mnie trzy pokoje zupełnie

wystarczały.

Nie

planowałam

prokreacji.

Macierzyństwo robi z człowieka więźnia. Pamiętam panią Cohen, która tak strzegła swojej wnuczki Rachel, jakby była z nią związana - ze strachu, że mała wypadnie z okna lub stanie się coś podobnego. Za każdym razem kiedy Rachel ją odwiedzała, pani Cohen zamykała na klucz wszystko, co dziecko mogło połknąć, zjeść lub czym mogło się udusić, zadławić czy otruć.

Kiedy opiekowałam się Rachel, bałam się mrugnąć, bo to oznaczało, że przez moment byłam ślepa w obliczu zagrażającej jej śmierci. Nie pragnęłam dzieci, i chociaż nigdy nie zająknęłam się nawet słowem, miałam nadzieję, że Lulu i Drew też nie będą ich mieć. Nasza trójka poradzi sobie w Cambridge jako paczka uciekinierów z dysfunkcyjnych rodzin.

Im więcej zapakowałam, tym mniejsze i brudniejsze wydawało się moje mieszkanie. Każdy plakat zakrywał jakiś ponury szczegół, o którym już zdążyłam zapomnieć. Dziurę, którą wywalił w ścianie Quinn ostatnim razem, kiedy kazałam mu wyjść, grożąc, że zadzwonię do jego żony, jeżeli kiedykolwiek będzie się starał ze mną skontaktować. Albo miejsce,

gdzie

zwymiotowałam

koszernym

winem

Manischewitza po jakimś kretyńskim sederze na święto Paschy, które wraz z Lulu i Drew próbowaliśmy urządzić.

Zakryłam wtedy różową plamę na szarej wykładzinie pętelkowym dywanikiem.

W radiu pojawiła się Whitney Houston z piosenką, która za bardzo przypominała mi Quinna, więc ją skasowałam i zastąpiłam odpowiednio jędzowatą płytą Janet Jackson. Taak, co dla mnie ostatnio zrobiłeś?

Moja paczka papierosów była prawie zupełnie płaska.

Został jeden. Jeden papieros nie da mi przetrwać nocy, a poza tym spociłam się aż po korzonki włosów. Potrzebowałam klimatyzacji, żeby zapalić.

Następnego ranka obudziłam się w mieszkaniu Gary'ego.

Gary, którego nazwisko mi uciekło, chrapał z bulgotem. Od jakiegoś czasu miał do mnie słabość. Wiedziałam o tym. Jego dziewczyna, Sheila, pielęgniarka, ostatniej nocy była w pracy, podczas gdy Gary spędzał miło czas w barze, grając w bilard.

Pamiętałam, że kiedy przypalał mi papierosa, nachyliłam się, pokazując piersi wraz z blizną, bo nic mnie nie obchodziło, poza tym, że byłam głodna podziwu jak kurwa studolarówek.

Poszliśmy do jego mieszkania, bo u mnie był straszny bałagan. W tym cały problem, że w ogóle poszliśmy do czyjegoś mieszkania. Podniosłam narzutę, jak tyko mogłam najciszej. W głowie mi łomotało. Zsunęłam jedną, a potem drugą nogę z materaca. Paskudne szarobiałe prześcieradło przykrywał sfilcowany koc. Ale Gary miał klimatyzację.

Czyż nie obiecywałam sobie nie pokazywać się nigdy u Burke'go w sobotę?

Co ja sobie myślałam? Dlaczego nie kupiłam papierosów na stacji benzynowej na rogu?

Na palcach przeszłam do łazienki po brudnej drewnianej podłodze mieszkania w trzypiętrowym bloku. Dla mnie żadna nowość. Spałaś w jednym, spałaś we wszystkich.

- Hej, nie wykradaj się.

Obejrzałam się i zaserwowałam Gary'emu zbołąły uśmiezek. - Lepiej już sobie pójdę - powiedziałam. - Co będzie, jeżeli zjawi się Sheila?

- Nie ma klucza. - Przewrócił się na bok, podciągając prześcieradło jak dziewczyna, pewnie żeby zasłonić mięsień piwny. - Nie jesteśmy zaręczeni ani nic takiego.

Miękkie, jasne włosy opadły mu na wysokie czoło. Do tej pory widziałam Gary'ego tylko w koszulce baseballowej i czapce Red Soxów, które zasłaniały jego wszystkie słabe punkty.

Moja nagość zadziałała jak reklama. Podniosłam z podłogi ciuchy i przycisnęłam do siebie jak tylko mogłam, by zakryć nagie piersi i przód ciała. - Muszę wracać do domu, żeby się pakować.

- Mogę ci pomóc. Jestem świetnym pakowaczem -

zapropował, uśmiechając się chłopięco.

- Nie trzeba. Moja chata to ruina. Gary ruchem ręki omiół mieszkanie.

- To też nie jest żaden Taj Mahal. Pozwól przynajmniej, żebym ci zrobił śniadanie.

- Kawę. Kawa będzie super. - Ruszyłam do łazienki i narzuciłam na siebie ubranie z szybkością, której mógłby mi pozazdrościć Superman. Nałożyłam pastę na palec wskazujący i rozmasałam na zębach i języku, usiłując zdrapać smak piwa i Gary'ego. W lustrze odbijała się twarz klauna z czarnymi plamami tuszu pod oczami. Otworzyłam apteczkę Gary'ego, czując się tylko trochę dziwnie i zastanawiając się, czym mogłabym zastąpić płyn do demakijażu oczu. Wazeliną? W

końcu znalazłam nieapetyczną tubkę kremu do rąk, prawdopodobnie należąca do Sheili - bez - klucza.

Nałożyłam odrobinę pod oczy i osiągnęłam tylko tyle, że rozsmarowałam czarne plamy na większe i tłściejsze kółka.

Okulary słoneczne zostały w samochodzie. Wyskoczyłabym po nie przez okno łazienki, ale znajdowaliśmy się na pierwszym piętrze.

Kiedy weszłam do kuchni, Gary obrzucił mnie pełnym podziwu wzrokiem. - Rano wyglądasz słodko.

Podszedł i objął mnie ramieniem w pasie. Cofnęłam się przed jego nieświeżym oddechem. Czy ten facet nie musi się wysikać? Na rany Chrystusa! - Dzięki. Łazienka wolna.

- Kawa już prawie gotowa. Zaraz wracam. Nigdzie nie idź.

O mało się nie rozplakałam z frustracji - chciałam być w domu, zniknąć z tego mieszkania i z oczu żadnego miłości, seksu i romansu Gary'ego, pożerających mnie jak wałęsający się irlandzki niedźwiedź. Patrzyłam na sączącą się kawę oczami głodnymi kofeiny. Kiedy filtr wypłuł ostatnią kroplę, wypłukałam dwa kubki. Żółty, z długim brązowym pęknięciem w środku i drugi, w stosunkowo dobrym stanie, kubek Najfajniejszego Boyfrienda Świata. Kiepski wybór.

Zdecydowałam się na pęknięty.

- Ach, gotowa. - Gary podniósł swój nareszcie czysty kubek i przechylił go w moją stronę. - Przepraszam.

Nie wiedząc, czy przeprosza za brud, czy za napis, wzruszyłam ramionami.

- Nie ma problemu.

Zbliżył się i pociągnął za brzeg mojego wczorajszego t-shirta. Szerokie wycięcie w serek ułatwiło mu znalezienie miejsca na pocałunek, chociaż miałam pod spodem koszulkę.

Wykręciłam się. Przyciągnął mnie z powrotem do siebie. -

Dobrze smakujesz.

- Muszę już iść.

- Jeszcze nie. - Przejechał po moim obojczyku językiem, a potem szorstkim zgrubiałym palcem. - Mam na ciebie ochotę.

Pozwoliłam, żeby pokierował mną do krzesła kuchennego.

Ściągnął bokserki i usiadł. Złapał mnie i szybkim zręcznym ruchem zerwał ze mnie wszystko poniżej pasa. Posadził na sobie i stęknął. Ukryłam twarz w zagłębieniu jego szyi i czekałam, żeby skończył.

Gorąca woda waliła we mnie. Namydliłam ramiona, stopy.

Chciałam wyszorować Gary'ego spomiędzy nóg, aż zaczęło mnie szczypać od dziecięcego mydła. Umyłam dwa razy włosy. Obsypałam się talkiem Kaszmirowy Bukiet, którym posypywała nas babcia. Lulu mówiła, że mama też go używała. Kiedy było gorąco, chłodziła nas alkoholem, a potem zasypką, żebyśmy się nie pociły we śnie.

Włożyłam najłżejszy podkoszulek, jaki miałam, i wcisnęłam się w szpitalne spodnie, które dała mi Lulu.

Nalałam sobie trzecią filiżankę kawy, podpiekłam w tosterze angielską muffinkę i posmarowałam grubo masłem. Położyłam na nią kilka plasterków cheddara. Wzięłam stos poczty, której dotąd unikałam, i podzieliłam na kupki.

Do zapłacenia. Do wyrzucenia. List taty.

Kiedy skończyłam muffinkę, rozcięłam list i przeczytałam: Droga Merry,

Jak tam ślub stulecia? Nie mogę się doczekać wiadomości.

A przede wszystkim nie mogę się doczekać zdjęć. Koniecznie przywieź je ze sobą, dobrze? Dopilnuj, żeby były takiej wielkości, abym mógł je zatrzymać - wiesz o tym, prawda?

Jeżeli nie, to zadzwoń, to ci powiedzą.

Jakbym nie wiedziała od dziecka, na jakie przedmioty zezwala Więzienie Okręgowe Richmond.

Ponownie proszę, żebyś przekonała swoją siostrę, by przyjechała do mnie

na odwiedzin. Myślę, że gdybym zobaczył ją twarzą w twarz, mógłbym wszystko wytłumaczyć.

Myślisz, że ona w ogóle czyta moje listy?

Ostatnim razem, kiedy o to zapytałam, Lulu powiedziała, że to nie mój interes. Później, chyba po rozmowie z Drew, powiedziała, że czasem je czyta, ale zwykle przerabia je na confetti. „Powiesz mi, jeżeli wydarzy się coś ważnego, prawda?”. Miała chyba na myśli, że ojciec dostanie raka albo trądu. Czy wtedy by go odwiedziła?

Ważna wiadomość - chcą mi powierzyć bardziej odpowiedzialną rolę w warsztacie optycznym. Obsługujemy teraz trzy dodatkowe placówki. Twój ojciec będzie zarządzał

największym warsztatem w systemie.

„Placówki. System. Chcą”. Komunikacja między nami opierała się na ciągu ostrożnych kodów.

Uważam, że to pomoże przy następnej prośbie o zwolnienie warunkowe, ale sama wiesz, co mogłoby naprawdę pomóc. Proszę. Popracuj nad siostrą. Staję się tu starym człowiekiem.

Nie mogłam się dłużej powstrzymać, tarłam i tarłam pierś, przesuwając ręką od gładkiej skóry do pogrubiałych fałd.

Za trzy lata będę miał pięćdziesiątkę. Gdybyś zobaczyła tutejszych starych facetów - wyglądają jak podgrzane zimne trupy. Nie chcę być taki. Chcę kiedyś wziąć na ręce moje wnuki. Złotko, jesteś moją jedyną nadzieją. Kocham cię i całuję. Tata.

Część trzecia

# 19. Lulu

## Lipiec 2002

Obudziłam się w poniedziałek rano jeszcze przed budzikiem, z ustami wysuszonymi od klimatyzacji. Moja starsza córka, dziesięcioletnia Cassandra, stała nade mną z rękami na biodrach, zmrużonymi oczami i wyglądała na rozgniewaną, ale nie poszkodowaną. Pierwsza fala adrenaliny cofnęła się, a ja przygotowałam samą siebie na dzisiejszą opowieść o nierówności w domu Wintersonów. Dość wcześnie Cassandra umocniła swoją pozycję rodzinnego nadzorcy. Codziennie dekretowała, co jest sprawiedliwe, złośliwe czy słuszne. Fakt, że była dobrze zapowiadającą się aktorką,

urozmaicał

jej

komedianckie

rodzinne

przedstawienia. Czasami żałowałam, że zapisałam ją na zajęcia teatralne, do których przykładała się jak młoda Meryl Streep.

- Ruby dostaje wszystko, co chce, bo jest młodsza -

powiedziała Cassandra, nie pozostawiając mi czasu, by się do wybudzić. - Ty i tata traktujecie ją jak dzidziusia, a mnie nic nie wolno.

- Co się stało?

- Ruby chciała naleśniki, a ja wafle i tata powiedział, że rzuci monetą. Ale ona płakała i, oczywiście, mały dzidzius dostał to, co chciał.

Wiedziałam, że problem leży głębiej, ale wizja dokopywania się do jego istoty nużyła mnie.

- Wskakuj, kochanie.

Cassandra wślizgnęła się pod błękitną kołdrę i zaczerpnęła głęboko powietrza, przygotowując się do wyliczenia swoich skarg. Pachniała moim drogim mydłem. Była przekonana, że powinno służyć nam wszystkim, a szczególnie jej.

Nie musiałam pojawiać się w pracy przed dziesiątą, ale dziewczynki miały wkrótce wyjść i zająć się letnimi rozrywkami wakacyjnymi, cokolwiek

Drew dla nich zaplanował.

Dziś plaża - pomyślałam. Drew pracował w domu; przerobiliśmy pokoje na strychu na studio dla niego.

Cassandra przytuliła się mocniej. W mojej sypialni pachniało czystością i chłodem. Białe rustykalne meble przypominały mi Martha's Vineyard. Białe okiennice, moja kolekcja porcelanowych wazonów i przejrzyste czarki na biblioteczce i toaletce działały na mnie kojąco. Drew pomalował ściany na śnieżnobiało i powiesił obraz, który lubiłam najbardziej -

niebieskie irysy na tle słońca tak intensywnego, że paliło płótno.

- Tatuś zawsze ustępuje Ruby - żaliła się Cassandra.

- Na pewno zrobi wam jutro wafle.

- Ale ja chciałam dzisiaj. Ruby jest beksa. Skaleczenie wcale jej nie bolało.

- Jakie skaleczenie? - Usiadłam.

- Nic wielkiego, mamó. - Cassandra odsunęła się i leżąc na plecach, skrzyżowała nogę na podciągniętym kolanie. - To takie głupie, że tatuś pozwolił jej nawet kroić truskawki. W

każdym razie to nic wielkiego. Popłakała się, ale udawała przy tym, żeby dostać naleśniki.

- Lepiej się jej przyjrzyć.

Cassandra szarpnęła mnie za koszulę nocną, próbując mnie zatrzymać.

- Nawet jej krew nie leciała, no, może jedna mała kropelka. Wszyscy robią wszystko dla Ruby.

- Casandro, dosyć. - Moje zniecierpliwienie narastało.

Musiałam obejrzeć Ruby, zanim wezmę prysznic.

- Jesteś niesprawiedliwa - zaprotestowała Cassandra. -

Wszyscy jesteście niesprawiedliwi.

- O co ci chodzi? - Staralam się nie podnosić głosu, wiedząc, że już mi się to nie udało. Irytacja przelała się przez miły biało - niebieski pokój. Macierzyństwo nigdy nie było moim marzeniem. Nie oczekiwałam, że będę w tym dobra.

Widzisz, Drew. Dlatego ty jesteś mamusią, a ja chodzę do pracy.

Wcale się nie sprzeczał ze mną o nasz podział pracy. Drew ciężko

pracował w swojej kampanii na rzecz pozytywnego nastawienia mnie do macierzyństwa. W końcu jego silna potrzeba przewyciężyła moje opory, chociaż myśl o zostaniu matką przerażała mnie. Nadal tak było. Okazało się, że jest gorzej niż to sobie kiedykolwiek wyobrażałam. Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia mnie posiadają, jak każdy ich upadek nabije mi guza.

- A dlaczego ty nie możesz nas dziś zabrać na plażę? -

spytała Cassandra.

Dlaczego tak cię trudno zadowolić, chociaż dajemy ci tak wiele?

- Tata zabiera koleżankę dla każdej z was, prawda? -

powiedziałam. - Nie jestem wam potrzebna.

Może dawaliśmy im zbyt wiele. Cassandra uklękła, błagając mnie o zrozumienie. Jej cienkie brązowe opadające na ramiona włosy przypominały moje.

- Jesteś, potrzebuję cię. Nigdy z nami nie chodzisz. Nawet nie widziałas, jak dobrze już pływam kraulem.

- Pójdziemy razem w czasie weekendu. Obiecuję.

- Jasne - odparła Cassandra. - Założmy się.

Zabrzmiało to tak, jakbym codziennie łamała obietnice.

Czy tak mnie postrzegają?

- I pójdziemy do księgarni, żeby kupić nowy zestaw książek na lato.

Jako matka zawsze sprawiałam komuś zawód. Ruby i Cassandra stanowiły narody w stanie wojny. Zawsze potrzebowały czegoś innego, nic ich nie zadowalało jednocześnie. Nieustannie stawiałam czoło rozczarowaniu, klęsce albo terrorowi. W pewnym momencie musiały się pojawić razem, prawda?

Widzisz, Drew? Wiedziałam. Masz dzieci - musisz znosić najgorszą bzdurę życia. Zaszczuciem i przekupstwem Drew zmusił mnie do ciąży i stałam się zakładniczką terroru.

Urodzisz, a potem zamartwianie się będzie jak czepek na całe życie.

Czy moja matka tak się czuła? Czy strach przed niebezpieczeństwem zagrażającym Merry i mnie spędzał jej sen z powiek? Próby uchwycenia wspomnień o mamie przypominały łapanie deszczu. Nie pamiętałam, żebym wyczuwała, że się martwi, ale była moją matką, musiała się martwić. Takie myśli przynosiły mi pociechę.



Ruby wpadła przez drzwi. Za nią szedł Drew, balansując kubkiem.

- Obudziłaś ją? - zapytała Ruby Cassandrę. Potem zwróciła się do ojca. - Będzie miała kłopoty, prawda?

- Nie, nie będzie miała żadnych kłopotów - odparłam. -

Nie prowokuj.

- Co to znaczy? - spytała Ruby.

- Prowokować to znaczy coś zaczynać, ale nie w dobry sposób - odpowiedziałam.

- Zachowywać się jak mały dzidzius - dodała Cassandra. -

I ciągle płakać.

- Zrobiłaś kupę do majtek! - to były ostatnie słowa ośmioletniej Ruby kończące większość kłótni.

- Ruby! Ile razy mamy ci powtarzać, żebyś tak nie mówiła? - powiedział Drew. Dał mi do ręki kawę. Od dnia, kiedy Cassandra miała gwałtowny atak zatrucia pokarmowego w drodze z Cape i nie mogła wytrzymać do łazienki, stało się to ulubionym szyderstwem Ruby. - Wiesz, że Cassandra zachorowała.

- Nie powinnaś być ordynarna i niesympatyczna -

dodałam. Cassandra pokazała Ruby język, a potem rzuciła oskarżycielskie spojrzenie ojcu.

- Powiedziałam mamie, że zrobię naleśniki dla Ruby, chociaż to ja wygrałam.

Poszukiwanie sposobów na wyeliminowanie złych cech charakteru moich córek - potrzeby przykładania aptekarskiej miary do sprawiedliwości, skłonności do przywdziewania szat ofiary i bezwzględnej walki Ruby o pozycję - wydawało się syzyfową pracą. Moje dziewczynki miały wiele męczących cech. Cywilizowanie ich przytłaczało mnie. O ileż łatwiej byłoby rzucić im po prostu garść atrakcji, jak wściekłym psom. Cukierki! Zabawki! Hot - dogi! Dziewczynki, łapcie!

Hau! Kochajcie mnie!

- Ale ja się skaleczyłam! - poskarżyła się Ruby. Podniosła rękę, pokazując mi plaster ze Śpiącą Królowną na swojej drobnej dłoni. - Widzisz?

- Cassandro, Ruby się skaleczyła. Rozmawialiśmy o tym -

wtrącił Drew. - Jutro dostaniesz wafle.

Cassandra skuliła się i oparła o mnie. Gładziłam jej miękkie, jasne włosy i pragnęłam uciec jak najdalej od nich wszystkich. Westchnęła, by zapomnieć o przegranej.

Odwróciła się do mnie i ujęła moją twarz w swoje ręce, wpatrując się we mnie, jak gdybym była krwią płynącą w jej żyłach.

- Proszę, mamusiu, zostań ze mną w domu - błagała. -

Niech Ruby zostanie z tatusiem, a ty zostań dzisiaj ze mną.

Nie idź do pracy! Proszę!

- Lulu? - Wołanie Merry przerwało ten teatr. - Drew?

Biorę sobie trochę kawy, dobrze?

- Dobrze! - krzyknęłam. Drew ścisnął kolano Cassandry.

- Chodź, kotku. Wiesz, że mamusia idzie do pracy. A poza tym musimy pojechać po wasze koleżanki.

Złapałam Cassandrę, żeby objąć jej ramiona opadające w geście rezygnacji, zanim wyjdzie.

- Będzie fajnie - obiecałam jej.

„Fajnie” stało się słowem poranka. Fajnie, że tego lata nie spędzę całego dnia z Cassandrą i fajnie, że Merry należy sobie filiżankę kawy. Fajnie, że w cztery z pięciu dni pracy Drew zdąży zaparzyć kawę, a co za tym idzie, znika szansa, by Merry robiła ją sobie sama.

Nie martwiło mnie, że Merry wychodzi przez swoje frontowe drzwi w kapciach i piżamie i przybiega z za rogu, ze swojego mieszkania do naszego. To co niezwykle, stawało się w Cambridgeport czymś zwyczajnym. Spacerowanie w nocnej bieliźnie nie wystarczało, by zdobyć miejsce w rankingu ekscentryków dzielnicy, nie w tej części Cambridge, gdzie mieszkaliśmy - Drew, Merry i ja.

Pani od marionetek, nosząca ze sobą drewniane kukielki, które mówiły za nią, mieszkała obok nas, a platynowoblond transwestyta, metr dziewięćdziesiąt pięć bez szpilek, był

właścicielem domu po prawej. Jeszcze bardziej zdumiewający był fakt, że tutaj, w samym sercu Cambridge, mieliśmy republikanina. Obwieszał swój dom amerykańskimi flagami i z frontowego ganku grał co wieczór hejnał. Po jedenastym wrześniu zeszłego roku nasze ultraliberalne osiedle zadeklarowało przelotne odprężenie w stosunkach z republikaninem. Przez kilka tygodni wszyscy zbieraliśmy się o zmierzchu przed jego domem, słuchając jak gra. Teraz, prawie rok później, sąsiedzi znów traktowali go jak zwariowanego

wyrzutka.

Czasami czułam się zaskoczona, budząc się w roli żony i matki z córkami. Nie byłam już sierotą usiłującą ograniczyć się do jednej szuflady i jednego pokoju, lecz mogłam rozprzestrzenić się z ascetycznie przyjemnej sypialni do uporządkowanej piwnicy. Po latach życia w tym domu, w tej tożsamości, ciągle jeszcze nie wiedziałam, jak się rozprostować, by zamieszkać we wszystkich kątach mojego świata.

Pomimo dowodów na życie rodzinne, podejrzewałam, że tylko obecność Merry za ścianą utrzymuje mnie w stanie stabilizacji. Czasami, choć nie mówiłam tego nikomu, dwie rzeczywistości - moich córek oraz trzymanego w tajemnicy ojca, zamkniętego w zakładzie karnym stanu Nowy Jork -

zderzały się we mnie gwałtownie. Mama wciąż żyła we mnie piękna i gniewna jak z mych najmłodszych lat. Zawsze będę musiała ukrywać przed moimi dziewczynkami rodzaj relacji z matką. A co smutniejsze, kiedy sama szukałam sposobów na swoje macierzyństwo, wspomnienia o niej nie zdawały się na nic.

Wjechałam na najwyższe piętro parkingu przy budynku Centrum Opieki Medycznej Cabota. Parkowanie odbywało się tu na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, zgodnie z założeniem Cabota - przeżyją ci, którzy pojawią się pierwsi. O 9.50 czas zepchnął nas w najodleglejsze zakątki parkingu, gdzie nasze samochody narażone były na deszcz, śnieg lub ostre słońce.

Centrum Cabota żerowało na złośliwości i niewygodzie, poczynawszy od bezwzględnych bojów o miejsce na parkingu, po nasze skrupulatne śledzenie wygranych i przegranych Red Soxów. Pracując tak blisko Fenway Park, modliliśmy się, żeby przegrali, myśląc tylko o skróceniu trwania sezonu obłądnego ruchu samochodowego. Pieprzyć mistrzostwa.

Zaraz po studiach w Szkole Medycznej Cabota dołączyłam do Centrum Opieki Medycznej Cabota.

Zaproponowali mi pracę, więc ją wzięłam.

Ruszyłam w stronę klatki schodowej, zbiegłam na poziom ulicy, przeszłam przez nagrany dziedziniec do wejścia, całego w szkłe i brązie. Bieganie po schodach stanowiło dla mnie jedyną formę aktywności fizycznej.

- ...dobry, doktor Winterson. - Jerry, facet, który miał

koncesję na sprzedaż w holu, paraplegik o potężnych ramionach, zaplanował wszystkie czynności pod kątem zasięgu rąk i wygody, i nikt by się nie ośmielił poskarżyć na konieczność przykucania po cukier czy śmietankę. Byłam pełna uznania dla jego umiejętności wykorzystania

niepełnosprawności do szantażu mającego mu zapewnić dodatkowy dochód. Nikt by się nie ośmielił czegoś nie kupić -

nie przy aluzjach Jerry'ego, że odrzucenie jego muffinki, herbaty czy pakowanej kanapki świadczyło o braku hojności dla niepełnosprawnych.

- Jerry pewnie ma już pałac - Maria, recepcjonistka, bąknęła pod nosem w zeszłym tygodniu. Ale nawet ona powiedziała to, ściskając w rękę ciasteczko z kawałkami czekolady, upieczone przez żonę Jerry'ego.

- Kawę już piłam, lunch sobie przyniosłam - oznajmiłam, mijając wózek Jerry'ego. Na dowód podniosłam do góry torbę od L.L. Bean. - Potem przyjdę po tuzin ciasteczek na zebranie personelu.

- Jeżeli coś zostanie - odparł Jerry ponuro, jak gdyby wyprzedanie ich było niepowodzeniem i to prawdopodobnie zawinionym przeze mnie.

- Zaryzykuję. - Otworzyłam drzwi do wewnętrznej klatki schodowej i wbiegłam trzy piętra wyżej, na internę. Znalazłam się w przestronnym holu - pokrytym szarą biurową wykładziną dywanową - wiodącym do korytarzy oznaczonych A, B i C. Kiedy wchodziłam do korytarza B, Maria pomachała do mnie z zabudowanej półkoliście recepcji, kiwając jednocześnie głową i mówiąc coś do słuchawek. Pacjenci wychynęli ku mojemu białemu fartuchowi jak oklapnięte chwasty szukające słońca.

Na ekranie mojego komputera trzepotały samoprzylepne karteczki. Sekretarki oddziałowe tak zapychały nasze przegródki informacjami administracyjnymi i pocztą śmieciową od firm farmaceutycznych, że my, z korytarza B, porozumiewaliśmy się za pomocą przyklepek i kartek papieru przyklejonych taśmą do krzeseł.

Centrum Medyczne Cabota stało się placówką służby zdrowia wzbudzającą nienawiść, prześladując nas dzień w dzień przypomnieniami o pieniądzach: „Pamiętaj, że wynagrodzenie zależy od ilości przyjętych pacjentów! Więcej pacjentów w krótszym czasie! Zwiększ liczbę pacjentów albo zgiń!”. Czekałam tylko na dzień, w którym medykokraci każą nam zdobywać nowych pacjentów z łapanki.

Moja kartoteka stopniowo zaczęła reprezentować zwartą grupę kobiet, które uważałam za niemalże stare. Zdawało się, że lekarze okazywali mniej cierpliwości kobietom w wieku przejściowym. Współczułam im. Wkrótce sama stanę się jedną z nich i, w odróżnieniu od znajomych, nie udawałam, że będzie inaczej. Nie chciałam zostać jedną z tych przedstawicielek płci żeńskiej, które dziwi ich szybki upadek -

kobietą, której zabraknie czasu, by pożegnać się z urodą, byciem potrzebną czy adorowaną, kiedy będzie się staczać ku emeryturze

i

posiwiiałemu

stanowi

niewidzialności.

Znajdowałam czas dla niemalże starych, a one w zamian za to cmokały i cackały się ze mną, jak gdybym była ich osobistą cudotwórczynią. „Ona taka bystra”.

Odkleiłam karteczki z krzesła i komputera. Z lampy na biurku bił w oczy większy rażąco różowy świstek.

Gdzie jesteś? Musiałam wypić kawę z mistrzem nudziarstwa. Doktor Denton więził mnie przez dwadzieścia minut dla śmiertelnie nudnych gadek o ogrodnictwie. Proszę, oczyść moją aurę i posłuchaj o mojej RANDCE. Co planujesz na swoje jutrzejsze urodziny? Mogę zabrać cię na lunch?

Sprawdź w kalendarzu swój nawal pacjentów. Całuję. Sophie Sophie, pielęgniarce, z którą stanowiłyśmy zespół, stała się moją najlepszą przyjaciółką, odkąd Marta porzuciła Boston dla bogatego męża. Pacjentki przychodziły do Cabota tak samo ze względu na Sophie, jak i na mnie. Umiała pocieszyć i przytulić, kiedy płakały za swoimi utraconymi macicami, życiem seksualnym, które przeminęło, i łysieniem plackowatym, które wzbudzało w nich przerażenie za każdym razem, kiedy spjrzały w lustro. A one, w rewanżu, wypatrywały odpowiedniego męża i ojca dla Sophie i jej trzech koszmarnych chłopaków.

- Nieźle się zapowiada - skomentowałam kiedyś, gdy Sophie opowiadała mi o siostrzeńcu kolejnej pacjentki, który był do wzięcia. - Przypomnij pani Doherty, żeby jej syn zabrał

ze sobą stołeczek i bat do poskramiania lwów, kiedy po ciebie przyjedzie.

W drzwiach ukazała się głowa Sophie.

- Dziesiąta dwadzieścia już czeka, a dziesiąta czterdzieści się rejestruje. Musiałam wcisnąć Audrę Connely. Znalazła pracę i potrzebuje pełnych badań, zanim zacznie.

Przyjrzałam się liście pacjentów w komputerze, oznaczanych różnymi kolorami, dzięki medykokratom z górnych pięter.

- A jak mam tego dokonać? Przy pomocy magii?

- Ty jesteś lekarzem. Wymyśl coś.

Kiwnęłam głową. Mąż Audry zmarł niedawno na raka trzustki. Policjant,

kiedyś postawny i zawsze pogodny, stal się poźółkłym szkieletem, kiedy znosił ból, zapadając się coraz bardziej w siebie. - Coś wymyślę.

- O której? - spytałam. - Och, zaczekaj - już wiem.

Wcisnęła Audrę na 16.10. Pomasowałam sobie kark.

- A co z jutrzejszym lunchem urodzinowym? -

dopytywała się Sophie. Jutro urodziny.

Dziś rocznica śmierci mojej matki. Merry i ja bałyśmy się upamiętniania tego wydarzenia, ale jeżeli nie uczciłybyśmy tego dnia w jakiś sposób, przez cały rok czekałybyśmy na nieuniknioną karę, więc zawsze obchodziłyśmy go razem. W

niektórych latach wymykałyśmy się na jej grób z czerwonymi różami. W moich zamglonych wspomnieniach matka stała się Królową Śnieżką, z ustami koloru świeżej krwi, włosami czarniejszymi od laki i skórą białą jak u gejszy.

Najczęściej, by uhonorować mamę, oglądałyśmy smutne filmy. Raz po raz słyszałyśmy jak Mimi Rubee mówi: „Moja Celeste była tak piękna, że mogła zostać gwiazdą filmową”.

Kiedy mieszkaliśmy w Duffy, zbierałyśmy ćwierćdolarówki, które babcia Zelda nam podrzucała, i wykradałyśmy się w dzień śmierci mamy do kina, do Loewa. Po przeprowadzce do Cohenów kontynuowałyśmy ten zwyczaj. Poproszenie ich o zabranie nas na grób mamy nie wchodziło w rachubę.

Co roku wybierałyśmy najsmutniejszy film z najbardziej tragiczną aktorką. Przez dziesięciolecia przeszłyśmy od Loews w Brooklynie, przez video, do DVD, dławiliśmy się od szlochów przy Wyborze Zofii czy Czułych słówkach i zastanawiałyśmy się, na ile oddana byłaby nam matka, gdyby żyła. Nie mogłam sobie wyobrazić, że pozwoliłaby sobie na siwe odrosty, takie jakie miała matka w Czułych słówkach podczas choroby swojej córki. Już sama myśl napawała mnie winą. Merry miała wypożyczyć film na dziś wieczór.

Obejrzymy. Ona będzie piła. Popłaczemy. Potem pójdziemy spać. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, mamo.

O czwartej widok pacjentki na tyle znajomej, bym mogła usiąść i przez chwilę pogadać, przyniósł mi większą ulgę niż cokolwiek innego tego dnia. Pieprzyć medycznych biurokratów. Strasznie bolały mnie nogi. W brzuchu burczało z głodu. Dodatkowi pacjenci kosztem lunchu.

- Audra - przywitałam ją, wchodząc. - Jak się masz?

- Dobrze, kochanie. Chyba mam pracę.

- Na pewno jesteś gotowa? - Od śmierci jej męża minęły zaledwie cztery miesiące.

- Bardziej niż myślisz. Jeszcze kilka wieczorów oglądania telewizji i rozwałę ten nieszczęsny ekran. Chodziłam pomagać w Ocean View, wiesz, w domu opieki, gdzie jest moja matka i ojciec Hala, ale chyba nawet oni już się mną zmęczyli. -

Audra uśmiechnęła się ustami pokrytymi tą resztką szminki, która nie poddała się zmartwieniu. Wyglądała na chudsza, niż kiedy ją ostatnio widziałam, na co nie mogła sobie pozwolić, będąc jedną z tych szczupłych Irlandek bez nadmiaru ciała do stracenia. - Dzieci za często mnie odwiedzają. Powinny mieć własne życie.

- Porozmawiajmy o tobie. Co to za praca? - spytałam, przeglądając jej wyniki.

- Pomocnik bibliotekarza w szkołach w Brooklynie.

Myślę, że to dla mnie doskonałe zajęcie.

- Mają szczęście - odparłam. - Ciśnienie w porządku.

Waga za niska. Dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku, poza tym, że za często jem na obiad talerz płatków śniadaniowych.

- Musisz sobie dogadzać tak, jak dogadzałaś jemu. -

Ogrzałam stetoskop w rękach. - Nabierz powietrza.

- Znasz taką kobietę, która to robi? - spytała Audra, wydechając zatrzymane powietrze. - Robimy to tylko dla innych.

- Coś ci dolega?

- To co zwykle. To samo słyszę od dziewczyn w kółku brydżowym. Wszystko nas uwiera. Bolą nogi. Twarze nie wyglądają dobrze. - Uśmiechnęła się. - Na szczęście ta praca nie wymaga urody.

Dotknęłam jej ramienia.

- Zawsze wyglądasz pięknie. Masz klasyczne rysy, których pragną wszystkie kobiety. Jak Katharine Hepburn.

Merry zostawiła wcześniej wiadomość, że wypożyczyła Doktora Żywago. Geraldine Chaplin - w roli żony - podobała mi się bardziej niż Julie Christie. Ciemne oczy i łagodna twarz Chaplin przynosiły więcej otuchy niż uroda

Christie.

Wpadłam w panikę. Jakiego koloru były oczy mojej matki? Niebieskie? Ciemnobrązowe jak oczy Merry?

Miałyśmy tylko czarno - białe zdjęcia mamy. Kto mógłby wiedzieć? Kogo mogłabym zapytać?

- Z pewnością mam jej pomarszczoną szyję. Ale już mi nie zależy - Audra klasnęła, wydobywając mnie z zadumy. -

Słuchasz mnie? Boże, miałam cudowne życie, a teraz gotuję się na nową przygodę.

- Tak, nowa przygoda. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie, prawda? A teraz rozepnij się i połóż, żebym mogła zbadać ci piersi, i to będzie koniec.

Obsypane piegami piersi Audry dawały świadectwo jej ciąży. Cienka, pergaminowa skóra ukazywała szkody.

Brodawki nosiły ślady karmienia niemowląt.

- Audro, mogłabyś podnieść ręce? - Podeszłam bliżej i poprawiłam okulary na nosie. - Załóż ręce za głowę.

Papier na kozetce pogniół się, kiedy Audra się położyła.

Jaskrawe fluorescencyjne światło odbite w białych stalowych szafkach i chromowanych uchwytach podkreślało każde znamię i starczą plamę na ciele Audry. Położyłam opuszki palców na jej drobnych piersiach, używając nowej techniki, której się nauczyłam, dotykając każdego miejsca z trzema rodzajami nacisku. Zamiast poruszania się w kółko dookoła każdej piersi, szłam przez klatkę od góry w dół, by nie pominąć tkanki piersiowej, która sięgała od obojczyka do linii biustonosza i do pach.

Nie

znalazłam

nic

podejrzanego

poza

pewną

chropowatością w okolicy brodawki. Poprawiłam lampę, przysuwając ją trochę bliżej, i pochyliłam się. Zauważyłam zaczerwienienie i łuszczenie wokół prawej brodawki.

Przesunęłam po nim palcem, a potem ścisnęłam, spodziewając się



wydzieliny. Lewa brodawka była wolna od zmian skórnych. Wróciłam do prawej piersi i badałam palcem łuski, a potem otoczkę sutka.

- Miałaś kiedyś kłopoty z prawym sutkiem?

- Nie. Czy dzieje się coś złego? - Audra odwróciła głowę, by spojrzeć na mnie. Do tego momentu zachowywała postawę kobiety poddającej się intymnemu badaniu i przyglądającej się sufitowi nieruchomo, jak manekin. Teraz jej twarz ożywiła troska.

Zerknęłam na jej pierś, a potem znów na nią.

- Zauważyłam wysypkę. Ty też?

- Skoro o tym mówisz, to trochę mnie swędziało.

Powinnam się martwić?

- Zostaw to mnie - odparłam, wierząc w to, co mówię.

Moi współpracownicy ciągle mnie oskarżali o szukanie zebr na wybiegu dla koni. Mój strach przed przeoczeniem czegoś w diagnozowaniu powodował, że robiłam badania, przeciwko którym raz po raz protestowali medykokraci. - To tylko drobna pokrzywka. Zmieniałaś ostatnio proszek do prania?

Mydło? Kupiłaś staniki innej marki?

- Pływałam w basenie YMCA w Brighton. Czy chlor może być przyczyną?

- Możliwe - powiedziałam. - Chlor bardzo podrażnia, ale ponieważ i tak należy ci się już mammografia, zrób jeszcze parę badań.

- Powinnam się martwić? - spytała raz jeszcze. Zawsze powinnyśmy się martwić. W każdej sekundzie dnia.

- Miałaś już kiedyś egzemę, a ostatnio żyłaś wyłącznie w stresie, więc to prawdopodobne, że masz egzemę na sutku.

- O Boże, żeby to tylko nie był nawrót egzemy -

powiedziała Audra. Proszę, żeby to był nawrót egzemy.

Miska z popcornem była prawie pusta. Na zmianę z Merry sięgałam i grzebałam w niej w poszukiwaniu nadmuchanych ziaren pomiędzy twardymi kulkami, które się nie otwarły.

Dlaczego niektóre z nich były takie uparte?

- Wszystkim się martwisz - powiedziała Merry. - Jeden swędzący sutek, a ona już umarła i wsadziłaś ją do grobu.

Powiedziałam jej o badaniu Audry i o moich obawach.

- Jakbyś sama nie kładła wszystkich na marach -

odparłam. Merry i ja marnowałyśmy życie, czekając, aż nasi bliscy znikną lub umrą. Nie mogłam sobie wyobrazić, co zrobię, kiedy Cassandra i Ruby wydorosłają na tyle, by wyjść z domu beze mnie czy Drew.

- Stąd wiem, jaka z ciebie wariatka. - Nacisnęła guzik na pilocie odtwarzacza DVD, by wyjąć Doktora Żywago. -

Mamie podobałyby się ten film. Powiedziałyby jednak, że postać grana przez Geraldine Chaplin jest za dobra, żeby mogła być prawdziwa. Podobałyby się jej Julie Christie.

Nie wiem, skąd moja siostra brała te bzdury, bo przecież nie miała jeszcze sześciu lat, kiedy mama zmarła. Merry poskładała sobie mamę ze strzępów wspomnień, fotografii i wszystkiego, co jej opowiadałam przez lata.

- A kto się tobie podobał? - zaciekawilo mnie.

- To okropne, że Geraldine Chaplin była taka dobra i tylko się wszystkimi opiekowała. I co jej z tego przyszło?

- Uwolniła się od wszystkiego.

- Ale Julie Christie zdobyła Omara Sharifa. - Merry znów dołała sobie wina i położyła nogi na stoliku do kawy.

Wydawało się niemożliwe, że Merry skończy w grudniu trzydzieści siedem lat. Ciągle żyła jak dzieciak czekający, aż jego życie się zacznie. Tymczasowa, jak jej meble, biurko wyrzucone przez Drew, półki na książki z cegieł i desek, stolik do kawy ze szpuli na kabel, którą pewnie dostała od montera telefonicznego, z którym się przespała.

- Omar Shariff nigdy nie dał nikomu szczęścia -  
zaprotestowałam.

- Nie sądzisz, że na jakiś czas uczynił je szczęśliwymi?

- Dlaczego w ogóle go chciały? - spytałam. - Był taki ponury.

- Uważam, że był romantyczny. Wierzył we wszystkich. -

Podwinęła pod siebie nogi i otrzepała piersi palcami. - Myślę, że tata długo pokładał wiarę w mamie. Za długo.

- I dlatego to zrobił? To jest twoja najnowsza teoria? -

Złapałam puste pudełko po pizzy, trzymając je tak, by okruchy się nie wysypały. - To straszne, co mówisz. Szczególnie dzisiaj.

- Tylko się zastanawiam. Dlaczego się wściekasz, jeżeli tylko się zastanawiam i próbuję wszystko zrozumieć? - Merry pozbierała zatłuszczone papierowe talerze.

- Bo mama zasłużyła na ten wieczór od nas i chciałaby, żebyśmy go z tego wyłączyły.

## 20. Lulu

Pogniotłam nieotwartą kopertę z kartką urodzinową przysłaną przez ojca. Chwycił mnie skurcz w palcach, kiedy próbowałam unicestwić kartonik i pozbyć się go z mojego domu, z mego życia. Moje córki, Drew i Merry, wszyscy czekali w jadalni. Kwadrans wcześniej zostawiłam ich i z wielkim hałasem i ceregielami poszłam do swojego gabinetu, żeby dać im czas na podanie „sekretnego” tortu urodzinowego.

Rzuciłam na ziemię przydziałową więzienną kopertę z chropawego papieru i bez przekonania zaczęłam sortować stos poczty na biurku. Korespondencja przydawała pokojowi aury nieporządku. Chaos przyprawiał mnie o drżączkę, ale byłam zbyt bliska bólu głowy, by zajmować się rachunkami. Chęć pójścia na górę, wzięcia prysznic i pogrążenia się we śnie osłabiała moje poczucie obowiązku, by demonstrować szczęście z powodu uroczystości, szczególnie przed dziewczynkami.

Podniosłam zwiniętą w kulkę więzienną kopertę i wygładziłam papier, bo nie chciałam, by ojciec miał nade mną przewagę.

Rozciąłam kopertę i wyjęłam narysowaną odręcznie kartkę z jaskrawymi czerwonymi i niebieskimi balonami.

Kochana Lulu!

Ja nie mogę! Jeżeli ty skończyłaś czterdzieści jeden lat, to ja dobiegam do sześćdziesiątki! Postarzałem się tutaj - a uwierz mi, Cukiereczku, że to nie jest dobre miejsce do starzenia się. (Nie żebym się spodziewał, że kiedyś skończysz w takim miejscu). Z tego, co słyszę od Merry, z roku na rok odnosisz coraz większe sukcesy. Nieźle, Ptysiu.

Jeżeli kiedykolwiek miałabym napisać do ojca, to tylko po to, by mu powiedzieć: „Nigdy więcej nie nazywaj mnie Ptysiem”. Ciągle jeszcze słyszę, jak wypowiada te słowa, rzucając je w tę odrobinę miejsca, które stworzyłam, uchylając drzwi.

Nie martw się, Ptysiu. Mama nie będzie się gniewać.

Obiecuję ci.

Mama się nie gniewała. Mama umarła.

Zamknęłam na chwilę oczy, zbierając się w sobie, by przeczytać list do końca.

Twoja mama byłaby zdumiona. Jakbym ją teraz słyszał -

skąd w Lulu tyle mądrości? Myślę, że to po dziadku z jej strony - nikt inny w naszej rodzinie, na tyle sprytny, by pójść na medycynę, nie przychodzi mi do głowy.

Odłożyłam kartkę, obawiając się, że mogę dostać wylewu spowodowanego furia, jeżeli przeczytam więcej. Jak mu się udało wrzucić tę radosną aluzję do mojej matki, jak gdyby właśnie pojechała do Boca Raton, a nie gniła w ziemi? Tato -

ostatnie wiadomości - nie ma czegoś takiego jak „nasza rodzina”.

Powinno się pozwalać dorosłym, by oferowali siebie do adopcji. Znalazłabym rodzinę, która spotykałaby się z okazji wszelkich świąt, jakie zostały wynalezione - szybko, wyciągajcie drzewko na Dzień Kolumba! - fundując sobie nieskończone okazje przewietrzenia rodzinnych kawałów i anegdot. Rodzinę, która obchodziłaby urodziny w inny sposób niż przysyłanie kartek własnej roboty z więzienia.

Tęskniłam za tym, by mówić coś w rodzaju „O Jezu, całe wieki nie dzwoniłam do cioci Mary!”. Pragnęłam móc wejść do ciepłego domu, w którym ktoś się o mnie martwił, a potem chwycił mnie za rękę i spytał: „Lulu, bardzo źle na drogach?”, a ja strząsałabym śnieg z włosów.

Adoptowanie dorosłych powinno być tak pożądane, jak ratowanie pięknych małych chińskich dziewczynek.

Może w tym roku poproszę w więzieniu, by zabronili ojcu wysyłania mi poczty. Moje córki są już w tym wieku, że mogą zauważyć „Program korespondencji osadzonych, Joseph Zachariah, 79 - x - 876” na skrzydełku koperty i „Więzienie Okręgowe Richmond” jako część adresu zwrotnego. Dostał

zakaz dzwonięcia do mnie zaraz po pierwszym telefonie.

Niszczarka zajęczała, tnąc na confetti kartkę, a potem kopertę ojca.

Pokręciłam głową, by pozbyć się napięcia. Wyobraziłam sobie, jak moja rodzina po kryjomu ustawia świece na torcie urodzinowym.

Dziewczynki

ledwo

panowały

nad

podnieceniem związanym z utrzymywaniem w tajemnicy deserem. Tort! Lody! Cukier, cukier, cukier!

Drew zdawał sobie sprawę, że nienawidzę tego dnia, i jako dobry mąż podzielał moje uczucia, ale tylko do pewnego momentu - kiedy moje znerwicowanie zagrażało potrzebie normalnych rodzinnych interakcji u naszych córek. Gdyby wybór należał do mnie, wyrzekłabym się wszelkich obchodów i póki nie stałam się rodzicem, tak też robiłam. Niestety, przyzwoite macierzyństwo wymaga od ciebie wszystkiego na świecie, w tym udawania szczęścia z powodu własnych urodzin i pozwalania dzieciom na uszczknięcie odrobiny tej domniemanej radości.

Zamknęłam oczy i próbowałam siłą woli odpędzić spowodowany stresem ból obejmujący mój kręgosłup.

Ucisnęłam mocno dłońią jego dolny odcinek i pomasaowałam.

Wzięłam dwie tabletki excedryny i popiłam zimną kawą.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i otworzyłam drzwi na niecierpliwe odgłosy wydawane przez moje córki, które czekały na okrzyk zachwytu na widok różowych - wybór Ruby - i fioletowych - wybór Cassandry - wypełnionych helem balonów, unoszących się pod sufitem jak zagubione chmury, niebezpiecznie blisko łopat wiatraka obracającego się nad stołem.

- Mama! - Ruby rzuciła mi się w ramiona i zapiszczała: -

Zgadnij, co mamy!

Objęłam ją mocno, czując jej drobne ciało, jedwabistość ciemnych włosów pod moim policzkiem. Była podobna raczej do mojej siostry i mojego męża, niż do mnie - jak gdyby Drew i Merry skojarzyli się wcześniej, a potem podrzucili embriona do mojej macicy. Z twarzyczki Ruby wpatrywały się we mnie oczy Merry - miniaturowe czekoladowe kuleczki, pod wygiętymi w ostry łuk brwiami jak u Drew i nad jego zadartym nosem.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamó. -

Afektowany głos Cassandry podkreślał wagę okazji.

Drew przechylił mnie do tyłu w pocałunku na styl hollywoodzki, przy akompaniamencie pisków zachwyconych dziewczynek, które uwielbiały obserwować, jak stara się mnie rozluźnić. Merry pociągnęła mnie do stołu i posadziła przed stołem prezentów. Na chwilę zamknęłam oczy i przywołałam bogów fałszywej wesołości.

- Zacznijmy od początku - powiedziała Merry. Usiadła naprzeciwko mnie i wzięła Ruby na kolana. Wyglądały jak matka i córka. Gdyby mama tu była, obraz stałby się kompletny - trzy generacje piękności. Ruby oparła się o piersi mojej siostry. Pasma ich włosów idealnie pasowały do siebie kolorem.

Cassandra stała u mojego boku, trzymając swą chudą rączkę na moim

kolanie. Na krótką chwilę oparła głowę na moim ramieniu. Ucałowałam jej chłodny policzek. Wyglądała blado, eterycznie i po luterańsku ładnie, jak matka Drew. Obie miały zielone oczy, opromienione złotem.

Tak jak w dzieciństwie, czułam swą pospolitość, kiedy patrzyłam na siostrę, a stałe zapewnienia Drew, że jest inaczej, nie miały znaczenia. Może wybrałabym nieładną rodzinę, żeby mnie zaadoptowała - byłoby miło, na odmianę, spróbować poczuć się ślicznotką. Z drugiej strony, mój pospolity wygląd obiecywał dostępność. Moi pacjenci powierzali mi swe sekrety z przewidywalnością przypływów.

„Piję wieczorami, ale nikt o tym nie wie” - powiedział mi kierowca autobusu. „Zdradziłem żonę. Proszę, zrób mi wszystkie badania” - błagał profesor historii. „Chowam czekoladę Dove na dnie kosza na bieliznę” - wyznała pogrążona w depresji pielęgniarka z niekontrolowaną cukrzycą.

Merry wcisnęła mi w ręce prezent, a ja pociągnęłam za masę poskręcanych wstążeczek, które okalały pudełko. W

końcu wzięłam od Drew nożyczki i przecięłam je.

Dziewczynki przyglądały się w głębokiej ciszy.

- To coś specjalnego! - zawołała Ruby. - Dostałyśmy to od...

- Szsz... - Merry podniosła palec do ust Ruby.

- Niech mamusia ma niespodziankę - powiedział Drew.

Podszedł, by usiąść obok mnie i wziął Cassandrę na kolana.

Zerwałam papier z ciężkiego jak na swoją wielkość pakunku i podniosłam pokrywkę sztywnego srebrnego pudełka, jakie dają w drogich sklepach. Merry od zawsze chowała takie pudełka.

Jaskrawa

bibułka

-

ciemnoróżowa,

jaskrawoniebieska, papuziozielona - trzeba było usunąć jej liczne warstwy, by dotrzeć do prezentu. - Chyba się domyślałam, kto to zapakował.

- Tatuś tak pięknie przystroił pudełko - oznajmiła Ruby. -

Ale ciocia Merry...

Merry znów uciszyła Ruby. Rozsunęłam papiery. Pod bibułkami zajaśniało błyszczące sześciokątne pudełko.

Natychmiast rozpoznałam przedmiot. Według mamy pochodził z „kolekcji dziadka”. Mama przystroiła nasz salon tymi egzotycznymi skarbami. Wypolerowane wieczko zdobiły trójkąciki z masy perłowej, spotykając się w kółeczku z błyszczącego zielonego kamienia. Od wielu lat nie widziałam tego pudierka. Było to w domu ciotki Cilli, kiedy odwiedziłam ją po raz ostatni, bo zdałam sobie sprawę, że siostra mojej matki przywłaszczyła sobie jej rzeczy.

Pani Cohen uważała za ważne, by położyć kres naszemu związkowi z ciotką i wujem. Zawiozła Merry i mnie do domu ciotki Cilli w Brooklynie i zostawiła nas same na okropne pół

godziny, tak żebyśmy mogły „porozmawiać”.

- Co, na co się tak gapisz? - powiedziała ciotka Cilla, kiedy zauważyła, że się wpatruję w pierścionek z ametystem na jej prawej ręce. - Nie wolno mi zachować pamiątki po siostrze?

Nie otrzymawszy ode mnie odpowiedzi, zwróciła się do Merry.

- A ty? Kto cię teraz zabiera w odwiedziny do tego potwora?

- Skąd to masz? - zapytałam Merry.

Uśmiechnęła się, jak gdyby udało się jej dokonać niezwykłego wyczynu, zbyt podekscytowana, by zauważyć ostrzeżenie w moim głosie.

- Dostała od cioci Cilli - odpowiedziała Cassandra.

- Ciocia Cilla miała je w Nowym Jorku! - odezwała się Ruby. - Ciocia Cilla!

Ruby powtórzyła słowa „ciocia Cilla” z upodobaniem, chociaż nigdy jej nie widziała. Dziewczynki nigdy nie poznały nikogo z rodziny z mojej strony, poza, co oczywiste, Merry.

Ruby, nasze wysportowane dziecko, trenujące w bogatej w liczne rodziny Little League miasta Cambridge, regularnie wracała do domu z opowieściami o dziadkach, kuzynach i wujkach swoich koleżanek.

- Dała to cioci Merry. Dla ciebie. Ciocia Cilla - wyjaśniła Ruby.

Dla mnie. Rzeczywiście. Złamała tradycję. Siostra mojej matki nie zrobiła dla nas nic od chwili, kiedy wyrzuciła nas ze swojego domu i oddała do sierocińca.

- Pamiętałam, jak bardzo je lubiłaś - powiedziała Merry. -

Twoje ulubione.

Już miałam przypomnieć Merry, że nie mogła pamiętać niczego sprzed



śmierci mamy, ale się powstrzymałam.

- Dziękuję. - Przesunęłam palcami po wieczku, gładkim i zimnym, takim, jak je pamiętałam.

Raz na miesiąc mama zdejmowała je z półki i razem z Merry tworzyłyśmy z pudełeczek nasze małe światy. Mama układała je starannie na dywanie i pozwalała odkurzać i polerować. Siedem czarnych puzderek z onyksu, różnych kształtów i rozmiarów, niektóre inkrustowane zielonymi i czerwonymi kamykami oraz masą perłową.

- Należało do twojej mamy - wyszeptała Cassandra, nie posiadając się ze zdumienia. Moja matka, przez swą nieobecność i rzadkie o niej wzmianki, została wyniesiona, wraz z ojcem, do pozycji lewitujących świętych. Moje dzieci żyły w głębokim przeświadczeniu o prawdziwości mitu, że to fatalny wypadek samochodowy zabrał oboje naszych rodziców. Tylko Drew, Merry i ja oraz maleńka część rodziny, która została w Nowym Jorku - rodziny, z którą nigdy się nie widywaliśmy i nie powinniśmy się widywać - znaleźmy prawdę.

- Tak, należało do mojej mamy. - Przeczesałam palcami włosy Cassandry. Zapragnęłam odsunąć od siebie puzderko, zanim przeszłość skala życie moich córek. - Widzę jeszcze jakiś prezent. To dla mnie?

- Nie tęsknisz za swoją mamą? - spytała Cassandra po raz milion pierwszy. - Czy to nie smutne, że umarła? Umarła, kiedy byłaś jeszcze małą, prawda?

Złożyła ręce, jak gdyby chciała okazać szacunek.

- Nie taka całkiem, całkiem mała - zapewniłam ją. - W twoim wieku, a ty nie jesteś bardzo mała, prawda? - zażartowałam, chwytając ją za brodę.

Ruby złożyła ręce, naśladując modlitewny gest Cassandry.

- Kto się tobą opiekował? - Moje córki wykorzystywały każdą okazję, by zasypywać mnie pytaniami.

- Pamiętasz, kochanie, że ciocia Merry i ja poszłyśmy do specjalnej szkoły ze spaniem.

- A dlaczego nie zamieszkałyście z ciocią Cillą? - zapytała Cassandra, jakby po raz pierwszy.

Spakowałam z powrotem pudełko i owinęłam w jaskrawe bibułki.

- Znasz już tę historię.

- Dobrze, dziewczynki, dajcie mamusi otworzyć drugi prezent. - Drew sięgnął po mały pakiecik i wręczył go Cassandrze. - Ty to daj mamusi.

Cassandra wzięła prezent, ale wcale mi go nie podała.

- Dlaczego was nie wzięła do siebie? To wasza ciotka.

Byłyście zupełnie same!

Merry mocniej objęła Ruby.

- Ona nie była taką ciocią jak ja, Cukiereczku. Ja się zawsze będę wami opiekować, żeby nie wiadomo co. Ale ciocia Cilla miała zbyt wiele innych obowiązków.

- I była bardzo smutna, że wszyscy poumierali, prawda? -

powiedziała Ruby, powtarzając rodzinną litanię. - Była w zbyt dużej presji. Z powodu wypadku.

- W de - presji - wkroczył Drew. - To prawda, ciocia Cilla wpadła w depresję. Cassie, a teraz daj mamusi prezent.

Wzięłam prezent, który podała mi Cassandra.

Ekologicznie poprawne opakowanie - komiksowe strony z „Boston Sunday Globe” - skrywało małe aksamitne pudełeczko na biżuterię.

W środku, na puszystej kulce waty posypanej maleńkimi ścinkami wstążki, leżała para muszelek makaronu umoczona w pozłotce. Każdą z nich ozdabiała chwiejna litera L z różowego brokatu.

- L dla Lulu - wyjaśniła Ruby.

- Ona to wie - powiedziała Cassandra. - Podobają ci się?

- Same zrobiłyśmy. - Oczy Ruby zaświeciły. - To są kolczyki!

Dotknęłam ich ostrożnie. Drew musiał zastosować jakąś magiczną substancję dla artystów, żeby makaronowa biżuteria stała się gładka i śliska jak masło.

- Wyglądają jak prawdziwe złoto.

- Ja zrobiłam litery. - Ruby wyjęła kolczyki i podała mi. -

Czy nie są piękne?

- Podobają ci się? - spytała ponownie Cassandra.

- Są prześliczne. - Wyjęłam proste złote gwoźdźki, które zwykle nosiłam i włożyłam muszelki.

- Och, mamó! Wyglądasz tak pięknie! - zachłysnęła się Ruby. Podeszłam

do lustra wiszącego nad naszym dębowym kredensem i obracałam głowę. Uwięziony w twardej żywicy brokat zamigotał.

- Zrobiliśmy je razem, tatuś, Cassandra i ja. - Ruby pogładziła mnie małą rączką po ramieniu, a potem chwyciła moją dłoń i pocałowała. - Bo cię kochamy. Zawsze będziemy się tobą opiekować.

Okryłam Ruby jej różowo - białą kołderką w księżniczki i pocałowałam według dawno ustalonej przez nią kolejności: prawy policzek, lewy policzek i bródka. Kiedy znalazłam się w pokoju Cassandry, zdążyła już zrobić sobie kokon z patchworkowej kapy. Po jeszcze jednej szklance wody dla Ruby i jeszcze jednym buziaku dla Cassandry wymknęłam się do kuchni i tam oparłam się o zlewozmywak, wzięłam kilka głębokich oddechów, by rozładować swój gniew przed dołączeniem do Drew i Merry w salonie.

Próbowałam sobie wyobrazić, co czuła Merry, kiedy spotkała się z ciotką Cillą. Moim najwyraźniejszym wspomnieniem zawsze zostaną godziny po pogrzebie Mimi Rubee, kiedy wszyscy udali się z cmentarza do domu ciotki Cilli. Ile mogłam mieć lat, jedenaście?

„Nie zgodzę się, żeby dziewczynki Joeya tu zamieszkały.

Nie w moim domu. One są jak czarne plamy na pamięci mojej siostry, rzucają cień na imię mojej matki. Widok ich tutaj wyrzywa mi kiskbes”.

Przełknęłam słowa ciotki Cilli w milczeniu, kiwając głową, jakbym się zgadzała z ciotką, że Merry i ja jesteśmy dokładnie tym, co powiedziała: ponurymi cieniami, czarnymi plamami, rozpruwaczami jej kiskbes.

Poszłam poszukać siostry.

- Merry, co ci, na Boga, przyszło do głowy? - usiadłam na kanapie tuż obok Drew, bo potrzebowałam ciepła jego ciała.

Drew lubił ustawiać klimatyzację na chłodne dwadzieścia stopni. Nawet w lipcu wkładałam na siebie bawełniane swetry.

- Napracowałam się jak głupia, żeby zdobyć dla ciebie to pudełko - odparła Merry. - Przynajmniej widziałam się z ciotką Cillą.

Dojmująca ciekawość losu ciotki Cilli walczyła we mnie z neodpartą potrzebą krzyknięcia: nie. Żadnych pudełek z przeszłości. Żadnej ciotki Cilli. Niczego nie przynosić do mojego domu.

Nie przekazywać ojcu żadnych informacji o mnie. Mój prezent połyskiwał od stołu trującą zielenią. Od onyksowego pudełka skradały się ku mnie lepkie macki. Wydrapywałam jeden po drugim znak x na ramieniu.

- Nie chcę go. - Skrzyżowałam ramiona na piersi. - Nie chcę niczego

tamtego czasu w moim domu.

Merry przechyliła się do przodu w bujanym fotelu i pokazała na mnie palcem.

- Potrzebujesz czegoś z przeszłości, bo inaczej nigdy sobie z nią nie poradzisz.

- Dla twojej wiadomości: nie zamierzam sobie z nią radzić. Czy to właśnie robisz podczas odwiedzin w więzieniu?

Radzisz sobie? Ha!

- A zamierzasz pozwolić, by dzieci zawsze już myślały, że ich dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym?

- A co proponujesz? - Nie mogłam się przyznać, że miałam nadzieję, iż ojciec umrze zanim będę musiała powziąć ostateczną decyzję. Podciągnęłam kolana do piersi, w obronie przed aurą puzderka. - Mam się zgodzić, żebyś je wzięła ze sobą do więzienia na następne odwiedziny?

- Byłoby to znacznie lepsze niż ukrywanie go bez końca.

Czy ktoś oprócz ciebie ma jeszcze coś do powiedzenia? -

Merry zwróciła się do Drew. - Nie obchodzi cię to gigantyczne kłamstwo, którym karmicie dzieci?

- Nie zwracaj się do niego, tylko do mnie! - prawie wykrzyczałam, powstrzymując się tylko ze względu na dziewczynki.

- Uważajcie - powiedział Drew. - Na miłość boską, nie jestem lampą.

Odsunęłam się, podniosłam wino Merry i zaczerpnęłam wielki haust, wiedząc, że doprowadza go to do szału. Weź

kobietę, która pije i kobietę reagującą emocjonalnie, a zobaczysz jak mój mąż sztywnieje jak beton.

- Świetny pomysł, Lulu. Dolewaj oliwy do ognia - dodał

Drew.

- To mój ogień - odpowiedziałam. - A ty, Merry, nie znoś mi więcej żadnych pamiątek.

- Zdajesz sobie sprawę, że to w końcu wybuchnie jak bomba, i to prosto w twarz dziewczynkom? Nie możesz ciągle wszystkiego wypierać. - Merry nigdy nie dawała za wygraną.

- Przynajmniej nie tarzam się w tym dzień po dniu -

odparowałam. - W przeciwieństwie do ciebie nie potrzebuję, by kryminaliści stanowili całe moje życie.

- Pieprz się - zaproponowała Merry. - Nie jestem kuratorem sądowym ze względu na tatę. Przemyśl to.

Myślałam, że chciałabyś mieć to pudełko!

Drew uwolnił się ode mnie i odebrał mi kieliszek.

- Czas do domu. Pora spać. Koniec.

Merry zignorowała go i podeszła do kanapy. Położyła się z głową na moich kolanach. Pomasowałam jej plecy i poczułam, że jej łyzy płamiał mi spodnie. Po chwili odwróciła się i z wilgotnymi oczami uśmiechnęła się szeroko.

- Przepraszam - powiedziała. - Chciałam tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem.

Uśmiech Merry był kosztowny, z powodu zębów, które zepsuły się dzięki nowojorskiemu systemowi opieki nad sierotami i paskudnym genom odziedziczonym po nie wiadomo której stronie rodziny. Dziesięć lat temu pomogłam jej zrobić porządek z zębami, płacąc za to tysiące dolarów.

Dzięki małżeństwu, do którego Drew wniósł sporą sumkę, mogłam za nie zapłacić. Dzięki Bogu, że nie wiedziałam, na ile jest duża, kiedy się jeszcze spotykaliśmy, bo mogło mnie podkusić, by go poślubić wyłącznie dla pieniędzy. Wyszłam więc za mąż z miłości, dla swobody, z jaką Drew obracał się w świecie, dla jego opieki i dlatego że zaakceptował Merry jako część naszego układu.

Bo żądał ode mnie mniej niż inni.

Bo strzegł nas.

Bo z chęcią, razem ze mną ignorował istnienie mojego ojca.

Łatwo mi było darować mu potrzebę uspokojenia nas, kiedy przekraczałyśmy granice, i to, że się niecierpliwił, gdy na skraju życia mojego i Merry coś się gotowało.

- Kocham cię, Drew - oznajmiłam z miejsca, gdzie siedziałam z Merry.

- Wiem.

- I przepraszam - dodałam.

- Dobrze. - Pozbierał urodzinowe śmieci z całego pokoju, unikając przy tym mojego wzroku.

- Ciebie też kocham, Merry - powiedziałam.

- Ja też wiem - odparła. - Ale kiedyś będziesz musiała im powiedzieć.

Niekoniecznie

-

pomyślałam,

ale

odpuściłam,

wyobraziwszy sobie, że oj - cieć ma atak serca, że został

zadźgany nożem w więziennej kłótni, bo byłam zbyt zmęczona, by się sprzeczać.

Zostałyśmy z Merry na kanapie, pogrążone w naszej podsyczonej winem miłości - nienawiści, dopóki Drew nas nie rozdzielił. Odprowadził Merry. Usłyszałam klucz obracający się w jej zamku i otwierające się drzwi. Nasłuchiwałam, jak wchodziła do swojego mieszkania, słyszałam nad głową odgłos jej kroków, kiedy chodziła po drewnianej podłodze.

Przeszłość nas uwięziła. Nawet teraz, kiedy miałyśmy czterdzieści jeden i trzydzieści sześć lat, pozostawałyśmy więźniami dawno zakończonej wojny naszych rodziców, niezmiennie w sidłach złych wspomnień, wymieniałyśmy ukradkowe spojrzenia, a sekrety znane i sekrety pogrzebane nagle pojawiały się między nami.

- Lulu, kładziesz się spać? - Drew stanął w drzwiach salonu. Męczące powtórzenia moje i Merry zwarzyły nieco wyraz współczucia na jego twarzy.

- Zaraz - powiedziałam. - Zaraz przyjdę.

## 21. Merry

Objęłam mojego sztywnego szwagra na dobranoc i poszłam do siebie, zapalając światła w drodze do sypialni.

Ściągnęłam z siebie ubranie, włożyłam starą koszulkę do gry w koszykówkę, którą kiedyś zwinęłam ze sterty ciuchów Drew przeznaczonych dla organizacji charytatywnej, i przechodząc koło telewizora, włączyłam go.

Pomimo efektów alkoholu buzującego mi w głowie, zmusiłam się do pójścia do łazienki. Posmarowałam się drogim kremem gwarantującym mi wieczną, dobrze nawilżoną i wolną od zmarszczek egzystencję. Nawet w godzinie śmierci będę ładna.

Nakremowana padłam do niepościelonego łóżka, na stos poduszek.

Na

koniec

wiadomości

telewizyjnych

relacjonowano lokalne przestępstwa. Nadstawiłam uszu, wsłuchując się, czy któryś z moich podopiecznych nie został

aresztowany za nowy gwałt czy morderstwo. Panie Boże, proszę, jeżeli to jeden z moich klientów, to niech to będzie zwykły napad. Jako kurator sądowy, odpowiadałam za setki oprychów i zbiorowych gwałcicieli i za każdym razem, kiedy jeden z nich popełniał kolejną zbrodnię, czułam się odpowiedzialna za cierpienie jakiejś rodziny.

„Dziś wieczorem policja w Dorchester poszukuje napastnika.

Czekałam na nazwisko ofiary i mordercy.

„Julius Trager został zastrzelony, kiedy opuszczał swój dom przy Rutherford Street. Absolwent Roxbury Community College rozpoczął niedawno staż jako asystent weterynarza”.

Nie mogłam sobie przypomnieć żadnego z mych zwolnionych warunkowo podopiecznych, któremu by się przyśniło pracować ze zwierzętami. Taki klient mógłby się okazać bardzo miły, chociaż gdyby brał udział w programie dla weterynarzy, to prawdopodobnie tylko po to, by ustawiać walki psów zagryzających się na śmierć.

Gnębiło mnie jakieś niejasne uczucie zazdrości na widok zadowolonej z siebie dziennikarki czytającej wiadomości, komentującej rosnącą stale liczbę morderstw w Bostonie, pięknej jak obrazek i do tego w ciąży. A ja, w wyrzuconej przez szwagra koszulce, pocierałam swoją bliznę.

Przesuwanie palcami wzdłuż zgrubienia, które tak dobrze znałam, weszło mi w krew, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym się pozbyć tego zwyczaju. Dotykanie jej tylko wtedy, gdy nikogo nie było, to już zwycięstwo.

Poklepałam trzy razy środek klatki piersiowej, z dala od blizny. Co mówiła masażystka, ta, którą przysłała mi moja przyjaciółka Valerie na ostatnie Boże Narodzenie? Że to oczyści moje chi? Uwolni moje chi? Ugotuje moje chi?

Czy to realistyczne, by oczekiwać zmiany chi, skoro nie mogłam nawet zapamiętać jego położenia czy funkcji? Valerie zawsze starała się wyprostować mi życie, począwszy od szukania mężczyzny, po zmianę sposobu odnoszenia się do klientów. Sama była młodszym kuratorem od zwolnień warunkowych - pracowałyśmy w tym samym sądzie, ale zajmowałyśmy się różnymi sprawami. Życie miała równie pokręcone jak ja, pełne barów i szemranych chłopaków, ale ponieważ nie martwiła się na głos, potrafiła zmitologizować je tak, że wyglądało na lepsze.

Może popełniłam błąd, zdobywając pudełko i wciskając siostrze przeszłość do gardła. Ale przecież Ruby i Cassandra dowiedzą się kiedyś, że miały prawdziwego, żywego dziadka gnijącego w więzieniu. Jak możesz nie martwić się o Dzień Sądu? - chciałam krzyknąć do Lulu.

Biedny Drew; wiedziałam, dlaczego kipiał ze złości.

Został wciągnięty w Operację Pudełko. Odrzucenie Lulu go uraziło. Drew żył dla wdzięczności, uznania - wszystkiego, czego nigdy nie otrzymał od matki czy ojca. Niedoceniony czy ignorowany, Drew stał się trochę małostkowy.

Prawdę mówiąc, gardło bolało mnie od niewykrzyczenia tego, co siedziało we mnie najgłębiej. Nie zostawiaj mnie z nim samej. Moja głupkowata nadzieja na to, że kiedyś podzielę ten ciężar z Lulu, nigdy mnie nie opuściła, niezależnie od tego, ile razy wlokłam się do Zakładu Karnego Richmond.

Wizyta u złej ciotki Cilli w ubiegły weekend przyniosła mi ulgę, z tej prostej przyczyny, że było mi przyjemnie, iż ani przez chwilę nie musiałam kłamać na temat swojej przeszłości. Chociaż ciotka nawet się nie zająknęła na temat ojca i nawet szeptem nie wypowiedziała jego imienia w ciągu dwóch godzin, które mi poświęciła.



Zastukałam, a potem czekałam na gorącym zamkniętym ganku, aż ciotka Cilla uchyli drzwi. Była starsza o siedem lat od mojej matki, więc miała sześćdziesiąt pięć lat. Wyglądała jak odbite w krzywym zwierciadle moje wyobrażenie o matce - gdyby komputerowy program do morfingu postarzył jej fotografię. Ciotka nigdy nie była tak ładna, jak mama, ale mimo to przypominała ją wystarczająco - kości policzkowe, zmysłowe wargi - by mnie przyprawić o dreszcz.

Ciotka Cilla dalej mieszkała w Brooklynie, choć teraz w domu, w którym nigdy jej nie odwiedzałam. Czas był łaskawy dla niej i dla wuja Hala, zaprzeczając teoretykom moralności utrzymującym, że błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię. Obszerny dom ciotki Cilli, kiedy mnie do niego niechętnie wpuściła, błyszczał od zabiegów obsesyjnie dbającej o porządek kobiety.

Z zaciśniętymi ustami wprowadziła mnie do salonu.

Ujrzałam fotografie wuja Hala i kuzyna Arnie'ego oprawione w błyszczące srebro, zdjęcia wszystkich rodzinnych uroczystości, na które nikt mnie nie zapraszał - bar micwę kuzyna, ślub pary, której nie znałam. Mój kuzyn zachował

wąty wygląd, a ciotka dalej była wredna.

- Proszę - powiedziała. - Jest zawinięte. Chcesz sprawdzić?

- Po co? - zdziwiłam się, bo zbiła mnie z pantałyku.

Wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że zechcesz się upewnić, czy cię nie oszukałam. Oszukała? Udając, że ceramika to onyks?

- W porządku - odparłam.

- Zapewniam cię: możesz mieć do mnie całkowite zaufanie.

- Nie jesteś ciekawa, co u mnie? Jak Lulu? Jak się mają córki twojej siostry? Dlaczego nikt się ze mną nie kontaktuje?

Pierwszy raz dzwonisz i to dlatego, że czegoś chcesz. -

Skrzyżowała ramiona na piersi. - Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że chciałabym wiedzieć, jak się macie?

- To dlaczego nie... - przerwałam, nie wyobrażając sobie, co mogłabym powiedzieć.

- Nie miałam pojęcia, gdzie jesteście. Zniknęłyście, twoja siostra i ty. Położyła dłoń na pudełku.

- Musiałam pójść na strych, żeby się do niego dogrzebać.

Kto by pomyślał, że jeszcze je mam? Zapakowałabym ci też inne, ale prosiłaś tylko o jedno.

- Chciałabym mieć wszystko, co pozostało po mojej matce. To znaczy wszystko, czego nie używasz - dodałam, widząc, że chwyta się za wycięcie swojej białej bluzki.

- Tych kilka rzeczy po twojej matce, to wszystkie wspomnienia, które mi po niej zostały.

- Nam nie zostało nic, ciociu Cillo. Tylko kilka zdjęć, które miała babcia Zelda.

- Zelda. Tfu. - Ciotka Cilla wydała z siebie odgłos splunięcia. Cofnęłam się, jak gdyby mnie uderzyła.

- To była moja babka.

- Wychowała potwora.

Moja zaogniona nienawiść do ciotki Cilli sypała iskrami.

- Kochała nas, a ty nas porzuciłaś. Kto jest potworem?

Wizyta nie należała do udanych.

Cieżarna

dziennikarka

prowadząca

wiadomości

powiedziała dobranoc. Wyłączyłam telewizor, wdzięczna za jeszcze jeden wieczór bez widoku któregoś z moich zwolnionych warunkowo podopiecznych w roli gwiazdy.

Zamiast kołysanki ugniotłam sobie poduszki i zrobiłam plan nadchodzącego dnia.

Nazajutrz rano miałam spotkanie w nowo założonej grupie Społeczność dla Pokoju. Colin, mój szef o mięśniach, które obrosły w tłuszcz, i ideałach, które zamieniły się w politykę, główny kurator od zwolnień warunkowych, nabrał zwyczaju mianowania mnie łącznikiem z wszelkimi grupami, uważanymi za słabe. Jego wyrażenie „słabe” zawsze wypowiedane było drwiącym tonem. Colin uznawał za takie wszystko to, czemu towarzyszyło słowo „strategia”: strategię dla pokoju, dla mniejszej ilości morderstw, większej ilości miejsc pracy, mniejszej brutalności policji, lepszej opieki dla

dzieci w sądach - wszystkiego, co Colin nazywał grupami „My jesteśmy światem”. W obecności samych białych nazywał je grupami różnorodności, a jego słowa skrywały szyderstwo.

Owinęłam się ciasniej kołdrą i zrobiłam listę klientów na jutrzejsze popołudnie. Jesse Turner - niemalże morderca.

Shaundra Ellis - złodziejka kieszonkowa, Victor Dennehy - diler kokainy i damski bokser, Oliver Peterson - gwałciciel.

Według kolejności: depresyjny, ugodowa, dupek i podlizujące się ścierwo. Śpioszek, Gapcio, Gburek i Plugawiec.

Po pracy, dzięki Drew, miałam kolejną randkę w ciemno.

Próby wydania mnie za mąż stały się jego hobby. Facet był lekarzem pracującym w tym samym miejscu co Lulu, ale grał z Drew w piłkę ręczną i chyba w pokera. Specjalista na „o”.

Ortopeda? Okulista? Ornitolog?

Następnego ranka wróciłam z zebrania społeczności naładowana energią po przebywaniu z ludźmi, którym spodnie nie spadały z tyłków i którzy nie wtykali paczek marlboro w rękawy koszulek.

- Jak zebranie? - zawołał Colin ze swojego pokoju, kiedy przechodziłam obok.

Odwróciłam się i stanęłam w drzwiach.

- Naprawdę cię to obchodzi?

Położył swoje krótkie nóżki na blacie biurka.

- Aaa tam. Społeczność dla Pokoju - prychnął. -

Nazwijmy rzecz po imieniu: Biali Liberałowie z Dorchester, Kochający Dźwięk Własnych Głosów.

Colin roześmiał się - regularnie sam się rozśmieszał. Oczy miał podpuchnięte, jak gdyby nigdy nie spał albo zawsze pil.

- Niespodzianka, Colin, przyszły prawie same kobiety, Afroamerykanki.

Machnął ręką w moją stronę.

- Wielkie mecyje. Te same brednie.

- Brednie kobiet, które nie chcą, żeby ich synowie strzelali albo żeby do nich strzelano. Rozumiem.

- Nie opowiadaj bzdur. Co te świętoszki chcą zrobić poza skarżeniem się nam, jakby to była nasza wina? - Colin postukał ołówkiem w kolano. - Niech lepiej dadzą swoim synalom kopa w dupę.

Usiadłam na krześle naprzeciwko jego biurka.

- Nie męczycie cię bycie sobą?

Colin uśmiechnął się szeroko z pobłażliwością.

- Nawet Bill Cosby zgadza się ze mną.

- Wal się. I Bill Cosby niech się też wali - powiedziałam.

- Uwielbiasz używać go jako usprawiedliwienie dla swojego rasizmu.

- Jestem rasistą, bo uważam, że rodzice powinni kontrolować swoje dzieci?

Podniosłam się z krzesła. Nie chciało mi się odpowiadać na jego zużyte pytanie.

- Kobiety chcą się spotykać raz na miesiąc i potrzebują bezpiecznego miejsca. Powiedziałam im, że mogą przychodzić tutaj. Załatw mi pieniądze na kawę i pączki.

Świat zwolnień warunkowych napędzał się kawą i pączkami. W swoim pokoju wepchnęłam do ust kawałek czekoladowego placka i wybrałam numer.

- Czy Lulu naprawdę była na mnie zła? - zapytałam, usłyszawszy głos Drew.

- Wkurzyła się, ale to nie jest nieuleczalne.

- Co zrobiła z pudełkiem? - Usłyszałam jego miarowe oddechy rodem z Nebraski. - Daj spokój. Przeżyję. Walnęła nim? Wyrzuciła? Schowała pod łóżko?

- Wzięła ze sobą do pracy.

- Wzięła do pracy? - Próbowałam sobie wyobrazić moją siostrę, jak wkłada pudełko do teczki i niesie do samochodu.

Dlaczego? Żeby nosić w nim słuchawki?

- Chyba chciała pozbyć się go z domu, a nie wiedziała, co innego może zrobić. Znasz Lulu, co z oczu, i tak dalej. Muszę kończyć. Mam coś do zrobienia, zanim dziewczynki wrócą do domu.

- Zaczekaj - powiedziałam. - Jeszcze jesteś na nią wściekły?

- To chyba nie twój interes. Chcesz wiedzieć, czy jestem jeszcze wściekły na ciebie?

- A co ja zrobiłam?

- Namówiłaś mnie, żeby jeszcze raz spróbować - odparł.

Wzięłam wczorajszą kawę, która wyglądała na tyle przyzwoicie, by się jej napić, i łyknęłam zimnego gorzkiego płynu.

- Nie przystawiałam ci pistoletu do głowy. To dotyczy twoich dzieci, mam rację?

- Nie, myślę, że to dotyczy was dwóch. Bez przerwy usiłujesz mnie przekonać, że jest inaczej. Daj mi znać jak randka. Bądź miła.

- Co to za lekarz? Bo zapomniałam.

Westchnienie Drew było wystarczająco głośne, by się rozległo na całym Środkowym Zachodzie.

- Okulista. Mówiłem ci.

- Zapomniałam. Podaj mnie do sądu. - Odłożyłam słuchawkę. Pomyślałam, że wezmę z powrotem to cholerne pudełko i postawię na samym środku mojego cholernego stolika do kawy i zmuszę siostrę, by na nie patrzyła za każdym cholernym razem, kiedy wejdzie na te cholerne schody. A potem wykupię dla Drew i Lulu, w prezencie na ich rocznicę, sesję u terapeuty. Ból głowy pojawił się nagle, więc wzięłam dwie tabletki advilu i popiłam fusami z wczorajszej kawy.

- Pani Zach? - Jesse wetknął głowę przez drzwi, stukając jednocześnie ogromny złoty zegarek na swej wychudłej ręce, by mi uprzytomnić, jaki jest punktualny. - Zaskoczona?

Osunął się na krzesło przed moim biurkiem. Ze swoimi stu siedemdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu, chudy i żyłasty, w kwadratowych czarnych okularach i z uśmiechem dziecięcej gwiazdy, Jesse był młodym człowiekiem, którego nie można by było posądzić o zatłuczenie kogoś niemal na śmierć. W tym przypadku ofiara przespała się z dziewczyną Jesse'ego, i Jesse w samym środku wspomaganego wódką szału nie widział innego wyjścia niż starcie konkurenta z powierzchni ziemi.

- Siema, nie poklepiesz mnie po plecach? - Uniósł brwi z miną „ha, ha, przecież mnie kochasz, nie?”.

- Siema. Według ciebie weszłam w strefę kumpli z sąsiedztwa? - spytałam. - Chwała za przyjście na czas.

- Chwała?

Wzięłam jego teczkę i, pochrzając, przejrzałam plik papierów. - Wygląda na to, że opuściłeś cały tydzień spotkań AA.

- Moja mama była chora. Zmarszczyłam brwi nad teczką.

- Twoja mama była chora w zeszłym miesiącu.

- Więc znowu zachorowała.

Wzięłam raport terapeuty, kontrolującego jego agresję.

- Dlaczego nie uczestniczysz w zajęciach? - spytałam. -

Raporty z Niebezpieczni - JużNie (Boże, nienawidziłam tej nazwy) nie wyglądają dobrze.

- Och, oni na niczym się nie znają.

-

Słaba

frekwencja.

Spóźnienia.

Wygląda

na

niezainteresowanego - przeczytałam. - Co się dzieje?

- Mam się interesować, jak jakieś dupki każą nam zachowywać się jak mięczaki? Cholera, pani Zach, jak mam gadać z paką białasów udających, że są naszymi chłopakami?

- To się nazywa psychodrama. Ma ci pomóc i nauczyć, jak kontrolować sytuację.

- Wiem. Myśli pani, że nie wiem? A zresztą mam kontrolę nad sytuacją, o tak, jasne, że mam. - Jesse położył

rękę na biodrze, jakby chciał pokazać, że ma broń.

- Co? Chcesz mnie zastraszyć, Jesse? - Odłożyłam teczkę i położyłam dłoń na biurku. - Poświęciliśmy sobie wiele czasu. Jeżeli chcesz to wszystko przekreślić, powiedz tylko słowo.

Jesse rozparł się na krześle i wyciągnął nogi, robiąc przy tym obrażoną minę, jak Ruby czy Cassandra.

- Nienawidzę ich. Zawsze nam każą opowiadać jakieś durne pierdoły.

- Jakie durne historie?

- O matkach. O ojcach. Niech pani powie. Cholera, pani myśli, że ci ludzie wiedzą, co robią, do cholery?

- Cholera?

- Cholewcia, pani myśli, że oni wiedzą, co robią?

Wziął długopis z mojego biurka i zaczął nim pstrykać.

Wyrwałam mu go.

- Jesse, nakazano ci udział w tym programie. To, co o nim myślisz, nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest tylko, by sędzia widział, że robisz to, co należy. Ważne jest, żebyś pozostał trzeźwy. A najważniejsze, żebyś dostał świadectwo.

Nie widzę, żeby się zanosilo na coś z tych rzeczy.

Jesse poszurał po podłodze rozsznurowanymi adidasami.

- Zawiąż buty. Masz wyglądać przyzwoicie, kiedy tu przychodzisz. Nowa zasada zwolnienia warunkowego -

adidasy zawiązane przez cały czas. Jeżeli zobaczę, jak łazisz gdzieś z niezawiazanymi adidasami, pójdiesz na spotkanie z sędzią Jacksonem.

Pozbyłam się swego zniechęcenia wraz z przyspieszonym oddechem i czekałam na następnego zawodnika.

Pieprzony szczeniak, sprytny, zabawny, zdolny. Prace pisemne, zadania domowe, przesyłane z Niebezpieczni -

JużNie, były błyskotliwą, nieoszlifowaną prozą. Mógłby pójść do college'u, kiedy dostanie świadectwo, a potem jeden Bóg wie co.

Przede wszystkim chciałbym podziękować mojej kuratorce, pani Zach. Bez jej pomocy zgniłbym w więzieniu.

Ten Oskar za najlepszy scenariusz należy tak samo do niej, jak do mnie.

Wreszcie w domu. Szykując się na randkę, obrysowałam grubo oczy niebieskim eyelinerem. Może to nie był zbyt subtelny wybór, ale poczułam gorąco, patrząc na kobaltową obwódkę moich ciemnych oczu. Uwielbiałam patrzeć w lustro. Mogłabym się ucałować, kiedy wyglądałam tak dobrze.

Kobietom nie wolno tego robić. Powinnyśmy być całe w „och, jestem za gruba” i „nie, naprawdę, zobacz, moje oczy są za blisko siebie”, ale mój wygląd stanowił jedyne pewne źródło dobrego samopoczucia. Martwiłam się, że się nim posługuję długo po terminie przydatności do spożycia, zamartwiając się cerą, profilem, włosami, szarpiąc je, jak dzieciak swego na wpół podartego misia. Skończę jako jedna z tych starych wypacykowanych

bab, łązających z włosami czarnymi jak lukrecja i truskawkowym różem wżartym w pomarszczone policzki.

Usłyszałam dzwonek. Okulista. Podniosłam kieliszek balansujący na krawędzi umywalki i dopiłam wino. Włożyłam przez głowę jedwabny top, dokładnie sprawdziłam wycięcie, a potem wciągnęłam dzinsy. Stałam bokiem, żeby zobaczyć, czy nadal ujdzie mi chodzenie bez stanika.

Pieprzyć. Niech się okulista napatrzy.

Po drodze z domu do restauracji, którą wybrał, dowiedziałam się, że Michael Epstein, lekarz od oczu, ma amerykańską flagę przyklejoną na tylnym zderzaku samochodu, ubranie za jakieś dziesięć tysięcy dolarów i prawdopodobnie wierzy, że wszelka inwazja, gdziekolwiek, w imię bezpieczeństwa Ameryki i zapewnienia paliwa dla jego pożerającego benzynę mercedesa, byłaby usprawiedliwiona.

Może przemawiało to do skrywanych przez Drew wartości czerwonych konserwatywnych stanów.

- Proszę bardzo - powiedział, otwierając mi drzwi.

Posłałam mu uśmiech zza zaciśniętych warg, a on ujął mnie pod ramię i wprowadził do restauracji. Steak house.

Zdaje się, że Michael był człowiekiem Capital Grille - jednej z sieci eleganckich restauracji - i to takiej w Chestnut Hill, nawet nie na Newbury Street. Nie mogłeś przecież zjeść steku na przedmieściach. Gdybym kiedykolwiek miała napisać Obyczaje

randkowe

mężczyzn

amerykańskich,

przestrzegłabym kobiety, że faceci, którzy zabierają cię na pierwszą randkę do wykwintnej restauracji serwującej steki, mają małe penisy bądź głośują na Republikanów albo i jedno, i drugie.

Niemniej jednak widok Michaela po drugiej stronie stolika sprawiał mi przyjemność. Czasami miałam chętkę na krępe, nabite ciało, takie jak jego, ale ponieważ w rzeczywistości stanowiło męską wersję mojego, robiłam się lekko podejrzliwa, kiedy mnie podniecało. Wolałam myśleć, że podobało mi się, bo jest przeciwieństwem typu takiego jak Quinn. Przeciwieństwo to dobra rzecz; pozwoli mi o nim nie myśleć. Jak Bóg da, przestanę pozwalać mu na rzadkie wizyty, które zaczynały się euforią, a kończyły depresją.

Nasze ostatnie spotkanie, a raczej podwójny numer, miało miejsce kilka



miesiący temu.

- A więc - powiedział Michael, kiedy kelner przyjął nasze zamówienie - opowiedz mi o Merry Zachariah.

- Szybki widok z lotu ptaka? Lubię łązić po plaży, tańczyć z wilkami i śpiewać sopranem w kościele.

- To zabawne, skoro twoja siostra jest Żydówką. -

Spojrzał mi prosto w oczy. Zauważyłam, że jego są łagodnie brązowe. - Już mnie przekreśliłaś?

- Przepraszam. - Uniosłam ramiona w geście, który w moim mniemaniu miał być uroczy. Nie chciałam, żeby poleciał zaraz i powiedział Drew i Lu, że jestem zołą. Już słyszałam moją siostrę. „Nawet się nie starasz”. - Moja praca sprawia, że czuję się zbyt pewna siebie.

- Czy zdarzyło się kiedyś, żebyś nie miała racji?

- Zapytaj, czy kiedykolwiek miałam rację. - Przerwał nam kelner, podając drinki. Martini dla doktora, wino dla mnie. -

Dziękuję.

Uniosłam kieliszek i zakręciłam delikatną nóżką, obserwując, jak się przelewa płyn koloru burgunda. Potem zauważyłam swoje obgryzione do nagiej skóry paznokcie kontrastujące z połyskującym kryształem i zaraz szybko je schowałam.

- To wino ma dobre nogi. - Michael skinął w stronę mojego kieliszka, tłumiąc śmiech, ale nie złapałam żarciku.

- Nogi wina są śmieszne?

Pociągnął łyk martini i westchnął z uznaniem.

- Ach. Takie wytrawne, że dałoby się poskładać w kostkę.

Wiedziałałam, że uważał to wejście za błyskotliwe i używał już go wcześniej. Wejście randkowe. Ja miałam swoje.

- Nogi - powiedział. - Mityczny wymyślony wskaźnik jakości wina. Możesz się zorientować, że ktoś jest niedoszłym znawcą, kiedy próbuje w ten sposób oceniać wino, ale to tylko fizyka, napięcie powierzchniowe wina i zawartość alkoholu.

To się nazywa efekt Marangoniego. Fakt, że alkohol paruje szybciej niż woda, ale to nie ma związku z jakością wina, ponieważ...

Mam to w dupie.

- Gadam i gadam, prawda? Uniosłam brwi.

Sięgnął przez stół i położył rękę na moim nadgarstku.

- Drew nie powiedział mi, jaka jesteś piękna. Nie wyglądacie z Lulu na siostry. Co nie oznacza, że twoja siostra nie jest atrakcyjna, po prostu, no... jesteś taka... jesteś pewna, że miałyście tych samych rodziców? Och, przepraszam.

Na jego twarzy ukazało się przerażenie, dowodzące, że Drew opowiedział mi smutną historię rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Biedne małe sierotki. Na mężczyzn działała już sama myśl, że mogliby nas wyratować.

- Moja siostra jest piękna.

- Och, tak, jest, jest.

Ty kłamco, wcale tak nie myślisz.

To znaczy, że ty jesteś taka... umm... no, fantastyczna.

Lulu jest trochę... ładna jak panie na zebraniu szkolnym.

Potrząsnęłam głową. Dlaczego mężczyźni uważali, że zrobią na mnie wrażenie, jeżeli uczynią mnie zwyciężczynią konkursu, który właśnie ogłosili?

- Opowiedz mi o sobie - powiedział.

Obudziłam się z zapachem Lekarza od Oczu na skórze.

Przesłodzone piżmo. Przekręciłam się na prawo, żeby zobaczyć budzik. Trzecia nad runem. Pochrapywał lekko, leżąc na plecach, z ramionami otwartymi na świat.

Najwyraźniej nie musiał zwiijać się do pozycji embrionalnej, żeby zasnąć.

Dotknęłam go lekko palcem. Zero reakcji. Nacisnęłam i pokręciłam.

- Mmmm? - wymamrotał.

- Michael?

- Mmmm?

- Czas iść.

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie, mrugając, może próbując się zorientować, w czym śpi łóżku. Ach, tak, łatwej szwagierki Drew Wintersona. Tej, którą pewnie chce odstąpić, żeby się wyprowadziła. Dobrze.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Coś w tym rodzaju.

- Żartujesz?

No jasne, obudziłam cię w środku nocy, żeby zażartować, że masz wyjść.

- Nie mogę spać z kimś, kogo nie znam.

- Ale seks ci nie przeszkadza? - Przewrócił się na bok i oparł głowę na lewej ręce. Przebiegł palcem po moim nagim ramieniu i podniósł ramiączko koszulki, które się zsunęło. -

Podobasz mi się.

- Nawet mnie nie znasz. - Usiadłam, utykając jednocześnie prześcieradło pod pachami.

Wyciągnął dłoń i dotknął górnej części mojej szramy, wystającej spod koronki. Odsunęłam się.

- Skąd to masz?

Ile jest sposobów zarobienia blizny okalającej połowę twojej piersi? Blizny wyglądającej tak, jakby ktoś chciał ci ją uciąć.

- Bójka z nożem, w dzieciństwie.

- Nie żartuj! Biedne dziecko.

- W sierocińcu, w którym mieszkaliśmy, życie było dość brutalne. „Posłuchaj - powiedziała Lulu, kiedy wymyśliła dla mnie tę historię - to się mogło zdarzyć. Pomyśl o tym, co się nam przytrafiło w Duffy - Parkman”. Tak, z łatwością mogłam wdać się w bójkę z nożem w Duffy.

- Dlaczego trafiłyście do sierocińca?

Ile powiedział mu Drew? Mężczyźni nie wymieniali się sekretami pomiędzy wolejami piłki ręcznej. Szczególnie małomówny Drew. Lulu? Prawdopodobnie też nie. Tylko pracowali razem. Lekarze nie dzielili się historiami swojego życia pomiędzy usuwaniem nadżerek a badaniem degeneracji plamki.

- Po śmierci babci nie został nikt, kto mógłby się nami zająć. - Skondensowałam to do jednego zimnego, suchego zdania.

- Och, to musiało być straszne. - Przesunął dłonią po moim biodrze, zafascynowany tragedią. Gdyby Lulu kiedykolwiek pozwoliła mi zdradzić prawdziwą historię, mężczyźni ustawiliby się w kolejce na sąsiednich ulicach.

- Nie było tak źle. Mieszkaliśmy w Duffy tylko przez kilka lat, zanim

znaleziono nam rodziców zastępczych. Nasz przybrany ojciec był lekarzem.

- Och, to miałyście szczęście.

- Racja. Miałyśmy szczęście.

Szarpnął mnie za biodro, próbując przyciągnąć do siebie.

- Chodź. Pozwól mi cię znowu uszczęśliwić.

Pomimo wątpliwości, posłuchałam jego polecenia. Jeszcze raz, a potem poślę go do domu. Michael był jednym z tych wspaniałych republikańskich kochanków, którzy starali się ukołysać cię, jakby byli kowbojami.

Nie ma sprawy - powiedziałam sobie. - Niech mnie uszczęśliwia.

## 22. Merry

Wrzesień 2002

Obudziłam się, marząc o filiżance mocnej porannej kawy, ale brakowało mi energii, żeby ją sobie zrobić. Poprzedniego wieczoru wyszliśmy ostatnie z Valerie z Parish Lounge, ale chwaliłam samą siebie za to, że przeplatałam czystą colę z tą zaprawioną Jimem Beamem. Dodatkowe punkty za nieprzyrowadzenie do domu zbyt przystojnego, za młodego i bardzo zainteresowanego mężczyzny.

Poszłam w kapciach za róg do mieszkania Lulu, brnąc po drodze w klonowych liściach, by zażyć smaku jesieni i nadchodzących zmian. Były mi potrzebne.

W lecie, po pięciu czy sześciu randkach z Michaellem Epsteinem miałam nadzieję, że Lekarz od Oczu stanie się moją przepustką do odmienionego życia. Przed Świętem Pracy odepchnęłam go prawie tak szybko, jak zaprosiłam do swego łóżka. Okazało się, że Lekarz od Oczu nie jest typem mężczyzny, przy którym mogłabym odstawić swoją rozdwojoną osobowość, jakiej wymagała moja historyjka o sierotach. Przekonałam się, że jest zbyt poważny. Nie był

kimś, kogo chciałam okłamywać. I nie miał żadnej z tych magicznych właściwości, o których Lulu mówiła, że bym je rozpoznała - czegoś, co by mi odpowiedziało w jednej chwili, że będę bezpieczna, dzieląc z nim tajemnice.

Czasami wydawało mi się, że Drew może być jedynym żyjącym mężczyzną zasługującym na ten honor, ale należał

już do Lulu.

- Mamusia jeszcze śpi - oznajmiła Ruby, kiedy weszłam do kuchni.

- Tatuś robił już kawę? - Pochyliłam się, by ją pocałować.

- Brzydko pachniesz - powiedziała Ruby. - Nie wzięłaś prysznic? - Jeszcze nie. A może nalejesz mi filiżankę kawy, panno Źle Wychowana?

- Wiesz, że mi nie wolno dotykać niczego gorącego -

odparła Ruby. - Sprawdzasz mnie, prawda?

- Prawda. - Lulu i Drew ustalali zasady, a ja je sprawdzałam. Wyjęłam kubek z szafki.

Wszedł Drew, wycierając ręcznikiem włosy.

- Zabrakło kawy u ciebie w domu?

- Zapomniałam zrobić zakupy.

Podał mi zaparowany srebrny dzbanuszek z lodówki.

Dolałam sobie tłustej śmietanki, którą kochał Drew z Nebraski, patrząc jak gęste wiry rozjaśniają czarny, dymiący płyn, inaczej niż moje chude mleko.

- Nowa mieszanka - powiedział Drew. - Smakuje ci?

Drew miał obsesję kawy. Pociągnęłam mały łyk, potem następny.

- Świetna. Doskonała. - Jeżeli kiedyś wyjdę za mąż, mój małżonek będzie pewnie miał jakąś straszliwą obsesję, która przyniesie nam obojgu wstyd - porno albo frytki z serem.

Drew potrząsnął głową.

- Jesteś okropnym krytykiem. Wszystko ci się podoba.

- To dlaczego mnie pytasz?

- No, nie wszystko. Michael ciągle o ciebie pyta.

- Drew, daj spokój. Podał mi spodeczek.

- Merry, to dobry człowiek. Klapnęłam przy stole.

- Ruby, przynieś mi miseczkę, dobrze? Ruby spojrzała znad rozłożonej książki.

- Czytam.

- A ja potrzebuję pomocy mojej siostrzenicy, bo jestem taka zmęczona, że muszę skończyć kawę, zanim znajdę siły, żeby nasypać sobie płatków. Bądź grzeczną dziewczynką i podaj mi miseczkę.

Ruby wydała z siebie jakiś lekceważący dźwięk, aby zademonstrować, co o mnie myśli, ale wstała.

- Wiesz co, ciociu Merry, w sobotę śpię u mojej koleżanki Jessiki. Jej ojciec zabierze nas na lekcję pływania. Nie będzie mnie tu, żeby ci usługiwać.

- Przynęła sobie do szafek mały biały stołeczek i sięgnęła po miseczkę. Jak na swój wiek była mała, tak jak ja kiedyś.

- Moje gratulacje. - Ziewnęłam i odchyliłam do tyłu głowę.

- Jesteś strasznie zmęczona - powiedział Drew.

- Czytałam do pierwszej w nocy.

- Musiała być bardzo ciekawa. Ta książka. - Widocznie słyszała, jak

wczoraj wróciłam.

- Dziękuję, kochanie. - Wzięłam od Ruby miseczkę. -

Tak, ciekawa - odpowiedziałam mu. Skończyłam kawę i wyciągnęłam drżącą rękę z kubkiem po więcej.

Drew znów go napełnił.

- Martwi mnie, że często czytasz do późna.

Nabrałam na łyżkę trochę płatków i mleka, starając się nie ujawniać mojego obrzydzenia. Mój żołądek znajdował się w stanie delikatnej równowagi pomiędzy zwymiotowaniem a kontrolowanymi mdłościami. Jedzenie często nie dopuszczało do najgorszego - modliłam się, żeby tak właśnie było teraz.

- Dobry - weszła Lulu, ziewając i niosąc „The Boston Globe”, jeszcze zrolowany i ściągnięty czerwoną gumką. - Co za niespodzianka, nie mogę dobudzić Cassandry. - Wzięła od Drew kubek, który jej podał. - Ruby, ubieraj się do szkoły.

Ruby uścisnęła Lulu w talii.

- Cassandra nawet cię jeszcze nie objęła, prawda?

- Chodź, ubieramy się. - Drew wziął Ruby na barana i rzucił mi znaczące spojrzenie, zanim wyszedł. Co chciał mi przekazać? Ze jestem lafiryndą? Przepraszam, ale nie możemy wszystkie być takie czyste jak Lulu.

Lulu potrząsnęła głową.

- Jeżeli okaże się, że Cassandra potrzebuje lekarstwa na trądzik, Ruby będzie się skarżyć: „To niesprawiedliwe, dlaczego ja nie mam pryszczycy?”. A potem Cassandra powie: „Ja miałam je pierwsza. Ona nie powinna ich dostać”.

Poczułam przytłaczający napływ miłości do mojej siostry, siedzącej z nogami na krześle, niedbale uroczej w starym białym podkoszulku i bokserkach. Włosy spadały jej na czoło w sposób, za którym tęskniłam, kiedy miała je związane. Bez szminki Lulu wyglądała młodziej niż zwykle, a zawsze wyglądała młodo. Skarżyła się, że bez makijażu wygląda anemicznie, ale ja uważałam, że wygląda zdrowo i ujmująco.

- My nigdy tego nie robiłyśmy, prawda? - spytałam.

- Czego nie robiłyśmy?

- Nie skarżyłyśmy się stale, co która dostała. - Zjadłam jeszcze jedną łyżkę płatków.

- A komu miałyśmy się skarżyć? O co miałybyśmy walczyć? O nasze trzy książki?

Usłyszałam w głosie Lulu niechęć do kontynuowania rozmowy na ten temat, ale kofeina i jedzenie rozwiały dudnienie w głowie i nudności, a sam brak bólu spowodował

nienaturalne poczucie dobrostanu. Zapraǳęłam wykorzystać ten sentymentalny moment i dać upust siostrzanej serdeczności.

- To prawda, ale i tak nie walczyłyśmy - upierałam się przy swoim. - Nie walczyłyśmy ze sobą o nic. Zawsze się sobą nawzajem opiekowałyśmy.

Lulu zdjęła nogi z krzesła.

- Jestem bardzo zadowolona, kiedy Ruby i Cassandra pokazują, że mają charakter. Uwielbiam, kiedy łobuzują. W

ciągu całego naszego dzieciństwa nawet pięć minut nie byłyśmy rozpuszczone.

- A może kiedyś tak, zanim to wszystko się stało. Czy to niemożliwe? Lulu zaniósła miseczkę Ruby do zlewozmywaka.

-

Czy

mogłybyśmy

zaprześcić

śniadaniowych

wspomnień? - Stała tyłem do mnie.

Oparłam się łokciami o stół i objęłam twarz dłońmi.

- Nie uważasz, że mogłyśmy mieć dobre momenty?

Przedtem? Tata mówi, że miałyśmy trochę porządných rzeczy.

Uważasz, że to wymyślił?

Lulu odwróciła się gwałtownie.

- Przestań, dobrze? Nie było żadnych dobrych momentów. Wszystko, co dotyczy naszego dzieciństwa, może przyprawić o depresję. Każda pojedyncza cholerna sprawa.

- Ja też? - Poczulałam napływające łzy i mocno uszczypnęłam się w ramię.

- Tak. Ty też, kiedy jesteś taka.



Zanim dotarłam do pracy, zobaczyłam naszą rozmowę we właściwej perspektywie i schowałam głęboko swoje zranione uczucia. Lulu nienawidziła budzenia się. Ranek był absolutnie najgorszym momentem, żeby próbować z nią porozmawiać.

Zresztą moja siostra umiała odczytywać oznaki kuca i z tą świadomością robiła się wredna. Lulu pewnie wiedziała dokładnie, ile wypłam, jak blisko byłam od przespania się z nieodpowiednim facetem, a nawet ile łyżek peptobismolu połknęłam od śniadania.

Rzuciłam torbę na biurko, wdzięczna za to, że po drodze udało mi się uniknąć Colina. On także zdawał się wyczuwać, kiedy mam się kiepsko, by wtedy czepiać się i mnie prześladować.

Odsłuchując pozostawione wiadomości, trafiałam na zwykły chłam - jeden jęczący klient za drugim. Opowiadali mi, dlaczego się nie pokazali. Umarła babcia. Wujek nie żyje.

Kuzyn w śpiączce. Siostrę przejechał samochód. Wujek zamordował brata. W ciągu tych wszystkich lat moi klienci uśmiercili połowę mieszkańców Bostonu, by uniknąć naszych spotkań, do których zobowiązywało ich zwolnienie warunkowe. Z kolorowym markerem w rękę przeglądałam swój plan zajęć i słuchałam.

- W porządku?

Podniosłam wzrok. W drzwiach stała Valerie z zaczerwienionymi oczami.

- Powiedz mi, czy wczoraj jakoś specjalnie się zalałyśmy, czy jesteśmy już za stare, żeby pić? - zapytała.

Valerie nie zadała sobie trudu, żeby rozprostować tego ranka włosy, tylko spięła pokręcone pasma w nieporządny węzeł. Zazdrościłam jej, że potrafi być raz piękna, a raz pospolita. Kiedy budziła się zmęczona, guzik ją to obchodziło.

Malowała się i spryskiwała tylko wtedy, gdy czuła się ambitnie.

„Masz ze mną problem? To twój problem” - takie było motto Valerie.

Jakie było moje motto? Nie było nim *In vino Veritas*, ponieważ piłyśmy z Valerie przynajmniej dwa razy w tygodniu, a ciągle jeszcze byłam daleka od prawdy, kiedy wyznałam jej fałszywie, że mam wuja w nowojorskim więzieniu. Moim mottem stało się: „Wykręcaj się dla spokoju”.

Uniosłam palec, nakazując Valerie, by zaczekała chwilę, i odsunęłam się, by wysłuchać ostatniej wiadomości w telefonie.

Mówi Michael Epstein. Znowu. Czy zechcesz nam dać jeszcze jedną

szansę? Zakładając, że tak, chciałbym cię zaprosić, żebyś dołączyła do mnie w Nowym Jorku, gdzie mam wziąć udział w konferencji. Zatrzymamy się w Hotelu Waldorf. Co o tym myślisz? Jesteś gotowa zobaczyć, jak żyje bogatsza połowa świata? Zadzwoń do mnie. Kupię ci elegancki nowojorski zestaw. Żartowałem. No, może niezupełnie. Chciałbym być tym, kto cię będzie rozpieszczał.

Jeszcze raz - zadzwoń.

Odegrałam wiadomość raz jeszcze dla Valerie, przez głośnik.

- Powinnam się obrazić? - spytałam. - Myślisz, że to Drew go napuścił?

- Może. Jak cię zobaczył dziś rano, to na pewno zaalarmował Lekarza od Oczu: „Zabierz ze sobą moją szwagierkę, a ja zapłacę!”. Ale i tak powinnaś pojechać.

Skreśliłam markerem ostatniego odwołanego klienta.

- Dlaczego?

- Nigdy nie dałaś mu uczciwej szansy. Ten obślizgły szczeniak, którego wczoraj o mało nie zabrałaś do domu, nie zaprosiłby cię do Waldorfa. - Valerie sięgnęła po mój kubek kawy i siorbnęła głośno.

- Obślizgły? Był fantastyczny. - Odebrałam Valerie kubek. - No zobacz, cały wysmarowałaś szminką.

- To szminka, a nie opryszczka w płynie. Fantastyczna twarz, obślizgła dusza. A zresztą, co ci da ten fantastyczny.

Przerośnięty student pętający się w tanim barze.

- Dwie podstarzałe kobitki pętające się w tanim barze.

Czyli jakie jesteśmy?

- Straszliwie zdesperowane. Doktor był dobry w łóżku, tak? - Valerie zamachnęła się nogami i położyła zdarte mokasyny na moim biurku.

- Kuba Rozpruwacz też pewnie był dobry w łóżku -

odparłam. - Najgorsi faceci zawsze są dobrzy w łóżku.

- Wielu gówniarzy to gówniani kochankowie. Uwierz mi, wiem to lepiej od ciebie.

- Tak uważasz? - Poprzewracałam papiery na biurku i przesunęłam te pilniejsze bliżej telefonu. - Chcesz porównać, kto pieprzył więcej gówniarzy?

W głowie mi waliło. Oparłam czoło o chłodny metal biurka.

- Nie. Nie chcę takiego wpisu do akt, że to jedyny konkurs, który wygrałam.

Trzydzieści minut później, kiedy uszczypliwa uczciwość Valerie jeszcze odbijała się echem, zostawiłam Michaelowi wiadomość, że przyjmuję jego propozycję. Potem wzięłam tyle anvilu, bym mogła stawić czoło Victorowi Dennehy.

Wkroczył tak, jak gdyby oczekiwał, że leżę, rozchyłam nogi i jęczę. Spodnie zwisały mu tak nisko, że mignął mi kawałek jego bladego białego tyłka.

- Hej, Mizzz Zachariah. Na czas, co?

Jeszcze jeden, dla którego przyjście na czas było szczytem sukcesu. Victor posłał mi uśmiech pełen samozadowolenia, zwalił się na krzesło naprzeciwko mojego biurka i rozrzucił

nogi.

- Victor, usiądź prosto.

- Jesteś moją kuratorką czy nauczycielką manier?

- W twoim przypadku i jednym, i drugim. Pójdiesz na rozmowę o pracę, tak usiądziesz i nikt cię nie przyjmie.

- I tak nikt nie przyjmie do pracy facia z wyrokiem.

- Jeżeli będzie się tak zachowywał, jak ty, to z pewnością nie.

Victor rzucił mi wściekłe spojrzenie, ale usiadł prosto i ścisnął udami swoje cenne klejnoty. Otworzyłam jego grubą teczkę i przejrzałam raporty.

- Wygląda na to, że dalej pyskujesz na terapii dla maltretujących. W dodatku, jesteś im winien pieniądze.

- Tylko o to im chodzi. Kasa, kasa, kasa. To ich religia, czy co? - Wziął z biurka nóż do listów i postukał nim w jego krawędź. - Powinni to robić za darmo.

Przechyliłam się i odebrałam mu nóż. Moi klienci zachowywali się jak sześciolatki, tak samo ściągali rzeczy z biurka.

- A ty pracowałbyś ze sobą za darmo?

Te same pytania, te same skargi. Z każdym tygodniem czułam się coraz bardziej zatruta. Kiedy Jesse, mój ostatni klient tego ranka, przyszedł do biura, dałam mu wycisk tylko dlatego, że byłam głodna i zmęczona.

- Wszystko w porządku, pani Zachariah? - zapytał Jesse, wchodząc. - Nie

wygląda pani za dobrze.

Parsknęłam śmiechem.

- Wielkie dzięki.

- Naprawdę.

Poczułam łyzy. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam, kiedy jedno miłe słowo sprawiało, że moje ciało reagowało, jakbym dostała milion dolarów.

- W porządku. - Usiadłam prosto. - Mam alergię.

- Na nas? - Jesse zatoczył szeroki łuk ramieniem, aby otoczyć wszystkich zagubionych mężczyzn błakających się po korytarzach sądowych.

- Na pyłki.

- A tam - obruszył się. - Pyłki to alergia letnia, na jesieni jest krostawiec.

- Dobrze - zgodziłam się, biorąc do ręki teczkę. -

Krostawiec.

- Nie za dobry humor, co? - Przechylił głowę. -

Rozśmieszę panią. - Jak?

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął złożony papier.

- Niech pani spojrzy. - Podał mi go. Otworzyłam i przeczytałam.

- Zdałeś! Dostałeś świadectwo! Skończyłeś szkołę!

Uśmiechnął się szeroko.

- Taak. Miała pani rację. To nie było takie trudne. Nie wiedziałem, że tyle umiem.

Wyprostował ramiona. Odzyskał pewność siebie, która go opuściła tylko na chwilę. - No i?

- No i? - powtórzył, przedrzeźniając mnie. - Taak.

Zapisałem się na kilka przedmiotów. I nie do technikum w Roxbury. Muszę się trzymać z daleka od tego, jak mu tam.

Nie podobało mi się, że Jesse nazywa człowieka, którego o mało nie zamordował, „jak mu tam”, ale nie będę się czepiać.

Michael był podekscytowany tym, że mnie porwie. Nie wiedział, że jeździłam do Nowego Jorku chyba z milion razy, od kiedy opuściłyśmy dom Cohenów, na comiesięczne odwiedziny do ojca. Latanie do Nowego Jorku okazało się bardziej kłopotliwe niż wypożyczanie samochodu, co zwykle

robiłam. Latanie oznaczało teraz, że jesteś winien, dopóki nie udowodnisz, że nie do końca tak jest. Agenci bezpieczeństwa na Logan Airport byli ostrożni, a nawet podejrzliwi. Czy moi klienci mierzyli się z tym codziennie? Jeżeli Michaela i mnie traktowano jak potencjalnych terrorystów, to moi groźnie wyglądający podopieczni musieli pewnie czołgać się do samolotów na brzuchach, z rękami na plecach.

- W dzisiejszych czasach bezpieczeństwo jest ważniejsze od uprzejmości - oznajmił zadowolony z siebie Michael, kiedy protestowałam.

Nasza taksówka zatrzymała się przed Hotelem Waldorf Astoria.

Czekałam,

aż

Michael

zapłaci

kierowcy.

Zauważyłam, że dal przyzwoity napiwek. Przynajmniej nie musiałam mieć mu za złe skąpstwa jako dodatek do coraz bardziej republikańskich poglądów. Portier w granatowym ubraniu otworzył drzwi taksówki i podał mi dłoń w rękawiczce, jakbym była jednym z mniej ważnych członków rodziny królewskiej.

Powstrzymałam się od ochów i achów, kiedy weszliśmy do obszernego holu. Zamurowało mnie od marmurów, mosiężnych detali; wszystko cholernie błyszczało, szczególnie w zestawieniu z butami pożyczonymi od Valerie i ciuchami z wyprzedazy, więc tylko prychnęłam.

- Dałoby się wykarmić parę sierotek kasą, która na to poszła, prawda?

Michael otoczył mnie ramieniem.

- Jeżeli lepiej się z tym poczujesz, możemy zjeść na Bowery. I przyprowadzić paru łachmaniarzy, żeby się przespali w naszym pokoju. Uśmiechnęłam się.

- Jeśli wejdiesz między wrony..

- Jestem wroną, czy wrona jest hotelem? - Poprowadził mnie w kierunku recepcji.

Michael zdawał się bystrzejszy niż początkowo sądziłam, co sprawiało, że czułam się niezręcznie. Zanim wymyśliłam jakąś

dowcipną

odzywkę,  
znaleźliśmy  
się  
przed  
recepjonistką.

Jej  
makijaż  
był  
znacznie  
bardziej

wypracowany niż mój na najbardziej wymyślną okazję.

- Witamy, doktorze Epstein. - Skinęła głową. Znow Hotel Waldorf potraktował nas po królewsku. - Pokój 445 jest gotowy.

Żyrandole pobłyskiwały odbitym światłem. Ściany foyer wyłożone były jedwabną morą.

Na rzeźbionych gipsowych sufitach widoczne były anioły i cherubinki.

A potem zobaczyłam pokój. Ach, ten pokój! Łoże większe od mojego salonu. Więcej poduszek, miększych niż te, które kiedykolwiek miałam - poduszek dla głowy księżniczki. Szafa - inkrustowana czym, złotem? - nie szczędziła nam swojego ogromnego wnętrza, czekając na każdą ilość ubrań, które mogłabym w niej zmieścić.

Kiedy hotelowy boy wyszedł, z napiwkami w garści, Michael objął mnie jak w scenie ze starego filmu. Czekałam tylko, aż reżyser krzyknie: „cięcie!”.

- Najpierw drinki? Zjemy coś? Zakupy? - spytał, mrużąc mi do ucha i wtulając twarz w szyję.

- Tak, tak i tak, ale najpierw się napijemy. Zdecydowanie drinki. - Nic mnie nie obchodziło, że to popołudnie. Pomimo przepychu otoczenia znajdowałam się w mieście więzienia.

Zamazanie konturów stało się pierwszą pozycją na mojej liście.

Kiedy wróciliśmy z baru, rzeczywistość zdołała już przyjemnie się zamglić. Weszłam pod prysznic, zakochana w kremowych kafelkach, armaturze z matowego srebra i czekającym na mnie grubym frotowym szlafroku. Zakochana w wymyślnych, jak powiedziałyby babcia Zelda,

mydełkach i szamponikach. W łazience takiej jak ta można by zmyć z siebie całe swoje życie.

Michael wszedł za mną, kiedy wystawiłam twarz pod parujący deszcz.

- Mogę?

Odchyliłam się w tył, czując jak owłosienie jego torsu łaskocze mnie w plecy.

- Możesz.

- Umyć ci włosy?

- Proszę. I dziękuję.

Zamknęłam oczy i poczułam, że wciera szampon. Owiał nas słodki zapach migdałów. Palce Michaela wbiły się mocno.

- Niszczę ci włosy? - spytał. - Za mocno?

- Przeżyją. Może być mocno.

Duchy odezwały się, kiedy następnego popołudnia wsiadłam na prom płynący na Staten Island. Całe lata nie płynęłam statkiem, ale bez samochodu promy i taksówki były jedynym rozwiązaniem. Michael zarezerwował ranek na sprawy związane z konferencją. Powiedziałam mu, że pójdę na zakupy, by znaleźć prezenty dla dziewczynek Lulu.

Przypomniało mi to, jak okłamywałam koleżanki szkolne w sprawie sobót, kiedy doktor Cohen zabierał mnie na odwiedziny do taty.

Gdy zobaczyłam Statuę Wolności, ogarnęła mnie ostra tęsknota za babcią. Tyle razy dotykałam mojej piersi, patrząc na dziurę, gdzie kiedyś stały wieże World Trade Center, że zaczęłam się bać, iż współpasażerowie pomyślą, że dostałam zawału serca. Coś znika, a człowiek się zastanawia, czy to w ogóle istniało.

Kiedy taksówka wyrzuciła mnie naprzeciw uzbrojonego w drut kolczasty płotu Richmond, natychmiast poczułam się wyczerpana. Strażnik McNulty przeszedł na emeryturę i okazało się, że brakuje mi go dużo bardziej, niż powinno córce więźnia brakować strażnika. Susannah i Coriander dawno przepadły, a gruba Anette nie odwiedzała już Pete'a.

Ojciec mówił, że Anette straciła pięćdziesiąt kilo.

„Pięćdziesiąt kilo, wyobrażasz sobie? To tak, jak cała ty!”.

Anette schudła i rozwiodła się z Pete'em. A teraz Pete miał nową żonę znaną w Internecie, też tłąstą.

Jak zwykle, kwaśny odór zbyt wielu niespokojnych ciał

wypełniał salę odwiedzin. Ojciec siedział przy naszym stole, starym drewnianym stole, przy każdej wizycie coraz bardziej zniszczonym, z nacięciami oznaczającymi upływ czasu. Jego włosy stały się siwe jak sól i pieprz, ale zachował więzienne muskuły.

Wstał. Uśmiechał się coraz szerzej, kiedy się zbliżałam.

- Popatrz, popatrz, Cukiereczku! Milion dolarów. Nie, zaczekaj. Wyglądasz fantastycznie. Miliard!

Za każdym razem mówił coś takiego, ale i tak się uśmiechałam, żądna tych słów.

- A więc, jak leci?

- Dobrze. Dobrze. Nie zgadniesz. Przyjechałam do Nowego Jorku na randkę. - Uniosłam brwi i opuściłam je, jak Groucho Marx. - Lekarz, nie myśl sobie.

- Twoja siostra przyjechała? - Ojciec wyprostował się w ławce. - Gdzie ona jest?

Słodki panie Jezu, chyba poderżnę sobie gardło.

- Nie, nie. Przykro mi, tato. Nie chciałam cię zdenerwować. Miałam na myśli prawdziwą randkę. On jest okulistą. Lekarzem od oczu. Hej, to ci się podoba, prawda?

Uderzył się dłonią w czoło.

- Co się ze mną dzieje? Jasne, że gdyby tu była, to weszłaby z tobą.

- Przykro mi, tato. - Patrzyłam, jak się otrząsa z rozczarowania. - W każdym razie, lekarz od oczu. Nieźle, co?

- Długo jesteście razem?

- Kilka miesięcy. - Rozciągnęłam trochę znajomość, żeby lepiej wyglądała.

- I nie powiedziałaś mi?

- Chciałam się upewnić, że to coś stałego. - I?

Wyciągnęłam przed siebie ręce w geście „kto wie?”.

- Może. Jak myślisz?

- Wiesz, co myślę. Nikt nie jest wystarczająco dobry dla mojej małej córeczki.



Ojciec splótł palce.

- Ale martwi mnie facet, który zabiera cię na Manhattan, żeby się z tobą kotłować. Czego on chce? Wiem, jacy są faceci. Nie kupią krowy, jeżeli dasz im mleko za darmo. Jak przyjdzie co do czego, chłop lubi dziewczynę starej daty.

Inaczej to dla nich tylko zabawa.

Usiadłam na dłoniach, żeby nie pozwolić im wpełznąć na pierś.

- Przywiozłaś zdjęcia? - Ojciec zacierał ręce w oczekiwaniu. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam fotografie z pierwszego dnia Ruby i Cassandry w szkole. W nowych ubraniach z Gapa i trzymając się za ręce, uśmiechały się, stojąc na tle okien salonu. Ojciec też się uśmiechnął do zdjęć.

- Boże, takie śliczne dziewczynki. Młodsza wygląda zupełnie jak wasza matka. Jak ty. A masz nowe zdjęcia Lulu?

Podalam mu fotkę Lulu i Drew, zrobioną kiedy grillowali hamburgery podczas Święta Pracy.

Potrząsnął głową, uśmiechając się do nich.

- Lulu nie chce, żebyś więcej do niej pisał. Dziewczynki dorastają. - Słowa wyrwały się same.

Przed laty przyznałam się ojcu do naszych oszustw, do uśmiercenia go. Od tej pory i on, i ja odnosiliśmy się do tej zmyłki w ten sam pokrętny sposób, w jaki moja rodzina wszystko robiła.

- A co wy, dziewczyny, planujecie zrobić, kiedy stąd wyjdę? - zapytał. - Ukryć mnie?

Kiedy stąd wyjdzie.

- Twój wyrok kończy się za osiem lat. Wtedy będziemy się o to martwić - odparłam.

- Mam dobre wiadomości. Chowałem je na później. Mój adwokat twierdzi, że mam szansę podczas następnego przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego.

Ile już razy słyszałam te słowa?

- Dobrze, tato.

- Jeszcze się możesz zdziwić, moja panno.

Lulu zarzekała się, że moje stosunki z ojcem zastygły jak klej, gdy miałam pięć i pół roku, kiedy poszedł do więzienia i od tego czasu się nie

zmieniły. Powiedziałam Lulu, że jeden staż na psychiatrii psychiatrą jeszcze nie czyni, mimo to jej uwaga od czasu do czasu pojawiała się w mojej głowie.

Szkoda, że nie miała wpływu na moje zachowanie.

- Wiem, wiem, uważasz, że jestem jak ten pastuch, który krzyczy „wilk” - odrzekł. - Ale to może być dla mnie szansa.

Moje dobre zachowanie, to wszystko się sumuje. Zawsze byłem wzorowym więźniem, Słoneczko.

Zadrżałam, jakby diabeł skakał po moim grobie. Marzenie ojca o wyjściu było naszym koszmarem.

- Przesłuchanie jest w grudniu, tak? Kiedy mógłbyś wyjść?

Ojciec uśmiechnął się szeroko, jak gdyby nigdy nie dźgnął mnie nożem i nigdy nie zabił mamy.

- Jeżeli zagłosują na tak, a głosowanie może się odbyć niedługo, to mógłbym wyjść na wiosnę.

Nie będę się martwić. Lulu powiedziała, że on nigdy nie dostanie warunkowego.

- No to powiedz coś o tym doktoru - powiedział ojciec. -

Jest jakaś szansa, że dasz mi wnuka?

- Michael zarezerwował dla nas apartament w hotelu Waldorf Astoria. Jest na konferencji dla lekarzy. Wczoraj poszliśmy do Saksa. - Pogładziłam dłońmi swój kaszmirowy sweter, lekki jak mgiełka. - Podoba ci się?

- Zawsze ci dobrze było w czerwonym. - Przyglądał mi się ze swoim zwykłym, pełnym podziwu uśmiechem. - Więc wziął cię na zakupy.

Za kogo on cię ma? Traktuje cię jak drogą dziwkę. Nie jesteś jakąś flądą. Co za palant z tego gościa.

Otworzyłam hotelowe drzwi. Michael leżał na łóżku z ręką pod głową, bez butów, a na telewizorze z płaskim ekranem leciał baseball.

- Gdzie byłaś? - spytał. - Martwiłem się.

- Przepraszam. - Usiadłam na krzeselku pokrytym pikowanym jedwabiem i kopnęłam nowe drogie buty przez pokój. Krzeselko doprowadzało mnie do szału, niewygodne i takie wąskie, że nie wiedziałam, czyj tyłek mógłby do niego pasować.

- W porządku? - zapytał, unosząc głowę. Wzruszyłam ramionami.

- Jestem tylko zmęczona.

Skierował pilota w stronę telewizora, wyłączył go i podszedł do mnie.

- Biedna mała, cały dzień sama pętała się po Nowym Jorku. Jeździłaś taksówkami, tak jak ci kazałem?

I dał mi na to pieniądze. Czyżby mi o tym przypominał?

Zesztywniałam, kiedy oparł kciuki o tętnice na mojej szyi i ucisnął je. Czekał na zapłatę?

- Jesteś taka spięta. Gdzie byłaś? - Rozejrzał się po pokoju. - Żadnych zakupów? Przyniosą z dołu? - Sięgnął po portfel, jakby się przygotowywał na kolejny nowojorski napiwek.

- Nie przepytuj mnie. - Odepchnęłam go, strząsając rękę, którą jeszcze trzymał na mej szyi. - Żadnych prezentów, żadnych zakupów, nic z tych rzeczy, okej?

- O rany, uspokój się. Byłem po prostu ciekaw, gdzie byłaś. Wstąpiłaś do jakiegoś muzeum? W Metropolitan jest wystawa Renoira. Miałem ci powiedzieć.

Wyglądał na tak cholernie wyedukowanego i poważnego, czystego i odprasowanego. Zachciało mi się napić piwa i odpalić taką muzę, żeby zaczął wrzeszczeć.

- Taak, Michael. Pojechałam na wycieczkę po muzeach.

A potem przejechałam się promem na Staten Island. - Padłam na łóżko.

Twarz mu się wydłużyła.

- Zaplanowałam prom na jutro rano. A zresztą.

Zostaniemy w łóżku trochę dłużej.

Dołączył do mnie i zaczął obrysowywać kontur mojego ciała, aż sięgnął do guzika żakietu.

- Pomasować cię?

Masaż, szyfr do „pieprzmy się”. Merry, Merry, źródło natychmiastowej przyjemności, prawda? Odepchnęłam jego ręce i podskoczyłam.

- Bądź tak uprzejmy i przestań mnie obmacywać. Boże, ten wyjazd to pomyłka.

Odsunął się z obojętną miną i włączył z powrotem mecz.

- Powiedz mi, kiedy będziesz głodna. Zamówimy coś do pokoju. -

Przerwał i patrzył na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Albo gdzieś pójdziemy. Albo, jeżeli zechcesz, jeżeli się boisz, że znów cię będę obmacywał, możemy jeść osobno.

Skrzyżowałam ramiona.

- Wszystko mi jedno.

## 23. Lulu

Drew wszedł do sypialni z twarzą zafrasowaną i jakby czegoś potrzebował. Ustaw się w kolejce - pomyślałam.

- Lulu, musimy porozmawiać.

Odsunęłam go gestem i zakryłam ręką ucho wolne od słuchawki telefonu.

- To ważne - nalegał.

Skończyłam rozmowę z Sophie, wyłączyłam się i wysunęłam nogi spod kołdry, jeszcze ciepłej od snu.

- Jesteś jak dziecko, kiedy przerywasz mi w ten sposób.

- Zakłóciłem jakąś świętą rozmowę lekarską?

- Nie sil się na sarkazm. Sophie właśnie mi przekazała złą wiadomość. Muszę jechać do pracy wcześniej niż planowałam.

Zachowanie Drew powinno mnie ostrzec o nadchodzących kłopotach, ale byłam tak zaabsorbowana wynikami badań, które Sophie właśnie mi przekazała, że pacjentka stała się dla mnie najważniejsza. Testy przyniosły straszną wiadomość dla Audry Connelly, a była ona jedną z moich ulubienic.

Biedna Audra. Najpierw jej egzema okazała się rakiem Pageta. Potem odkryła, że ma raka piersi, tak jak większość pacjentek z Pagetem. Teraz rak dał przerzuty na węzły chłonne. Sophie powiedziała, że Audra chce, potrzebuje rozmowy ze mną. Audra ufała doktorowi Dentonowi jako lekarzowi, ale ją onieśmiała. Lekarze tacy jak Denton, uwikłani w swoje statystyki i testy, nie potrafili się zająć emocjonalnymi obawami i potrzebami starszych kobiet.

Wyjęłam z szuflady bieliznę i na siłę skręcałam mokre jeszcze włosy w węzeł.

- Lulu, zaczekaj. - Drew złapał mnie i odciągnął od ułożonych porządnie rzędów czarnych i beżowych staników.

- Muszę jechać. - Próbowałam się uwolnić, ale mnie odwrócił.

- Lulu, zaczekaj i posłuchaj! - krzyknął. Stuliłam ramiona i zamarłam. Drew wiedział, że nienawidzę okazywania gniewu. Jedną z cech, za którą go kochałam, była jego niezwykła cierpliwość. - Musimy się spotkać z nauczycielką Cassandry.

- Stało się coś? - Przycisnęłam bieliznę do piersi.

- Przechodzi przez kolejną fazę strachu. Wiem, wiem, że to normalne w jej wieku. Nauczycielka się zgadza, to jasne, ale ona zawsze jest na luzie. Chciałam ci o tym powiedzieć wczoraj wieczorem, ale zasnął, zanim przyszedłam.

- Byłam wykończona. - Wbiłam palce w ręce nad łokciami. Krótkie paznokcie pozostawiły znaki w postaci małych literek c. - Co się stało, co zrobiła Cassandra?

- Opowiada dzieciom, że mogą być adoptowane i o tym nie wiedzą, albo że powinny uważać na porywaczy. Że ktoś może za nimi chodzić. - Drew zdjął okulary i pomasaował

nasadę nosa. - Jedna z matek w końcu zadzwoniła do szkoły, bo Cassandra tyle opowiadała o porywaczach mordujących dzieci.

- O, Boże. - Osunęłam się na łóżko. - Sądysz, że to moja siostra naopowiadała coś dziewczynkom? Od czasu powrotu z Nowego Jorku zachowuje się jak wariatka.

- To nie chodzi o Merry. - Drew padł obok mnie. - Dzieci łapią pewne sprawy przez osmozę.

Osmoza. Pomyślałam o tym, jak mama zapomniała kupić nam jedzenie, pozostawiając nasze odżywianie kawiarni U

Harry'ego lub mrożonym, i jednocześnie przypalonym, zapiekankom z kurczaka. Miałam osiem lat i to ja wkładałam je do piecyka. Wiedziałam, że mama była nieszczęśliwa z powodu nas, taty, swojego życia. Nie musiała nic mówić.

Przemawiały za nią zapiekanki.

Mimo to, miałyśmy dobre życie.

Przez chwilę siedzieliśmy głupio, gapiąc się na zdjęcia z miesiąca miodowego - zdjęcia mlecznych gór lodowych unoszących się na białobłękitnych lagunach.

- Założę się, że to Merry coś jej powiedziała - zaczęłam. -

Założę się. Zabiję ją.

- Tu nie chodzi o Merry - powtórzył Drew. - Nigdy by tego nie zrobiła. Bez twojej zgody.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Mojej zgody? Merry uważa, że wszystko jest wspólne.

Dziwne, że jeszcze nie uznała cię za swojego męża. Zrobiła z nas mormonów.

- Chryste, Lulu, ona kocha nasze dziewczynki - upierał się Drew, ignorując mój sztych. - Po cholere miałyby to robić?

Wziął koszulkę i spodnie, które zostawił na krześle poprzedniego wieczoru, kiedy spocony i wymęczony wrócił po meczu piłki ręcznej z Michaelem.

- To nie oznacza, że okazuje swoją miłość mądrze. - Skierowałam się do łazienki.

- Tu nie chodzi o Merry i ciebie. - Drew rzucił paskiem, kiedy nic nie odpowiadałam. - Zaczekaj. Co ja mówię.

Oczywiście, że chodzi o ciebie i Merry. O całą twoją cholerną rodzinę.

- Może to kółko teatralne Cassandry. Ona nigdy nie przestaje grać - odparłam. - Muszę jechać do pracy.

Porozmawiamy później.

- Czy ty chociaż słuchasz? - spytał Drew. - Nie możesz tak po prostu zignorować problemu i wyjść.

- Niczego nie ignoruję. Umów nas z nauczycielką.

Przyjadę. Zostaw mi wiadomość.

- Nie chodzi tylko o spotkanie z nauczycielką. Chodzi o wszystko. - Kiedy nie odpowiadałam, Drew wyglądał tak, jakby liczył do dziesięciu. Umiałam odczytać znaki. - Czas, żeby się dowiedziały.

Odsunęłam się.

- O tym nie rozmawiamy. Wiedziałaś od chwili, kiedy się poznaliśmy.

- Słyszałaś, co powiedziała twoja siostra, kiedy wróciła z Nowego Jorku. Ojciec może zostać zwolniony. I to już tej wiosny.

- Mój ojciec od dawna opowiada te pieprzone bzdury.

Nigdzie nie wychodzi.

- A jeżeli wyjdzie? - Drew poszedł za mną do łazienki. -

Co wtedy, Lulu?

- Nic. Dla nas dalej jest martwy.

- Nie jest martwy dla Merry.

- Świetnie. - Włączyłam prysznic. - Może sobie go wziąć.

Drew zastąpił mi drogę, zanim zdążyłam zaciągnąć zasłonę prysznic.

- A co z dziewczynkami? Nie możesz zaprzeczyć, że jest ich dziadkiem. Przepchnęłam się obok niego.

- Nie mają dziadka, tak jak ja nie mam ojca. - Nastawiłam prysznic na pulsowanie. - Umarł razem z moją matką. Zostaw to.

Drew odsunął zasłonę.

- Nie możesz sobie wymyślić, że ktoś nie żyje. Musisz się z tym uporać. - Do rękawa bawełnianego swetra nalała mu się woda.

- Nie. Nie muszę. - Poczułam się tak, jakbym znalazła się na szczycie rollercoastera i miała zaraz spaść w dół. - Jeżeli nie możesz tego zaakceptować, to może powinieneś odejść.

- Wolalabyś, żebym odszedł, zamiast zająć się sprawą ojca? To chcesz powiedzieć?

Boże, co ja powiedziałam? Gdyby Drew mnie zostawił, umarłabym. Wyszłam spod prysznic. - Nigdy nie odchodź.

Obiecuj mi. Przepraszam. Nie mogę tego zrobić. Przepraszam.

Przepraszam. - Uczepiłam się go. - Proszę, Drew, nie odchodź.

- W porządku, Lu. Szs. Już dobrze. - Drew zarzucił mi ręcznik na ramiona. - Nigdy nie odejdę.

- Sprawiam tyle kłopotów.

- Na tym polega bycie rodziną. Uspokój się. Z Cassandra będzie wszystko w porządku. Porozmawiam z nauczycielką.

Umówię spotkanie.

Audra była blada i przeraźliwie chuda. Dwa i pół kilo chudsza niż trzy tygodnie temu, a już wtedy wyglądała jak duch. Wzięłam jej rękę i lekko uścisnęłam.

- Jak się czujesz?

- Niezbyt dobrze.

- Wyobrażam sobie. Zapadła się w siebie.

- Wiem, że to rośnie i sprawy mają się źle. Potrzebuję twojej pomocy, bo muszę podjąć pewne decyzje.

Położyłam delikatnie rękę na jej ramieniu.



-

Powinnaś wciągnąć dzieci do pomocy przy podejmowaniu decyzji.

- Doktor Denton uważa, że powinniśmy zrobić jeszcze jedną rundę chemoterapii - powiedziała, ignorując moją radę. -

A co ty o tym myślisz?

- Mogę ci pomóc zastanowić się, jakie masz możliwości. -

Nikt mnie za to nie mianuje na pracownika miesiąca w Cabot.

Sophie już mi dwa razy przypomniała, że jeszcze nie odpowiedziałam na notatkę służbową dyrektora do spraw medycznych na temat „wyjaśnienia częstych wizyt Audry Connelly. Czy nie dublują porad u doktora Dentona? Jaki jest powód tych konsultacji?”. - Może doktor Denton sprawdzi, czy jest dla ciebie jakiś program prób klinicznych?

Audra skinęła głową ze zbytnią gotowością do złożenia swego życia w moje ręce.

- W końcu - przypomniałam jej - to jest twój wybór.

- Co byś zrobiła, gdybym była twoją matką? - Papier wyściełający kozetkę zaszeleścił. Audra wyprostowała się. -

Moja córka kazała mi ciebie o to zapytać.

Dobra córka zrobiłaby wszystko, by ocalić swoją matkę - pomyślałam.

- Muszę wiedzieć, jaką drogę chcesz wybrać. Na ile chcesz podjąć walkę.

- Chcę zobaczyć, jak dorastają moje wnuki.

Artykuły, podrapałam się w rękę. Próby kliniczne.

Odwołam lunch z Sophie, kupię kanapkę od Jerry'ego i zjem, czytając artykuły w Internecie.

Na szczęście reszta moich porannych pacjentów stanowiła proste przypadki - przeziębienie, potem infekcja gardła, stan lękowy, zapalenie żołądka, wybity palec u nogi, cytologia i naciągnięty mięsień w plecach. Przy wózku Jerry'ego znalazłam się o jedenastej trzydzieści, jego zdaniem zbyt późno, żeby oczekiwać wyboru.

- Prawie wszystko sprzedane. - Podjechał wózkiem bliżej.

- Powinnaś była przyjść wcześniej.

- Kiedy? W porze śniadaniowej? - Pochyliłam się, by przyjrzeć się

kanapkom.

- Większość kupuje zaraz po przyjściu. Gdybyś tak często nie przynosiła sobie lunchu, to wiedziałabyś o tym. Został

tuńczyk albo sałatka z jajek. Która? - Sądząc po zniecierpliwionym tonie jego głosu, można by przypuszczać, że kolejka po jego żarcie wije się aż na zewnątrz, na parking.

- Zaraz będzie więcej ludzi.

- Co to za chleb? - Wskazałam na sałatkę z jajek na żółtawym chlebie.

- Anadama. - Jaki?

- Moja żona sama go piecze. - Podjechał do kanapek i wyjął jedną. - Z mąki kukurydzianej, jak kukurydziane mufinki. Będzie ci smakować.

Zanim usłyszał moje zdanie, włożył kanapkę do najcieńszej torebki znanej ludzkości. Właściwie, to pamiętałam jedną jeszcze cieńszą.

- Kawa, tak? - Jerry nalał, nie czekając na odpowiedź.

- W porządku. - Miałam zamiar napić się coli, ale nie chciałam znowu się kłócić. Podałam Jerry'emu banknot dziesięciodolarowy i czekałam na odrobinę reszty. Którą, oczywiście, włożyłam do szklanego słoja z napisem „Weterani z porażeniem poprzecznym” nagryzmołonym ręką Jerry'ego.

Nikt nie miał odwagi zapytać go, kim czy gdzie byli weterani z porażeniem poprzecznym. Większość z nas uważała, że byli nimi Jerry i jego kumple od kieliszka.

- Louise.

Uśmiechnęłam się nieszczercze do dyrektora do spraw medycznych. Peter Eldon urodził się po to, by być małostkowym. Założyłabym się, że jako dziecko był

skarżypytą, gospodarzem klasy i zawsze pierwszy wyciągał

rękę, kiedy nauczyciel szukał ochotnika. Teraz został

apodyktycznym medykokratą, zakochanym w swojej władzy i wszystkim, co angielskie. Dziś miał na sobie coś, co wyglądało jak marynarka myśliwska.

- Peter. Jak się miewasz? - spytałam.

- Nieszczególnie. Niektóre osoby spośród personelu ignorują moje mejle.

- Pochylił się nad Jerryem. - Kawa.

Czarna. Mufinka z otrębami.

- Odwrócił się do mnie. - Przygotowuję zestawienia miesięczne i muszę skończyć wasz oddział. Louise, to ty jesteś jego słabym ogniwem. - Mogłabym przysiąc, że od czasu naszej ostatniej rozmowy zaczął mówić z angielskim akcentem.

Po nalaniu kawy Jerry wyciągnął rękę, z tylnego rządka wziął najmniejszą muffinkę i nie pakując jej w torebkę ani woskowany papier, położył na pokrywce kubka, a potem podał Eldonowi. Kiedy rozmawialiśmy, muffinka nasiąkała wilgocią. Dobra robota, Jerry.

- Dwa pięćdziesiąt - powiedział Jerry.

Eldon bez słowa podał mu trzy dolary i trzymał rękę w powietrzu, czekając na resztę.

- Louise, kiedy je dostanę? I co właściwie robisz z tą pacjentką, że musisz dublować pracę doktora Dentona?

- Pacjentka potrzebuje więcej.

- Więcej czego?

- Jej mąż zmarł na raka w niespełna miesiąc przed jej diagnozą. Potrzebuje wsparcia. Pomocy.

- Poślij ją do pracownika opieki społecznej. - Przekładał kawę i muffinkę z ręki do ręki.

Wzięłam kilka oczyszczających oddechów.

Nie wyrwałam mu kubka z gorącą kawą i nie wylałam na jaja.

- Nie jestem przekonana, że Denton ma czas, by zająć się wszystkimi jej potrzebami. Jest mężczyzną, a kiedy ją bada, ona czuje się brzydka.

- Osobowość nie jest naszą specjalnością. Ogranicz się do chorób wewnętrznych, a pacjentów onkologicznych pozostaw Dentonowi.

Jerry przerwał nam.

- Hej, doktor Winterson. Zapomniałem. - Sięgnął po ciasteczko z kawałkami czekolady, włożył je do torebki i podał mi.

- Louise, wyślij mi miesięczne zestawienie - powiedział

Eldon. - Będę cię pilnował.

Kiedy znalazł się w windzie, Jerry prychnął.

- Jerry, dzięki za ciastko. Machnął ręką, że to nic takiego.

- Ten gość to prawdziwy dupek.

Tymi słowami Jerry zaznaczył, że to już koniec naszej sztamy i odjechał, by obsłużyć rosnącą grupkę amatorów lunchu.

Poszłam w stronę klatki schodowej. Zostanę tak długo, jak będzie trzeba. Żeby on, żeby ktokolwiek kwestionował moją pracę, uważał, że popełniam błędy - nie, to nie ze mną.

## 24. Lulu

Wreszcie dotarłam do domu po kilku godzinach pisania raportów i marzyłam tylko o walnięciu się do łóżka, ale kiedy weszłam do salonu, powitał mnie zapach perfum mojej siostry. Zwykle snuł się za nią - delikatny, cytryna z różą, lecz kiedy ja go użyłam, stawał się kwaśny. W domu czuć było przydymioną słodycz z kominka.

Drew i Merry wyglądali, jakby poczuli się niezręcznie na mój widok. Merry, zwinięta w kłębek na kanapie, w rozciągniętym niebieskim dresie wyglądała seksownie, a zarazem niewinnie i bezbronne. Drew, skulony w bujanym fotelu, wyglądał na wyczerpanego po dniu spędzonym na pracy w domu, a potem na zajmowaniu się dziewczynkami.

Dzieci wysysają z ciebie wszystko, poza krwią, a ich dorastanie karmi się molekułami wyciągniętymi od najbliższej, opiekującej się nimi osoby.

- Jaki piękny zapach ognia. Co za frajda. - Zamiast pójść prosto do łóżka, podeszłam do Drew, pocałowałam go w czubek głowy, czując piżmo w jego zwykłym szamponie z supermarketu, zapach gotowania od kolacji i nikłe wspomnienie pełnej słońca wody kolońskiej, którą wklepywał

w twarz każdego ranka.

Zesztywniał.

- Jest pół do dziewiątej. Gdzie byłaś? Odsunęłam się, zbita z tropu.

- Musiałam zostać dłużej w pracy. Pilna sprawa. Nie dostałeś mojej wiadomości?

- A ty mojej? - Skrzyżował ramiona na piersi. -

Zapomniałaś, że mieliśmy się spotkać w szkole dziewczynek i porozmawiać z nauczycielką Cassandry?

Uderzyłam dłonią w czoło. Jak mogłam zapomnieć o Cassandrze? Co się ze mną, do licha, ostatnio dzieje?

- Przepraszam cię bardzo.

- Przepraszasz? - Wraz z tym słowem Drew podnosił głos.

- Odwołałem spotkanie z klientem umówione trzy tygodnie temu. Nowy klient. Seria, na której bardzo mi zależy.

Merry zaczęła się kręcić.

- To może ja już pójdę.

- Tak, proszę - powiedziałam, odwracając się od Drew do Merry. Drew potrząsnął głową.

- Zostań! - rozkazał.

Merry pochyliła się do przodu, potem do tyłu i pozostała w sztywnej pozycji siedzącej.

- I co to była za pilna sprawa? - spytał Drew.

Zaczerpnęłam powietrza i zastanowiłam się, zanim zaczęłam mówić, chcąc wytłumaczyć mój błąd, używając jak najmniejszej ilości słów.

- Eldon się mnie czepia. Albo skończę raporty, albo zastopuje wizyty jednej z moich pacjentek, które uważa za niepotrzebne. Rak piersi. Galopujący.

- Niepotrzebne wizyty? - Drew uderzył dłonią w drewnianą poręcz bujaka.

Podsłoczyłam, jakby wymierzył mi policzek i odsunęłam się.

- Lulu, pomyśl przez chwilę! Czy choć jeden raz moglibyśmy być ważniejsi od twojej pracy?

Złapałam się obudowy kominka i zacisnęłam dłoń.

- Dobrze, zapomniałam o spotkaniu. Ale nie musisz się zachowywać, jak gdyby przeze mnie Cassandra zawisała nad przepaścią.

- A zauważyłabyś?

Nie bądź na mnie wściekły, nie bądź na mnie wściekły.

- Więc mówi, że jest adoptowana. Wszystkie dzieciaki fantazjują na ten temat. Koszmary. Ja miałam całą wymyśloną rodzinę.

- Porównywanie czegokolwiek do twojego popieprzonego dzieciństwa wcale mnie nie pociesza. Nie masz ani odrobiny doświadczenia, z którego mogłabyś korzystać dla zapewnienia dzieciom cudownego czy, do cholery, choćby przyzwoitego dzieciństwa.

- Przestańcie - odezwała się Merry. - Dzieci was usłyszą.

To, że będziesz wredny dla Lulu, nie pomoże Cassandrze. Nie powiedzcie czegoś, czego będziecie żałować.

- Dzięki. Zapomniałem, jaką jesteś ekspertką od związków. - Pomimo swoich słów, Drew wreszcie zamilkł.

Merry podeszła do mnie i objęła mnie ramieniem.

- Usiądź, Lulu.

Pozwoliłam jej poprowadzić się do kanapy. Usiadłam, kładąc na brzuch bladożółtą poduszkę i zaczęłam ugniatać rękami wypełnioną pierzem bawełnę.

- Drew, po prostu zapomniałam - powiedziałam. - Nie chciałam, żebyś musiał sam się tym zająć.

- Wiem, wiem. - Bawił się zegarkiem. - Ale jak mogłaś zapomnieć o córce z powodu pacjentki?

Sama się nad tym zastanawiałam. Czy dzieci nie są dla matki najważniejsze w życiu? Czy nie powinny zajmować najwięcej miejsca w mózgu? Czy dzieci nie wyczulają cię na drugiego człowieka, tak że wszyscy na pewien sposób stają się twoimi dziećmi? Czy Hitler stałby się Hitlerem, gdyby był

ojcem?

Rozumowanie głupiego. Mój ojciec był ojcem.

- Wszystko mi się zważyło na głowę - powiedziałam.

- Twoja córka cię potrzebuje. To nie jest przypadek drobnego fantazjowania na temat adopcji. - Podał mi ze stolika żółtą kopertę. - Cassandra rysuje rodzinę.

Przerzuciłam stosik chropowatego papieru do rysowania.

Cassandra narysowała nas wszystkich, wraz z Merry, w prawym dolnym rogu. Wszyscy byli podkreśleni. Otaczało nas faliste półkole. Nad naszą rodziną unosiły się duchy mężczyzn i kobiet, na rysunku większe niż w życiu.

- Chcesz wiedzieć, jak zinterpretował je szkolny psychoanalityk?

- Posłali ją do psychoanalityka?

Drew zbył moje pytanie machnięciem ręki.

- To psycholog szkolny. Posłuchaj. Dzieci, które postrzegają swoje rodziny jako niedające poczucia bezpieczeństwa, podkreślają sylwetki.

- Uważasz, że Cassandra nie ma poczucia bezpieczeństwa albo myśli, że my go nie mamy? - Nie chciałam tego słuchać.

- Cały system rodzinny - wtrąciła Merry. - Uważa, że nasza rodzina nie ma poczucia bezpieczeństwa.

- Też zostałeś psychoanalitykiem? - Podwijałam i wyprostowywałam

palce stóp, starając się kontrolować swoje usta.

- Psycholog nie ma pojęcia o sprawach naszej rodziny, o mamie i tacie - odparła Merry. - Ale posłuchaj, co powiedziała.

- Teraz to o nich chodzi?

- Pozwól tylko Drew skończyć, zanim pójdziesz w stronę wyparcia. Zamknęłam usta. W piersi bulgotał mi kwas.

- Widzisz figurki unoszące się w balonikach? - spytał

Drew. - Psycholog twierdzi, że to mogą być tajemnice. Pytała, czy mamy problemy, czy Cassandra może się martwić, że się rozwodzimy. Na miłość boską, zrobiła aluzję, że mam romans.

Wpatrywałam się w rysunek, próbując rozpoznać baloniki w rozmazanych kręgach Cassandry.

- Dobrze - odparłam. - Rozumiem. Ale to naprawdę tak odbiega od normy?

Najwidoczniej Merry nie mogła już dłużej się powstrzymać.

- Nauczycielka proponuje, aby zabrać ją do prywatnego psychiatry. Na terapię. Słyszysz? Jesteś ślepa, głucha i niema?

- To ty posłuchaj. Zachowujesz się tak, jakby nauczycielka powiedziała, że Cassandra musi zostać zamknięta w domu wariatów. - Jak oni śmieją? Jak ona śmie, ta nauczycielka, robić z niej jakieś pomyłone i zagrożone dziecko?  
- Ja też wiem co nieco na temat psychologii.

- Miałaś praktykę, jak długo, miesiąc? - spytał Drew. -

Sto lat temu?

- A nauczycielka co miała? Semestr wykładów, pięćset lat temu? Drew złapał rysunki ze stolika i wepchnął je z powrotem do koperty.

- Będą potrzebne na spotkanie z panią psycholog.

Umówiłem się na wizytę w przyszłym tygodniu. Mam to zapisać w twoim palmtopie? Łatwiej ci będzie zapamiętać?

Uniosłam dłonie do góry.

- Jak mogłeś się umówić, zanim ją sprawdzę?

Twarz Drew zastygła, tak że można by na niej rąbać drewno.

- Współpracuje ze szkołą.

- Tym bardziej jej nie ufam.



- Czy ty słyszysz samą siebie? - Merry uderzyła dłonią w oparcie fotela. Cassandra ma problemy rodzinne. Myśli, że ktoś może ją zabić. Boi się, że zostanie porwana. Martwi się, że zostanie opuszczona.

Czy coś z tego brzmi znajomo? Czy brzmi jak coś, z czym może i córka, i matka powinny się uporać?

- Pytałam cię o zdanie?

- Od kiedy to potrzebuję twojego pozwolenia na to, by się odezwać? Czy nie jestem częścią tej rodziny? Czy nie mówisz zawsze: „Tylko my jesteśmy ważni, mamy tylko siebie, Merry. Nasza piątka musi się trzymać razem, Merry”. - Merry klapnęła obok mnie na kanapie. - Jest nas sześcioro i musisz się z tym pogodzić.

- Pogodzić? A wyglówkowałaś, jak mam przedstawić dziadka, który zamordował im babcię? Sądzisz, że nie myślałam o tym tysiące razy od chwili, kiedy się urodziły? No co? Taka jesteś mądrała? Wspaniała Merry, która nie cyka się ojca?

Merry wyglądała tak, jak gdybym wymierzyła jej policzek. Zwalczyłam w sobie instynkt, żeby ją pocieszyć, ugłaskać i przełknąć swoją wściekłość.

- Cassandra może reagować na to, że straciłyśmy naszych rodziców praktycznie w tym samym wieku, w którym teraz są z Ruby - powiedziałam. - Zbyttno się identyfikuje z naszym osieroceniem w wyniku wypadku samochodowego.

Wszystko z nią w porządku. Cassandra ma się dobrze.

Zupełnie dobrze. Merry aż otworzyła usta z niedowierzania.

- Ale nic takiego się nie stało.

- Myśli, że to prawda, więc tak się stało. Zostaw to, dobrze? Wolę, żeby Cassandra i Ruby martwiły się, że Drew i ja będziemy mieli wypadek, niż żeby się dowiedziały, iż całe życie poświęciłam na to, by starać się zapomnieć widoku mamy umierającej przy mnie.

I co? Teraz nie masz nic do powiedzenia?

- Myślisz, że co widzę, każdej nocy, kiedy zamknę oczy?

- zapytałam. Ciebie i ojca, jak się wykrwawiacie na łóżku mamy. Przez całe swoje życie, cały czas od tej chwili musiałam być odpowiedzialna za wszystkich i wszystko, także za ciebie.

Merry wolno pokręciła głową, jakbym była kimś zupełnie obcym.

- Nie chodzi o nas. Musimy zająć się teraz Cassandra.

Rzuciłam na podłogę poduszkę, którą przedtem kurczowo ścisiskałam. Ręka mi drżała, kiedy wskazywałam palcem na Merry.

- Dbam o moją córkę. I to ja ustalam zasady. To moja rodzina, a jeżeli nie podoba ci się, jaką jestem matką, to może już czas, żebyś poszła w świat. Znajdź sobie własnego męża.

Postaraj się o własne dzieci. Przestań się karmić moim życiem.

Wymaszerowałam z pokoju i weszłam do sypialni, trzaskając za sobą drzwiami. Kopnęłam w toaletkę, a potem zaczęłam drapać ręce z góry na dół, pozostawiając głębokie ślady, i zastanawiać się, co powinnam zrobić. Usiadłam na podłodze i położyłam głowę na podciągniętych kolanach.

Otoczyłam ramionami nogi i modliłam się o jedną osobę, jedną dorosłą osobę na całym świecie, do której mogłabym zadzwonić.

Zniesmaczona swoją postawą słabeusza, zdarłam z siebie ubranie, rzuciłam na kupę w narożnym fotelu, włożyłam miękką, obszerną koszulę nocną i padłam na łóżko.

Zaskrzypiały drzwi. Czekałam, aż Drew wejdzie i scałuje moje łzy.

- Mamusiu? Dobrze się czujesz? Jesteś na mnie zła? -

Cassandra weszła na paluszkach, jak gdyby odgłos jej stópek mógł mnie rozgniewać.

Wytarłam twarz i poklepałam łóżko obok siebie.

- Nie jestem na ciebie zła, kochanie.

Łóżko prawie nie odczuło jej wagi, kiedy na nie upadła, wsunęła się w moje objęcia i skurczyła długie, chude ciało, jak tylko mogła, żeby zmieścić się w paczuszkę i przytuliła.

- Narozrabiałam, prawda? - Zacisnęła wargi.

- Wcale nie narozrabiałaś. Czujesz się tak, jakbyś narozrabiała. A to ogromna różnica.

- Ale tatuś musiał pójść porozmawiać z moją nauczycielką. - Cassandra głębiej wtuliła buzię w moje ramię, tłumiąc głos, chowając twarz.

- Bo ona chce, żebyśmy wiedzieli, że się boisz. Cassandra nie poruszyła się. Poczułam, że zeszywniała.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytałam. - O porwaniu?

O adoptowaniu?

Poczułam, że kręci głową.

- Wiesz, że nie jesteś adoptowana, prawda? - Znowu potrząsnęła głową. - Kiedy byłam małą dziewczynką, mniej więcej w twoim wieku, też myślałam, że jestem adoptowana.

Chyba każda dziesięcioletnia dziewczynka na świecie kiedyś się nad tym zastanawia.

- Ale ty musiałaś być. W rodzinie zastępczej. Po tym.

- Po tym jak moi rodzice - zawahałam się - umarli. Racja.

Zastanawiałam się wcześniej, kochanie. - Przytuliłam ją mocniej. - Może dlatego o tym myślisz, bo się boisz, że stracisz mnie i tatusia, tak jak ja straciłam swoich rodziców.

- A jeżeli stracę?

Oparłam się policzkiem o czubek jej główki.

- Nie stracisz.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno. - Odsunęła się ode mnie i skrzyżowała nogi. - Ty i tata cały czas razem jeździcie.

Możecie umrzeć tak jak oni.

Zacząłam ją zapewniać, że zawsze miałyby ciocię Merry i wyobraziłam sobie, jak moja siostra przedstawia ją ojcu.

Ogarnęło mnie zmęczenie ciągnące do świata poza świadomością.

- Nie martw się, kochanie. To nigdy by się nie wydarzyło dwa razy w tej samej rodzinie.

Cassandra zmrużyła oczy z niedowierzaniem.

- Tego nie wiesz.

- Wiem. Ze statystyki. Uczą tego w college'u. To taka matematyka.

- Matematyka? - Złożyła dłonie, splatając palce w budkę, którą zakryła usta. - Skąd to wiadomo?

- Statystyka mówi, jakie są szanse, prawdopodobieństwo, że coś się zdarzy. Jak będziesz starsza, nauczysz się takiego wzoru matematycznego na obliczenie szansy, że coś się wydarzy. A to, że mnie stracisz, jest nieprawdopodobne. -

Uśmiechnęłam się. - To znaczy, że tak się nie stanie.

Jej ciało się rozluźniło i przyłgnęło do mnie.

- Jesteś pewna? Kiwnęłam głową.

- Jestem pewna. - Podciągnęłam kołdrę, kopiąc nogami, by znaleźć sobie miejsce. - Śpimy.

Cassandra tuliła się do mnie, aż wpasowałyśmy się w siebie jak lalki. Powoli jej ciało rozluźniało się, oddech wyrównywał, aż zasnęła.

Kochałam to dziecko. Była moim powietrzem i moim ciałem. Musiałam zapewnić jej bezpieczeństwo, bardziej niż wszystko inne. Nic więcej nie miało znaczenia.

Spod moich zamkniętych powiek popłynęły ciche łzy, łzy strachu, że nigdy już nie będę potrafiła znów tak łatwo kogoś pocieszyć.

## 25. Merry

Następnego ranka obudziłam się przed budzikiem, wdzięczna, że się wyzwoiliłam z płytkiego i mało satysfakcjonującego snu. Wyglądałam przez okno, czując pod powiekami piasek, piłam kawę i czekałam, obserwując ludzi, dopóki nie zobaczyłam Drew, idącego do samochodu z Cassandra i Ruby. Moje siostrzenice trzymały go za ręce, kiedy tak szli razem w siąpiącym deszczu.

Ruby, tuptając zdecydowanie, dotrzymywała im kroku.

Cassandra sadziła długie susy, w koronie starszego, teraz i zawsze, silniejszego dziecka. Obie znajdowały się pod ochroną Drew. Co to za uczucie?

W chwili kiedy samochód Drew odjechał, udałam się pod drzwi Lulu.

- Naprawdę tak myślisz? - wypaliłam w chwili, kiedy odpowiedziała na moje niecierpliwie stukanie.

- Co myślę? - Jej prawdomówne oczy zadawały kłam pytaniu.

- Wszystko. Naprawdę tak myślisz? - zapytałam.

Lulu niechętnie otworzyła szerzej drzwi i wpuściła mnie do środka.

- Nie róbmy przedstawienia o tej porze, zgoda? O

dziewiątej muszę jechać do pracy. - Poszła przodem przez korytarz, a ja dreptałam za nią.

W kuchni złapałam kubek. Lulu usiadła na stołku przy blacie i wróciła do jedzenia płatków z otrębami z białej miseczki w bławatki, którą jej kupiłam.

- Ja też muszę jechać do pracy. - Nalałam sobie śmietanki do kawy. - Chcę tylko chwilę porozmawiać.

Lulu zerknęła znacząco na ścienny zegar, a potem na swój zegarek. Czy moja ach - taka - ważna siostra musiała je synchronizować? Ścisnęłam kubek rękami, żeby mi się nie trzęsły. Moja prawa stopa skakała jak metronom.

- Wczoraj oboje przesadziłyśmy - zaczęła Lulu. -

Zostawmy to. W czym przesadziłam? Zaplotłam nogę o krzesło.

- Chciałam tylko pomóc. Nie martwisz się Cassandra?

Lulu wrzuciła łyżkę do miski.

- Czego nie rozumiałaś, kiedy powiedziałam, żebyś to zostawiła?

- Jak mam zostawić to, co powiedziałaś? „Stwórz sobie własne życie, Merry. Znajdź sobie własnego męża, Merry.

Postaraj się o własne dzieci, Merry. Tego naprawdę chcesz?”.

Dopadła mnie zadawniona tęsknota za papierosem.

Złapałam wielkie pudełko płatków Cheerios i zaczęłam napychać się pełnymi garściami. Lulu zamknęła oczy.

- Dlatego nie chciałam zaczynać od nowa. Skończyłam żuć papkę.

- Myślisz, że nie chciałabym mieć własnego Drew?

- Z pewnością przesłuchiłaś dosyć kandydatów.

Lulu uśmiechnęła się, a ja uznałam, że chciała zażartować, a nie dokuczyć mi, a przynajmniej nie umyślnie.

- Nie można powiedzieć, żeby było z czego wybierać -  
odparłam.

- Bary nie są najlepszym miejscem do szukania męża.

- Byłaś zalana, kiedy poznałaś Drew - zauważyłam, sięgając po kolejną garść płatków.

- Ale to nie było w barze. I on nie był zalany. - Święta Lulu wypłukała miseczkę, zanim włożyła ją do zmywarki. - A co z Michaeliem? Nie spodobałaś mu się?

- Zawaliłam sprawę. - Nie powiedziałam jej, jaką żołą była dla Michaela podczas naszego weekendu w Nowym Jorku. Musiał mieć trochę szacunku dla siebie, bo nigdy już nie zadzwonił.

- Może powinnaś do niego zadzwonić. Przeprosić za to, cokolwiek zrobiłaś.

- To zbyt skomplikowane. - Jaki mogłabym mu podać powód mojej przemiany z doktora Jekylla w pana Hyde'a? A poza tym, to Michael był dla mnie zbyt porządny.

Lulu spryskała blat ekologicznym płynem do czyszczenia.

Nienawidziła brudu w domu. Nienawidziła środków chemicznych przy dzieciach. Gdyby mogła, opakowałaby swoje dzieci w plastik. Nie, kazałaby Drew to zrobić.

Martwiła mnie. Niemożność kontrolowania wszystkiego w otoczeniu jej

dzieci mogła ją kiedyś doprowadzić do szaleństwa.

- Musisz dać sobie spokój ze sprawą taty. - Lulu stała do mnie tyłem, kiedy wypowiadała te słowa. Potem wytarła ręce w ścierkę w niebieską kratkę i odwróciła się. - Doprowadzi do rozdarcia między nami. I nie chcę wysłuchiwać Drew, więc wyświadczyć mi przysługę i przestań z nim o tym rozmawiać.

- Uważasz, że powinnam zadzwonić do Michaela? -

zapytałam Valerie podczas lunchu. Na nasze lunchy wybierałyśmy po kolei najmniej okropne spomiędzy restauracji w pobliżu gmachu sądu. Dziś padło na Dumpy's Sandwich Shoppe. Plastikowe stoliki połyskiwały tłuszczem, ale mimo tego miejsce to stanowiło najlepszą ze złych opcji.

- Chcesz do niego zadzwonić? - spytała, skubiąc skórę swojej niezjedzonej bułki. Valerie działała na najwyższych obrotach. Mogłam się założyć, że w jej pustym żołądku nie grzechotało nic poza pigułką na odchudzanie. Rozprostowała włosy pomimo październikowego deszczu, gotowego zaraz na powrót je poskręcać. Wczoraj miała na sobie sfilcowany, zmechacony sweter i pogniecione bojówki; dziś zaprasowała w spódnicy fałdy ostre jak brzytwa.

- A co to, jesteś moim psychiatrą?

- Potrzebujesz psychiatry?

- Bardzo śmieszne. - Ugryzłam wielki kęs ze swojej kanapki z sałatką jajeczną. Nadmiar majonezu wylał mi się na podbródek.

Wytarłam usta drapiącą brązową serwetką i przyglądałam się, jak Valerie rysuje widelcem ścieżki na swoim makaronie z serem koloru jaskrawopomarańczowego.

- Podoba ci się? Chcesz go? - zapytała Valerie.

Uniosłam dłonie, podkreślając swój brak zdania na ten temat.

- Jak możesz nie wiedzieć, czego chcesz?

- Zazwyczaj chcę każdego, który zechce mnie.

- Jezu, jakie to żałosne. Nic dziwnego, że pracujesz z nieudacznikami.

- Ty też z nimi pracujesz.

- Uh - uh. - Potrząsnęła włosami, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z tego, jak powiewały wokół jej głowy. - Dla mnie tylko młodociani. Mają jeszcze szansę.

- Dobrze. Ty jesteś cholerną Matką Teresą sądu, a ja neurotyczką. No to

co, uważasz, że powinnam do niego zadzwonić?

- Uważam, że powinnaś do niego zadzwonić.

Zanim zdążyłam zapytać dlaczego, wszedł mój klient Jesse. Miałam go przyjąć po lunchu, ale teraz uniósł tylko dwa palce na przywitanie, cały wyluzowany, ledwo zwracając na mnie uwagę.

- Kto to? - zapytała Valerie.

- Jesse. Ten, który zdobył zaświadczenie o ukończeniu szkoły średniej. Teraz zapisał się do technikum w Bunker Hill.

- Uniosłam brodę w geście powitania. - Czyli, że nie tylko młodociani mogą się zmienić.

- Zobaczymy. - Zgniotła serwetkę i rzuciła na talerz, mimo że zjadła może dwa kęsy. Wepchnęłam do ust resztki swojej szybko zjedzonej kanapki.

- Zadzwoń do Michaela - przykazała Valerie, gdy wyszliśmy z Dumpy'ego.

Kiedy wróciłyśmy do gmachu sądu, Jesse już czekał i podążył za mną z holu do mojego pokoju, szurając adidasami, by zwrócić uwagę na swą paskudnie zagniewaną minę.

- Niech pani posłucha, pani Zachariah. Mam na głowie inne sprawy, a nie studiowanie takiego gówna jak historia Ronalda Reagana. - Zwalając się na krzesło, Jesse pochwycił

moje wściekłe spojrzenie. - To znaczy takiego czegoś.

Nie zanosilo się na owocne spotkanie. Był poirytowany, naszedł go nastrój typu „podokuczajmy białej kobitce”. Łatwo było go rozszyfrować, ale z uprzejmości pozwoliłam mu myśleć, że coś mu się ze mną uda.

- Jesse, w szkole tak już jest, że nie można wybierać tego, czego się uczysz. Technikum to nie chińska restauracja.

- Bunker Hill to miejsce dla przygłupów.

- To nie może być prawda, ponieważ ty się tam zapisałeś, a jesteś cholernie bystry, wtedy gdy nie jesteś właśnie idiotą.

- Ale powiedziała. - Jesse skrzywił się do swoich butów.

Adidasy lśniły bielą. Nie chciałam wiedzieć, skąd wziął na nie pieniądze.

- Tak, powiedziałam. I jestem twoją kuratorką. A nie twoją matką. Jesse usiadł na krześle jeszcze głębiej i wydał z siebie paskudny rechot.

- Chyba nie, bo nie jest pani zalana i nie robi pani laski każdemu facetowi,



który się napatoczy.

- Usiądź prosto - powiedziałam, bo już mi się robiło niedobrze od tego, że tak się użala nad sobą. - Dorośnij. Nikt się nie będzie nad tobą litował, bo twoja matka pije, a ojciec nie żyje. Tylko dlatego, że ktoś ci wciska kit, marnie wylosowałeś, nie znaczy, że masz się tego trzymać. Odpuść, Jesse. Nikt tego za ciebie nie robi.

Nie jestem przekonana, czy moja gadka na temat niefartu podziałała. Jesse wyszedł, szurając nogami, z taką samą paskudnie zagniewaną miną, z jaką wszedł.

Piwo, wino, burbon; w pociągu do domu prześladowała mnie myśl o alkoholu. Wsiadłam z Green Line na stacji Boston University, a potem powlokłam się mostem łączącym Boston z Cambridge. Płaszcz, który przydał mi się rano, teraz przyklejał mi przepoconą bluzkę do ciała.

Weszłam do pobliskiego supermarketu i kupiłam kanapkę z sałatką z kurczaka, z masą majonezu, prawie taką, jak jadłam na lunch. Coś zdrowszego wymagałoby podejścia do lady, a rozmowa stanowiłaby dla mnie zbyt wielki wysiłek.

Wybrałam najtańszą butelkę wina w Whole Foods i zapłaciłam.

Kiedy podeszłam do moich drzwi wejściowych, zza rogu dobiegły mnie okrzyki Drew i dziewczynek. Oznaczały dobrą zabawę, gry i całe te cudowne rodzinne pierdoły, które miały miejsce za ścianą. Po cichu poszukałam w przepelnionej torebce klucza, niezainteresowana spotkaniem.

Wrzuciłam kanapkę do lodówki, otworzyłam wino i nalałam sobie spory kieliszek. Spojrzałam w lustro i wzniosłam toast za towarzyszkę kolacji.

- Szczęśliwego dnia nieudacznika. - Przysunęłam się bliżej, żeby zobaczyć, jak bardzo postarzałam się od rana.

Skóra mi się łuszczyła w fałdach z boku nosa. Małe złośliwe zmarszczki rosły w oczach, a twarz zaczynała przypominać potrzaskaną porcelanę. Pokręcone od wilgoci loczki wyglądały zbyt młodo i były za długie w stosunku do mojej starej pomarszczonej twarzy. Posłałam pełne nienawiści spojrzenie pogniecionej, pomarszczonej, wysuszonej gębie nieudacznicy w lustrze. Nawet nie mam pieprzonego samochodu.

Nic dziwnego, że Michael mnie odepchnął.

Nie miałam odwagi do niego zadzwonić. Zamiast tego wysłałam mu mejla, którego pisałam i przerabiałam, dopóki nie uchwyciłam pogodnego i swobodnego, w moim mniemaniu, tonu.

Michaelu,

(Żadne „Kochany” - taki początek wydawał mi się za oficjalny, zbyt desperacki).

Czy już za późno, by przeprosić cię za to, że w Nowym Jorku byłam skończonym potworem? Mogę zaproponować kolację jako akt skruchy? Ugotuję coś i postawię wino, z nogami lub bez. Najlepszego. Merry Michael odpowiedział dwadzieścia minut później: Kochana Merry,

Dziękuję za Twoje miłe zaproszenie, ale najlepiej będzie, jeżeli pozostawimy sprawy takimi, jakie są. Jesteś urocza, lecz na tym etapie mojego życia nie pragnę emocjonalnej huśtawki i nie potrafię wykrzesać w sobie umiejętności interpretowania wzlotów i upadków, jakich związek z Tobą by wymagał.

Gorąco pozdrawiam. Michael Gorąco pozdrawiam, rzeczywiście. Szukając desperacko pociechy, nawet słabej, zaczęłam się zastanawiać nad słowem „urocza”. Piękna czy miła? Przypuszczałam, że ma na myśli piękna, nawet jeżeli nie dostatecznie piękna, żeby przeważać „emocjonalną huśtawkę”. Miła na pewno nie jestem.

Pieprzyć go.

Nalałam sobie trzeci kieliszek wina i skubnęłam trochę kanapki, odkładając ją między kęsami, żeby znaleźć pilot.

Dopiłam wino i wzięłam telefon. Wiedziałam, czego potrzebuję.

Ostatni raz spałam z Quinnem wiele miesięcy temu, kiedy pojechaliśmy wzdłuż wybrzeża do motelu tak daleko, że gdybyśmy chcieli, to moglibyśmy zejść pieszo do Kanady.

Starał się, aby wyjazd zapowiadał się romantycznie, ale kiedy dojechaliśmy na miejsce, przekonałam się, że atmosfera była jedynie anonimowa. Zostaliśmy na dwie noce, pieprząc się szaleńczo raz po raz, bo udawaliśmy, że to oznacza namiętność.

A teraz był z powrotem w moim łóżku. Pewnie powinnam czuć się z siebie dumna; ograniczyłam swojego świra na tle żonatych mężczyzn do trzech razy w roku.

Quinn położył się na mnie i zsunął ramiączka mojej czarnej koszuli. Piersiami dotykałam jego klatki, kiedy wszedł

we mnie. Oplotłam go nogami, prawie go nie czując, bo tak mnie otępiło wino. Orał aż do finiszu, szczytując gorącym pulsowaniem. Powietrze owionęło mi policzek kiedy mnie uwolnił z prawie niedosłyszalnym jękiem. Uczuciowe kaleki.

Oboje.

- Chcesz czegoś? - zapytał po chwili, grzebiąc słowa w zagłębieniu mojej szyi.

Miał na myśli, czy doszłam. - Jest okej.

Quinn uważał mnie za taką, na jaką wyglądałam na pierwszy rzut oka. Nigdy się nie przejmował moją tak zwaną emocjonalną huśtawką. Podniósł się na rękach i zsunął się ze mnie tak, by mógł gapić się na sufit. Zakrył oczy ramieniem w swojej postkoitalnej strusiej manierze. Skoro mnie nie widział, to nie wyrządził krzywdy swojej żonie. Modus operandi Quinna.

- Nie najgorzej jak na faceta w moim wieku, co?

- Jeżeli ci zależy na komplementach na koniec, to chyba musisz się bardziej postarać.

Sięgnęłam ponad nim i wzięłam swój kieliszek ze stolika nocnego.

- Jeżeli chcesz orgazmów, to może nie powinnaś tyle pić.

Dopiłam kilka ostatnich łyków.

- To nigdy nie stanowiło przeszkody. Może się starzejesz.

- A może to ty się starzejesz. Odwróć się do mnie, zobaczymy. - Przeciągnął mnie na swoją stronę. Quinn zachował jeszcze siłę futbolisty. Przejechał szorstkim kciukiem pod moimi podkrążonymi oczami. - Czy to cieńsza skóra? A to są zmarszczki?

Odepchnęłam go.

- A tu taki flak? - Szturchnęłam go w brzuch. - Widzisz już viagre w swojej przyszłości?

- A ty botoks w swojej? - Odchylił się i wyciągnął ramię, czekając, aż wpasuję się w jego ciało.

- Czy tylko ja wiem, jaka zdzira kryje się pod tą buzią laleczki Kewpie?

- Laleczki? Stary dziadu, stary dziadu. - Nie chciałam, żeby zauważył, jak jego słowa mnie zraniły.

- Spójrz prawdzie w oczy, Merry. Powiadają, że kiedy człowiek się starzeje, ma twarz, na jaką sobie zapracował.

Może to nieprawda. Spójrz na nas, jeszcze piękni, jeszcze przystojni. Może w końcu, masz kogoś, na kogo zasługujesz.

## 26. Merry

Tydzień później, całkowicie pewna, że po raz ostatni wpuściłam Quinna do swojego łóżka, wyczyściłam mieszkanie z najmniejszych śladów, jakie zostawił w moim życiu. Nasze nieliczne zdjęcia włożyłam do niszczarki. Tani medalion, który od niego dostałam, wyrzuciłam. Szklany wazon, do którego wkładałam przyniesione przez niego kwiaty, oddałam na cele dobroczynne.

Zrezygnowałam z mężczyzn. Żonaci, grubi, chudzi, napakowani, mężczyźni ze stali, wrażliwi, głupcy i dandysi; skończyłam z nimi wszystkimi. Poszłam dalej w swym poszukiwaniu oczyszczenia, eliminując alkohol i drażetki m&m's. Zapisałam się na siłownię tylko dla kobiet. Byłam gotowa stać się silną fizycznie i zdrową emocjonalnie. Szłam do pracy, nie mogąc się doczekać zbawiania dusz, i wracałam na haju od mądrych rad, którymi szafowałam przez cały dzień.

Zanim poszłam na górę, sprawdziłam pocztę mejlową.

Wiadomość zaznaczona znajomymi słowami „Więzenie Okręgowe Richmond” świeciła toksycznie pomiędzy rachunkami za kablówkę i wyciągami z karty Visa.

Pozwoliłam sobie na reakcję automatyczną, nalałam do szklanki Jacka Danielsa, by przeleciał przede mną, nie wywołując żadnego działania, i poszłam wziąć z lodówki sok wielowarzywny, pamiętając, o ile lepiej wyglądała moja cera od czasu, kiedy zastąpiłam nim alkohol.

Rozważałam

rozsmarowywanie

na

twarzy

tego

krwistoczerwonego płynu, dopóki nie zacznę wyglądać na dwadzieścia lat.

Przykucnęłam przy lodówce, odwlekając przeczytanie listu do chwili, kiedy jedzenie będzie mogło mi posłużyć za tarczę obronną. Na dolnej półce znalazłam miskę pomidorów kurczących się w kałuży oliwy, octu i listków kolendry.

Powąchałam tę smutną mieszankę i nabrałam ją widelcem, licząc na to, że

ocet zadziała jako naturalny wróg bakterii pochodzących z jedzenia.

Potem otworzyłam list ojca.

Kochana Merry!

Jesteś ostatnio zbyt zajęta, żeby odwiedzić swojego starego ojca? Masz nowego faceta? Mało tego, że nie widziałem cię od października, to jeszcze dostałem od ciebie tylko kartkę. Nawet nie list, ale kartkę ze sklepu. Całe wieki nie widziałem zdjęć dziewczynek, a w ich wieku pewnie rosą jak na drożdżach.

Mój ojciec, ekspert od okresów dzieciństwa.

Mniejsza z tym. Dobre wiadomości. Już niedługo zobaczę dziewczynki na własne oczy. Wychodzę w marcu!!!

Wiem, że myślałaś, że to nigdy nie nastąpi, ale lata dobrego zachowania wreszcie zaowocowały. Więzienia są zbyt zatłoczone, więc pozbywają się takich starych gostków jak ja (ha, ha!), żeby zrobić miejsce dla zbiorowych gwałcicieli i dilerów. Roi się tu od szumowin. Te młode szczeniaki nie okazują żadnego szacunku. Dobrze im tak. Ich strata, mój zysk.

Łyknęłam jeszcze jedną szklankę soku warzywnego.

A więc wychodzę, mimo że mój wyrok kończy się dopiero za osiem lat. Musisz natychmiast przyjechać. Dzwoniłem do ciebie kilka razy (choć muszę czekać godzinę w kolejce pełnej idiotów), ale ciebie nigdy nie ma w domu, a nie chciałem zostawiać tej wiadomości na sekretarce.

Słoneczko, musimy porobić plany. Nawet nie wiem, jak duże jest twoje mieszkanie. I muszę się pogodzić z Lulu.

Zmusz ją, żeby tu przyjechała. Przyjedź podczas tego weekendu, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Dowiedz się też, jacy są optycy w Bostonie, ponieważ moje zwolnienie warunkowe musi być przeniesione do Massachusetts i potrzebuję listę miejsc, w których mogę szukać pracy. I o innych sprawach.

Przy twoich znajomościach, to nie będzie trudne.

Ogarnął mnie strach, centymetr po centymetrze płynął w moich żyłach jak nowokaina, w jakiś litościwy sposób paraliżując mnie.

Nie miałam do kogo zadzwonić ani komu o tym powiedzieć. Lulu musiałabym najpierw przygotować, a Drew, jedyna zorientowana poza nią osoba na całym świecie, musiał

być wobec niej lojalny. Drew pomoże mi zająć się Lulu, ale nie pomoże mnie.

Potarłam palcem pierś. Zataczając się, weszłam do łazienki i otworzyłam szafkę z lekarstwami, szukając w niej ratunku. W końcu za aspiryną i peptobismolem znalazłam butelkę vicodinu, który mi został po zeszłorocznym leczeniu kanałowym zęba. Wzięłam butelkę do kuchni i połknęłam dwie tabletki z sokiem warzywnym.

Co miałam, na Boga, zrobić?

Poszłam do sypialni i upadłam na łóżko nakryte porządną pikowaną kapą. Leżałam twarzą w dół i myślałam o matce.

Wielobarwne obrazy przesłoniły moje wspomnienia. Z

każdym rokiem twarz mamy upodabniała się coraz bardziej do olejnych obrazów Matki Boskiej okalających salę w Duffy.

Wspomnienia z dzieciństwa dobywały się zza vicodinu i soku. Wyobraziłam sobie białe tabletki rozkładające się w moim żołądku i nasiąkające czerwonym płynem. Modliłam się, żeby rozpuściły się jak najszybciej i otępiły mnie.

Mama krzyczała i krzyczała, podczas gdy ja leżałam na łóżku jak martwa. Podarłam szenilową kapę mojej matki, kiedy ojciec rozrywał mi skórę. Po przejmującym bólu przyszła wilgoć. Tata próbował mnie przytrzymać rękami mokrymi od krwi. Nadciągnęły ciemności i więcej już nie pamiętam, aż do momentu, gdy w wielkim szpitalu, gdzie leżałam sama przez całe wieki, zjawiała się Lulu i dała mi maleńką laleczkę.

Lulu.

Jak miałam jej powiedzieć?

W piątek zabrałam ją, żeby coś zjeść w Delfino. Tylko my dwie, wspólne wyjście sióstr.

Lulu wskazała ruchem głowy na mój kieliszek z winem.

- A co z detoksem?

-

Ze

wszystkim

można

przejąć, nawet ze

wstrzemięźliwością. Możemy zamówić?

- Jesteś taka nerwowa. Co się dzieje? Od kilku dni. -

Światło świec rzucało cień na rozluźnione winem rysy Lulu.

Odgryzła koniec paluszka chlebowego.

Przyjrzałam się bliżej karcie.

- Po prostu jestem głodna. Zamówmy, a porozmawiamy potem. Lulu uśmiechnęła się znacząco.

-

Widzisz. Wiedziałam, że musimy o czymś porozmawiać. - Włożyła okulary do czytania, zadowolona, że udało się jej odkryć prawdę.

Ściągnęłam wzrokiem kelnera i uniosłam palec w kierunku swojego pustego kieliszka. Lulu, ta od kieliszka jeszcze w połowie pełnego, zauważyła to i wytrzeszczyła oczy.

- Dwa drinki przed kolacją?

- Myśl sobie, co chcesz, okej?

- Dobrze, dobrze. Jesteś już dużą dziewczynką. - Lulu wzięła swoją kartę, przez chwilę się jej przyjrzała, a potem odłożyła. - Ale miło było widzieć, jaka jesteś zdrowa.

O mało nie walnęłam pięścią w szklany stolik, widząc już przed oczami strzaskane szkło, płynącą krew. Zamiast tego uśmiechnęłam się.

- Robią tu świetne cannelloni.

Mała

restauracyjka

sprzyjała

intymności.

Przyprowadziłam tu siostrę tak jak mężczyzna mógłby zabrać tu dziewczynę, nerwowo, potrzebujący jej miłości. Miałam nadzieję, że świece, purpurowe ściany, szklane stoliki przykryte przezroczystymi obrusami z koronki sprawią, że Lulu zatęskni za naszą podwójnością. Lulu i Merry przeciwko światu; nikt między nas nie wejdzie. Proszę, panie Boże.

- Dobrze, może być. Wezmę cannelloni - oznajmiła Lulu. -

A w ogóle to jak znalazłaś to miejsce? Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć w sąsiedztwie.

To Quinn pokazał mi Delfino. Wystarczająco oddalone od jego domu w południowym Bostonie, było dla nas idealne.

- Nie wiedziałaś, że istnieje Roslindale? - powiedziałam.

- Jasne, że wiedziałam. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że są tu świetne restauracje. Nauczyłam się czegoś od ciebie. - Uniosła w moją stronę kieliszek. - Twoje zdrowie.

- Za nas - odparłam, stukając się z nią.

- Za nas - zgodziła się i pociągnęła łyk. - Jak miło.

Żadnych dzieci. Żadnej papierkowej roboty. Dobrze raz na jakiś czas pobyć we dwie.

- Mówiłam ci.

Podczas głównego dania i deseru rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. Potem zachciało mi się koniaku, sambuki, czegokolwiek, i liczyłam na to, że Lulu też po kolacji napije się czegoś mocniejszego.

- Chodźmy do mnie - powiedziałam. Chcę ci coś pokazać.

Kupiłam butelkę benedyktyнки z koniakiem. - Mocny likier rozluźniał Lulu.

- Czuję się, jakbym była na jakiejś perwersyjnej randce.

Chcesz mnie upić?

- Kocham cię, Lulu.

- Ja ciebie też kocham. - Roześmiała się, jak zwykle nie czując się komfortowo z obnażonymi emocjami.

- Pamiętasz jak przyszedłaś do szpitala? Zaraz po tym?

- Przeszłam chyba ze sto przecznic. - Lulu oskubała kapiący wosk ze świecy stojącej między nami. - Musiało być wtedy ze czterdzieści stopni.

- Ocaliłaś mi życie.

- Niezupełnie. Kupiłam ci tylko tanią laleczkę czy coś takiego.

- Tak długo byłam sama. Mimi Rubee przyszła tylko raz.

- W dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że nikt cię nie odwiedził. - Zachmurzyła się na wspomnienie i skrzyła serwetkę w węzeł.

- Chyba wszyscy byli za bardzo oszołomieni, by o mnie pamiętać. Babcia pewnie dzień i noc siedziała przed bramą więzienia, czekając, by jej pozwolono zobaczyć się z tatą. A Mimi Rubee chyba całkiem ześwirowała.

- Wszystko jedno - upierała się Lulu. - Ktoś powinien był przyjść.



- Może każdy pomyślał, że ktoś inny to zrobił. -

Zmiotłam okruszki tortu czekoladowego na kupkę, potem na otwartą dłoń i strząsnęłam na swój talerzyk deserowy.

- Sądzę, że nikt nawet nie myślał o nas na tyle długo, by się zastanawiać, czy ktoś się nami zajmuje.

- Ty się zajmowałaś mną i nami - odparłam. - Nawet nie wiem, czy ci kiedykolwiek podziękowałam.

Lulu strząsnęła z siebie moje słowa.

- Miałyśmy tylko siebie.

- I Anne Cohen. Nie sądzisz, że jej na nas zależało? Lulu oparła podbródek o zaciśnięte pięści.

- Nie - powiedziała po długiej ciszy. - Gdyby tak było, upewniłaby się, że ktoś się nami zajmie po jej śmierci.

Zrobiłabyś tak dla swoich dzieci. Anne chciała nas kochać tak samo jak je, ale nie potrafiła i dlatego czuła się z tym okropnie.

- Pewnie dlatego zawsze mi kupowała te drogie ciuchy. -

Przypomniałam sobie krótki okres, kiedy czułam się bogata. -

Ty jej pozwalałaś, żeby ci dawała tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

- Nie chciałam się przyzwyczajać do czegoś, czego nie mogłam zachować. - Rozpuszczone włosy Lulu przypominały mi, jak była nastolatką. Flanelowa koszula i ogrodniczki ukrywające, jaka była chuda, wielkie tupiące czarne buciory na wibramach, manifestujące jej gniew za każdym razem, kiedy wkraczała do pokoju.

- Czy kiedykolwiek czułaś się bezpieczna? Lulu objęła się ramionami.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, bezpieczna. Bo ja chyba nigdy.

Lulu nie odpowiedziała. Łagodność opuszczała ją, kiedy zbliżyliśmy się do niewypowiedzianych słów. Ten Dzień.

Wtedy. On. Ona.

- Bo ja nigdy tak się nie czułam - ciągnęłam, mimo że milczała - i zastanawiam się nad tobą. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby któraś z nas obudziła się rano szczęśliwa. Może ty, ze względu na Drew i dziewczynki.

- Nigdy nie byłaś szczęśliwa? - spytała.

- Nie wiem.

Lulu zebrała włosy z tyłu głowy.

- Ja też nie wiem. Nie wiem, jak czują się normalni ludzie. Od tego dnia zawsze się wszystkim przyglądałam, szukając wskazówek, jak się właściwie zachować. Jak wyglądają ludzie szczęśliwi?

- Co robią ludzie bezpieczni? Jak podejmują decyzje? -

Zabrałam potwierdzenie zapłaty kartą. - Chodź. Czas na benedyktynekę z koniakiem.

- Brzmi świetnie - powiedziała Lulu. - I dziękuję za kolację.

- Dziękuję za życie.

Ręce Lulu trzęsły się, kiedy czytała list ojca. Przyglądałam się jej twarzy, aby odnaleźć w niej jakieś zwiastuny mojej przyszłości. Na jej twarz wystąpiły czerwone plamy. Prawą stopą rysowała kółka czy kwadraty, nie widziałam dobrze. Po tym jak powinna była skończyć czytanie kilkunastu linijek, które tata napisał, długo jeszcze wpatrywała się w list.

- Chcesz się czegoś napić? Trochę wody? - spytałam, zaspokajając swoją potrzebę mówienia, by się powstrzymać od rzucenia się na nią. Pomożesz mi? Co powinnam zrobić?

Co teraz będzie?

- Mogłabym go zabić. - Jej twarz stała się pusta. Oto Lulu, która mieszkała w Duffy i u Cohenów. - Za kogo on się uważa?

- Uspokój się - powiedziałam. - Coś wymyślimy. Lulu nie patrzyła na mnie.

- Tu się nie da nic wymyślić, Merry.

- Co z tym wszystkim o czym on mówi? O co prosi? Co mam zrobić? Pogmiotła list i rzuciła na podłogę.

- To masz zrobić.

Przysunęłam kolana tak blisko piersi, jak tylko mogłam.

- Nic. Nie będziesz się nim zajmować. - Podkreśliła każde słowo, wskazując na mnie palcem. - Słyszysz?

Skurczyłam się w sobie, desperacko próbując znaleźć słowa, po których będzie lepiej. Bezpieczniej. Nie będzie wściekła.

- Lu, wszystko będzie dobrze.

- Dobrze? - Jej urywany śmiech sprawił, że musiałam dotknąć piersi. - Spójrz na siebie. Już jesteś wrakiem. Jezu, na Boga, Merry, nie mów mi, że nawet przez chwilę pomyślałaś o sprowadzeniu go tutaj. - Zanim zdążyłam powiedzieć choć jedno słowo, Lulu ciągnęła dalej. - Ten człowiek nie zbliży się do mnie i do mojej rodziny na dziesięć tysięcy kilometrów.

- Myślałam, że jestem częścią twojej rodziny -  
powiedziałam szeptem.

- Jasne, że jesteś. Daj mi chwilę, żeby to przetrwać. -

Schyliła się i podniosła pognieciony list, potrząsając nim w moją stronę. - Zaraz, zaraz, kiedy go dostałaś?

- Kilka dni temu.

- Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś.

- Wiesz sama, jak on na ciebie działa.

- Jak na mnie działa? - Zaśmiała się. - A czego się spodziewałaś? Jak ma na mnie działać? Powiedz mi, jak ma na mnie działać?!

- Nie krzycz - poprosiłam. - To nie moja wina.

- Zadowolona? Czy nie o to zawsze błagałaś? „Lulu, napisz do niego list. Zadzwon do niego, Lulu. Odwiedź go, Lulu. Napisz do komisji zwolnień warunkowych”.

- Nigdy nie prosiłam, żebyś pisała listy do komisji.

- Ale ty listy pisałaś, prawda?

- Nie wiedziałam, co mogę innego zrobić. Nie umiałam powiedzieć nie.

- Świetnie! Teraz wasze życzenie się spełniło. - Rzuciła z obrzydzeniem papier na ziemię i wytarła rękę o bluzę, jakby dotknęła czegoś brudnego.

- Nie... - przesunęłam się bliżej krawędzi kanapy, trzymając poduszkę i koncentrując się na znajomych przedmiotach, żeby się uspokoić. Grube nieprzeczytane książki. Nieotworzone nawet czasopisma błyskające obietnicami. Mrugająca kablówka.

- Co, nie...? - spytała Lulu. - Widzisz? Dlatego trzymałam się od niego z daleka. Żeby mnie to gównem nie wciągnęło.

Odrzuciłam poduszkę.

- Mogłaś się trzymać z daleka, bo ja tam byłam.

- Gówno prawda. Co chcesz przez to powiedzieć?

- Od samego początku musiałam się nim zajmować.

Musiałam być dla niego rodziną, kiedy ty robiłaś, co chciałaś.

Babcia nie wlokła cię co tydzień do więzienia. Nikt cię nie mógł do niczego zmusić.

- Taka byłam wyjątkowa? Na Boga, Merry. Kto był małą księżniczką? Taką śliczniutką, że Anne ubierała cię jak swoją osobistą laleczkę Barbie?

- Myślisz, że tego chciałam? Być pupilką? Dławiłam się.

Dusiły mnie potrzeby innych ludzi, a ty w tym czasie zostałam lekarzem. Wyszłaś za mąż. Masz dzieci. Masz przyszłość, Lulu.

- W każdej chwili mogłaś się od niego uwolnić. Błagałam cię o to.

- A ja cię błagałam, żebyś mi pomogła. - Podeszłam do Lulu i wzięłam ją za rękę, przesuwając kciukami po kostkach palców i skórze szorstkiej od ciągłego mycia mydłem dezynfekującym. Przytuliłam jej dłoń do swej piersi.

- Pomóż mi, Lu. Sama sobie nie poradzę. Co mam robić?

Pomóż mi.

## 27. Lulu

- Drew? - Położyłam delikatnie rękę na jego ramieniu, nie chcąc go budzić i desperacko pragnąc go obudzić. W naszej sypialni było ciemno, jeżeli nie liczyć migających wiadomości z jedenastej wieczorem.

- Hmm. - Odwrócił się na bok, twarzą do mnie, z mniej obcym wyrazem twarzy niż podczas ostatnich kilku tygodni, od czasu naszej kłótni. Jeszcze na wpeł spał, czy był gotów już odpuścić?

Zgodziliśmy się wysłać Cassandrę do terapeuty i od tej pory zapanowało między nami ostrożne odprężenie.

Stąpaliśmy po polu minowym, zgadzając się nie zgadzać.

Najpierw uległam sugestii, by wysłać ją do terapeuty, pomimo moich obaw. Potem, kiedy w końcu mnie do tego przekonał, Drew zaczął marudzić na temat swoich. Przyszło mu do głowy, że jeżeli nie wyjawimy terapeutce prawdziwej historii naszej rodziny, namieszamy Cassandrę w głowie i skrzywdzimy ją bardziej, niż jej pomożemy.

W końcu uległ moim gorączkowym argumentom, by pozostawić sprawę tak jak teraz.

- Nie śpisz? - spytałam.

- Teraz już nie. - Uśmiechnął się. Dotknął mojego ramienia i odepchnął mnie lekko.

- Z uniesionymi ramionami wyglądasz jak Nixon. Co się stało?

Ucisnęłam palcami skronie, a potem dotknęłam ust. Drew odsunął moją rękę.

- Kochanie, co się stało?

- On wychodzi. - Nie musiałam więcej wyjaśniać. W

naszej rodzinie był tylko jeden on. - Merry mi właśnie powiedziała.

- Boże. To stąd ta kolacja. - Drew usiadł i kolistym ruchem pomasaował mi plecy. Kochałam go za to, że przewalczył senność, a nie starał się pociągnąć mnie w nią za sobą. - Czego teraz potrzebujesz?

- Płatnego mordercy. - Skrzyżowałam ramiona. - Merry chce, żebym jej w tym pomogła.

- Właściwie w czym?

- W tym, że będzie chciał się tu sprowadzić. - Bolało mnie ramię. Lekarzu, ulecz się sam. Rozpoznałam objawy stanu lękowego. Wydrapałam sobie na ramieniu NIE, NIE.

Drew uniósł moją twarz, tak bym na niego spojrziała.

Popatrzył mi prosto w oczy. Wziął mnie za rękę.

- Nie jesteś sama. Nie jesteś małą dziewczynką.

Przejdziemy przez to. Razem. Obiecuję.

Z trudem łapałam krótki, kłujący oddech. Kołysałam się w atawistycznym rytmie samopocieszenia.

- Lulu, nikt cię nie skrzywdzi. Nikt nikogo nie skrzywdzi.

- Przysunął się bliżej. - Nie jesteś sama. Nigdy nie pozwolę, żebyś została sama.

W budynku Centrum Opieki Medycznej Cabota roilo się od pacjentów, którym zależało na diagnozie jeszcze przed Świętem Dziękczynienia zaczynającym się za trzy dni. W

domu Cassandra nie mogła usiedzieć na miejscu. Iskrzyło od niej terapią. Zbliżające się zwolnienie ojca zważyło się na nas jak ponury żart. Merry oklapła pod jego ciężarem. Jej oczy błagały o pomoc, choć nie poruszała tego tematu. My z Drew odzyskiwaliśmy naszą bliskość, ale jego nieustanne pilnowanie Cassandry przypominało mi, jak chwiejnym oparciem dla nas wszystkich stały się moje kłamstwa.

Cieszyłam się, że jestem w pracy.

Przed drzwiami gabinetu, w którym miałam zbadać Audrę, przeglądałam jej kartę, aby odwlec to, co nieuniknione.

Eksperymentalne leki powstrzymywały przerzuty raka, ale jednocześnie powodowały uszkodzenie tkanki serca.

- Wpadłam, żeby przywitać się z Audrą. Jest gotowa i się denerwuje. - Sophie, przechodząc, postukała w moje ramię teczką jakiegoś pacjenta.

- Wiem. - Zabrzmiało to kwaśno.

- Wiem, że wiesz - odparła Sophie. - A wiesz też, że nie jesteś odpowiedzialna za jej każdy oddech? Twój kompleks lekarza - Boga wymyka się spod kontroli. Proszę, wyluzuj.

Wyglądasz jak widmo.

Spochmurniałam, wpatrując się w kartę i szukając w niej cudu.

- Lubię Audrę.

- Ja też ją lubię. Chcę, aby żyła. Chcę, by wszyscy nasi pacjenci żyli, ale ona kosztuje cię zbyt wiele. Co się stało?

Odkąd dowiedziałam się, że ojciec wychodzi, przewalały się we mnie sceny z dzieciństwa. Nawet teraz, kiedy trzymałam w ręku kartę Audry, słyszałam, jak ojciec stuka do drzwi. Czułam metaliczny odór krwi zmieszanej z piwem.

- To nic - powiedziałam. - Niedawna śmierć męża Audry.

Jej dzieci, to wszystko... Nic, nic.

Sophie nawet nie udawała, że słucha mojego bezładnego tłumaczenia.

- Zabaw się podczas weekendu, dobrze? Masz całe cztery dni. - Jasne, jeden dzień gotowania i trzy sprzątnięcia.

- Przynajmniej nie mieszkasz z potworami. Wyobraź sobie Święto Dziękczynienia z moimi chłopakami - prychnęła.

- Racja. - Zastukałam cicho do gabinetu przed wejściem. -

Czasami zapominam, jakie mam szczęście.

Kości policzkowe Audry wyostrzyły się jak u kościotrupa.

Przez łamliwe rude włosy prześwitywały piegi. Z nadmiaru pigmentu na klatce piersiowej wystąpiły ciemne plamy. Żaden z tych tymczasowych skutków ubocznych terapii Audry nie martwił mnie zbyt wiele, chociaż nie byłam już taka spokojna o jej osłabiony lekami mięsień sercowy.

Dotknęłam lekko jej ramienia.

- Jak się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- Powiedzieli, że rozrost raka spowolnił. To dobry znak, prawda? Sięgnęłam po słuchawki, a ona zsunęła szpitalną koszulę na tyle, bym mogła zobaczyć wystające gruczoły ramion.

- Tak. To wspaniała wiadomość. - Ogrzałam stetoskop, a potem przyłożyłam do jej pleców. - Oddychaj. Wstrzymaj oddech. - Utrudniony oddech i zwolniony rytm serca brzmiał

podobnie jak w zeszłym tygodniu.

Zaczekała, aż skończę ją osłuchiwać, by zadać mi pytanie.

- Ale z moim sercem jest gorzej?

- Nie zauważyłam żadnych zmian od ubiegłego tygodnia.

Chociaż schudłaś o pół kilo.

Wzruszyła ramionami.

- Prawie nie jem, a jeżeli już, to wymiotuję albo wylatuje ze mnie drugim końcem.

Ucisnęłam kostki, sprawdzając, czy nie ma obrzęków, które wskazywałyby na pogarszający się stan serca.

- Nie jesteś opuchnięta. To dobrze.

- Tracy, najmłodsza, jest wściekła. Uważa, że ta terapia mnie zabija. Może do ciebie zadzwonić? - Ponieważ natychmiast nie odpowiedziałam, Audra złapała mnie za ramię, dłonią chudą i kościstą jak kleszcze. - Proszę. Zależy mi, żebyś z nią porozmawiała. Potrzebuje otuchy, a boję się, że nie potrafię jej wytłumaczyć, by się nie martwiła. A doktor Denton... daj mu Boże zdrowie, to nie jego para kaloszy.

- Nie mogę powiedzieć twojej córce, że ma się nie martwić. Ale sprawa nie jest beznadziejna.

Prawie całą twarz Audry pochłonął uśmiech.

- No i to jej powiesz.

- Co robiłyście z ciotką Merry w Święto Dziękczynienia, jak byłyście sierotami? - zapytała Cassandra. Dziewczynki wpatrywały się we mnie wielkimi oczami, po raz kolejny myśląc mnie z Anią z Zielonego Wzgórza.

Merry dołała sobie wina, a potem pokazała butelkę Drew, który kiwnął głową. Wytrzeszczyłam oczy tak szeroko, jak moje córki. Wino, tutaj proszę.

- Kiedy mieszkaliśmy u Cohenów - powiedziałam -  
ucztowaliśmy tak jak my dzisiaj.

- Kto przychodził? - Cassandra przyglądała mi się oczami jak lasery, spragniona wiadomości o moim dzieciństwie. Od czasu, kiedy zaczęła chodzić do terapeutki, było coraz gorzej.

Kto, dlaczego, kiedy, gdzie. Żaden szczegół nie wydawał się mojej córce za mało ważny, by go nie zanalizować.

- Pomyślmy. Oczywiście Cohenowie.

- Anne i Paul, tak? Doktor Cohen? - spytała Cassandra.

Starłam się przybrać swobodną minę. Moi złoci, przecież to tylko wspominki.

- Tak. I ich dzieci. Już wtedy dorosłe. - Cassandra słuchała, jakby zaraz



miała wyłowić jakąś perełkę. - Wnuki Anne i Paula. Chyba. Prawda, Merry?

- Prawda. - Merry posmarowała bułeczkę masłem i wepchnęła połowę do ust.

- O Boże, mam, nie pamiętasz? - Ruby potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło, moja krytyczna mała królowa piękności.

Cassandra spojrzała na nią jak na nieproszonego gościa.

- Mama przeżyła traumę - Cassandra wydłużyła słowo - sieroctwa.

- Doktor Johanna nauczyła cię słowa trauma! - spytał

Drew. Cassandra pokiwała głową, że tak.

- Powiedziała, że mogłam przejąć traumę mamusi. -

Odwróciła się i spojrzała na mnie z wielkim współczuciem. -

Nie dlatego, że coś zrobiłaś, mamusiu. To się rozgrywa na poziomie nieświadomości. To znaczy, że nie wiedziałaś, że to robisz.

- Chyba masz na myśli podświadomość, kochanie -

powiedział Drew. - Nieświadomie znaczy trochę jak we śnie.

Podświadomie oznacza robienie czegoś bez zdawania sobie z tego sprawy.

- Widzisz, Cassandro? - Ruby uśmiechnęła się z wyższością. - Nie jesteś wcale taka mądra.

- Powiedzmy wszyscy, za co jesteśmy wdzięczni -

przerwała Merry. - Ja jestem wdzięczna za to, że mam niezwykle błyskotliwe siostrzeniczki.

- I ładne. Prawda, ciociu Merry? - Ruby paradowała w sukience z miękkiego aksamitu. Uparła się, żeby ją włożyć, chociaż reszta z nas ubrała się na luzie. Pasowała do opalizującej porcelany, którą Drew nakrył stół. Czerwone wino dla dorosłych i sok żurawinowy dla dziewczynek połyskiwały w irlandzkich kieliszkach z kryształu - prezencie ślubnym od jego krewnych.

- Ładny jest ten, kto ładnie postępuje - przypomniałam Ruby. Bałam się, by moja młodsza córka nie pomyślała, że można się prześlizgnąć przez życie na urodzie i wygrywaniu konkursów pływania. - To, jak traktujesz ludzi, jest ważniejsze od tego, jak wyglądasz.

Ruby odgarnęła jedwabiste włosy, wcale nie wyglądając na przekonaną.

- A ty za co chciałabyś podziękować, mamusiu? Za to, że żyję.

Sączyłam wino, martwiąc się swymi myślami.

- Za to, że mam wspaniałego męża, dwie wspaniałe córeczki i wspaniałą siostrę.

- Mówisz jak ciocia Merry - poskarżyła się Ruby. - Nie wolno małpować. Każdy musi wymyślić coś innego.

- Kto tak powiedział? - spytała Cassandra.

- Taka jest zasada. Nowa zasada. - Ruby uniosła podbródek. - Inaczej to będzie nieprawda.

- Okej - zgodził się Drew. - Ja dziękuję za to, że indyk jest pyszny. Nadzienie mamusi doskonałe jak zawsze, a ciocia Merry upiekła placek z wiśniami i nie muszę jeść dyniowego.

- Nie, tatusiu. - Ruby wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozpląkać. - Musimy traktować to poważnie. Jak w szkole.

- Co powiedziałaś w szkole? - Pokierowałam rozmową tak, by odwrócić uwagę od rodziny i Święta Dziękczynienia u Cohenów, bo mogło to prowadzić do Dziękczynienia w Duffy, gdzie czerwone wieżyczki sosu żurawinowego z puszek, z pozostawionymi przez metal śladami, stały sztywno w wyszczerbionych miskach. Jedynymi dziewczynkami, które w ogóle jadły tę metalicznie kwaśną galaretę, były grubaski, z taką desperacją usiłujące się napchać, że gdyby się dało, wylizałyby puszki do czysta. Zeskrobując z talerzy skromne porcje indyka i wodnistych tłuczonych kartofli, patrzyłyśmy na nasze jedzenie, jakbyśmy się wstydziły, że ktoś zobaczy, że świętujemy w tak marnym towarzystwie.

Ruby nadeła się, taka poczuła się ważna.

- Ja oczywiście powiedziałam, że dziękuję za swoją rodzinę, ponieważ mnie tak kocha. I że dziękuję za to, że nikt nie zginął jedenastego września w World Trade Center. I że Osama Laden nie przyjechał do Cambridge.

Może lęki Cassandry nie miały nic wspólnego ze mną czy moim podświadomym zatruciem jej umysłu. Może to 9/11

stanowiło nasz problem. Wszystkie dzieci spodziewały się teraz katastrofy. Nie musiała się narodzić na naszym frontowym ganku.

- To pięknie, Ruby - powiedziała Merry.

- A ty za co dziękujesz, tatusiu? I nie mów, że za jedzenie - ostrzegła

Cassandra.

Drew odłożył nóż i usiadł wygodniej.

- Wszystko, za co dziękuję, znajduje się w tym pokoju.

Naśladowanie czegoś dobrego, Ruby, jest w porządku.

- Tatuś doskonale to ujął. A teraz zjedźmy ten posiłek, za który jesteśmy tak wdzięczni - zaproponowałam. Kocham cię, Drew. Ratujesz mnie.

Cassandra nabrała na widelec trochę nadzienia. Jej roztrzęsiona mina zapowiadała czułościowe łyzy.

- Mamusiu, czy jeszcze się czujesz jak sierota? Myślisz cały czas o matce i ojcu?

Jezusie, Mario i Józefie, ratujcie mnie przed moją przeszłością. Przyszłości naszej powszedniej daj nam dzisiaj.

Boże, spraw, żebym wiedziała, co odpowiedzieć. Obdarz mnie przeszłością pełną pokoju. Chcę odpocząć.

- Czasami o nich myślę - zdołałam odpowiedzieć. - Nie zawsze.

Cassandra przechyliła głowę w bok, w oczach odmalowało się zrozumienie, które ją podekscytowało. Bez wątplenia, więcej mądrości doktor Johanny nada naszemu życiu kolorytu.

- Czy rozmowa o nich jest dla ciebie bolesna? Żyją w twoim sercu, więc zawsze masz ich przy sobie. Prawda? Więc jesteś okej. Prawda?

Wypiłam pół szklanki wody, by słowa mogły wyjść z moich suchych jak pergamin ust.

- Jasne, że jestem okej.

- Czyli wszyscy jesteśmy okej. Prawda? - dociskała Cassandra. Ruby, jak w zwolnionym filmie, ugryzła bułeczkę.

Okruchy spadały na obrus, podczas gdy ona czekała na moją odpowiedź. Pomimo wszelkich kłótni dziewczynki żyły w świecie emocjonalnego pierworództwa i osąd Cassandry miał

decydujące znaczenie.

Drew położył płasko dłonie, przyciskając rozłożone w wachlarz palce do stołu.

- Jesteśmy okej. Smutno nam, że rodzice mamusi i cioci Merry zmarli, ale to była tragedia, jaka zdarza się raz w życiu.

Nam nic nie grozi.

Drew wypowiedział ostatnie słowa z większą dozą stanowczości,

niż

pewnie

zamierzał.

Dziewczynki

podskoczyły jak nerwowe kocięta.

Drew uśmiechnął się, żeby zneutralizować swoje ponure przesłanie i nałożył sobie górę nadziei na pełny talerz.

-

Wkrótce będziemy obchodzić święta Bożego Narodzenia i dostaniecie milion prezentów od babci i dziadka Wintersonów. Nie mówmy już o przeszłości. Skupmy się na tym, co będzie, dobrze?

Wzięłabym sobie jego słowa do serca. Żyjmy dniem dzisiejszym, zanurzymy się w teraźniejszości. Kogo obchodzi, że to zabrzmiało jak jakieś głupoty rodem z New Age. Muszę zaprzestać zarażania strachem i grozą, świadomie czy nie.

Może podświadomie karmiłam dziewczynki ponurymi bajkami rodziny Zachariah. Oduczę się tego. Nigdy więcej nie będę czekać u drzwi na czarnego luda.

Przez dwa tygodnie udawało mi się dotrzymać przyrzeczenia. Śpiewałam szczęśliwą piosenkę. Budziłam się przed Drew, przynosiłam mu kawę, a potem budziłam dzieci, promieniejąc świeżo narodzoną beztroską matczynością.

Kręciłam się w kółko, unikając sam na sam z Merry - nie mogłam bowiem udźwignąć świadomości, że nie powinnam zostawiać jej samej, nie dbając o nic - tak wielka była moja potrzeba, by znaleźć się jak najdalej od koszmaru zwolnienia ojca.

Merry szanowała moją przestrożę, że ma mi pozwolić powiedzieć o wszystkim Drew wtedy, gdy uznam to za stosowne, ale jeszcze jej nie powiedziałam, że powiedziałam jemu. Wtedy stałoby się to prawdą.

Wypchnęłam ojca z pamięci i żyłam w infantylnym świecie ciasteczek ze szklanką mleka.

W trzeci poniedziałek grudnia posypałam się. Wszyscy obudzili się w gorączce niepokoju. Ruby miała oddać wypracowanie na temat przeczytanej

książki, a jeszcze nie pokolorowała ani tylnej, ani przedniej okładki, ani nie spięła ich

zszywkami.

Cassandra

potrzebowała

prezentu

urodzinowego na jutrzejsze przyjęcie i bała się, że o tym zapomnimy. Drew miał spotkanie z klientem i szansę na zilustrowanie nowej serii książek dla dzieci na poły sławnego autora. Cały weekend spędził na szkicowaniu różnych wersji jakiegoś magicznego plemienia walczącego o środowisko wiewiórek. Wydawało mi się, że wyglądają świetnie, ale on raz po raz dodawał i odejmował, jeszcze jedno źdźbło trawy, jeszcze jeden żołądź.

Jeśli chodzi o mnie, to Audra przeszła incydent sercowy i podczas weekendu wożono ją tam i z powrotem na intensywną terapię. Jej dzieci atakowały mnie telefonami, nękały o rokowanie, którego mogły się spodziewać, chcąc, abym była i lekarzem, i wróżbitą. Denton wyjechał i nie było onkologa pod telefonem, który podjąłby decyzję, czy przerwać terapię lekiem przeciwrakowym. Decyzja mogła ją jednocześnie ocalić i zabić. „Ty ją znasz najlepiej” - powiedział ostatni onkolog.

- Lu, słyszysz mnie? - Co?

- Nie zapomnij, że to ty odbierasz dzisiaj dzieci. - Drew wyglądał na zdenerwowanego. - Zadzwoń, żeby ci przypomnieć.

- Naprawdę myślisz, że mogłabym zapomnieć je odebrać?

- Patrzyłam jak dziewczynki siorbią płatki z mlekiem. Wyraz twarzy Ruby świadczył o tym, iż wierzy, że wszystko, co złe, jest możliwe, podczas gdy Cassandra trzymała się swego wizerunku typu „Doktor Johanna mówi, że wszystko jest okej”.

-

Muszę

skończyć

okładkę

wypracowania

-

zakomunikowała Ruby.

- Nastawię zegarek, żeby zadzwonić i przypomnieć ci, Lu - powiedział Drew.

- Na litość boską, będziesz w połowie prezentacji -

odparłam. - Dziewczynki, pospieszcie się. Musimy zaraz wychodzić.

- Mogę go nastawić na wibrowanie. To nie jest oficjalna prezentacja.

- Jeszcze nie skończyłam okładki - krzyknęła Ruby. - Nikt mnie nie słucha!

- Nie można cię nie słuchać. Teraz posłuchajcie mnie.

Wszyscy. - Wskazałam na Cassandrę, która otworzyła usta, bez wątpienia chciała się upewnić, że jej potrzeby znajdują się na liście. - Cicho, Drew, odbiorę dzieci. Skup się na tym, żeby się dobrze sprzedać. Ruby, maszeruj natychmiast do salonu i kończ; tatuś zaraz ci przyjdzie pomóc. Cassandra, po drodze ze szkoły do domu zatrzymamy się w Galerii Cambridge Side.

- Ja też? - zaciekała się Ruby. - Mogę dostać zabawkę?

- Wszystko, co zechcesz, kochanie. - Kupowanie moim dzieciom szczęścia było na dziś świetnym rozwiązaniem.

Najmłodsza córka Audry, Tracy, rozsiewała zapach stęchłego dymu papierosowego. Chwyciła mnie za ramię, kiedy próbowałam wycofać się od łóżka matki. Wyniki badań Audry w ciągu ostatnich kilku godzin bardzo się pogorszyły.

Rodzina czekała na onkologa dyżurującego pod telefonem, z którym rozmawiali tylko raz.

- Pani doktor, proszę. - Tracy wbiła we mnie spojrzenie swoich jasnoniebieskich oczu. - Proszę zostać, dopóki nie przyjedzie. Tak trudno się z nim rozmawia, zastrasza nas. Pani jednej mama ufa.

- Przestań, Tracy - przerwała jej Audra cichym głosem. -

Jesteś niegrzeczna.

- Mamo, nie jestem niegrzeczna. - Objęła dłońmi stalową obudowę łóżka. - Powiedz jej, Owen - zwróciła się do brata.

Dzieci Audry odwiedzały ją na zmianę. Miała ich tyle, że z trudem przypomiinałam sobie ich imiona, ale pamiętałam Tracy, tę zasadniczą i emocjonalną.

Owen podniósł się z plastikowego, odlanego z formy krzesła, które zajmował podczas każdej wizyty. Przypomiinał

swojego ojca, jakim go sobie wyobrażałam, dopóki nie zachorował na raka. Ogorzały. Dobrze zbudowany.

- Uspokój się, Tracy. - Otoczył siostrę ramieniem. - Pani doktor, to dla nas bardzo ważne, żeby pani znalazła czas i pomogła nam porozmawiać z nowym onkologiem.

Spojrzał na Audrę, uśmiechając się smutno.

- Pani daje mojej matce nadzieję i wolę walki.

Czekałam, żeby Audra powiedziała Owenowi, że ma przestać i pozwolić zajętej lekarce odejść. Ale jej wodnistoniebieskie oczy przepełniło błaganie, a życie z niej uchodziło.

Pochyliłam się nad nią.

- A ty, Audro? Czego ty chcesz?

Pergaminowa dłoń Audry osunęła się w moją rękę. Z

ogromnym wysiłkiem podciągnęła się, byśmy się mogli znaleźć na wysokości jej pola widzenia.

- Jesteś moją liną ratunkową.

Musiałam sprawdzić, czy Merry może odebrać dziewczynki.

## 28. Merry

Obserwowałam Ruby i Cassandrę przez okno sądowego centrum opieki nad dziećmi. Cassandra czytała jakiemuś maluchowi książkę o Króliku Bugsie, obsypując mu drobnymi pocałunkami czubek głowy, kiedy przerzucała stronę. Ruby toczyła tam i z powrotem zieloną pstrokatą piłkę pomiędzy bliźniakami, klaszcząc za każdym razem, kiedy któryś z nich ją złapał.

Moje dziewczyny.

Po odebraniu ich godzinę temu, miałam spotkanie, którego nie dało się uniknąć. Aby uprzedzić skargi siostrzenic, że nie są małymi dzidziusiami, potrzebującymi sali zabaw, poprosiłam je, żeby pomogły opiekunkom i zostawiłam im, w charakterze zachęty, pudełko tanich, ponad miarę słodkich pączków, jakich Drew i Lulu nigdy nie pozwalali im jeść w domu.

Salę zabaw, w której można było zostawić dzieci, otwarto kilka miesięcy temu. Plastikowe zabawki do popychania jeszcze błyszcząły nowością, a w układankach nie brakowało kawałków. Społeczność dla Pokoju walczyła o salę, mając już dość widoku dzieci przyglądających się swoim matkom i ojcom, jak stoją przed sądem, czasem bezczelnie, a czasem ze wstydem.

Colin, w rzadkim przejawie człowieczeństwa, nie zablokował przechowalni, kiedy Społeczność dla Pokoju pokonała niezbędne przeszkody biurokratyczne. Nawet on nie cierpiał widoku dzieci stojących sztywno, bez ruchu, w swoich maleńkich wyprasowanych koszulkach i sukienkach, jak gdyby zachowanie schludności ich ubrań miało pomóc mamie czy tatusiowi. Z drugiej strony, może po prostu nie cierpiał widoku dzieci - koniec, kropka. W każdym razie załatwiliśmy miejsce.

Posłałam pocałunek poprzez szybę w oknie sali, zanim weszłam zabrać moje siostrzenice.

- Czas iść. - Starannie zamknęłam za sobą drzwi. Nie zdobyłabym ekstra punktów za dzieci biegające luzem po sądzie.

- Jeszcze dwie minuty - poprosiła Ruby.

Cassandra zerknęła znad książki, którą czytała, rzuciwszy mi spojrzenie zupełnie dorosłej dziewczyny, które zinterpretowałam, że ma tylko kilka stron do końca.

Przycupnęłam na drewnianym dzieciennym krzeselku i przyglądałam się



dziewczynkom, wyglądającym tak poważnie, tak uroczo, że zastanawiałam się, czy mam rację, zdręczając Lulu, by powiedziała im prawdę. Może da się pogrzebać przeszłość i tak żyć. Spójrzcie na moje siostrzeniczki, takie słodkie i pomocne.

Dziewczynki bawiło odgrywanie starych maleńkich, lecz w odróżnieniu od Lulu i ode mnie nigdy nie będą musiały zmierzyć się z tymi rolami w życiu. Może gdybym zaprzestała fetyszyzowania prawdy, mogłyby zachować stan niewinności.

Może przez te wszystkie lata nie pomyślałam o Ruby i Cassandrze. Może, po prostu, nie chciałam zostać sama z tatą.

Powinam się czegoś nauczyć od Lulu. Oddzielać jedno od drugiego. Zamknąć ojca w pudełku. Jeszcze nie odpowiedziałam na jego list. W przyszłym tygodniu pojedę do Więzienia Okręgowego w Richmond. Zajmę się ojcem, ale będę go trzymać z dala od dzieci. Ochronię je przed brudem.

Potrafię kontrolować ojca, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Jeżeli chce mojej pomocy, będzie musiał skończyć z tym całym gównem - „moje wnuczki i moje wnuczki”.

Cassandra zamknęła książkę i zdjęła z kolan dziewczynkę.

- Chodź - zawołała siostrę. - Ciocia Merry czeka.

- To, że ty skończyłaś, nie znaczy, że ja też. - Ruby potrząsnęła głową. Rozplatające się warkocze fruwały wokół

niej. - Obiecałam, że zagramy dziesięć rundek.

Posłałam Asi, kierownicze centrum, błagalne spojrzenie.

- Nie przejmuj się, Ruby - wkroczyła Asia. - I tak czas na drzemkę. Nie chciałam, żeby siostra nas tu znalazła.

Nie żebym kazała dziewczynkom kłamać. Nie chciałam tylko, by Lulu musiała nas szukać.

Ruby podała Asi piłkę.

- Teraz jest kolejka Kenny'ego - powiedziała. Podniosła torbę z książkami i zwróciła się do mnie. - Możemy tu znowu przyjść? Dostałabym tu pracę? Nie za pieniądze. Tylko jako pomocnica.

Cassandra przewróciła oczami.

- O, na pewno mama pozwoli ci tu pracować.

- To miłe, że chcesz pomóc, kochanie, ale jesteś trochę za młoda - odparłam. Ruszyłam z dziewczynkami do wydziału zwolnień warunkowych. -

Przepisy na to nie pozwalają.

- Nie mówiąc o mamie. Chodźmy do mojego biura, zanim przyjdzie. Obiecała, że się zjawi przed moim następnym spotkaniem.

-

Miałam się stawić przed sędzią z niesubordynowanym klientem i nie mogłam się wtedy martwić o dzieci. Zerknęłam na zegarek, modląc się, by Lulu się nie spóźniła. Ten sędzia był wyjątkowym służbistą, a klient upierdliwcem.

- Będzie zła, jeśli nie będziemy na nią czekać? - spytała Ruby.

- Nie będzie zła - odparłam. - Ale może się martwić.

Kiedy dotarliśmy do mojego biurka, zrobiłam miejsce na jego skraju, naprzeciwko siebie.

- Poczytajcie albo odróbcie lekcje. - Sprawdziłam czas. -

Mama powinna być tu za dziesięć minut.

- Narysuję Kenny'ego i Seana - oznajmiła Ruby, mając na myśli bliźniaków, z którymi się bawiła. - Jak odrobię lekcje.

Popchnęłam w stronę dziewczynek do połowy wyjedzone pudełko ciasteczek imbirowych.

- Zróbcie coś dla mnie. Zaczekajcie z opowiadaniem mamie o sali zabaw do chwili, kiedy będziecie jechać do domu.

- Nie wolno nam było tam iść? - spytała Cassandra.

- Mogłaby się zmartwić, bo to w sądzie.

- Czy to niebezpieczne? - zaciekawiła się Ruby. -

Wszędzie są przestępcy, prawda?

- Tak - odpowiedziałam. - Ale wszędzie są też policjanci.

- A zabójcy tu przychodzą? - Pytanie Ruby przesiąknięte było podnieceniem, jak gdybym pracowała z pismakami.

Mordercy! Gwałciciele! Złodzieje!

- Biedna mama, zawsze się martwi. Pewnie dlatego, bo wasi rodzice umarli - oznajmiła mi Cassandra w zaufaniu.

- To może nie powinnyśmy jej mówić o sali zabaw. -

Ruby uklękła na drewnianym biurowym krześle i pochyliła się nad zadaniem domowym.

- Możecie jej nie mówić - powiedziałam. - Ale nie możecie kłamać. - Tłumaczenie różnicy pomiędzy grzechami zaniechania a grzechami dokonanymi wydawało się trochę zbyt wyrefinowane, ale miałam nadzieję, że zrozumieją, o co chodzi.

- Ciociu Merry, ile jest dwanaście razy dwanaście? - spytała Ruby.

- A czy to nie twoja praca domowa? - Przerzucałam papiery, aż znalazłam raport, którego potrzebowałam.

- Obliczyłam. Chcę tylko sprawdzić czy dobrze. Wzięłam od niej zeszyt.

- Dobrze, kochanie.

- Hej. Panno Zachariah.

W drzwiach stanął mój klient, Victor Dennehy.

- Co to za dzieciaki?

- Victor, co tu robisz? - Wstałam, by się go pozbyć. Miał spotkanie z sędzią za godzinę. - Miałeś się spotkać ze mną w sądzie.

Kiedy do niego podeszłam, poczułam alkohol. Na wpół przymknięte oczy zadawały kłam swobodnemu zachowaniu.

Rozmawiałam z nim w tym tygodniu i przeglądaliśmy paskudne zapisy w jego aktach. Opuścił wszystkie sesje, które wyznaczyłam jako warunki zwolnienia: spotkania AA, sesje dla

winnych

przemocy

w

rodzinie,

Anonimowych

Narkomanów, kurs rodzicielstwa. Miał dwa pozytywne badania moczu. Potem dostałam telefon od jego przerażonej dziewczyny, która mi powiedziała, że znów zaczął ją bić.

„Proszę mu załatwić odwyk - błagała. - Ze względu na dziecko”.

- Dlaczego nie okazujesz mi szacunku? - Victor przemawiał w swojej bostońskiej wersji slangu „biały chłopak gada jak ostry czarny”. Tradycyjny irlandzki kaszkiet zakrywał mu rudobrązowe włosy. Strażnicy przy wejściu kazaliby mu go zdjąć. Pewnie wsadził go do kieszeni, a potem znów włożył,

kiedy zniknął im z oczu. W zeszłym tygodniu musiałam prosić dwa razy, żeby go zdjął.

- Muszę być w sądzie - strzelił prawą ręką o lewą. - Przez ciebie.

- Uspokój się, Victorze. Porozmawiamy za trzy minuty. -

Wskazałam mu hol. - Zaczekaj tam, dobrze? Trzy minuty.

- Pierdol się.

Modliłam się, żeby ktoś go usłyszał i wezwał ochronę.

- Victor, tu są dzieci. Trzy minuty.

- Twoje? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Victor się zaśmiał. - Co za głupota, żeby przyprowadzić tu swoje dzieci.

A ty mówisz, że to ja jestem głupi.

- Victor, nigdy nie mówiłam, że jesteś głupi.

- Tak, mówiłaś. - Wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

Jego nastroje zmieniały się z jednej skrajności w drugą.

Pijany, na haju, czy i to, i to? Starannie dobierałam słowa.

- Powiedziałałam, że głupie jest niechodzenie na spotkania swojego programu. Nie ty. Nie jesteś głupi. Jesteś bystrym chłopakiem. I wiem, że wyjdiesz i poczekaasz na mnie.

- Dlaczego chcesz mnie wsadzić do więzienia? Nie mogę tam wrócić. Victor, chociaż napakowany, był niski.

Przygwoździłam go wzrokiem.

- Jasne, że nie. Porozmawiamy o tym za chwilę. Tak jak obiecałam.

- Teraz masz ze mną porozmawiać. - Victor podkreślał

każde słowo walnięciem w ścianę. - A nie zajmować się dziećmi.

- Słyszę cię. - Przesunęłam się w lewo, blokując wejście do pokoju na tyle, na ile mogłam.

Wyprostował ramiona i wypiął klatkę piersiową.

- Wiedziałaś, że za godzinę mam być w sądzie?

- Wiem o tym. - Obróciłam się na moment i zobaczyłam, że Cassandra i Ruby stoją jak zamurowane. Powinnam była zostawić je w sali zabaw.

- Zaraz się wami zajmę.

- Nie możesz załatwić, żeby się odczepili? Kazać im odwołać? Kiwnęłam głową i starałam się, żeby w moim głosie zabrzmiało zrozumienie.

- Okej, powiem sędziemu, że się poprawiłeś.

- Obiecujesz?

- Jasne, obiecuję.

- I nie pójde do więzienia? Na pewno? - Głos Victora zadrżał. Pulchne policzki sprawiały, że nie wyglądał na swoje dwadzieścia dwa lata.

- Na pewno.

- Moja dziewczyna bez przerwy martwi się o dzieciaka.

Kto ją utrzyma? Kto utrzyma dziecko? A moja matka mnie zabije, jeżeli znowu zniknę.

- Słyszę. - Nie mogłam powstrzymać się przed współczuciem temu popieprzonemu chłopakowi, który myślał, że matka się na niego wścieknie. Wyobraziłam ją sobie, silną, z rzednącymi włosami i coraz grubszym brzuchem, umordowaną ciążami, gorzałą i zmartwieniem.

- Musisz mi obiecać - błagał Victor pełnym głosem. -

Dobrze, głośniej - myślałam.

Drzwi sąsiedniego pokoju się otworzyły. Wyszedł Paul Lunden. Łysy, sto pięćdziesiąt kilo, słabość do różowych koszul od Brooks Brothers. Nie można było go nie zauważyć czy zignorować,

- W porządku, synu? - spytał Victora, kiedy przyczłapał.

- Nie jestem twoim synem, czarnuchu! - wypalił Victor, zataczając się lekko. - Teraz to już całkiem pani spierdoliła, pani Zachariah. Wezwała pani swojego przydupasa.

Victor był bardziej pijany, niż myślałam. Założę się, że naniuchał się koki.

Paul

podniósł

ręce

do

góry,

przybierając

podporządkowaną pozycję.

- Porozmawiajmy o tym. Nie chcesz powiedzieć czegoś, czego będziesz żałował, prawda?

- Pedał - odparł Victor i splunął. Złapał Ruby za ramię i z zamachem zasłonił się nią. - Rozmawia pani, pani Zachariah?

Długo mam czekać?

Ruby wrzasnęła, kiedy jego dłoń zamknęła się wokół jej drobnego ramienia.

- Ciociu Merry! - krzyknęła Cassandra. - Pomóż jej.

- Boli - płakała Ruby.

- Zamknij się! - Wydawało się, że to ostrzeżenie przeznaczone było dla nas wszystkich. Victor trzymał Ruby lewą ręką, a prawą zataczał kręgi wokół jej szyi. - Bo jej złamię kark.

Zrobiłam krok naprzód.

- Victor, puść ją. Pójdziemy do sędziego, obiecuję.

- Jasne. Zakład? Tylko ją puszczę, a ten gruby dupek mnie załatwi. - Wskazał brodą na Paula. - Przyrowadź tu sędziego z papierem, który mi zagwarantuje, że nie pójdę do więzienia. Na piśmie. I chcę mojego prawnika. Bo zabierzecie do domu jednego martwego dzieciaka. Paul odsunął się od drzwi.

- Puść ją. Natychmiast.

- I nie chcę żadnej suki sędziny. Faceta. Białego faceta.

Ruby jęczała. Cassandra siedziała na krzeselku sztywno i bez ruchu, tylko stopą usiłowała dotknąć nogi siostry.

Paznokcie wbite w zaciśnięte pięści rozdzierały mi skórę.

Zmusiłam się do zachowania spokoju.

- Rozumiem, Victorze.

- Gównu rozumiesz.

- Jesteś wściekły. Uważasz, że nikt ci nie pomaga i wszyscy są przeciwko tobie.

- Bo to prawda. To nie moja robota, to całe gównu.

## 29. Lulu

Jeszcze jedno czerwone światło i zacznę wrzeszczeć.

Rodzina Audry zatrzymała mnie w szpitalu tak długo, że byłam strasznie spóźniona po dzieci. Biedna Merry będzie wariować, czekając na mnie. Mówiła chyba, że ma spotkanie.

Przesłuchanie? Coś w sądzie?

Merry uratowała mnie dziś rano. Byłam ostatnio dla niej zbyt surowa. Wyminęłam samochód zaparkowany na Washington Street równolegle do innego i w końcu znalazłam się tylko o kilka przecznic od sądu. Żałośnie łatwo namówiłam ją, by odebrała dzieci. Kilka chwil po moim telefonie zdążyła przełożyć spotkania z podopiecznymi i pożyczyć samochód od Valerie, żeby pojechać po dziewczynki. Może Merry pomyślała, że przyjdzie mi z pomocą ponownie nas zbliży.

- Nie martw się - powiedziała. - Zajmę się nimi.

Na pewno się zajmie. Cierpliwość Merry przewyższała znacznie moją, bo o wiele łatwiej jest być ciotką niż matką.

Miałam nadzieję, że nie dlatego, że jest miłsza.

Przez te wszystkie lata, kiedy prześladowałam ją za to, że widuje się z ojcem, może faktycznie była lepszym człowiekiem, bo go odwiedzała, podczas gdy ja ukryłam go jak brudną szmatę.

Czy pozwoliłam, by czyny ojca zdeteminowały moje, na całe życie? Może stałam się jego więźniem.

Ruch zwolnił. Następne czerwone światło. Boże. Stukałam palcami w deskę rozdzielczą. Zwyczaj, którego Drew nienawidził.

Audra postanowiła, że nie będzie brać więcej lekarstw na raka. Chciała, bym była przy niej, bo nie miała siły walczyć z dziećmi i onkologiem. Potrzebowała kogoś, kto da jej przyzwolenie na zaprzestanie walki.

Światło się zmieniło. Przejechałam jedną przecznicę i ruch znowu się zatrzymał. Nadepnęłam na hamulec, niecierpliwa i znudzona swoimi myślami i własnym towarzystwem. Ulicę zatykały wozy policyjne, doprowadzając mnie do szaleństwa, bo sąd miałam już w zasięgu wzroku. Za mną zaskrzeczała karetka pogotowia. Strzelaniny, morderstwa; ta nieszczęsna dzielnica miała te wszystkie świństwa. Włączyłam krajowe radio, ale wiadomości przyprawiły mnie o depresję, więc przestawiłam na stację

nadającą stare przeboje. Chuck Berry śpiewał, że „nie ma dokąd pójść”.

Spojrzałam na zegarek. Ja miałam dokąd pójść. Merry musi być wściekła. Przeze mnie spóźniła się do sądu, założę się. Pewnie pomyślała, że w ten sposób chcę pokazać, że moja praca jest ważniejsza. Czy Merry uważała, że moje życie polega na znajdowaniu sposobów, by ją pognać?

Tłum na chodniku gęstniał i wylewał się na ulicę. Ludzie byli podekscytowani, jak wtedy, kiedy się znajdują na obrzeżach katastrofy, wplątani w nią, ale bezpieczni. Obcy sobie pytają, co się stało i zostają swoimi tymczasowymi najbliższymi przyjaciółmi.

Zaparkowałam i otworzyłam drzwi. Wyciągnęłam szyję, usiłując zobaczyć coś ponad jeepem cherokee stojącym przede mną. Trąbiły klaksony.

- Co, do diabła? Co się dzieje? - krzyczeli w korku kierowcy.

Rozejrzałam się i zastanowiłam, jakie mam możliwości.

Mgła kładła się całunem na i tak brzydką ulicę. Po mojej prawej warsztat naprawy samochodów z zapchanym podwórzem. Żelazne kraty, zardzewiałe na amen, zasłaniały wystawy spożywcza. Wydawało się, że gapie coraz bardziej się zadomawiają.

- Co się stało? - krzyknęłam kilkakrotnie, próbując złapać czyjś wzrok. W końcu jakaś kobieta w średnim wieku, w jaskrawym turbanie, ulitowała się nade mną.

- Jakiś wariat wziął zakładników. - Potrząsnęła głową. -

Świat oszalał.

Ludzie mówią tak, jak gdyby szaleństwo zaczęło się właśnie dzisiaj, jakby wczoraj było cudne jak placek ze śliwkami. Oparłam się o zagłówek. Usłyszałam muzykę bożonarodzeniową. Świąteczne piosenki wkurzały mnie, choć ta była jedną z mniej napastliwych melodii. „Podaruj sobie wesołe Boże Narodzenie”. Smutek z okazji świąt zdawał się być właściwszym nastrojem. Trzymajcie mnie z dala od szczęśliwych aniołków - jemiołków.

W myślach przygotowywałam już kolację. Klops z mięsa indyczego. Szybki, ale domowy. DREW się ucieszy. Nieczęsto jadł kolację domowej roboty, której sam nie zrobił. Dzięki Bogu, że ma tę piłkę ręczną i pokera, bo inaczej już by dawno przeze mnie zwariował.

„Wiadomości na 103 i 3, zawsze o równej godzinie. Jak wynika z niejasnych jeszcze doniesień o zakładnikach w budynku sądu, w Wydziale Zwolnień Warunkowych Sądu w Dorchester przetrzymywane jest dziecko...

Wyłączyłam silnik, wysiadłam i pobiegłam w dół ulicy.



- Proszę pani, odholują pani samochód - zawołała Kobieta w Turbanie.

Zignorowałam ostrzeżenie, zignorowałam wszystko.

Upewniłam się tylko, czy z ramienia zwisa mi torebka.

Musiałam ją złapać odruchowo. Szkolenie medyczne.

Planowanie w razie nagłego wypadku. Mogłam potrzebować licencji, żeby dostać się do środka. Lekarze mają przywileje.

Łokcie w ruch. Gapię przeklinali, kiedy przedzierałam się przez tłum.

- Kobieto, za kogo się pani uważa?

- Ostrożnie!

- Hej, proszę się nie rozpychać!

- Moje dzieci! - krzyknęłam, kiedy gęstniejący tłum zagroził mi drogę. -  
Moje dzieci są w sądzie.

- Wszyscy mamy tam kogoś, proszę pani. - Otyła kobieta odepchnęła mnie do tyłu z niezwykłą siłą.

- Moje dzieci są przetrzymywane. Muszę się do nich dostać - krzyczałam, aż zachryłam. Już samo uczucie, że moje słowa mogą być prawdą, dało mi siłę, by dalej przeć do przodu.

Nikt nie ustąpił nawet na centymetr.

- Puśćcie mnie, do cholery. - Waliłam w plecy i ramiona, których mogłam dosięgnąć. - Policja na mnie czeka. - Pięść zamieniła się w taran, kiedy wrzasnęłam: - Puszcząć!

W końcu jakiś mężczyzna, wysoki, w tej chwili wysoki jak sam Pan Bóg, zlitował się i rozstąpiło się morze mężczyzn i kobiet.

- Ludzie, puśćcie. Musi się tam dostać.

Autorytarny głos, jakim przemówił, sprawił cud.

Zarejestrowałam w myśli jego wzrost, znoszoną kurtkę wojskową, kolczyk połyskujący na tle oliwkowej skóry.

Brodę.

Chudy, starszawy gliniarz, z obojętnym wyrazem twarzy, zagroził mi drogę, kiedy w końcu znalazłam się na schodach gmachu sądowego.

- Pani nie wejdzie.

Dyszałam, nie mogąc złapać tchu.

- Moje dzieci. Moje małe. W sądzie. Twarz zrobiła mu się ludzka.

- Dziewczynki czy chłopcy? Wiek?

- Osiem i dziesięć - wysapałam. - Dziewczynki. Z moją siostrą. Kuratorka od zwolnień warunkowych. Meredith Zachariah.

Pociągnął mnie ręką do siebie.

- Pani pójdzie ze mną.

Zaprowadził mnie do wielkiej kwadratowej sali prowadzącej do mniejszych pokoi. Inny oficer policji, Latynos, przy kości, uzbrojony i z żelastwem wiszącym u pasa, ujął mnie za łokieć.

Podprowadził mnie do krzesła na końcu sali, choć myślałam tylko o tym, żeby rzucić się na ratunek dzieciom.

Jeszcze inny gliniarz zdał mi sprawę z tego, co się dzieje.

Zadrżałam, kiedy opisał scenę, że wariat przetrzymuje moje dzieci. Zabiję go. Wezmę im broń i zabiję go.

Kiedy wreszcie pozwolił mi przejść bliżej środka sali, na wypadek gdybym była potrzebna do negocjacji, w zasięgu mojego wzroku znalazł się pokój Merry. Byłam tak blisko, że widziałam jej plecy. Potem dostrzegłam tego człowieka. Taki młody. Młody, chyba na haju, i pewnie myślał, że liczy się tylko ta chwila. Uważał, że jest pępkiem całego świata.

Ujrzałam Ruby i wstrzymałam oddech. Ten mężczyzna trzymał ją.

- Cicho - powiedziała dowodząca pani detektyw. Tak się przedstawiła: detektyw dowodząca. Jej twarz okalały ciemne włosy. - Proszę nic nie mówić, dopóki nie dostanie pani instrukcji. Zachować ciszę. Widzi pani, co leży na podłodze?

Wyciągnęłam szyję i przymrużyłam oczy, aż ujrzałam pod czubkiem buta Victora mosiężny nóż do otwierania listów.

- Przedtem trzymał go przy jej szyi - powiedziała detektyw dowodząca. - Proszę zachować spokój albo musi pani stąd wyjść.

Wyteżyłam wzrok, skupiając się na otwartych drzwiach pokoju. Przy wejściu stała Merry; Cassandra siedziała obok biurka sztywno, jakby kij połknęła. Ruby, moją biedną Ruby, przyciskał do siebie, z ręką na jej szyi. Cisza panująca wokół

pozwalala mi słyszeć ich słowa.

- Myślałem, że to twoje dzieci - powiedział ten mężczyzna, a właściwie chłopak.

- Moje siostrzenice, to moje siostrzenice. - Stanowczy ton głosu Merry brzmiał obco.

- Okłamałaś mnie?

- Nigdy cię nie okłamałam, Victorze. Czy Merry wiedziała, co robi?

- To co? Żartujesz sobie? Czyżby przyciągnął Ruby bliżej?

- Chcesz, kurwa, igrać z jej życiem?

Oficer policji, ale nie detektyw dowodząca, położył rękę na moim ramieniu.

- Victor. - Głos Merry zabrzmiał szczerze, spokojnie.

- Moja matka mnie zabije. - Łzy dławiły mu głos. Zaraz wpadnie w histerię.

- Porozmawiam z nią - powiedziała Merry. - Wytłumaczę jej.

- Podbierasz mnie? Masz mnie w dupie.

Bawił się warkoczykiem Ruby. Nerwowy, niewyżyta energia. Wstrzymałam oddech.

- Nikomu na mnie nie zależy. Może mojemu dziecku będzie zależało. Ale ty chcesz mnie zamknąć, więc to bez znaczenia.

Masz

mnie

tylko

za

jednego

z

tych

popierdoleńców. Tak jak wszyscy.

- Nie, Victorze. - Merry uklęknęła niżej, przykucając przy nim. - Mogę? Bołą mnie nogi. Chcesz odpocząć? Usiądźmy. -

Moja siostra zsunęła się na podłogę i skrzyżowała nogi.

Przestałam oddychać.

Mężczyzna przysiadł, trzymając Ruby między kolanami i kładąc ręce na ramionach mojego dziecka. Już nie trzymał jej za szyję. Ruby skrzywiła się z bólu. Musiał naciskać na drobne kosteczki z obu stron.

Skrzyżowałam mocno ręce i wbiłam paznokcie w miękkie ciało pod swetrem. Ciekawe, czy policja skontaktowała się z Drew. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś przytulę Ruby. Cassandra wyciągnęła się, by mnie zobaczyć. Oczy miała szeroko otwarte i przerażone.

- Wyjdiesz z tego cały, Victorze - powiedziała Merry. -

Mogę ci pomóc.

- Pieprzyć. Game over. - Ten mężczyzna, ten chłopak, opierał się głową o główkę mojego dziecka, nawet wtedy, gdy miażdżył jej kości. - Równie dobrze mogę ze sobą skończyć.

- Każ wszystkim odstąpić - powiedziała detektyw do człowieka stojącego przy niej. - Żadnego samobójstwa spowodowanego przez gliniarza.

- Nie mów tak, Victorze - zaczęła znów Merry. - Jest nadzieja. Posłuchaj mnie. Wykonuję tę pracę, bo zależy mi na was, chłopcy.

- Jak cholera - parsknął.

Merry pochyliła się do przodu, jakby we dwoje mościli się wygodnie na długą rozmowę.

- Jak myślisz? Dlaczego cię tak gnębię? Bo nie chcę, żebyś został facetem, przed którym nie ma nadziei.

Teraz to moja siostra o mało się nie popłakała. Udaje czy naprawdę?

- O co ci chodzi?

- O to, że chcę, żeby ci się udało. Chcę, żeby się udało wszystkim moim chłopakom. - Merry złożyła ręce jak do modlitwy. - Rozumiem cię, ja miałam gorzej niż ty.

- O, tak. Na pewno. - Skrzyżował ramiona wokół Ruby, jak gdyby ją obejmował, jakby do niego należała. - Zjeżdżam stąd. Użyję dzieciaka jako tarczy. Zdziała, nie?

- Victor, nie. - Merry oparła się łokciami o kolana. -

Robisz sobie krzywdę.

- Nieee. Uda mi się. - Zsunął dłonie i objął Ruby w pól, przygotowując się, żeby ją podnieść.

- Biercie go - powiedziałam do pani detektyw. - Biercie go, teraz.

Odwróciła się do mnie i zaczęła mówić szeptem.

- Ma na sumieniu duszenie, pobicie kolbą pistoletu, uderzanie głową swojej dziewczyny o beton. Zranienie nożem.

Chcemy załatwić to bezpiecznie. Siostra dobrze sobie radzi.

- Twoje dziecko potrzebuje ojca - powiedziała Merry.

- A kto by chciał za ojca takiego śmiecia jak ja?

Nie mogłam oderwać oczu od noża do listów. Poruszył ręką? Palce mu drgnęły? Czy Merry to widzi?

- Dzieci kochają tatusia. Żeby nie wiem co.

Victor zignorował ją i przesuwał teraz rękami po ramionach Ruby, potrząsając przy tym głową. Zaczął płakać.

- Victor, mój ojciec siedzi w więzieniu - powiedziała Merry. - A ja go kocham.

Uniósł wzrok.

- Twój stary jest w więzieniu? - Rozluźnił chwyt i wyciągnął się do przodu. - Ja pierdolę. Kłamiesz.

- To prawda. Mój ojciec zabił moją matkę. Potem próbował zabić mnie. Zmarnował mi życie. - Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby głos Merry brzmiał tak poważnie i szczerze. -

Pokażę ci coś. - Uniosła rękę do wycięcia swetra i odsłoniła swoją paskudną bliznę. - Chcesz zmarnować życie swojemu dziecku?

Nie odpowiedział nic, tylko wpatrywał się w zaognione ślady na piersiach Merry. Opuściła sweter i znów ukryła blizny.

- Widzę moją siostrę. Ich matkę. - Merry wskazała kiwnięciem głowy na Ruby i Cassandrę.

Przez chwilę jego przekrwione oczy szukały mnie.

- Nigdy nie powiedziała tym dziewczynkom, co się stało, ze wstydu i z gniewu. Mówiła, że jej ojciec nie żyje.

Dowiedziały się dopiero teraz, w tej chwili. Prawda, dzieci?

Ruby i Cassandra potwierdziły skinieniem głowy. Po ich bladych twarzach było widać, że są wstrząśnięte. Nawet potwór mógł zobaczyć, że nie kłamią. Ręce Victora leżały bezwładnie na ramionach Ruby, kiedy tak się wpatrywał w moją siostrę.

Merry zaczęła się podnosić, robiąc przerwy i klękając na jednym kolanie.

- Zostałam przy nim, bo ktoś musiał. Odwiedzam go w więzieniu. Chociaż nienawidzę tam jeździć - wyznała. -

Pracuję z tobą, żeby twoje dziecko nie musiało jeździć na wizyty do pudła. Mój ojciec w więzieniu stał się starym człowiekiem. - Merry spojrzała mu w oczy. - Victorze, nie marnuj życia swojej córce. - Victor pochylił się ku Ruby, zamykając moje dziecko w swoich ramionach. Merry sięgnęła i ostrożnie wyjęła nóż spod jego stopy. Podniosła się na oba kolana i zdjęła jego ręce z Ruby.

- Ruby - zawołałam. - Jestem tutaj.

Detektyw i oficer policji przytrzymali mnie, kiedy usiłowałam podbiec do moich dzieci. Wyrywałam się im, szarpiąc ich za ręce i drapiąc.

- Poczekaj! - rzucili jak rozkaz, kiedy inni policjanci skoczyli w stronę dziewczynek.

- Ruby! - krzyknęła Cassandra. Zeskoczyła z krzesła, przewracając je na podłogę, i rzuciła się do siostry.

Merry objęła Victora i gładziła dłonią jego plecy. Po jej twarzy spływały łzy.

Cassandra znalazła się przy Ruby przed policjantami.

Ruby skoczyła w jej objęcia. Moje córki przytuliły się do siebie tak blisko, że policjanci mogli tylko przy nich stanąć.

Skuli Victora.

Puścili mnie.

Weszłam do biura Merry i upadłam na kolana przed moimi dziećmi.

Mój samochód odholowano. Przyjechał Drew. Teraz, w domu, dziewczynki były bezpieczne. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek poczują, że ktoś się nimi opiekuje, ale przynajmniej Drew i ja mogliśmy je przytulić, patrzeć na nie i całować je teraz, kiedy zbiliśmy się w grupkę w naszym salonie. Na kredensie stało chińskie jedzenie, które przywiozła nam Sophie, stężale i zimne, w zatłuszczonych białych kartonach.

Zadzwoniliśmy do terapeutki Cassandry; powiedziała, żebyśmy obejrzeliby wiadomości. „Niech telewizja sprowokuje rozmowę” - mówiła. Po kolacji włączyliśmy odbiornik i ujrzałam na ekranie Ruby, którą trzymałam kurczowo w ramionach, kiedy policja wyprowadzała płaczącego Victora Dennehy, zakutego w kajdanki.

- Ciociu Merry, co z nim zrobią? - Ruby zwinęła się w objęciach Drew, wodząc - swoim starym zwyczajem -

kciukiem po brzegach ust.

- Wsadzą do więzienia - odparła Merry.

- Zamkną go na zawsze? - Ruby wsunęła duży palec do ust.

Merry zmarszczyła się, zastanawiając się pewnie nad właściwą odpowiedzią. Gdzie się teraz podziała jej szczerłość?

- Zostanie w więzieniu, dopóki nie stanie przed sądem. -

Merry zwinęła się na fotelu w jeszcze mniejszą kulkę. - A potem zadecydują. Pewnie zostanie na długo w więzieniu, ale nie na zawsze. - Spojrzała na mnie. Siedziałam z Drew na kanapie. Tył głowy Ruby dotykał mojego ramienia - leżała mu na kolanach. Cassandra wtuliła się ciasno we mnie z drugiej strony.

- A nasz dziadek jest w więzieniu na zawsze? - spytała Cassandra. Drew wyłączył telewizję. W ciszy słychać było odgłos ssania palca przez Ruby.

- Nie - powiedział. - Wasz dziadek nie zostanie w więzieniu na zawsze.

Cassandra otworzyła buzię, a potem zamknęła, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. Zmieniła pozycję i nie opierała się już o mnie, a o bok kanapy.

- Dlaczego nam o nim nie powiedzieliście?

Położyłam głowę na oparciu kanapy, wydrapując maleńkie serduszka na łopatkach Ruby.

- Chciałam was chronić. - To była najbardziej prawdziwa odpowiedź, jaką znałam.

- Przed czym? - chciała wiedzieć Cassandra. - Przed nim?

- Nie. Nie przed nim. On jest w więzieniu.

- No to przed czym? - Cassandra przeniosła się na bujany fotel.

- Nie chciałam, żebyście wiedziały, że wasz dziadek jest złym człowiekiem.

- A jest? - spytała Ruby. - Jest złym człowiekiem?

- Jasne, że jest. - Oburzenie Cassandry sprawiło, że zabrzmiała okropnie i staro. Jak ciotka Cilla przed laty. - Zabił

mamusi matkę.

- Nigdy za nim nie tęskniłaś, mamusiu? Nie chcesz go zobaczyć? - Ruby zerknęła na Drew, a potem usiadła tak, żeby móc patrzeć mi prosto w oczy. - Może chciałby powiedzieć, że jest mu przykro.

Przykro nie zwróci nam naszych zmarłych, moja droga Ruby. Ugryzłam

się w język, a potem połknęłam te słowa.

Położyłam dziewczynki spać w naszym łóżku i wróciłam.

Wraz z Drew spędziliśmy godzinę na górze, a kiedy zasnęły, on jeszcze został. Mieliśmy siedzieć z nimi na zmianę, dopóki nie położymy się spać, razem, żeby nie obudziły się same.

Padłam na kanapę. Wyglądało, jakby Merry nie ruszała się z fotela, na którym ją zostawiłam. Sięgnęłam do stolika, wzięłam jej kieliszek i pociągnęłam duży łyk brandy.

- Jak się czujesz? - spytała Merry.

- Jestem otepiała. A ty?

- Staram się otepić. - Merry położyła rękę na brzuchu. -

Jeszcze czuję mdłości.

- To, że się upijesz, nie pomoże. - Pożałowałam swych słów już w chwili, kiedy je wypowiadałam. Krytykowanie mojej siostry było ostatnią rzeczą, której teraz pragnęłam. -

Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Musisz być wykończona. Pewnie bardziej niż ja.

- Może trudniej było to obserwować, niż uczestniczyć w tym - powiedziała Merry.

- Było trudno. - Skinęłam głową.

- Gniewasz się?

- Na ciebie? To nie twoja wina. Nie powinnam była prosić, żebyś wzięła je ze sobą do budynku sądu. O to, co powiedziałaś? Podziałało, prawda? Ale... - Pozwoliłam słowom wybrzmieć, bo nie wiedziałam, co dodać.

Merry wcisnęła się obok mnie i położyła mi dłoń na nodze.

- Bolało mnie to. Żeby powiedzieć. Że dziewczynki się dowiedzą - szczególnie, że w ten sposób.

- Ale to moje dzieci - odpowiedziałam. - Nie wiem, czy ty możesz to w ogóle zrozumieć.

- Są moimi siostrzenicami. Moją rodziną. Kocham je.

Zycie Ruby znalazło się w moich rękach.

- Jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłaś. Ale teraz wiedzą już wszystko. - Wykończyłam jej brandy. - Czekalaś na taką okazję?



- Lulu. - Merry przycisnęła rękę do czoła. - Nie wyjawiałam twoich tajemnic. Musiałam uratować Ruby życie.

Wiedziałaś, co robię. Nigdy nie pomyślałaś, że może czasami mam rację?

Przerwała mi, kiedy próbowałam odpowiedzieć.

- Czasami ktoś inny, a nie ty, zna odpowiedź. - Założyła nogę na nogę i ujęła moją dłoń. - Czasami powinniśmy działać razem. Razem decydować. Patrząc na to, co się dziś wydarzyło, myślisz, że się czegoś nauczyłaś? Nauczyłaś się, że chowanie głowy w piasek nie popłaca?

Chciałam iść do łóżka, położyć się obok Drew, poczuć jego oddech zbyć się siebie.

- Nauczyłam się tego, co już wiedziałam.

- Czego?

- Że świat nie jest dla nas bezpieczny.

## 30. Merry

Przegrzany pociąg do Dorchester ruszył ze stacji Park Street, zatrzymał się i pojechał dalej. Odkręciłam z szyi dławiący mnie szalik i schowałam go do kieszeni.

Zastanawiałam się, czy nie opuścić następnego etapu swej drogi do sądu - zatłoczonego autobusu - i nie przejść dwudziestu przecznic. Zapach wilgotnej wełny pomieszany z przytłaczającą limonkową wodą kolońską mężczyzny przyklejonego do mnie. Myślałam, że zwymiotuję od tej kombinacji i modliłam się, by wytrzymać, aż tłok się zmniejszy na stacji U Mass, skąd w godzinach szczytu pojedę już pod prąd.

Czytanie książki było niemożliwe bez miejsca siedzącego, więc nawet nie próbowałam. Żeby zająć czymś swe myśli, bawiłam się w gierki, ucząc się na pamięć reklam nad głową i układając anagramy ze słów opisujących szkoły językowe i oferty pracy w służbie zdrowia, ale w końcu nie mogłam już dłużej udawać. Mój umysł zaprzętała jedynie myśl o tym, jak bardzo nie chciałam wracać do sądu.

Zostałam w domu przez tydzień; jak my wszyscy. Oprócz Drew, robiącego wypadki po jedzeniu i filmy na DVD, nikt nie odważył się wyjść z domu. Pogoda współpracowała z nami, dostarczając bez przerwy rozmokłego śniegu. Otulaliśmy dziewczynki na kanapie w koce i przytuleni do siebie nawzajem, wiedliśmy życie od filmu do filmu.

Nawet Lulu nie chodziła do pracy i opuszczała kanapę tylko po to, by odbierać telefony od Sophie. Ja nie rozmawiałam z nikim. Telefony odbierała poczta głosowa, a Colin odsłuchiwał wiadomości. Wysłałam krótkie go mejla do Valerie: „Powiedz wszystkim, że dziękuję za kartki z pozdrowieniami i przekaz, że czuję się dobrze”. Nie czułam się dobrze.

Dzień po dniu trzymałam Ruby mocno w swoich objęciach i tuliłam się policzkiem do jej miękkich włosów.

Cassandra i Ruby przez cały czas doszukiwania się najmniejszych strzępków rodzinnej historii, których tylko mogły się dogrzebać, nie zająknęły się ani słowem na temat dziadka. Tak długo nie wspomniały o niczym znaczącym, że zaczęliśmy się bać. A potem, nagle, Lulu zaczęła naciskać, by dzielić się myślami i dać upust naszym uczuciom.

- Cassandro, zgadnij, jakie były moje ulubione książki, kiedy mieszkałam z Mimi Rubee, jak byłam w twoim wieku.

Cassandra wzruszyła ramionami.

- Nie teraz. Czytam.

- Ruby - spróbowała Lulu później, w trakcie gry w Monopol. - Wiesz, jakie gry wymyślałyśmy z cicią Merry, kiedy mieszkałyśmy w Duffy?

Ruby nawet nie podniosła wzroku, tylko nabrała z miski kolejną garść prażonej kukurydzy.

- Nie możemy spokojnie grać?

Lulu i ja stałyśmy się współpracowniczkami, próbując rozwikłać plątaninę kłamstw, podczas gdy dziewczynki starały się posklejać fragmenty oszustw z powrotem. Odrzucały wszystko, co proponowałyśmy. Posiadanie tajemniczego uwięzionego dziadka, który zamordował babcię, przez długi czas uważaną za ofiarę wypadku samochodowego, było najwidoczniej mniej ciekawe niż czytanie Harry'ego Pottera.

Wszyscy - Drew, terapeutka dziewczynek, a także ich pediatra - zapewniali Lulu, że jest granica dla traumy, jaką Ruby i Cassandra mogą znieść. Lulu chciała dać im całą historię, niech ją przetrawia i idą naprzód. Nie włączając w to nawet sprawy Victora.

A do tego gdzieś tam czekał jeszcze tata.

- Co z panią, pani Zachariah?

Jesse wszedł do mojego biura, jakby nawet z powietrzem trzeba się było obchodzić ostrożnie i musiał stąpać delikatnie, by jego molekuły się nie zderzyły i nie spowodowały katastrofy.

- Okej, w porządku. - Przeglądałam papiery na biurku, szukając czegoś, co mogłoby odwrócić moją uwagę od przemożnej chęci ucieczki.

- Coś pani przyniosłem.

Uniosłam

wzrok,

oczekując

kolejnego

świstka

świadczącego o tym, że Jesse osiągnął następny sukces i potrzebuje hucznego uczczenia go przeze mnie, co przypieczętowałoby jego szczęście. Trzymał w ręku gruby plik broszur i podał mi je. Zaciekawiona, położyłam stos na biurku i czytałam po kolei ich tytuły: Wydział Prawa Uniwersytetu

Nowej Anglii Szkoła Opieki Społecznej Uniwersytetu Bostońskiego Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Tufis w Cummings

Przerzucałam katalogi tam i z powrotem.

- Zastanawiasz się nad tymi dziedzinami, Jesse? To świetnie. - Obawiałam się, że mój głos nie odzwierciedlał

świetności jego pomysłu. Miałam nadzieję, że nie zepchnę biednego Jesse'ego z powrotem w otchłań przestępczości.

- Przyniosłem je dla pani, pani Zachariah.

-

Dla

mnie?

-

Otworzyłam katalog wydziału weterynaryjnego, oczekując zdjęć szczeniaków z wielkimi przymilnymi oczami, a zobaczyłam studentów w białych kitlach, wyglądających na piętnastolatków.

- Pani musi się stąd wyrwać, pani Zachariah. - Klasnął

dłońmi i wskazał na mnie. - Nie dlatego, że nie daje sobie pani z nami rady - niech pani popatrzy, jak się pani udało z Victorem, chociaż to tylko przydupas mamusi. Przepraszam -

dodał.

- Doceniam twoją troskę, ale tu nie chodzi o mnie. Twój nadzór kuratorski kończy się za kilka tygodni. Mamy jeszcze dużo do zrobienia.

- Racja. Nadzór się kończy. Prawdopodobnie przez długi czas będę ostatnim pani klientem, który stosuje się do pani rad, co? Czy nie lepiej dać sobie spokój, póki jest pani na fali?

- Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pomiętą kartkę papieru. -

Musiałem to napisać na lekcję angielskiego. W Bunker Hill.

Profesor kazał mi to pani pokazać.

WYDARZENIE, KTÓRE ODMIENIŁO MOJE ŻYCIE

To jest o mojej kuratorce od zwolnienia warunkowego. Jest mniej niż 500 słów, które mieliśmy napisać (ale niewiele mniej), ale może ujdzie.

Co robiłem, od kiedy skończyłem dwanaście lat: Brałem wszystkie dragi, tylko nie crack (bo kraki, co ich znam, wyglądają jak chodzące strupy).

Pieprzyłem się ze wszystkimi dziewczynami, z którymi mogłem, przez to, że wciskałem im taki kit, jaki chciały. Jak nie słuchały, to dostawały z liścia. Przymusiłem jedną, żeby się pozbyła dzieciaka, bo nie chciałem być tatusiem niczyjego szczeniaka, bo wiem, że byłbym takim samym gównianym ojcem jak mój stary. Ściągnąłem moją matkę z ulicy, kiedy wyglądało, że umrze. Pozwoliłem jej tam zostać, bo już nie mogłem dłużej zadbać o nią i o siebie. Kradłem portmonetki, nawet starym babciom. Wyleciałem ze szkoły. O mała nie zabiłem gościa.

Od kiedy mnie aresztowano i dostałem dozór (za to, że o mała nie zabiłem tego gościa), zrobiłem to: Dostałem świadectwo szkolne, bo moja kuratorka powiedziała, że od tego zależy moje zwolnienie. Nie brałem prochów, bo moja kuratorka kazała mi co tydzień robić test. I kazała mi płacić za te cholerne testy. Znalazłem pracę, bo moja kuratorka powiedziała, że to część warunku. Czytałem książki, bo moja kuratorka zrobiła listę książek i powiedziała, że to też warunek. I wylądowałem tutaj, w Bunker Hill, w technikum, bo to też jest warunek zwolnienia.

Teraz nadzór się kończy i opuszczę Bunker Hill.

Skończone. Jestem gotowy. Idę na Northeastern. Bo moja kuratorka dała mi podanie. Powiedziała, że jest ze mnie dumna.

Na początku kuratorka napisała mi na samej górze planu mojego nadzoru: „Wielu ludzi ma mylne pojęcie o tym, czym jest szczęście. Nie osiąga się go przez samozadowolenie, ale dzięki wierności szczytnym celom. Helen Keller” (Helen Keller, Historia mojego życia, Czytelnik, Warszawa 1978 - przyp. tłum.)

Kurka, nawet nie wiedziałem, kto to Helen Keller, ale głupio mi było się zapytać, albo żeby skumała, że się cykam, że nie wiem. Ale się dowiedziałem - chociaż zacząłem się dowiadywać od obejrzenia filmu o niej. Potem przeczytałem jej książkę. Chociaż nie było jej na liście. Wtedy pierwszy raz w życiu przeczytałem coś, czego nie musiałem czytać.

Dowiedziałem się, że może lubię czytać.

Może ten cytat był tym, co odmieniło moje życie. A może to, że zostałem aresztowany. A może to, że wsadzili mnie do celi na tyle długo, żeby wykapować, że nie lubię spać na śmierdzących kwasem pryczach więziennych. Nie chcę znowu jeździć na tym żelaznym koniu.

Nie wiem, czy moja kuratorka robi to z tym cytatem dla każdego faceta, czy zobaczyła coś we mnie. Wszystko jedno.

Ważne, że przez nią odkryłem coś w sobie. Przygotowała mnie, żebym

znalazł swój szczytny cel. Więc chyba to, że poznałem panią Zachariah i to, że jest moją kuratorka, jest dla mnie tym, co odmieniło moje życie.

Podniosłam wzrok. Jesse patrzył mi w oczy.

- Pani Zachariah, nic pani nie cieszy - powiedział. -

Chyba to miejsce nie jest dla pani szczytnym celem.

Szykowanie się na przyjście Quinna tego wieczoru stało się agresywną kampanią dbałości o urodę. Rozpłatałam sobie prawą nogę podczas golenia. Wsadziłam pędzelek od eyelinera do oka. Wkładałam sweter za bluzką, bluzkę za swetrem, szukając czegoś, co nie mówiłoby: „Nie mam zupełnie nic poza życiem innych ludzi, innymi rodzinami, mężami innych kobiet, więc pieprz mnie tu i teraz, a potem idź

do domu”. Rezygnacja z mężczyzn, a szczególnie z Quinna, nie udała się po raz kolejny.

Nadszedł moment, gdy Quinn zapytał, czy wszystko w porządku. Trzymał mnie na długość ramienia, jak gdyby chciał ocenić straty.

- Czytałem artykuł w gazecie. Zachowałaś się jak zawodowiec.

- I dlatego zadzwoniłeś? - Podałam mu piwo. - Żeby mi pogratulować?

- Nie wierzysz, że mógłbym się o ciebie martwić?

Nie chciało mi się odpowiadać. Chciałam tylko iść do łóżka i tak też się stało.

Kiedy Quinn mnie rznął, stawało się dla mnie coraz jaśniejsze, że czymkolwiek miałyby być mój szczytny cel, z pewnością nie był nim Quinn. Moje podniecenie gasło, aż Quinn musiał się poczuć, jakby posuwał trociny. Przynajmniej mnie się tak wydawało. Moje piersi rozgniotły się pod jego ciężarem, kiedy przyciskał się bliżej. Metoda Quinna na wymuszenie ze mnie orgazmu, czy chciałam go czy nie, nie działała.

Dzisiejszego wieczoru wydawało mi się, że przelatuje mnie ze złościwości.

Znałam niezwykłą kontrolę Quinna nad sobą i wiedziałam, że pewnie uważa, iż poświęca się dla mojej przyjemności.

Zrozumiałam, że jeżeli go nie powstrzymam, nie odpuści, zanim nie dojdę. Nie łączyło nas nic poza seksem, więc zawsze chciał na koniec zawiązać wszystko na błyszczącej kokardkę. Przypuszczam, że w ten sposób starał się być lojalny.

- Jezu, wypełniasz mnie, Quinn - powiedziałam, czując jak przebiega

przez niego dreszcz podniecenia wywołany moim kłamstwem. Wbiłam pięty w jego plecy i wyprężyłam się ku niemu, wciągając go głębiej. Przejechałam paznokciami po ciele Quinna, odgrywając jego kurewskie fantazje.

Bejbi, bejbi, bejbi.

Och, zrób mi.

Quinn wyrwał ze mnie żaloszny orgazm, wymuszony frykcją i czasem, a potem sam skończył.

Czy Quinn martwił się o mnie? Zastanawiałam się, kiedy opadł na mnie. Gdybym umarła, czy Quinn przyszedłby na mój pogrzeb? A ja, poszłabym na jego pogrzeb? Miałabym odwagę?

Jak mogłam spać z człowiekiem, co do którego nie miałam pewności, czy przyszedłby na mój pogrzeb? Z kimś, na którym pogrzebie nie miałam prawa się pokazać?

Całowałam mężczyznę, ale nie mogłabym zobaczyć, jak go chowają?

- Co ja tu robię? - wypowiedziałam te słowa szeptem w jego ramię.

- Proszę, nie, Merry. Znowu to samo. - Pozbierał się i zsunął się ze mnie. - Mówiłem ci chyba z milion razy, że mamy to, co mamy. Jeżeli ci to nie odpowiada, okej, idę. Nie znoszę scen.

Prawda. Quinn nigdy nie bawił się w sceny i nigdy mnie nie okłamywał. Był najbardziej stałym mężczyzną w całym moim życiu, najbardziej stałym, który nie siedzi w kryminale, chociaż jeżeli o mnie chodzi, to równie dobrze Quinn mógłby siedzieć w pudle, biorąc pod uwagę jego udział w moim życiu.

I wybrałam właśnie tego mężczyznę.

## 31. Lulu

Wlokłam się w stronę Szpitala Cabota z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, niewiele widząc poprzez śnieg i bojąc się, że wyląduję w rowie. W Bostonie walił wiatr z północnego wschodu. Jedyne, co mnie cieszyło w życiu, to świadomość, że Boże Narodzenie, kiedy przez dwadzieścia cztery godziny musieliśmy udawać, że wszystko jest w porządku, się skończyło.

Po półgodzinie jazdy do pracy czerwone światło łaskawie pozwoliło mi wyprostować palce zeszywniałe od ściskania kierownicy. W normalnych warunkach w ciągu trzydziestu minut trzy razy mogłam zajechać do szpitala. Z każdą chwilą gęste płatki śniegu robiły się coraz większe i wirowały coraz szybciej.

Zmiana

światła

nie

spowodowała

wznowienia

zatrzymanego ruchu. Tkwiłam w pułapce mego samochodu przez dziesięć minut i nie dojechałam nawet do następnej przecznicy. Skręciłam na prawie pustym parking przy McDonalddie.

Nie

przypuszczałam,

by

ktokolwiek

przejmował się moim samochodem w taki dzień jak dzisiaj, ale na wszelki wypadek umieściłam pod tylną szybą kartkę z napisem: LEKARZ - CENTRUM MEDYCZNE CABOTA -

WEZWANIE i otuliłam się starannie, by pokonać ostatnie dziesięć przecznic dzielących mnie od szpitala.

Miałam nadzieję, że krzykliwie żółta czapka zapewni mi wystarczającą widoczność i powstrzyma kierowców ciężarówek od skoszenia mnie na śliskich ulicach z powodu małej widoczności w burzy śniegowej.

Moja teściowa, wielka zwolenniczka „rozjaśniania twarzy odrobiną



koloru”, przysłała mi ją pod choinkę. Wtedy nie wyobrażałam sobie, że kiedyś ją włożę, teraz byłam zadowolona, że wrzuciłam ją do samochodu. Złapałam swoje odbicie w tylnym lusterku. Moja twarz kolorem przypominała śnieg, ale czapka świeciła jak latarnia morska.

Przenikliwy wiatr szarpał berecikiem, kiedy brnęłam w kierunku szpitala, chowając twarz w kołnierzu. W jednej chwili zewnętrzna warstwa puchowej kurtki do kolan pociemniała, bo okrycie pracowało na drugą zmianę jako płaszcz nieprzemakalny. Mijali mnie towarzysze niedoli, okutani na cebulkę, mokrzy, z czerwonymi twarzami i podbródkami wciśniętymi w szyję, wyglądający jak wypchane krety.

Zimny i wilgotny zapach ubrania przesiąkniętego śniegiem bił ode mnie, kiedy wchodziłam do ciepłego holu Centrum Cabota. Skinęłam głową człowiekowi sprzedającemu gazety, odwinęłam się z szalika i ukryłam czapkę w torebce.

- Szczęśliwego Nowego Roku, doktor Winterson -  
powiedział facet od gazet.

- Nawzajem, Kelly. - Nigdy nie wiedziałam, czy Kelly to nazwisko, czy imię.

- Jak dzieci?

- Lepiej, dziękuję.

Moja rodzina stała się własnością publiczną po tym, jak nas pokazano w wiadomościach. To, czego się bałam przez całe życie, stało się rzeczywistością - gazety odarły mnie z prywatności. Po okresie początkowej wywołanej szokiem ciszy dziewczynki zasypywały mnie pytaniami o dziadka i babcię. Nie mówiły nic o spotkaniu z moim ojcem, ale ten dzień musiał nadejść; jedyną niewiadomą było tylko - kiedy?

Starłam się nie gniewać na Merry. I chyba się nie gniewałam, ale nic nie pozostało takie samo. Merry wytrąciła moje życie z kolein.

Mimo że hospicjum w Szpitalu Cabota sygnalizowało zbliżającą się śmierć, dawało mi więcej spokoju niż reszta szpitala. Bez maszyn, mrugających i syczących, z mniejszą ilością rurek zaplątanych przy łózkach, było tu bardziej po ludzku. Audra, choć wątpła i słaba, wyglądała znowu jak człowiek, a nie eksperyment w medycznej masakrze.

Zdawała się spać, ale kiedy tylko weszłam do sali, otworzyła oczy.

- Louise - wyszeptwała. Schudła tak, że wydawała się przezroczysta. - Dziękuję, że przysłałaś.

- Audro, nie musisz mi dziękować.

- Miałaś trudny okres. - Zakaszłała, a potem z trudem odzyskała oddech. -  
Twoje biedne córeczki.

- Nie martw się o nie. Nic im nie jest. - Dotknęłam jej kostki dłonią lekko  
jak westchnienie.

- A tobie? - Audra wyciągnęła do mnie rękę. Podałam jej swoją, ostrożnie,  
bo łatwo dostawała siniaków. - Dzieci zbliżają nas do Boga, ale łatwo znaleźć  
się tak blisko, że można się sparzyć. Moje najtrudniejsze chwile, kiedy  
naprawdę myślałam, że umrę ze strachu, były związane z dziećmi.

Widok ręki tego mężczyzny na szyi Ruby sprawił mnie w większe  
przerażenie niż fartuch Teenie, którym próbowała zatamować mamie krew.  
Większe niż Merry, która omal nie umarła z ręki ojca, a to prawie mnie  
zniszczyło. Bez Ruby czy Cassandry nie mogłam sobie wyobrazić życia.  
Ludzie żyli, ale jak? Skąd czerpali siłę?

Jak mój ojciec mógł użyć noża przeciwko własnemu dziecku?

Merry zawsze mówiła, że niczego nie pamięta. Trudno mi było w to  
uwierzyć. Czy krzyczała, kiedy pobiegłam po Teenie? Widziała, jak ojciec  
zabił matkę? Patrzyła? Czy dlatego ojciec próbował zabić Merry i siebie,  
żeby wymazać ból, jaki niosła świadomość tego czynu, wyzbyć się tego  
obrazu?

Musiałam się dowiedzieć.

W nerce z kawałkami lodu leżał kompres z gazy.

- Na dworze śnieg pada jak zwariowany - powiedziałam.

Wyjęłam gazę i zwilżyłam Audrze usta.

- Podnieś roletę, chcę zobaczyć. - Audra odwróciła się do okna.  
Wpuściłam trochę światła i podłożyłam jej pod plecy dodatkowe poduszki.  
Okna odsłoniły szalejącą burzę śnieżną.

Siedziałyśmy w ciszy, przyglądając się.

- Jak pięknie - wyszeptała Audra. - Dzieło Pana Boga.

Zazdrościłam jej pociechy płynącej z wiary.

- Pięknie, jeżeli nie musisz gdzieś iść. Nie miałabym nic przeciwko temu,  
żeby Bóg darował sobie burze śnieżne.

- We wszechświecie wszystko ma swoje miejsce.

- Wojna? Umierające dzieci? - Patrzyłam, jak śnieg topi się pod wpływem

kontaktem z ciepłem i spływa po szybie.

- Mam nadzieję, że to właśnie śmierć porządkuje kawałki tej układanki. Może to wszystko jest dla nas próbą. Ma oddzielić ziarno od plew.

- Ale po co?

- Wiesz, czego się nauczyłam? - spytała Audra. -

Umieranie jest łatwiejsze niż patrzenie na ból własnych dzieci.

- Odwróciła wzrok od hipnotyzującej burzy i popatrzyła na mnie. Dotknęła lekkim palcem mojego czoła i odgarnęła pasmo włosów, które pod wpływem wilgoci wysunęło się z pozostałych. - Może kiedy odrzucimy to, co nieważne, będziemy się mogli skupić na tym, co kochamy najbardziej, co jest naszym największym skarbem.

Staten Island wyglądała tak zwyczajnie. Chyba spodziewałam się ognia i siarki po drodze do więzienia w Richmond.

Drew prowadził samochód ulicą, na której znajdowały się stacje obsługi AutoZone, sklep T.J. Maxx i stacje benzynowe.

Próbowałam sobie wyobrazić Merry, jak jedzie tymi drogami jako dziecko, nastolatka, kobieta. Merry nie widziała się z ojcem od czasu, kiedy wysłał list zawiadamiający o rychłym zwolnieniu. Pomimo błagalnej kartki świątecznej, Merry była nieprzejednana. Nie była gotowa, by się z nim spotkać i nie potrafiła przewidzieć, kiedy to nastąpi. Miałam nadzieję, że nigdy.

Całe życie tłumiała swój gniew, podporządkowując się ojcu, ale widok noża do listów u szyi Ruby sprawił, że stracił

nad nią władzę, i to do tego stopnia, że nawet nie napisała, by mu wyjaśnić, dlaczego się z nim nie zobaczy.

Jeżeli chodzi o mnie, to właśnie dlatego, że widziałam Ruby w niebezpieczeństwie, poczułam, że muszę się z nim koniecznie widzieć. I tak się tu znalazłam.

Drew zaparkował na placu obok więzienia. Zdawało się, że wszechobecne czarne ogrodzenie z siatki jest podtrzymywane tylko przez rdzę i tęczec.

Nasz najzwyklejszy samochód wyróżniał się spośród obdartych gruchotów wypełniających parking.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł? - Drew wyłączył silnik.

- Muszę to zrobić sama. Ścisnął mnie mocno za kolano.

- Za to nie ma specjalnej nagrody. Jesteśmy drużyną, Lulu.

Splotłam palce, by uspokoić trzęsące się dłonie i podniosłam je do ust. Krem do rąk o zapachu lawendy nie był

w stanie zagłuszyć gorzkiego zapachu mojego strachu. Po drodze na Staten Island zmuszałam biednego Drew, by się zatrzymywał w każdym McDonalddie czy Burger Kingu, bo potrzebowałam toalety z powodu kurczącego się pęcherza, i ciepłego piwa imbirowego dla uspokojenia zmaczonego żołądka.

- Jeżeli sama nie stawię temu czoła, nigdy nie dotrę do sedna. Nie wiem jeszcze, co powiem, ale przy tobie skończy się na tym, że będzie łatwiej, jeżeli ty zajmiesz się trudniejszymi sprawami.

- Czy to byłoby takie straszne? - Drew położył mi rękę na ramieniu. Pokaz siły z obietnicą wybawienia. - Całe życie dawałaś sobie radę sama z twoim ojcem.

Potrząsnęłam głową.

- Nawet nie wiem, dlaczego się tu znalazłam. -

Powiedziałam sobie, że zdecydowałam się na tę wizytę dla Merry, by nadrobić lata, podczas których zbudowałam mur i stawiałam moją siostrę pod ścianą.

- Po to, żeby stawić czoło swoim demonom?

- Nie wiem. - Gniotłam brzeg znoszonej skórzanej torebki. Wytarłam spocone ręce o czarne wełniane spodnie. W

gorącym samochodzie nogi zaparzyły mi się w czarnych zimowych butach. Miałam na sobie prosty szary sweter.

Mogło się zdawać, że to ubranie żałobne. Co się wkłada na spotkanie z ojcem, który prawie trzydzieści dwa lata wcześniej zamordował ci matkę?

O czym się rozmawia? Zapytałam o to Merry.

„O wszystkim i o niczym. O mojej pracy. O Ruby i Cassandrze. O tobie”. Skóra mi lodowaciała na myśl o tym, że przywoziła ze sobą do więzienia moje dziewczynki. I mnie.

- Rozmawiaj ze mną, Lu. Pozwól sobie pomóc. - Drew położył ciepłą dłoń na mojej nodze.

Odpuściłam trochę.

- Pomagasz mi codziennie. - Splotłam palce z silnymi palcami Drew. - To, że tu będziesz, kiedy wyjdę, całkowicie mi wystarczy.

Zacząłam otwierać drzwi samochodu, ale zatrzymałam się w połowie i

nagle wyrwały mi się słowa, które dławiły mnie od 1971 roku.

- Zawsze uważałam, że mama umarła przeze mnie.

- Dlaczego? - Nie spiesząc z „och, nie” i nie mówiąc „to niemożliwe”, tylko pytając zamiast tego „dlaczego?”, Drew dał mi prezent. Jeszcze jeden powód, by go kochać.

- Kiedy mama powiedziała „On mnie zabije. Biegnij po Teenie...” - przerwałam i podniosłam dłoń do ust.

- Cokolwiek powiesz, będzie dobrze. Z tobą też będzie dobrze. - Drew masował dłonią moje plecy, w małe kółka. - Z

nami wszystkimi będzie dobrze.

- Czekałam, Drew. Zastygłam.

- Wydawało się, że to długo - powiedział Drew. - Ale tak nie było.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Bo to bez znaczenia, ile miałaś lat, znam cię.

- Może gdybym była szybsza, ona by przeżyła.

- Nie. Nie mogłaś powstrzymać ojca. Byłaś tylko małym dzieckiem.

Drew przytulił mnie. Zrobiło mi się tak lodowato, jak tego lipcowego dnia, kiedy razem z Teenie znalazłyśmy ciało mojej matki. Ledwo czułam ramiona mojego męża.

Wysiadłam z samochodu.

Ostry wiatr uderzył mnie w twarz, kiedy szłam w kierunku ospowatej emaliowanej tablicy z napisem ODWIEDZAJĄCY, spłowiałoczerwonej, na czarnych metalowych drzwiach.

Merry uprzedziła mnie, czego mam oczekiwać, lecz nic, poza ujzieniem tego miejsca na własne oczy, nie mogło sprawić, że zaistnieje, ani pozwolić mi zrozumieć, jak trudno musiało być mojej siostrze tu przyjeżdżać.

Miałam ze sobą małą paczkę chusteczek, wepchniętą do kieszeni, zgodnie ze wskazówkami Merry. Przestrzegła mnie, że w toalecie dla odwiedzających może skończyć się papier.

Stałam w kolejce za chudą jak szkielet kobietą. Cały tłuszcz pod skórą zniknął i podobna była do lalki z suszonych jabłek.

Trzymała kurczowo na ramionach liliowy sweter. Na głowie miała smutne, obwisłe loczki.

Odwróciła się do mnie.

- Mąż czy ojciec?

- Słucham? - spytałam, bo zaszokował mnie jej głos.

Wyobrażałam sobie wcześniej tę scenę w formie zbliżenia -

ojciec i ja. Inne osoby nigdy się w niej nie pojawiały.

- Kogo pani odwiedza? - W jej głosie słychać było zniecierpliwienie. Może jej pytanie było czymś zwykłym.

Merry nie mówiła mi, że ludzie rozmawiają w kolejce. Raczej wyobrażałam sobie niewidzialne ściany wstydu rozdzielające odwiedzających. - Męża? Nigdy tu pani nie widziałam.

- Ojca. - Ludzie wolą opowiadać o sobie, niż słuchać o innych, więc zadałam pytanie, przypuszczając, że będzie chciała się z czegoś wypowiedzieć. - A panią kto tu sprowadza?

- Syn - parsknęła. - Zmora mojego życia.

Po co się tu zjawiała dla tej zmory? Co jej syn zrobił? Nie znałam się na obyczajach więziennych, nie wiedziałam, jakie informacje wymieniały ze sobą kobiety, bo były tu głównie kobiety. W każdej społeczności ta moneta miała duże znaczenie i trzeba było mieć świadomość jej właściwej siły przetargowej. Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem, ale modliłam się, by kolejka przesuwała się szybciej.

- Obiecał, że już tu nie wróci - powiedziała. Moje współczujące kiwanie głową tylko ją zachęciło. - Prochy - nie mogą z tego wyjść, jak ich raz złapie, mam rację?

- To prawda - zgodziłam się.

- Pani wygląda na wykształconą kobietę.

- Chodziłam do college'u.

- Zaraz widać. To może pani wie, co to się dzieje na tym świecie. Dlaczego jest tak źle? - Przyklepała loczek i najwidoczniej dodało jej to pewności siebie. - Mój chłopak sprzedał moje pierścionki. - Na dowód uniosła dłonie. - A ja jestem tutaj. Czy nigdy się nie nauczymy?

Pomyślałam o wiecznej lojalności babci w stosunku do mojego ojca. A czy ja pokonywałabym taką drogę dla Ruby czy Cassandry?

- Myślę, że macierzyństwo wymaga poświęcenia całego życia.

- Och, moja kolej. - Uśmiech uszmkowanych na wiśniowo ust ukazał

błyszczące, równe, sztuczne zęby.

Poklepała mnie po ręce. - Wszystkiego dobrego, kochana.

Trzeba nieść swój krzyż, prawda?

Nasz krzyż. Dotknęłam połyskującego złotem kolczyka z makaronu, dziecięcej robótki utrwalonej przez Drew. Ci mężczyźni, zmory naszego życia? Słowo zmora znaczyło dusiciel, morderca.

Strażnik popatrzył na mnie krzywo pomimo łatwego do przeszukania ubrania - żadnych kieszeni, mankietów - nie zważając na moje dobre maniery czy porządny wygląd, jak gdyby nikt z przekraczających bramy więzienne nie zasługiwał na jego szacunek.

Przekazał mnie dalej i teraz jedyną przeszkodą było stanięcie twarzą w twarz z ojcem. Ruszyłam naprzód.

W sali odwiedzin śmierdziało amoniakiem. Przypomniało mi to miesiąc spędzony w kostnicy, gdzie odór formaliny wciskał się we wszystko, co miałam. Tutaj stoliki i ławki, ustawione przy ścianach, przytwierdzone były do podłogi. Nie chroniła mnie żadna szklana bariera. Merry ostrzegła mnie, że nic nas nie będzie oddzielać i że ludzie się obejmują, choć tylko na krótko. Tortura.

Merry powiedziała, że mnie pozna, że widział zdjęcia. Nie przypuszczałam, że ja go rozpoznam, ale od razu wiedziałam, że to on. Chociaż chudszy, jego czarne włosy posiwiały, w okularach, które pewnie sam zrobił, ten człowiek miał w sobie ducha mojego ojca z czasów, kiedy go pamiętałam, odzianego teraz w pomarańczowe więzienne ubranie. W jego oczach było zbyt wiele zapału, były zbyt szeroko otwarte, za bardzo zgłodniałe mojego widoku. Skurczyłam się w sobie i pożałowałam, że nie ma obok mnie Drew.

Podeszłam zdecydowanym krokiem, nie pozostawiając sobie czasu na to, by się zatrzymać i zastanowić.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Nie podchodź bliżej, ostrzegały moje ramiona.

- Lulu. O Boże, to naprawdę ty. Kiedy mi powiedzieli, że przyjeżdżasz, nie mogłem w to uwierzyć. - Otarł oczy więziennym pomarańczowym rękawem. Wyciągnął do mnie ręce. Nie odsunęłam się wystarczająco szybko; pocałował

mnie. Szczeciniastym policzkiem dotknął mojego. Pachniał

środkiem odkażającym, takim jak żel, który pompowaliśmy na ręce z pojemnika w szpitalu. Nasmarował się nim dla mnie?

- Ręce! - krzyknął strażnik. Ojciec odsunął się.

- Nie wolno przytulić się na dłużej niż sekundę. -

Uśmiechnął się. Boże. Te oczy. Pożerał mnie nimi.

Przestań na mnie patrzeć.

- Już niedługo. Siostra ci powiedziała, prawda? Że wychodzę? Kiwnęłam głową.

- Zapomniałaś języka w gębie? - Zaśmiał się. - W

porządku, serdeńko. Minęło tyle czasu. Rozumiem.

Jasne, minęło dużo czasu od chwili, kiedy zabiłeś mamę.

Usiadł i wskazał miejsce naprzeciwko niego.

- Tutaj, złotko.

Usiadłam sztywno na ławce bez oparcia i złożyłam ręce na kolanach.

- Nie przyjechałaś tutaj tylko po to, by się we mnie wpatrywać, prawda?

Wyciągnął głowę do przodu, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i miał mi opowiadać kawały.

- Puk, puk! - Postukał się w czoło, chcąc żebym zaczęła naszą grę.

Puk, puk! Kto tam? Sąsiadki.

Jakie sąsiadki? Tu nie ma żadnych siatek.

- Musisz powiedzieć „Kto tam? Pamiętasz? - Uśmiech mu trochę przygasł.

Puk, puk! Kto tam? Mojżesz. Jaki Mojżesz? Mojżesz mi pożyczyć dolara?

- Co u Merry? Nie zadzwoniła ani nie napisała. Martwię się. - Ojciec stukał koniuszkami palców o blat drewnianego stołu, w nerwowym, szybkim rytmie. - Jezu, Lu, przyjechałaś tu, żeby mi przekazać złe wiadomości?

Puk, puk!

Kto tam?

Kocham.

Kogo kocham?

Nie wiem, ty mi powiedz!

- Czas, żebyś zostawił Merry w spokoju - powiedziałam.



Ojciec potrząsnął głową, jak gdyby moje słowa nie układały się w żaden sens.

- Czas, żeby miała swoje własne życie. Próbowałeś je odebrać na jeden sposób. Nie udało ci się. Potem wyszło ci to inaczej.

- Dlatego przyjechałaś? - Wydawało się, że zaraz zacznie płakać. Zerknęłam na najbliższego strażnika. Młody, Afroamerykanin, z twarzą tak pozbawioną wyrazu, że mógłby uchodzić za zmarłego. Modliłam się, by płacz więźniów był

niezgodny z regulaminem.

- Przyjechałaś, żeby mnie dręczyć?

- Przyjechałam ci powiedzieć, że nie sprowadzisz się do Bostonu. Twarz mu się zmieniła - ze zranionej w wyzywającą.

- Ty teraz decydujesz, gdzie będę mieszkał?

Wtedy w Brooklynie jego nastroje też się tak zmieniały.

„Twojemu ojcu humor zmienia się w mgnieniu oka” - mówiła Mimi Rubee, wmasowując w twarz biały balsam, pachnący słodkimi kwiatami krem, obiecujący gładką skórę na zawsze.

Merry już wtedy spała.

Kończyłyśmy z Mimi Rubee oglądać telewizję, przygotowywałyśmy się do pójścia spać - ja, myjąc zęby, ona, przepędzając zmarszczki. Potem gadałyśmy, czując się wystarczająco bezpiecznie, przez kilka minut, bo potem sen szybko nas wyzwalał z koszmaru, w jakim żyłyśmy.

„Uważaj na niego.

Ale on jest w więzieniu, Mimi Rubee.

Co tam więzienie. Dopóki żyje, wyciągnie rękę. Lulu, w gruncie rzeczy twój ojciec jest słaby. To nieudacznik, który spartaczył i nawet nie umiał się zabić. Słabi mężczyźni są najbardziej niebezpieczni, a niepowodzenie czyni ich jeszcze gorszymi. Trzymaj się od niego z daleka. Ostrzegałam twoją matkę, ale nie słuchała”.

- O niczym za ciebie nie decyduję - powiedziałam. - Ale ponieważ wychodzisz wcześniej, będziesz na zwolnieniu warunkowym. Zrobię wszystko, żeby poznać dokładnie warunki zwolnienia. Pamiętasz, jak chciałeś, żebym napisała listy? Zamieszkał w Bostonie, a napiszę takie listy, że trudno ci będzie w nie uwierzyć.

- Zasmuciłaś mnie - odparł. - Przebaczenie to najważniejsza cnota, jaką

można posiadać, wiesz o tym?

Miałem tu seminaria. Wybaczenie pomaga leczyć rany, Lulu.

- Tato, czy mówisz choć odrobinę serio? - wyrwało mi się, zanim ugryzłam się w język. Poczułam na języku dziwny, cierpki smak z przeszłości.

Złapał kant stołu, pochylił się i wyciągnął ku mnie.

- Nie kpij. Spójrz na siebie. Nie widziałas mnie od pogrzebu swojej babci i zaczynasz od tego, że mam się trzymać z dala od twojej siostry? Twoja siostra jest aniołem.

Wiem, że to jej pomaga, miłość, którą mi daje. Posłuchaj.

Nauczyłem się tego na pamięć dla ciebie.

Tata podniósł rękę, powstrzymując mój protest.

Odchrząknął, zupełnie tak samo, kiedy śpiewał mi w Brooklynie, i zaczął cytować jakąś przypowieść ze skarbicy mądrości więziennych.

- „Odmawianie wybaczenia jest pozostawaniem w więzieniu. Człowiek, który nie wybacza, jest zamknięty w czterech ścianach”. Może niedokładnie, ale cholernie blisko.

Kształt oczu ojca i jego długie rzęsy przypominały mi oczy Merry. U niego wyglądało to kobieco. U Ruby te same rzęsy były jeszcze jednym doskonałym detalem.

Te oczy nie były zwierciadłami duszy. Patrzyłam w nie i chciałam je wydrzeć, by zobaczyć, co się za nimi kryje. Czy to wyglądałoby strasznie? Tak jak u lalki Merry, kiedy wypadło jej szklane oko, pozostawiając tylko przerażającą czarną pustkę?

- Jak mam wybaczyć to, co zrobiłeś? - spytałam. - A jak ty wybaczyłeś sobie?

- Staram się o tym nie myśleć. To zamknięty rozdział.

Byłem pijany. Byłem szczeniakiem. Nie miałem pojęcia, co robię. Zapłaciłem za to całym swoim życiem.

- Nie. To mama zapłaciła.

- Twojej matki nie ma. Nic jej nie wróci.

- Tato, gdzie twoje sumienie? Gdzie jest twój żal?

- Nie myśl, że mnie znasz, Lulu.

- A skąd mam cię znać? Zerwałeś z nami. Podarłeś w strzępy nasze życie.

- To niczego nie tłumaczy, ale wasza matka nie była święta - powiedział. - Lulu, ani razu mnie nie odwiedziłaś. Ani razu. Jesteś moją córką.

- Już nie - syknęłam. - Błagaj Boga o przebaczenie, a nie mnie. To nie w mojej mocy. Nigdy nie było w mojej mocy. I nie będzie.

- Nie sądzisz, że gdybym mógł, cofnąłbym czas? Nie wiesz, że wasza matka nie daje mi spokoju? Kochałem ją, bardzo ją kochałem. - Oklapł. - Przepraszam? Słowo „przepraszam” nie wystarczy, by pokazać, jak się czuję.

Uczucie litości dla ojca stało się dla mnie zbyt bolesne, więc pozostałam przy gniewie. A ponadto, co oznaczał jego żal? Czy miał wyrzuty sumienia, że zabił moją matkę, czy żałował samego siebie?

- Chcę mieć rodzinę. Zostało mi tak mało czasu. -

Wyciągnął do mnie otwarte dłonie. - Dobrze. Nie mam żadnego prawa. Nie zamieszkam w Bostonie, jeżeli mnie nie chcesz.

Zagryzłam wargi, aż zdrętwiały, wydrapałam NIE, NIE, NIE na miękkiej skórze pod ramieniem. Przełknęłam ślinę i w końcu zaczęłam mówić.

- Otworzyłam konto na piętnaście tysięcy dolarów. Na twoje wyjście. Rozpoczniesz nowe życie. Dopilnuję, żebyś dostał te pieniądze.

Dla ciebie, babciu. Obiecałam, że wszystkim się zajmę, i tak zrobiłam.

- Mogę do ciebie pisać? - spytał.

- A czy kiedyś udało mi się ciebie powstrzymać? -

Wstałam, żeby wyjść. Czułam w sobie pustkę.

Złożył ręce. Mój ojciec. Skruszony pokutnik. Moje przekleństwo. Odeszłam na kilka kroków, a potem się zatrzymałam i zwróciłam twarz ku ojcu.

- Jakiego koloru były oczy mamy?

- Takiego jak twoje, Lulu. Tylko spójrz w lustro.

## 32. Merry

Kwiecień 2003

Przestałam odwiedzać ojca. Po latach bycia jego wierną córką, jego dobrą córką, córką, na której polegał. Kiedy dostałam list zawiadamiający o jego zwolnieniu, coś we mnie pękło.

Jego list zamienił mnie w kamień. Wszystko, co się potem wydarzyło - Victor, moje kłopoty z Lulu - pograżyło mnie w miejscu, z którego trudno mi się było wydobyć.

A teraz byłam tu, z powrotem w Brooklynie, i patrzyłam na dom ojca.

W gęstych krzakach wzdłuż ulicy kwitły forsycje.

Zdawało się, że Bensonhood, część Brooklynu, do której nigdy nie jeździłam, zbudowane było z innej cegły niż Brooklyn mojego dzieciństwa. Dorastałam otoczona obskurnymi różowymi budynkami Flatbush. Tutaj cegły wyglądały na bardziej czerwone.

Idąc, sprawdzałam numery domów. Powoli. Odwlekając ten moment. Dwa razy sięgnęłam po telefon. Chciałam usłyszeć od Lulu, że wszystko będzie dobrze, że mam się nie martwić, ale zwalczyłam pokusę. Musiałam pocieszyć samą.

siebie. Lulu nie wiedziała, że pojedę w odwiedziny ani nawet, że wyjechałam dziś z Bostonu o szóstej rano. Gdyby wiedziała, przekonałaby mnie, że mam nie jechać.

Mój ojciec zabił moją matkę.

W lipcu minie trzydzieści dwa lata.

Miałam wtedy pięć i pół roku.

Lulu nigdy go nie odwiedzała.

A ja zawsze.

Wszystko będzie dobrze.

W połowie drogi do następnej przecznicy zobaczyłam ojca, jak trzyma się łańcucha w ogrodzeniu. Jego widok na wolności oszołomił mnie. Żaden wymuszony przez strażników regulamin nie mógł zapobiec uściskom i pocałunkom.

Przestrzegane co do minuty godziny odwiedzin nie będą ograniczać

naszego czasu. Raz po raz dotykałam piersi, bo dałam sobie kompletną wolność w odnajdywaniu blizn przez miękki wiosenny sweter. Nikt nie odrywał mi palców od śladów ran pozostawionych przez ojca.

Uśmiechnął się szerzej. Kiwnął kilka razy głową - chodź, chodź. Powlokłam się naprzód, kroki przerywał nierówny oddech. Gdyby ojciec nie czekał na mnie na dworze, odwróciłabym się i poszła z powrotem do wynajętego samochodu.

Wreszcie, jakby nie mając cierpliwości, otworzył furtkę i wyszedł po mnie. Szukałam, czy nie przywarły do niego jakieś oznaki więzienia, jakiś chód - czy chodził jak ktoś, kto jest obserwowany? Czy wyglądał na nerwowego, jakby miał

wokół siebie zbyt dużo przestrzeni? Ale ujrzałam tylko siwiejącego człowieka, ciągle jeszcze muskularnej budowy, idącego krokiem przystojnego mężczyzny. Prostokątne okulary w metalowej oprawie zastąpiły te, których używał w więzieniu, i wydawało się, że są dziwnie zbyt modne, tak jak biała koszula, wyglądająca jak z Gapa, którą wcisnął w beżowe drelichowe spodnie.

Babcia Zelda zawsze mówiła, że mój ojciec był znanym elegancikiem.

- Laluniu - powiedział ojciec miękko. - Cukiereczku. -

Przygarnął mnie do siebie na długiego, mocnego niedźwiedzia. Też go uściśnij, koniecznie. Szturchnęłam samą siebie. Otoczyłam go ramieniem, zmuszając go do objęcia kłody bez życia, którą się stałam. Przycisnął moje sztywne ramiona do żeber.

- Patrzcie. A więc jesteście - powiedział. Przytrzymał ręką mój łokieć nawet wtedy, gdy zwolnił uścisk.

- Ładny dom. - Wskazałam na zwykły, dwurodzinny budynek, dając ramieniu coś do zrobienia, poza przytulaniem.

Promieniał.

- Udało mi się, co? Chodź. - Wskazał głową krzewy. -

Forsycje. Kwiat Brooklynu.

- Nie wiedziałam. - Słowa wydawały mi się niezdarne, zbyt duże dla mojego języka.

- Mieszkanie, które dostałem, nie jest złe. Zaraz zobaczysz. Jest małe. W suterenie. Na doczepkę. Ale gdzieś trzeba zacząć. - Poprowadził mnie podjazdem do bocznego wejścia, otworzył drzwi z siatką, wskazując gestem, bym weszła pierwsza. - Schodami na dół.

Wytarty chodnik zakrywał zdeptane drewniane schody wiodące piętro niżej.

- Dalej, wejdz.

Otworzyłam niezamknięte na klucz drzwi do boleśnie czystej kuchni.

- Wynająłem umeblowane, ale jest nie najgorzej. Na razie. - Jestem pewna, że wszystko w porządku, tato. - Moja szczeka wymaga naoliwienia. Zardzewiałam jak Tin Man, metalowy ludzik.

Na pożyczowanym szarym blacie z laminatu leżały idealnie prosto czarne podkładki pod talerze. Pod stół, dokładnie pośrodku każdego boku, wsunięte było krzesło. Do metalowego szkieletu krzesła mosiężnymi ćwiekami przytwierdzone były czerwone skórzane siedzenia. Nad obitym porcelanowym zlewozmywakiem wisiały metalowe szafki pomalowane na biało. Lodówka i kuchenka wyglądały, jak gdyby mieściły się w nich bloki lodu. Cofnęłam się w czasie.

- A tu jest reszta. - Wskazał na drzwi, dumny, pokazując gestem, bym za nim poszła. Prawie całą zniszczoną podłogę pokoju, będącego równocześnie salonem i sypialnią, zakrywały dywaniki z krótkim włosiem. Ustawił obitą tweedem wersalkę i fotel pod idealnym kątem prostym. W

rogu znalazło się biurko i komoda, a pomiędzy nimi stary kufer. W żółtej plastikowej ramie wisiały Słoneczniki Van Gogha.

- Było umeblowane - przypomniał mi. - Ale kupiłem obrazek i kufer.

- Utrzymujesz porządek.

- Przyzwyczajenie. Jeden przedmiot nie na miejscu, w celi, doprowadzał mnie do szału. - Odchrząknął i zmienił

temat. - Wkrótce zamierzam pomalować podłogi.

Pokazał mi małą łazienkę z wyblakłą różową wanną i umywalką, i takim samym linoleum w stulistne róże, jakie leżało na podłodze w kuchni. Na nieskazitelnym brzegu umywalki równą linię tworzyło mydło, pasta do zębów i zielony plastikowy kubek.

Zrobiłam pokazówkę z podziwiania małej spiżarni zawierającej zupę w proszku firmy Lipton, płatki śniadaniowe Froot Loops i puszki tuńczyka, a potem wróciliśmy do kuchni.

- Usiądź - powiedział. - Zjemy lunch.

Dotknęłam lekko podkładki pod talerz, czując jej nowość.

Miałam pewność, że jestem pierwszą osobą, która jej użyje, i że byłam

pierwszym gościem ojca. Ustawił dwa talerze z białego szkła z wąską niebieską obwódką i filiżanki ze spodkami od kompletu.

- Pijesz kawę? Nie mogę mieć w domu niczego mocniejszego. Przepisy. Skinęłam głową, jakby były one czymś najnormalniejszym na świecie.

- Dobrze, może być kawa.

- Jak? Z mlekiem, z cukrem? - Szklany dzbanuszek i cukierniczka wyglądały nie na miejscu w jego szorstkich rękach, ale trzymał je z nieśmiałą delikatnością.

- Tylko mleko. - Staralam się nie rozplakać na myśl, że mój własny ojciec nie wie, jaką piję kawę.

- To śmietanka; przyniosę mleko.

- Nie, tato, nie trzeba. Śmietanka to dla mnie specjał.

- No widzisz? Tak myślałem. - Rozpromienił się, kiedy stawiał przede mną dzbanuszek. - Popatrz tylko na siebie, ani grama więcej. Idealna jak zawsze. - Z zamachem ręki wskazał

galerię ramek na ścianie, które zaatakowały mnie zdjęciami wiszącymi w kolożach i osobno. Każdą fotografię, którą ode mnie dostał, złożył w sarkofagu z drewna. Ślady po taśmie klejącej wskazywały jeszcze, jak wisiały w celi.

Zobaczyłam siostrzenice w niemowlęctwie, potem jako maluchy, sześćo - i dziesięciolatki. Ruby w różowej spódniczce

baletnicy,

Cassandra

jako

absolwentka

przedszkola. Wręczenie dyplomów u mnie w college'u. Ślub Lulu. Niektóre wyglądały tak, jakby je powiększył. Ściana była świadectwem wielu godzin pracy.

- Sam zrobiłem ramki - powiedział. - W piwnicy ustawiłem sobie mały warsztat. Jeszcze nie jest gotowy. Moja gospodyni mówi, że mam najładniejszą rodzinę w Brooklynie.

- Tylko że my nie mieszkamy w Brooklynie, tato.

- Ale ja tak. A czy nie mieszkaliście ze mną? - Postawił

talerz bajgli, dla każdego z nas chyba po pół tuzina. - Nie wiedziałem

jakie, więc wziąłem po kilka z każdego rodzaju.

Spójrz, kupiłem czosnkowe, zwykłe, z makiem i coś, co się nazywa „wszystko”. Ten... nie pamiętam. Wcześniej ich nie mieli. Wybieraj pierwsza - namawiał, jak gdyby mogło ich zabraknąć.

Podszedł znów do lodówki i wrócił z talerzem, na którym leżała góra łośosia, i z różowym pudełkiem kremowego serka TempTee.

- Ostatnio jadłam TempTee jeszcze za życia babci.

- Ciągłe mi się wydaje, że powinienem podnieść słuchawkę i do niej zadzwonić - powiedział ojciec. - Nigdy mnie nie zawiodła. Bóg wie, jak bardzo ja ją zawiodłem.

Czego ode mnie oczekiwał? Nie, tato. Byłeś dobrym synem.

- Była dobra dla nas wszystkich - zauważyłam. - Nigdy, przez całe dzieciństwo, nie czułam się swobodnie z inną dorosłą osobą. - Sięgnęłam po bajgla ze wszystkim. - Tylko z babcią.

- Nawet ze mną? - spytał. Trzymałam bajgla i nóż nieruchomo.

- Żartujesz, tato?

- Kochanie, widywaliśmy się przez cały czas. Jak mogłaś nie czuć się przy mnie swobodnie? - Oczy ojca błagały mnie, bym skłamała. Proszę, ofiaruj mi tę odrobinę pokoju, prosił w milczeniu.

Straciłam apetyt, położyłam nierozciętego bajgla na swoim talerzyku.

- Tato, jak myślisz, dlaczego nie odwiedzałam cię od grudnia, a może od listopada?

- Przez Lulu - odparł. - Sądziłem, że powiedziała ci, że masz nie przyjeżdżać.

Przytłoczona przemożną chęcią zerwania oprawionych zdjęć ze ściany i stłuczenia każdego z nich, rozerwałam bajgla na pół, a potem jeszcze raz na pół.

- Jak możesz wmawiać sobie takie bajki?

- Skoro już wyszedłem, musimy w kółko wałkować to samo? - Ojciec wziął nóż i zaczął rozcinać zwykłego bajgla na pół, powoli, milimetr po milimetrze, aż się rozpadł, a potem sięgnął po swój nóż do masła.

Powstrzymałam go, kładąc mu rękę na dłoni.

- Masz blizny? - zapytałam. - Na nadgarstkach?

Cofnął ręce, jakby pomyślał, że złapię go i przytrzymam, bym mogła



sama sprawdzić.

- Dlaczego musisz to robić? To się stało tak dawno.

Wstałam i odpięłam dwa górne guziki dziecięco niebieskiego swetra. Dopiero teraz zauważyłam, że zrobiony z puszystej angory, wyglądał słodko, w stylu małej dziewczynki. Ściągnęłam go z lewego ramienia. - Czy twoje blizny tak wyglądają?

- Przestań. Proszę. - Pochylił się ku mnie. Cofnęłam się.

- Nigdy nawet nie popatrzyłeś na moje blizny -

powiedziałam. - Nigdy nie widziałeś, co zrobiłeś, tato.

- Nie muszę ich oglądać, kochanie. Żyję z tym, co zrobiłem, dzień po dniu.

- Nie. To ja z tym żyję. - Zamknęłam oczy.

Postanowiłam, że raczej obedrę sobie ręce ze skóry, niż pozwolę sobie na płacz. - Czułam się, jakbym była zamknięta w więzieniu razem z tobą. Kiedy cię nie odwiedzałam, myślałam o tobie, tam. Albo bałam się odwiedzin, bo mnie przerażały, albo mając takie poczucie winy, że się ich boję, pisałam do ciebie list. A ty przez ten cały czas tylko raz powiedziałeś mi, że ci przykro.

- Nie wiedziałaś? Ciągle mi przykro. Małeńka, byłem dzieciakiem, kiedy to się stało.

- Nie. Miałeś dwadzieścia osiem lat. Ja byłam dzieciakiem.

- Czego chcecie ode mnie? Jak mam wam wynagrodzić to, co się stało? Jak mam sprawić, żebyście zrozumiały, że bardzo was obu potrzebuję, że bardzo was kocham? Chcę mieć rodzinę - błagał. - Proszę, kochanie, zawsze mogłem na tobie polegać. Nie rób mi tego teraz.

- A ja mogłam na tobie polegać? - Podciągnęłam sweter na ramię i pochyliłam się do przodu. W uszach słyszałam każde uderzenie łomoczącego pulsu.

- Czy przynajmniej się nie starałem? - spytał. - Byłem na bieżąco z twoją nauką w szkole, twoimi chłopakami, twoją karierą - przejmowałem się wszystkim, co robiłaś; to wszystko mnie interesowało. Każdy referat, który pisałaś, i wszystkie rysunki, które przysyłałaś, kartki, wierszyki; mam tam całe twoje życie. - Wskazał na drzwi.

Ojciec zacisnął drżące dłonie w pięści i oparł o nie głowę.

Zastanawiałam się, czy to, że się starał, miało znaczenie, bo obojętnie co robił, jego ból rozdzierał mi duszę.

Mój ojciec miał rację; miał całe moje życie. Na własność.

- Okej, tato - powiedziałam. - W porządku. Proponuję, żebyś o tym pomyślał, zrozumiał, dlaczego nie możemy zapomnieć o tym tak łatwo, jakbyś chciał.

Wzięłam

swojego

pokiereszowanego

bajgla

i

posmarowałam po wierzchu serkiem. Nie wiedziałam, co mogłabym dla ojca w tej chwili zrobić, poza tym, żeby zjeść bajgla.

- To wszystko tam jest - powiedział. - W biurku.

Wszystko, co napisałaś. Chcesz zobaczyć?

- Okej. W porządku, tato. - Kawałek bajgla przecisnął się przez moje suche gardło do ściśniętego żołądka. - Nie mówmy o tym. Proszę, przestań mówić, proszę przestań, proszę przestań.

- Myślisz, że jestem potworem, ale to nie tak. Rozumiesz?

Jest późno, ale proszę, jeszcze mogę ci pomóc.

Jego oczy były moimi.

Mój ojciec był człowiekiem ograniczonym. Nigdy nie wydorósł. Mogłam tylko mieć nadzieję, że nauczę się nie nienawidzić go bez opamiętania albo nie kochać za bardzo.

Musiałam przykroić go do naturalnej wielkości.

Przycisnęłam palce do ust. Ojciec zabrał mi tak wiele.

Moją matkę. Moją rodzinę. Życie, którego pragnęłam, majaczyło w oddali, w mojej wyobraźni, ale byłam u niego w domu, patrzyłam mu w oczy, Nie miałam w sobie ani tyle tchórzostwa, ani tyle odwagi, żeby wyjść. A kiedyś córki Lulu mogą poprosić o spotkanie z dziadkiem i jeżeli nawet moja siostra zdoła je tu przywieźć, to i tak nie pozbędzie się swej wściekłości.

- Dobry ten bajgiel, ten ze wszystkim. Smakuje mi.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Nigdy takiego nie jadłaś? Potrząsnęłam głową.

- Nie. To jakieś nowe. - Jeszcze jedno łgarstwo. Jeszcze jedno kłamstwo.

Jeszcze jeden prezent dla mojego ojca. Lulu pewnie by pomyślała, że jestem słaba, ale czułam, że postępuję właściwie.

Ojciec sięgnął po jednego.

- To ja też spróbuję. Skoro polecasz, Cukiereczku.

Kilka miesięcy później przeprowadziłam się do Nowego Jorku. W Park Slope, gdzie znalazłam mieszkanie, było jak na Manhattanie, tylko luźniej.

„Brooklyn? - powiedziała Lulu. - Przeprowadzasz się na Brooklyn?”. Powiedziała to tak, jak byśmy uciekły z pogromów w Rosji po to tylko, żeby zamieszkać z powrotem na gruzach miasteczka, które opuściłyśmy. Może miała rację, ale przynajmniej przeprowadzałam się do znacznie lepszej części Brooklynu, o kilka stopni wyżej od tej, gdzie mieszkaliśmy kiedyś. Uciekłam z nory.

Niosłam zakupy. Idąc do domu, z przyjemnością brnęłam przez paździenikowe liście. Wzdłuż mojej ulicy rosły platany, szerokopienne i opiekuńcze. Miałam wokół tradycyjne brooklyńskie domy obłożone brązowym piaskowcem, przypominające zamożnych mężczyzn, dumnych ze swojej tuszy. Poprzedni właściciele pokroili większość starych budynków na mieszkania czynszowe i spółdzielcze, chociaż czasami można było zerknąć w oświetlone okno i zobaczyć oryginalne wnętrza, wspaniałe, z ogromnymi pokojami i połyskliwymi drewnianymi boazeriami, wyłocnymi od blasku kryształowych żyrandoli.

Weszłam po schodach do mieszkania na pierwszym piętrze, które kupiłam z pomocą Drew i Lulu. Moje cztery pokoje ogarnęły mnie. Grube mahoniowe okiennice chroniły od wiatru. Kiedy indziej, otwarte, pozwalały słońcu wydobywać skomplikowane wzory z parkietu. Po kawałku znajdowałam używane meble, które tu doskonale pasowały.

Kanapę kupiłam nową, w kolorze głębokiej czerwieni kamieni szlachetnych, i zasypałam szafirowymi poduszkami.

Ojciec znalazł półkę na książki z czeczotkowego drewna, wystawioną razem ze śmieciami, a ja zdołałam dojrzeć pod warstwami brudu jej urodę. Trzy tygodnie temu przytaszczył

skończony produkt dostawczakiem ze sklepu optycznego, gdzie pracował, i sprezentował mi odnowiony mebel, tak błyszczący od politory, że najprawdopodobniej zniszczył

zupełnie jej wartość jako antyku.

Rozpakowałam zakupy i ustawiłam na otwartych półkach, które ojciec, pomalował, włożywszy w to wiele wysiłku, by pasowały do poduszek. Raz w

tygodniu jedliśmy razem obiad.

Czasami chodziliśmy do restauracji. Kiedy ja wybierałam - do małych, etnicznych; kiedy wybierał on - do brooklyńskich, specjalizujących się w stekach. Wieczór zawsze kończył się kinem. Ja wybierałam płaczące dramaty, on musicale.

Częściej jednak sam gotował, co stało się kolejnym na jego rosnącej

liście

powołań:

kuchnia

północnowłoska,

przerabianie rupieci, skręcanie drutu w skomplikowane miniaturowe figurki, robienie wszystkiego, co mogło mi sprawić przyjemność, poza mówieniem o przeszłości. Tego nie robił, chociaż od czasu do czasu, kiedy nie był tego świadom, pogrążał się we wspomnieniach na temat naszej czwórki i rzucał ochłap jakiejś historii, na którym potem żerowałam przez całe tygodnie.

Wyłożyłam sushi na wynos na talerze z groszkowanego szkła i nalałam do wysokiej szklanki soku żurawinowego.

Wzięłam podręczniki i marker do podkreślania i usiadłam przy małym drewnianym stoliku, znalezionym w sklepie ze starociami na Atlantic Avenue.

Żyłam, pracując, studiując i widując się z nowymi przyjaciółmi. Moje wizyty w Cambridge były dosyć rzadkie, ale nie aż tak, bym czuła się obco, kiedy tam jechałam.

Potrzebowałam czasu, by wznieść barierę pomiędzy tym, co Lulu na mój temat myślała, a mną samą, nową i dojrzewającą.

Ona potrzebowała czasu, by odtworzyć rodzinę, w której już nie było dla mnie miejsca, chociaż zawsze byłam jedną nogą u nich, a drugą u siebie. Musiałam stać się ciotką, siostrą, szwagierką, a nie głodnym dzieckiem przyklejonym do szyby, za którą istniał świat Lulu.

Już wcześniej zamierzałam wyjechać do Nowego Jorku, do pracy z dziećmi lub kobietami, ofiarami przemocy. Było tylu wymarzonych klientów do wzięcia: dzieci torturowane, ofiary gwałtu i beznadziejnie maltretowane kobiety. Kiedy znalazłam agencję ostatniej nadziei specjalizującą się w terapeutycznych wizytach środowiskowych u ocalałych synów i córek zamordowanych rodziców, pomyślałam sobie, że jestem w domu.

Przeczytałam ich informacje, jak gdybym była Madame Curie i właśnie odkryła rad. Po drodze okazało się, że zmęczyło mnie już wybebeszanie własnych flaków i postanowiłam, że już więcej nie będę płacić za grzechy ojca.

Teraz pracowałam w odlotowej cichej galerii sztuki.

Wymagali tylko ładnej buzi i opanowanej ręki do wręczania broszur, pozostawiając mi sporo czasu na naukę, kiedy siedziałam w recepcji, mając na sobie przepisową czarną princeskę lub kostium. Odkryłam, że w Nowym Jorku, poza nadwyżką ludzi okaleczonych, można było też znaleźć szybkie programy dla osób, które chciały zmienić zawód. W

ciągu roku miałam zdobyć uprawnienia do nauczania w szkole podstawowej.

Przewróciłam stronę podręcznika psychologii dziecięcej i umoczyłam maki (Rodzaj sushi.) w sosie sojowym z imbirem.

Ojciec uparł się, żeby oddawać mi prawie połowę swojej tygodniówki - na chesne, żartując przy tym, że to najwyższy czas, by zaczął płacić za college córki. Za każdym razem, kiedy tak żartował, myślałam o mamie. Zastanawiałam się, czy mama mnie widzi. Co by pomyślała o układzie, który wypracowaliśmy z ojcem? Czy chciałyby, żebym brała te pieniądze?

Zanim podjęłam ostateczną decyzję o wyjeździe z Bostonu, spędziłam całą noc, próbując wyczuć mamę, prosząc ją, żeby przyszła i powiedziała mi, jak mam postąpić z ojcem.

Kiedy jednak milczała, przyjął jej milczenie za zgodę.

Mama chciałyby, żebym się zmieniła.

Mama z pewnością chciałyby, żebym wzięła te pieniądze.

Czasami patrzyłam na swoje życie i robiło mi się niedobrze - nie miałam męża ani dzieci, ani faceta, tylko ojca i siebie. Czy tego wszystkiego bała się Lulu? Wtedy siadałam i szukałam w Internecie portali randkowych. Korcił mnie Jack Daniels.

Potem uspokajałam się i mówiłam sobie, że na wszystko przychodzi czas. To był mój czas gojenia ran. Wkrótce opadną liście i zaczną odrastać nowe.

Delektowałam się swoją kolacją. Otaczały mnie miękkie dźwięki smooth jazzu. Podkreśliłam w książce kilka fragmentów, które pozwolą mi lepiej zrozumieć moich przyszłych uczniów.

Potem zadzwonię do Lulu, tylko żeby powiedzieć jej cześć.

## 33. Lulu

Grudzień 2003

Zaparkowałam obok starego czarnego cadillaca Seville, a potem przeszłam kawałek do domu ciotki Cilli, myśląc o tym, jak bardzo różnią się stare samochody w Brooklynie od tych w Cambridge. Zamiast piętnastoletnich porzewiałych hond civic Brooklyn miał wielkie cadillaki z rozwalonymi tylnymi światłami. Na lotnisku wypożyczyłam samochód. Merry dałaby mi swój, ale nie powiedziałam jej, że jadę do Nowego Jorku. Był słoneczny grudniowy dzień, trzydzieste ósme urodziny Merry. Chciałam jej zrobić niespodziankę.

Na podejździe u ciotki Cilli stała błyszcząca toyota avalon.

Otworzyłam drzwi prowadzące na oszklony ganek. Zdziwiło mnie, że nie były zamknięte na klucz. Na ganku nie było nikogo, może dlatego, że nikt nie używał werandy w zimie, a może nigdy jej nie używano. Oznajmiłam swoje przybycie, stukając tak długo wiszącą mosiężną kołatką, aż usłyszałam kroki.

Usiana starczymi plamami ręka uchyliła koronkową firankę w oknie przy wejściu. Ciotka Cilla przyglądała mi się podejrzliwym wzrokiem.

- Lulu? - spytała. Poznałam ją natychmiast, chociaż wyglądała na swój wiek, a nawet na więcej. Twarz jej obwisła jak u buldoga, na co się zawsze zanosilo. Nabrała kształtów, jak wiele starszych kobiet - nogi jak patyki i za chude ręce wetknięte w tłusty brzuch Pani Kartoflowej.

- To ja, ciociu Cillo.

Otworzyła drzwi i wpatrywała się we mnie.

- Wyglądasz jak ci ze strony twojego ojca. Jak jego ojciec.

- Racja. Mój dziadek.

- Merry, twoja siostra, wygląda jak wasza matka.

- Wiem. - Miałam nadzieję, że mój uśmiech jest na tyle sarkastyczny, by to dostrzegła przez swoje grube okulary.

- Nie odwiedziła mnie ani razu od czasu, kiedy się tu sprowadziła. Chociaż mieszka na Brooklynie. Dzwoniła do Arnie'ego.

Kiwnęłam głową jak gdyby to, co mówiła ciotka Cilla miało choć odrobinę sensu. Merry raz w miesiącu jadła kolację z kuzynem Arnie'em. Trudno było uwierzyć, że jest teraz maklerem giełdowym.

- Wejdz - powiedziała ciotka Cilla. - Wuj Hal chciał się z tobą zobaczyć, ale jest w pracy.

Pewnie jeszcze się wstydzi, że się nas pozbył jak kupy śmieci.

- Nie mogę go zmusić, żeby przeszedł na emeryturę -

zaczęła znowu. - Powiedz, kto chodzi do starego dentysty, któremu trzęsą się ręce? - Wytarła swoje ręce o spłóviały fartuch w zieloną kratkę.

- Trzęsące się stare kobiety ze sztucznymi szczękami? -

zasugerowałam.

Ciotka Cilla mlasnęła językiem.

- Ciągłe taka wyszczekana, po tylu latach.

Wyciągnęła ręce, żeby mnie objąć. Wstrzymałam oddech, pochyliłam się i zaserwowałam jej uścisk w stylu Oprah.

„Boże, Lu, zawsze wiem, kiedy nie chcesz, żeby cię ktoś dotykał - mówiła Merry. - Obejmujesz tak jak Oprah, kiedy jej gość jest zbytnio oszołomiony gwiazdą, a ona chce utrzymać dystans”.

- A więc, możesz zostać na lunch? Czy chcesz zabrać wszystko i jechać? - Ciotka Cilla zaprowadziła mnie do środka. - Hal przyniósł pudła ze strychu.

Weszliśmy

do kuchni. Błyszczące urządzenia i wyglądające na drogie szafki z drewna orzechowego stanowiły niemiły kontrast z postarzałą twarzą ciotki Cilli.

Stara kuchnia, zapamiętana z dzieciństwa, zrobiona była z jasnego drewna, które wtedy było szczytem mody.

Przypomniało mi się, jak matka warczała na ojca przez cały weekend, po tym jak zobaczyła zmianę wystroju kuchni wykonaną przez wuja Hala.

Stół został nakryty porcelaną Mimi Rubee. To też pamiętałam. Mimi Rubee dała ciotce Cilli ten serwis wkrótce po śmierci dziadka. Mimi Rubee nie chciała staroświeckiej porcelany Haviland, zdobionej figurkami tańczących dziewcząt i zielono - złotymi girlandami. Matka nie cierpiała tych talerzy, bo była przywiązana do nowoczesności tak jak Mimi Rubee i jak ona kupowała białą melaminę w turkusowe gwiazdki.

- Arnie chce je ode mnie wydębic. - Ciotka Cilla potrząsnęła głową. - Dorosły chłop, a zbiera talerze.

Powinnam dać cały serwis tobie. Jeżeli ci się nie podoba, możesz zachować go dla córek.

Chciałam zaprotestować. Arnie zmartwiłby się i poczuł pominięty. Merry powiedziała mi, że ukrywa przed ciotką Cillą fakt, że jest gejem.

- Bardzo chętnie - powiedziałam zamiast tego.

Zaskoczyłam

ją.

Najwidoczniej

była

to

tylko

grzecznościowa propozycja.

- Właściwie to mogę wpaść jutro i je zapakować.

- Lepiej poczekajmy, muszę zapytać Arnie'ego. - Jej słowa cichły, kiedy sięgała po półmisek z lodówki.

Mogłam ją wyratować, ale tego nie zrobiłam.

- Powiem dziewczynkom. Ucieszą się. Może wsadzisz talerze do pudła i wyślesz do nas? Chociaż z drugiej strony, może powinnam poprosić Merry, żeby przyjechała je zabrać.

Co ty na to? - Czy nie byłoby przesadą, gdybym zaproponowała usługi ojca w wywiezieniu talerzy?

- Pudła twojej matki są w salonie. - Ciotka Cilla z hukiem postawiła na stole półmisek z pasztetem z wątróbki i sałatką jajeczną. - Możesz je przejrzeć po jedzeniu. Zobacz, co chcesz zabrać. Zdecyduj.

- Nie muszę decydować. Zabieram wszystko.

Ciotka Cilla położyła ręce na biodrach i wyprostowała się do całej swojej skurczonej wysokości. Tak jak wiele kobiet ze swojego pokolenia - czyż ich nie leczyłam i nie wiedziałam tego? - miała objawy osteoporozy i kiedyś nadejdzie taki dzień, że osiągnie rozmiar kieszonkowy.

- Jeżeli zabierzesz wszystko, co mi zostanie na pamiątkę po siostrze?

- Ciociu Cillo, miałaś całe lata, żeby wszystko zapamiętać. Zresztą skąd mam wiedzieć, co włożyłaś do kartonów, a o czym zapomniałaś?

- Oskarżasz mnie o kradzież? O kłamstwo? - Przyłożyła dłoń do piersi. Pierścionki z brylantami wrzynały się w jej pulchne palce. - Jak śmiesz? Oto,



co mnie spotyka za to, że staram się być miła. Chciałam zacząć od nowa, tak jak mi kazał Arnie. Dlaczego miałabym cię okraść?

Nabrałam

wielką

łyżkę

pasztetu

z

wątróbki,

posmarowałam nim kawałek żytniego chleba i oblizałam widelec.

- Mmm. Pyszny. - Przykryłam wątróbkę liściem sałaty i złożyłam chleb na pół, w kanapkę. - Dlaczego miałabyś to zrobić? Nie wiem, ciociu Cillo. A dlaczego porzuciłaś mnie i oddałaś do sierocińca?

Zapakowałam rzeczy do samochodu, chociaż o mało nie udławiłam się grubą połówką kanapki. Ciotka Cilla przyglądała mi się z zaciśniętymi wargami, kiedy żułam.

Milczałyśmy, kiedy wynosiłam do samochodu sześć kartonów. Oczekiwałam, że po wyniesieniu ostatniego owładnie mną przyływ mleka dobroci (Boję się tylko, czy twoja natura, zaprawna mlekiem dobroci, obierze najkrótszą drogę ku temu, W Szekspir, Makbet, akt I, scena V, tłum. J.

Paszkowski - przyp. tłum.). Wujek Hal opisał je jako „rzeczy osobiste”, umieszczając te słowa na nadruku MATERIAŁY

DENTYSTYCZNE DAWSONA.

Stałam przy wypożyczonym samochodzie i obejrzałam się za ciotką Cillą. Jedną ręką ciaśniej ściągnęła wokół siebie sweter, a drugą w oczekiwaniu przytrzymała frontowe drzwi. Podeszłam do drzwi przy fotelu kierowcy, otworzyłam je, włożyłam kluczyk, czując przez cały czas, że ciotka Cilla mnie obserwuje i czeka. Może spodziewała się, że wrócę i ją obejmę. I pocałuję.

Dwie smutne małe dziewczynki czekały kiedyś i czekały, aż ktoś się nimi zaopiekuje.

Silnik zaskoczył, zawył - i odjechałam.

Jazda do Park Slope z Mill Basin zajęła mi około pół

godziny. Z każdą mijaną przecznicą wszystko się zmieniało.

Ulica ciotki, mająca charakter przedmieścia przeszła w ruchliwą Avenue

N. Kiedy dojechałam do Flatbush Avenue, ujrzałam Brooklyn mojego dzieciństwa. Okolica stawała się coraz biedniejsza i bardziej ponura. Przed sklepami wystawiono stosy taniego towaru, promocyjnych wielkich butli szamponów o dziwnych nazwach, nylonowych koszul w jaskrawych kolorach, sukienek sztywnych od krochmalu, do pierwszego prania.

Moim dzieciom by się to podobało - wycieczka w krainę mego dzieciństwa - ale było za blisko do mojego ojca.

Potrzebowałam większej odległości między nami, by czuć się bezpiecznie. Od czasu do czasu dziewczynki prosiły, by mogły zobaczyć dziadka. Teraz już dłużej nie kłamałam. Po prostu mówiłam nie. Kiedyś pewnie i tak go odwiedzą, ale dopóki Drew i ja się nimi opiekujemy, będziemy je trzymać z dala od niego.

Taki był mój plan. Czasami Drew zaczynał rozmowę na ten temat i wtedy starałam się mu wyjaśnić, co myślę.

Słuchałam, jak mówił. Z trudem wydobywałam z siebie słowa, a serce waliło mi jak młot. Kochałam swojego męża. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by kochać ojca. Nigdy nie oddałabym tej odrobiny spokoju, którą zdobyłam.

Kiedy zbliżałam się do Prospect Parku, życie nabrało oddechu, architektura pozostawiła ludziom więcej przestrzeni.

Na ulicach Park Slope zieleniło się od drzew i nowych pieniędzy.

Tam, gdzie mieszkała Merry, nie było podjazdów.

Wcisnęłam się pomiędzy matrixa i priusa. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam komórkę. Nacisnęłam klawisz szybkiego wybierania numerów - jej był pierwszy.

Pojawiła się Merry i przebiegła przez ulicę.

Objęłyśmy się i ucałowały. Mogło się wydawać, że wiedziała o moim przyjeździe od tygodni, a nie od piętnastu minut, jakie jej dałam. Miała na sobie szminkę i aksamit.

Trzy razy wchodziłyśmy z kartonami na jej pierwsze piętro, aż się spociliśmy, pomimo grudniowego chłodu. Na kuchence na małym ogniu stał garnek chili, przydając powietrzu ciepła i aromatu przypraw. Na czerwonym jak cegła ceramicznym talerzu królowała idealnie błyszcząca chałka.

- Popatrzcie, co za cud - powiedziałam. - Nareszcie nauczyłaś się gotować.

- Nie. To tata.

Przyjrzałam się twarzy siostry. Czekala na jakas reakcje?

Ale wygladala jak Merry. Pikantnie. Ładnie, w stylu gwiazdy rocka. Wydawalo sie, ze jest srodka, tak jak wtedy, gdy byla dzieckiem. Stracila swoja spietą zadziornosc.

- Dobrze, ze sie w koncu na cos przydaje - powiedzialam.

Nigdy sie jej nie przyznalam, ze dalam mu pietnascie tysiecy.

Powiedziala mi, ze placi chesne i ze zrobil meble, ale to ani troche nie spowodowalo, ze chcialam go zobaczyc. Jedynie przestalo mi zalezec, czy Merry sie z nim widuje. - Zobaczymy, co my tu mamy.

Usiadlam na podlodze obok sterty pudeł, szukajac tego, ktore wujek Hal opisal specjalnie dla mnie.

- Masz. To dla ciebie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Przygladalam sie, jak Merry przecina taśmie, ktora wujek Hal tak pieczołowicie nakleil. Usunela warstwe pogniecionych gazet i odkryla czarne pudełko z onyksu, inkrustowane masa perlowa. Podniosla wzrok, sciskajac je w dloniach. Oczy jej napełnily sie łzami.

- Jeszcze nie placz - powiedzialam. - Masz wiecej do rozpakowania.

- Pomoz mi.

Rzucilam sie do niej i siegnalam do kartonu, by wyjac nastepny przedmiot zawiniety w gazete, zaskoczona jego cięzarem. Pod papierem wyczulam kamien, tak gladki i sliski, jakim byl zawsze.

- To, ktore mi dalas, lezy na toaletce - powiedzialam. -

Pomyslalam sobie, ze reszta sie podzielimy.

- Pamietasz, jak sie nimi bawilyśmy? - Merry otworzyla je i przytknela pudełko do policzka. Przebiegala przez nie misterna srebrna zyłka, tworzac kółko.

- Mama nazywala to zabawa. Wlasciwie to je dla niej czyscilyśmy.

- Ale to i tak bylo mile. - Merry rozmarzyla sie, pamietajac to, co uwazalam za niemozliwe. - Szczegolnie w lecie, kiedy byly takie przyjemne w dotyku. Pamietasz, jak pocieralyśmy nimi rece i mowilyśmy, ze to nasze chlodzace kamienie?

- Zawsze potem bylyśmy brudne. Przez ten kurz. - Male, ziarniste kulki brudu pokrywaly nasze ciała, nawet miedzy palcami stop.

- Mama zawsze potem kazala nam brac kapiel. - Merry wyprostowala

nogi, trzymając rękę na szkatułce.

- Potem przemywała nam ręce i piersi alkoholem.
- Nie, dopiero kiedy szliśmy spać - odparła Merry.
- Nie, robiła to po naszej kąpieli, jak byliśmy jeszcze nagrzane od wody.
- Po kąpieli posypywała nas talkiem. Potrząsnęłam głową.
- Zupełnie nie masz racji.

Merry uniosła się na kolana i strzepnęła rękę.

- Mylisz się, to ja mam rację.
- Może - powiedziałam. - Ale wątpię.

Merry roześmiała się i sięgnęła po następny karton.

- Wiesz, co tu jest?
- Reszta to całkowita niespodzianka - odparłam. -

Powiedziałam ciotce Cilli, że chcemy wszystkie rzeczy mamy; że zabieram je do domu. Dla ciebie i dla mnie. Myślę, że jesteśmy gotowe i myślę, że już czas.

Podziękowania

Zanim podziękuję tym wszystkim, którzy pomogli mi napisać tę książkę, chciałabym powiedzieć jedno: szkoda, że nie należy ona do gatunku science fiction, lecz jest realistyczna. Przez dziesięć lat pracowałam z mężczyznami, którzy, tak jak ojciec Merry i Lulu, zniszczyli swoje rodziny -

mężczyznami, którzy nie byli potworami, lecz dokonali czynów potwornych. Ta książka jest dla ich dzieci, tych, które cierpią niezauważenie, i dla wszystkich zdumiewających mężczyzn i kobiet, którzy poświęcają swoje życie, pomagając tym dzieciom. Może nigdy się nie dowiecie, komu ocaliliście życie.

Dziękuję

Federacji

Żydowskich

Organizacji

Filantropijnych, Boris Bedell i Camp Mikan, obozowi dla dzieci i młodzieży za dar dzieciństwa.

Dzięki ci, Stephenie Abou, agentko niezwykła, któraś zapewniła mi wszystko, czego potrzebowałam, z radością, mądrością i przyjaźnią włącznie,

i dziękuję Foundry Literary +

Media za to, że mogłam odczuć waszą opiekę i to, że jestem kimś specjalnym. Dziękuję wszystkim w wydawnictwie St.

Martin Press za wsparcie i uprzejmość, i za podarunek w postaci Hilary Rubin Teeman, ponad miarę wnikliwą, bystrą jak cały college, redaktorkę, której zdanie cenię sobie niezwykle. Zespołowi projektowemu i produkcyjnemu, a szczególnie redaktorce tekstu, Susan M.S. Brown, mogę tylko powiedzieć - wow! Steve'owi Sniderowi i działowi artystycznemu dziękuję za narysowanie moich wyobrażeń.

Dziękuję również wydawnictwu Sphere Publishing w Wielkiej Brytanii za tak gorące powitanie, szczególnie mojej błyskotliwej i ciepłej redaktorce, Jo Dickinson.

Merci, Editions Halmann - Levy we Francji, danke wydawnictwu Diana Verlag w Niemczech, bedankt Utgeverij Artemis w Holandii i wydawnictwu Kinneret w Izraelu; dziękuję, że przedstawiliście Merry i Lulu światu.

Milion uścisków dla Jenny Blum, mojej szczęśliwej gwiazdy, cudownej przyjaciółki i nauczycielki, i wszystkich służących mi radą, ukochanych, teraz i przedtem: Amina Ahmada, Christiane Salop, Nicole Bernier, Edmunda Caldwell, Celcie Corona, Kathy Crowley, Elizabeth de Veer, Stephenie Ebert Devlin, Elizabeth Gallagher, Chucka Garavaka, Lesie Greflenius, Iris Gomez, Javeda Jahngira, Ann Killough, Henriette Lazaridis Power, Elizabeth Moore, Necee Regis, Dell Smith i Becky Tuch. Nie mogłabym znaleźć lepszej grupy pisarzy i krytyków. Zawsze twórzmy i przekształcajmy.

Milion całusów dla grupy: Ginny DeLuca (która czytała i krytycznie oceniała wszystkie wersje tej książki), Susan Knight i Diane Butku, BFF - jesteście zarówno rodziną, jak i przyjaciółmi, oraz Niny Lev za słuchanie, jak jej opowiadałam o moich wyimaginowanych przyjaciółach, kiedy rok po roku spacerowałyśmy wokół stawu.

Znakomitym pisarzom z The Splinters: RJBardsleyowi, Chuckowi Leddy, Leslie Talbotowi, Lenowi Sparksowi, Kate Wilkinson, Jill Rubinstein i Paulowi Parcellinowi, którzy dodali mi odwagi i dzielili się ze mną swoją mądrością.

Grub Street, dziękuję wam! Jak byśmy sobie poradzili bez was - nieustraszonych przywódców i błyskotliwych pisarzy.

Chris Castellani, Whitney Scharer, Sonya Larson i Whitney Ochoas. Stwarzacie nam dom!

I mojej rodzinie: Becco Wolfson, Saro, Jasonie i Noro Hoots, Jill Meyers,

Nicole Todini, Morrisie, Jeanne, Bruce i Jean Rand - mam was w swoim sercu. I pamięci mojej matki, Joyce Cherlin - ta książka jest na równi twoja, jak moja.

Dlaczego napisałam Córki mordercy „Nie wpuszczaj taty do domu”. Matka powiedziała te słowa do mojej ośmioletniej siostry pewnego sobotniego popołudnia. Potem poszła się zdrzemnąć. Być może mnie też przestrzegła, ale ja miałam wtedy zaledwie pięć lat i nie pamiętam tego.

Kiedy po latach, już jako osoby dorosłe, obie z siostrą zaczęłyśmy rozpamiętywać nasze dzieciństwo w taki sposób, w jaki zazwyczaj robi to rodzeństwo, porównując pozostałe po nim blizny i wspomnienia, wyliczając doznane krzywdy i wydobywając z zakamarków pamięci różne zabawne zdarzenia, siostra wspomniała tę historię w przekonaniu, że o niej wiem. „Pamiętasz, jak wpuściłam ojca do domu i jak próbował zabić mamę?”. Przysięgała, że byłam przy tym (gdzieś indziej mogłabym być w tym wieku?), ale ja niczego takiego nie pamiętałam. Gdy minęły kolejne lata, a siostra opowiedziała mi więcej szczegółów, ta scena zapuściła korzenie w moim umyśle i stała się częścią również mojej pamięci. Słyszałam słodkie słówka ojca, proszącego, by go wpuścić, i echo krzyków matki.

Może dlatego później przez wiele lat pracowałam z agresywnymi mężczyznami, skierowanymi przez sądy do udziału w bostońskim Programie Interwencyjnym dla Sprawców Przemocy w Rodzinie, w ramach którego prowadziłam zajęcia grupowe. Może dlatego napisałam Córki mordercy - historię sióstr, które były świadkami tego, jak ich ojciec zamordował matkę.

Moi klienci reprezentowali całe spektrum brutalności wobec kobiet. Znęcali się, bili mniej lub bardziej dotkliwie, łamali kości. Niektórzy mordowali. Pytani o to, gdzie były ich dzieci podczas tych incydentów, niemal wszyscy odpowiadali zgodnie: spały.

Dzieci nie śpią w tych traumatycznych momentach.

Niektóre zamierają ze strachu. Inne wypierają strach, by nimi nie zawładnął. Jeszcze inne powtarzają tego rodzaju zachowania we własnym życiu (jak wielu moich klientów).

Jednakże są i takie, które - wzmocnione podobnymi doświadczeniami - w dorosłym życiu zostają nauczycielami, pielęgniarkami, pracownikami organów ochrony porządku publicznego; często wybierają zawody, w których mogą nieść pomoc innym.

Rozmawiając ze sprawcami przemocy i z ich ofiarami, myślałam o moich rodzicach. Nie mogłam zapytać ojca, co się stało - zmarł, gdy miałam dziewięć lat. Matka pod żadnym pozorem nie chciała wracać do przeszłości

ani słuchać, jak my z siostrą analizujemy ją pod każdym kątem, i przewracała oczami, gdy z dawnych problemów czyniłyśmy zabawne anegdoty. Nie miałyśmy odwagi zapytać o tamto zdarzenie, kiedy ojciec groził, że ją zamorduje.

Jednakże ja nie przestałam samej sobie zadawać pytania: co by było, gdyby? Co by było, gdyby moja siostra nie była na tyle odważna i nie wezwała sąsiadów? Co by było, gdyby sąsiedzi natychmiast nie przybiegli? Co by było, gdyby policja nie przybyła na czas?

Co by było, gdyby matka umarła?

Pisanie jest dla mnie czymś takim - łańcuchem pytań „co by było, gdyby”. Kiedy obie z siostrą byłyśmy małe i zmuszono nas do gaszenia światła wieczorem, udawałyśmy, że wyciągamy z wyimaginowanej półki wymyślone książki, i pytałyśmy się nawzajem: „O czym będziesz dzisiaj śnić?”.

Tak się jakoś działo, że te moje sny na jawie były zawsze na wpół koszmarem, uwiarygadniając makabryczne zwroty wydarzeń, których wszyscy się boimy. Przypuszczam, że Córki mordercy są historią z tej dziecięcej półki.